

ELIZABETH LOWELL

We mgle zbrodni

Tytuł oryginału
Blue Smoke and Murder

Evanowi - dajesz mi radość i wsparcie

Rozdział 1

Północna Arizona Sierpień, północ

Coś jest nie tak.

Modesty Breck usiadła na łóżku. Serce waliło jej jak oszalale. Wyteżała słuch, żeby mimo dudnienia w skroniach zorientować się, co wyrwało ją ze snu.

Wokół starego rancza hulał porywisty wiatr. Nie zwróciła uwagi na świszczące podmuchy. Na wysoko położonych pustkowiach północnej Arizony wiało zawsze.

Hałas rozległ się znowu.

Drewniana rama frontowego okna zaskrzypiała. Wysuszone, wątłe ciało Modesty też trzeszczało przy każdym ruchu. Powykrzywianymi przez reumatyzm palcami znalazła na nocnym stoliku okulary i wsunęła je na nos, dziękując Bogu za to, że słuch ma jeszcze całkiem dobry.

Spod wąskiego łóżka wyciągnęła po omacku dubeltówkę, jeszcze starszą niż ona sama. Włamywacz nie mógł przecież wiedzieć, że zamek zwykle się zacina.

Podniosła się z trudem i w tej samej chwili przez grube wełniane skarpety poczuła chłód drewnianej podłogi. Długi flanelowy szlafrok sięgający ziemi był u dołu poprzecierany. Mimo bólu zeszywniałych mięśni i stawów podeszła cicho do drzwi sypialni, które zawsze zostawiała otwarte, by wpuścić ciepło bijące od kuchennego pieca.

Z salonu dobiegł głuchy łoskot. Na skrzypiącej drewnianej podłodze rozległy się kroki. Ktoś szedł po wytartym chodniku.

Modesty uśmiechnęła się ponuro. W starym domu, w którym każde skrzypnięcie znała jak własny oddech, nie potrzebowała alarmu antywłamaniowego.

Za domem dziki kot zawył triumfalnie nad świeżą ofiarą w blasku księżyca. Jak wszyscy mieszkańcy starego rancza, zdziczałe koty same troszczyły się o swój byt.

Modesty czekała, nasłuchując odgłosów intruza, który myszkował po jej salonie. Otwierał stare kredensy i szuflady, zamykał je i szedł dalej. Nic nie znalazł.

W końcu dotarł do kuchni.

Modesty wiedziała, że jej nie zauważy. Po cichu, uważnie omijając poprzecierane chodniki i skrzypiące klepki, zakradła się do kuchni.

Ciemna sylwetka włamywacza odcinała się na tle księżycowej poświaty, wpadającej przez okno nad zlewozmywakiem. Drzwi spiżarni zaskrzypiały, kiedy je otwierał.

Zapaliła światło.

Score zaklął i gwałtownie się odwrócił. No, ładnie. Stara cierpi na bezsenność.

- Czarna kominiarka, jak w kronice kryminalnej - odezwała się cicho Modesty. Jej głos był równie słaby, jak jej ciało. - Czarny kombinezon i kieszonkowa latarka. Co tu robisz, chłopcze?

Score ruszył w jej stronę.

Uniosła strzelbę. Przeładowałaby ją ale bała się, że się zablokuje i dubeltówka będzie bezużyteczna.

- Wracaj tam, skąd przyszedłeś - powiedziała Modesty. Z otworów w kominiarce spoglądała na nią ciemność.

- Spokojnie, pani Breck. Nie zrobię pani nic złego.

Mężczyzna był niski i gruby, i taki też miał głos. Choć niewiele ją przewyższał, był umięśniony i nabity, co najmniej dwa razy taki jak ona.

- Jestem panną, nie panią. Mężczyźni nigdy mnie nie obchodzili. Same z nimi kłopoty. - Modesty wskazała strzelbą tylne drzwi. - Wynocha.

Score zrobił kolejny krok naprzód, spojrział na zdezelowaną strzelbę i roześmiał się chłodno.

- Ta stara dubeltówka prędzej wystrzelił pani w twarz, niż trafi mnie. Nie spuszczać wzroku ze strzelby, ukradkiem zaczął przysuwać się do Modesty. Sądząc po zamglonych źrenicach, staruszka była półślepa. Jeszcze dwa kroki i zabierze jej broń.

Modesty zacisnęła wykrzywiony palec na spuście.

- Nie zawaham się.

- Słuchaj, babciu. - Score aż zatrzęsł się ze złości. Opanował się jednak. To nie był odpowiedni moment, żeby dawać upust wściekłości. Wyżyje się na siłowni. - Chyba przyda ci się trochę grosza. Mam przy sobie pięćset dolarów. Powiedz mi, gdzie są obrazy, a pieniądze będą twoje.

Modesty miała ochotę zawyć triumfalnie jak dziki kot. Wiedziała, że te obrazy są coś warte. Nie będzie musiała sprzedawać zwierząt, żeby zapłacić zaległe podatki.

- Nie potrzebuję pieniędzy - oznajmiła. - A teraz wynocha. Zorientowała się, że mężczyzna jest obok niej, dopiero kiedy lufa

strzelby wycelowowała w sufit. Score boleśnie wykręcił staruszce ręce i wyrwał broń.

- Koniec zabawy - warknął. Spojrzał na zamek i zauważył, że broń się zacięła. Prychnął zdeglustowany i odłożył strzelbę na kuchenny blat. - Gdzie obrazy?

- Mam tylko rodzinne fotografie. Nic ci po nich.

Zbliżył twarz do jej twarzy. Był tak blisko, że musiała odchylić głowę, by zobaczyć bladą, niewyraźną linię jego warg w otworze kominiarki. Wyglądał, jakby nie miał szyi, chyba że była równie szeroka, co ramiona.

- Nie chcę pani zrobić krzywdy. Gdzie są obrazy?

- Mam dziewięćdziesiąt lat. Nie boję się bólu. Score uśmiechnął się leniwie.

- Tak? A jak długo będzie tu pani w stanie przeżyć sama z połamanymi palcami u rąk?

Modesty jęknęła cicho. Najbardziej bała się, że wyślą ją do państwowego domu starców, gdzie przyjdzie jej umierać wśród jęków i zawodzeń obcych ludzi.

Prędzej rzucę się ze skały. Przynajmniej odejdę, wiedząc, że Jillian nie będzie zależna od żadnego podłego faceta.

Te obrazy są jej przyszłością.

- Miałam jeden obraz, ale wysłałam go miesiąc temu do domu aukcyjnego koło Salt Lake City - odpowiedziała Modesty. - Odpisali mi w zeszłym tygodniu, że posłali go gdzieś do dodatkowej wyceny i jakiś kretyn go zgubił.

Wargi mężczyzny wykrzywiły się w nikłym uśmiechu.

- Powiedziała pani pośrednikowi, że ma jeszcze dwanaście innych. Gdzie?

- Skłamałam. Chciałam, żeby myślał, że zrobi większy interes.

- Nie wierzę. - Co znacznie ważniejsze, nie wierzył w to również klient Score'a.

Zabytkowy zegar w salonie wybił pełną godzinę.

- Ostatnie ostrzeżenie - powiedział Score. Jego dłonie w chirurgicznych rękawiczkach wyglądały jak wielkie blade maczugi. - Pożaluje pani.

- Nie pierwszy raz.

Score wymierzył jej policzek. Cios nie powalił Modesty, ale był na tyle silny, że zadzwoniło jej w uszach. Zachwiała się, więc ją chwycił. Skrzywiła się, kiedy jego palce przycisnęły ścięgno do kości.

- Niech pani posłucha. Nie lubię krzywdzić staruszek, ale nie mam wyjścia. Gdzie są obrazy?

- Kto cię nasłał? - spytała. Uśmiechnął się szyderczo.

- Gdybym pani powiedział, musiałbym panią zabić.

- Ale zgadywać chyba mogę?

- Gdyby pani zgadła, też musiałbym panią zabić. - Własny dowcip go rozbawił, jednak po chwili głos mu

spoważniał. Znow ję uderzył, ostrożnie, pamiętając o jej kruchości i swojej sile. - Niech pani przestanie opowiadać głupoty i powie mi, gdzie są obrazy.

- A skąd mam wiedzieć, że nie zabijesz mnie tak czy siak? Przez długę chwilę przyględał się jej spod zmrużonych powiek.

- Targowałaby się pani z samym diabłem, co?

- Przeżyłam życie na własnych zasadach. - Słowa Modesty nie pasowały do jej wątlęgo głosu. Były mocne jak palce, które wbijały się w jej ramiona. - Nie mam zamiaru się teraz zmieniać. A jeśli mnie zabijesz, obrazów nie znajdziesz nigdy.

- To już coś - wymamrotał Score. - Przyznaje pani, że istnieją.

- Ten dom postawili pionierzy, którzy mieszkali samotnie i umieli się bronić. Wybudowali kryjówki, których nawet Indianie z plemienia Pajutów nie byli w stanie odnaleźć.

- Żaden problem. Pokaże mi je pani.

- Chciałbyś.

- Kiedy będzie pani krzyżeć, proszę pamiętać, że dałem pani wybór.

Uwolnił jedną rękę staruszki i sięgnął do bocznej kieszeni kombinezonu. Wyjął pasek białego twardego plastiku, przypominający krótki cienki sznur zakończony z jednej strony języczkiem, a z drugiej klamerką.

Modesty widziała na tyle dobrze, że rozpoznała plastikowy kabel. Sama używała go na ranczo. Był poręczny i mocny - współczesna wersja powrozu. Świetny do zwięzywania.

Na przykład nadgarstków.

Przełknęła ślinę w suchych ustach i wyciągnęła ostatniego asa z rękawa.

- Nigdy nie znajdziesz obrazów. - Spojrzała w stronę spiżarni, której nie zdążył przeszukać.

Score podążył za nią wzrokiem.

- Oj, wydaje mi się, że znajdę.

Nawet na nią nie spoglądając, odwrócił się i pobiegł do spiżarni.

Modesty rzuciła się do kredensu i otworzyła jedną z szuflad. Wyjęła stary nóż rzeźnicki z drewnianą rączką. Stał była ostrzona tyle razy, że straciła połowę grubości. Ale nic ze swojej straszliwej ostrości.

- Co do... - zaczął Score. Doskoczyła do niego.

Odruchowo wyciągnął rękę, żeby zatrzymać cios. Kiedy poczuł piekący ból, stracił panowanie nad sobą. Uderzył staruszkę tak mocno, że zatoczyła się, wypuszczając nóż z ręki. Zachwiała się, wywróciła kuchenne krzesło i uderzając głową o krawędź starego żelaznego pieca kuchennego, upadła bezwładnie na ziemię.

Nie poruszyła się.

Klnąc, Score spojrzał na czerwoną kreskę na ręce. Krwawił, ale lekko. Zwykłe przecięcie. Nie na tyle głębokie, żeby trzeba było szyć. Starając się zapanować nad wściekłością, spojrzał na staruszkę.

Wydawała się mniejsza. Wyglądała jak sterta szmat, nie człowiek.

Zaklął i ukląkł przy niej. Widział w życiu wystarczająco wiele trupów, żeby rozpoznać kolejnego. Zwykłe włamanie do domu staruszki zakończyło się morderstwem.

- Stara wariatka - warknął. - Naprawdę myślałaś, że ci się uda. Uniósł jej głowę. Nadal miała na nosie okulary - przekrzywione, ale to nie miało już znaczenia. Jej oczy przesłaniało coś więcej niż zaćma. Pod rzadkimi siwymi włosami wyczuł w czaszce zagłębienie. Śmierć musiała być natychmiastowa, bo nie było śladu krwi.

- Stuknięta stara suka. - Wstał. - Nie mogłaś mnie posłuchać? Zaklął jeszcze raz i poszedł przeszukać spiżarnię.

Nie znalazł nic poza konserwami i torebkami ryżu, mąki, cukru i fasoli. Żadnych ukrytych półek, sekretnych drzwi ani podwójnego sufitu. Nic poza jedzeniem.

Przeszukał resztę domu.

Nic.

Poszedł na tylny ganek i spojrzał na walącą się stodołę jakieś sto metrów za kuchnią. Owiał go wiatr. Silnymi, niecierpliwymi smagnięciami uderzał go w kombinezon, po czym pognał nękać starą stajnię.

Score nie miał czasu przeszukiwać starego budynku. Niech wiatr się tym zajmie.

Z tylnego ganku wziął butelkę oleju opałowego i wszedł z powrotem do kuchni. Nie pierwszy raz upozoruje na miejscu przestępstwa zwykły wypadek.

I pewnie nie po raz ostatni.

Rozdział 2

Nad rzeką Kolorado 27 sierpnia, godzina 8.00

Jasna cholera. - Lane Faroe nie potrafił ukryć przejęcia. - Ups, sorry. - Tyczkowaty nastolatek uśmiechnął się i spojrzał przepraszająco na Jillian Breck.

- Nie szkodzi. - Jill również się uśmiechnęła, nie odwracając wzroku od huczącej i kotłującej się rzeki, której koryto w bazaltowym przewężeniu zmniejszyło się o połowę. Woda parła zawzięcie do morza, przeciskając się między skałami. - Sama zawsze tak mówię, kiedy widzę Lava Falls.

Za każdym razem bystrze było inne.

Właśnie dlatego uwielbiała tę rzekę. Masy wody spływające od jeziora Powella, znajdującego się trzysta kilometrów w górę rzeki, zmieniały się każdego dnia. Przybrzeżne skały i głazy były podmywane i wciągane w nurt. Tam, gdzie utknęły, tworzyły nowy rodzaj fal, nowe prądy, zakola, dziury i wiry.

Spływ Kolorado był zawsze inny, a jednak zawsze taki sam. Niebezpieczny.

I zawsze przyprawiał o dreszcz.

- Wygląda jak ogromny rozdeptany czekoladowy wąż - stwierdził Lane.

- Groźnie - przytaknęła Jill.

Uwielbiała zмагаć się z rzeką. Będzie jej tego brakować, kiedy skończy ze spływami, a chwila ta zbliżała się nieuchronnie. Żądzy przygód Jillian Breck nie potrafiła zaspokoić nawet dzika rzeka.

Może zamieni stare gospodarstwo Brecków w okazałe ranczo. Sprowadzi konie i kupi więcej bydła, wykopie staw do hodowli pstrągów, zorganizuje safari fotograficzne i łowieckie, warsztaty malowania w plenerze, i będzie serwować turystom jarzyny z własnego ogródka, nawadnianego wodą ze starego młyna.

A może powinna pozostać rzeczonym tułaczem, podporządkować życie rytmowi zmieniających się pór roku, uczyć kajakarstwa, spływów pontonem i technik przetrwania?

Teraz chyba powinnam się skupić na rzece przede mną. Bystrze zmieniło się po ostatnim monsunowym deszczu. Tym razem muszę popłynąć inaczej.

Dziś miała ochotę na spływ pełen wrażeń, który zapadnie w pamięć wysokiemu przystojnemu nastolatkowi. Lava Falls jest w stanie podnieść poziom adrenaliny. Trzydzieści metrów w dole woda wiła się, wrzała i pieniała. Za olbrzymimi przybrzeżnymi skałami czaiły się wiry i prądy wsteczne. Dookoła rozlegał się nieprzerwany, uporczywy, niemal ogłuszający ryk.

Na prawo, pomyślała, kiwając do siebie głową. Dzisiaj jest mnóstwo miejsca. Podpłynę do tego wielkiego głazu przy brzegu, nurt rzeki obróci ponton, a wtedy wbiję mocno prawe wiosło i przepłynę w poprzek do drugiego brzegu.

Lane zerknął kątem oka na przewodniczkę, która zorganizowała spływ rzeką Kolorado dla niego i jego ojca, Joego Faroe'a. Podejrzewał, że Jill jest od niego starsza o co najmniej dziesięć lat, ale to nie przeszkodziło mu zauważyć, że jest niezła. Była szczupła i zgrabna jak gimnastyczka, ale biodra i cycki też miała. Lane mógł do woli cieszyć wzrok, bo poza warstwą kremu z filtrem, niewiele mieli na sobie.

Niełatwo być wysokim szesnastolatkiem. Większość kobiet, które wydawały mu się atrakcyjne, uważała go za gówniarza, a dziewczyny w jego wieku wołały starszych facetów.

Czasem życie jest do dupy.

Za to widoki bywają cudowne.

Jill odwróciła się i zaczęła schodzić stromą, nierówną ścieżką, wydeptaną przez przewodników. Przychodzili tu oceniać jedną z najgroźniejszych przepraw na słynącej z

niebezpieczeństw rzece, która co roku pozbawiała życia kilka osób, zazwyczaj pijanych lub beztroskich, a czasem po prostu pechowców.

- Idziemy czy płyniemy? - Joe Faroe uniósł brew i spojrzał na syna, który schodził z Jill do czekającego pontonu.

- Zawsze możecie się przespacerować - podsunęła Jill, zanim Lane zdążył odpowiedzieć. - Szlak ma około sześciu kilometrów. Poczekam na was na dole.

- Ja płynę - powiedział Lane do ojca. - Zastanawiam się tylko, czy dziewczyna ma dość siły, żeby poradzić sobie z takim żywiołem.

Faroe pokręcił głową. Lane był bystrym chłopakiem, ale o kobietach wiedział niewiele. Podczas wycieczki Jill zagięła go co najmniej dwa razy, a mimo to nadal zgrywał maczo. Nie zauważył, że inni przewodnicy, w tym mężczyźni, liczą się z umiejętnościami i zdaniem Jill.

- Jeśli chcesz, oddam wiosła twojemu tacie - rzuciła niewinnie Jill. - Jest silny, poradzi sobie.

- Nie, dzięki - odpowiedział Faroe. - Wolę to zostawić specjalistce.

- Mnie pozwoliłaś wiosłować tylko przy spokojnej rzece i kiedy popychał nas wiatr - mruknął Lane.

- Brak siły nadrabiam sprytem. - Jill puściła oko do Faroe'a. Roześmiał się i objął syna ramieniem.

- I tu cię ma. Na spływie liczy się nie tylko siła. Trzeba też trochę pogłówkować.

I powalczyć. Jednak nie tak, jak to zwykle robił Faroe. Cieszył się, że na rzece o jego bezpieczeństwo martwi się ktoś inny. W końcu po to są wakacje. Człowiek może na chwilę przestać kombinować, jak zabić kogoś, kto chce zabić ciebie.

- Eee tam. - Lane uśmiechnął się do Jill. - Wpadłaś kiedyś do Lava Falls?

- Dwa razy - odparła, dotykając skórzanego rzemyka na szyi. Wisiał na nim składany scyzoryk z ząbkowanym ostrzem, zakończony haczykiem. Był na tyle ostry, że gdyby wpadła do wody i zaczepiła o coś pod powierzchnią, jednym pociągnięciem przecięłaby mocne plecione szelki kapoka. Na szczęście nigdy nie musiała go użyć. I miała nadzieję, że to nigdy nie nastąpi. - Nie wolno walczyć z wodą. Trzeba się poddać prądowi. Po to właśnie masz kapok, na który bez przerwy narzekasz.

- Bo jest za wąski w ramionach.

- Twój tata ma gorszy i nie marudzi.

Faroe się uśmiechnął. Kapok był wygodniejszy niż kamizelka kuloodporna, ale nie miał zamiaru mówić tego głośno. Nie zamierzał psuć sobie wakacji myśleniem o pracy.

- Mamie by się tu podobało. - Lane przyglądał się rzece. Miał oczy ojca.

- Wątpię - odparł żartobliwie Faroe. - Jest w dziewiątym miesiącu ciąży. Woląca zostać w domu. Tym razem to męska wyprawa.

- Mam nadzieję, że nie zaczniesz rodzić, dopóki nie wrócimy.

- Ma jeszcze cały miesiąc.

- Jest olbrzymia.

- Tylko jej tego nie mów.

Ich ponton miał wypłynąć na bystrze jako ostatni. Inne, wśród krzyków i śmiechu pasażerów, niósł już rwący nurt. Lane i Faroe podeszli za Jill do małego pontonu, usiedli na dmuchanej burcie i zanurzyli stopy w wodzie, aby opłukać zapiaszczone sandały, zanim przerzucą nogi do środka. Zapięli kapoki.

- Gotowi? - spytała Jill. Odpowiedzieli, unosząc do góry kciuki.

Lane zajął miejsce na dziobie, Faroe z tyłu, a Jill usiadła pośrodku, na drewnianej ławce, przodem do kierunku jazdy, trzymając wiosła nad wodą. Inne pontony zdążyły już opuścić wiry przed nimi. Jill bacznie obserwowała rzekę. Poprawiła kurs wpływając w nurt. Wpłynięcie na bystrze było kluczowym manewrem. Mogło dostarczyć niezapomnianych wrażeń, ale w razie błędu groziło tragedią.

Prąd przybrał na sile, spychając ponton w bok. Jill zanurzyła lewe wiosło i odepchnęła raz, aby skorygować kurs. Napotkawszy pierwszą z fal przód pontonu zakołysał się lekko. Jill spojrzała szybko na swoich pasażerów, żeby sprawdzić kapoki. Lane czasami lekceważył zasady. Nie lubił rynsztunku.

Ryk pobliskiego wodospadu przypominał huk silników startującego samolotu.

- Jesteś zapięty, Lane?! - krzyknęła Jill.

Odwrócił się do niej. Miał zapięte dwa z trzech pasów biegnących w poprzek kamizelki. Końcówki trzeciego zwisały luźno.

- Zapnij go! - Wskazała głową dyndający pasek.

Spojrzał w dół. Gdy zorientował się, o co chodzi, zdjął jedną rękę z uchwytu bezpieczeństwa, by zapiąć sztywny pas.

Dziób pontonu wpadł w pierwszą dziurę, po czym wystrzelił w powietrze niczym wierzgający ogier. Tratwa przechyliła się na bok, a Lane'a spryskała zimna woda. Zawył triumfalnie.

Jill uśmiechnęła się szeroko. Wiosłując, lewą burtą zwróciła ponton do przodu, by nadać właściwy kurs. Zmiana kierunku i siła pędu sprawiły, że Lane stracił równowagę. Upadł do przodu i odbił się od burty pontonu. Kiedy w ponton uderzyła kolejna fala, wyleciał w powietrze. Po chwili runął do ryczącej rzeki.

Faroe wychylił się, żeby chwycić syna, ale rwący nurt odciągnął Lane'a poza zasięg jego rąk. Śliski ponton był szybszy niż wierzgający pływak.

- Płyń z nurtem! - krzyknęła Jill do Lane'a. - Nie walcz z nim!

Zapamiętała miejsce, w którym chłopak zniknął pod wodą, wsparła się mocno na obu wiosłach i wyprowadziła ponton z głównego nurtu w prąd wsteczny przy prawym brzegu. Ponton wyskoczył naprzód, a potem zwolnił, wpadając w wir za wielkim głazem. Jill przybiła do głazu i gorączkowo obserwowała rzekę.

- Tam! - krzyknął Faroe, wskazując palcem.

Na spienionej powierzchni wody ukazał się czerwony kapok. Lane uniósł rękę i pomachał. Jill odetchnęła z ulgą.

Rzeka ukryła chłopaka pod kolejną białą falą. Faroe zrzucił sandały, żeby skoczyć za synem.

- Nie - zakazała ostro Jill. - Poradzi sobie. Nie chcę was obu naraz w rzece.

Lane wynurzył się z wody na grzbiecie kolejnej fali. Obrócił się na plecy, pozwalając się nieść nurtowi. Po chwili przemknął obok nich. Jill wiedziała, że inne pontony przystaną za wirami, aby go wyłowić.

Nagle Lane gwałtownie się zatrzymał. Nurt parł dalej, wciągając go pod wodę. Chłopakowi udało się na krótko wynurzyć na powierzchnię, by zaczerpnąć tchu, po czym woda wciągnęła go znowu.

I zatrzymała.

Cholerny rozpięty pas!

- Weź wiosła! - krzyknęła Jill.

Zanim Faroe zdążył zaprotestować, znalazła się w rzece.

Wiedziała, że musi pozbyć się kapoka, bo inaczej porwie ją nurt i przemknie obok Lane'a tak szybko, że nie zdąży mu pomóc. Kiedy dostała się w wir, rozpięła kłamry i pozwoliła,

by rzeka zabrała kamizelkę. Utrzymywała się w miejscu, walcząc z silnym prądem, wystającymi głazami i dziurami, które mogły wciągnąć i pochłonąć człowieka. Zaczęła płynąć pod kątem tak, żeby nurt zaniósł ją do miejsca w dole rzeki, gdzie zniknął Lane.

Chłopak ponownie wynurzył się na powierzchnię, nabrał powietrza z wodą, zakrztusił się i znowu zniknął.

Jill przewróciła się na plecy, zdjęła z szyi rzemyk z nożem i mocno chwyciła scyzoryk prawą ręką. Będzie miała tylko jedną szansę, by złapać Lane'a. Jeżeli ją zmarnuje, rzeka porwie ją dalej i chłopak będzie zdany na siebie.

Ona pewnie przeżyje.

Lane nie.

Przeptywając ze spienionym nurtem obok Lane'a, chwyciła go pod ramię i wyciągnęła na powierzchnię.

- Weź oddech i bezwładnie się zanurz! - krzyknęła.

Nabrał powietrza, zawahał się, a potem położył w rzece, twarzą w dół. Prąd unosił jego ciało na powierzchni wody, wskazując Jill miejsce, w którym chłopak był zaczepiony. Objęła Lane'a nogami jak kochanka, prawą dłonią szukając zaplątanego pasa kamizelki. Kciukiem otworzyła scyzoryk i przecięła pasek.

Razem wypłynęli na powierzchnię. Lane odwrócił się na plecy, dysząc i kaszląc. Jill nie wypuszczała go z uścisku - jego kapok utrzymywał ich oboje na powierzchni. Zaczęła mocno odpychać się nogami, znowu i znowu, i znowu. Po chwili wpłynęli w prąd wsteczny, gdzie Joe, wiosłując, utrzymywał ponton w miejscu. Splątane stopy Jill i Lane'a dotknęły śliskich rzecznych kamieni.

Jill puściła chłopaka. Widząc, jak wstaje o własnych siłach, poczuła niesamowitą ulgę.

Lane spojrzał na odcięty koniec paska, dyndający z jego kapoka. Później popatrzył na dziesięciocentymetrowe

rozcięcie w kąpielówkach. Przez szparę widać było nylonową siatkę wszytej sportowej podszewki.

- Twój... nóż? - spytał, wciąż dysząc i kaszląc.

Jill przytaknęła, nadal z trudem łapiąc oddech. Pozbyła się szczyryka, gdy tylko wyswobodziła Lane'a. Głupotą byłoby walczyć z nurtem ze śmiercionośnym ostrzem w ręce.

- Ostry gnojek - powiedział Lane. - Całe szczęście, że... nie był... dłuższy.

Jill odchyliła głowę i się roześmiała. Później przytuliła Lane'a z całej siły. Odwzajemnił uścisk.

Faroe przyglądał się im i żałował, że Lane jest dla Jill za młody. Była dobrą dziewczyną. Sprytną, z refleksem, opanowaną w trudnych sytuacjach, silną w najlepszym tego słowa znaczeniu. Trochę przypominała mu Mary, specjalistkę od długiej broni w St. Kilda Consulting.

Ustabilizował ponton, a Lane i Jill wsiedli do środka. Chłopak położył się przy dziobie. Pokasływał od czasu do czasu, ale oddychał miarowo.

- Dziękuję - powiedział Faroe, zanim Jill ponownie wzięła wiosła.

- Chciałam sobie oszczędzić papierkowej roboty. - Uśmiechnęła się. - Nie lubimy tracić klientów.

Faroe odwzajemnił uśmiech.

- Mój szef ma podobne podejście. Gdzie twoja wodoodporna saszetka? Jill zamrugła, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Pod ławką.

Rozpiął wodoodporną torebkę, którą miał przypiętą do paska, i przez kilka sekund czegoś w niej szukał. Wyciągnął zalaminowaną wizytówkę.

- Schowaj to sobie.

Wzięła wizytówkę i odruchowo przeczytała. St. Kilda Consulting, Joe Faroe. Popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Gdybyś kiedyś miała jakikolwiek problem, zadzwoń pod ten numer - powiedział Faroe.

- Problem?

- Gdyby ktoś cię nachodził, wkurzony chłopak próbował głupich numerów albo coś cię wystraszyło. Gdybyś nie miała z kim pogadać, nie miała na rachunki. Cokolwiek, Jill. O każdej porze. Zadzwoń pod ten numer i spytaj o mnie. Natychmiast otrzymasz pomoc.

- Bardzo... dziękuję, ale...

Faroe uśmiechnął się, widząc jej konsternację.

- Wiem, nad wszystkim panujesz. Ja myślałem podobnie. A potem przekonałem się, na ile niebezpiecznych zakrętów można w życiu trafić. Zawsze noś tę wizytówkę przy sobie. Mam nadzieję, że nigdy nie będzie ci potrzebna.

Rozdział 3

Hollywood 3 września, późne popołudnie
Zachary Balfour usiłował ukryć znudzenie.
I niewątpliwą irytację.

Nic nie wkurzało go bardziej niż klientka, która chciała mieć „goryla” na pokaz, kiedy tak naprawdę potrzebny był jej kaganiec i zastrzyk przeciw wściekliwości.

Nie unikał niewdzięcznych zadań i pewnie powinien być zadowolony, że wpadła mu taka robota. A jednak wcale nie cieszyło go, że wykonuje kretyńską pracę za nieprzyzwoicie duże pieniądze.

Siedem dni z DeeDee Breitling sprawiło, że miał ochotę kogoś udusić.

Zapłacisz mi za to, Faroe. Mam gdzieś, że St. Kilda chce się przypodobać ważnej urzędniczce z Waszyngtonu. Bieganie za jej głupawą biuściastą siostrzenicą to zwykła strata czasu. Nikt jej nie prześladowa.

Jestem jej potrzebny jak dziura w moście.

Urzędniczka z Waszyngtonu doskonale o tym wiedziała. Po prostu chciała, żeby podczas pobytu w Hollywood jej siostrzenicy towarzyszył wysoki przystojniak.

Przynajmniej dzięki tej robocie będzie miał za co włączyć się po Zachodzie w poszukiwaniu starych samochodów, zagrających jeszcze starsze stodoły i złomowiska. Te poszukiwania były pasją Zacha, a zarazem dodatkowym źródłem utrzymania. Przez resztę czasu pracował na zlecenie dla St. Kilda.

Ale nie jako niańka, na miłość boską! Co Faroe sobie wyobraża?

Może jest nadal wkurzony, że ograł go w pokera?

- Mam rację, kochanie? - spytała DeeDee Breitling.

Właściwie zagruchała jak gołębek, ale Zach starał się nie zwracać na to uwagi. Miał cztery starsze siostry, więc wiedział o kobietach dość, by nie nabrać się na idiotyczne gierki.

Wielka szkoda, że powiększając jej biust, chirurg przy okazji nie powiększył jej mózgu. Albo nie zaszył ust.

Ta myśl wywołała na twarzy Zacha uśmiech.

DeeDee potraktowała to jako potwierdzenie. Odwróciła się niecierpliwie do sprzedawcy.

- Idealnie pasuje do mojego salonu. Proszę go zapakować i wysłać na mój adres na Manhattanie.

Zach spojrział na obraz, który właśnie kupiła, i stwierdził, że rzeczywiście pasuje idealnie. Dwie maleńkie szare plamki na czarnym tle w lewej dolnej części obrazu przedstawiały jej dwie szare komórki mózgowe szukające się nawzajem w ciemności. Koński zad zarysowany złotą farbą w prawym górnym rogu nie wymagał wyjaśnienia. Przedstawiał kupującą.

Artysta najwyraźniej miał poczucie humoru i doskonałe wyczucie ruchu i kreski. Niełatwo namalować koński tyłek za pomocą kilku swobodnych pociągnięć pędzlem. Potrzeba wielkiej wprawy, talentu i inteligencji, podobnie jak do stworzenia dobrego haiku. Żeby wiarygodnie namalować całego konia, potrzeba jeszcze doskonałej techniki.

A żeby koń wyglądał jak żywy, trzeba geniuszu.

Niestety DeeDee lubiła tylko taką sztukę, jaką zdaniem innych ludzi powinna lubić. Wielcy malarze amerykańskiego Zachodu nie cieszyli się na Manhattanie powodzeniem. Scenki przedstawiające Paryż przełomu XIX i XX wieku uważano za dzieła sztuki. Obrazki z Dzikiego Zachodu Stanów Zjednoczonych z tego samego okresu klasyfikowano jako malarstwo rodzajowe, które muzea i kolekcjonerzy ze Wschodniego Wybrzeża zwykle ignorowali. Twórczość

Thomasa Morana, a ostatnio także Frederica Remingtona, należała do wyjątków potwierdzających regułę.

- No a co z kolacją? - spytała Zacha.

Jak to: „co z kolacją?” Nad trzema listkami sałaty i wiórami z marchewki nie ma co debatować.

- Oczywiście, to nie Manhattan - stwierdziła, marszcząc brwi. - Ale jest tu kilka przyzwoitych restauracji.

- A może miałabyś ochotę spróbować hamburgerów w Tommy's Burgers? - spytał z nadzieją. Być w Los Angeles i nie zjeść hamburgerów w Tommy's to grzech.

- Nie. - Wzdrygnęła się. - Nasz ostatni wieczór w Hollywood powinien być wyjątkowy.

Zach próbował sobie wmówić, że dziewczyna tylko żartuje. Wiedział jednak, że DeeDee nie ma poczucia humoru. Przekonał się o tym, jak tylko się poznali, siedem długich dni temu.

Nie wiem, jak mi to wynagrodzisz, Faroe. Naprawdę nie wiem.

Rozdział 4

Północna Arizona 11 września, późne popołudnie

Jill przejechała obok ruin domu i spalonego szkieletu stajni. Nie zatrzymała się. Zrobi to później, kiedy oswoi się ze śmiercią ciotecznej babki. Zawsze jej się wydawało, że Modesty Breck należy do ludzi, którzy z wiekiem stają się jedynie bardziej twardzi i zahartowani. Nie tyle starzy, ile bezwiekowi. Jak otaczająca ich domy ziemia. Coś, co darzysz szacunkiem i przyjmujesz za pewnik.

Nie powinnam mieć wyrzutów sumienia, upomniała się stanowczo. Po śmierci mamy ta stara wiedźma chciała mnie wyrzucić z naszej chaty w dolinie.

Modesty była kobietą, która ceniła swoją prywatność. I to nawet bardzo. Jej bożkami były samotność i ciężka praca.

Umarła tak, jak chciała żyć. Sama. Nie powinnam robić sobie wyrzutów.

Łatwo powiedzieć.

Spod kół małej terenowej hondy unosiły się kłęby pyłu i żwiru. Ośmioletnie auto podskakiwało i trzęsło się na bitej drodze. Od ostatniego deszczu nikt tu nie zawitał. Poza odcisniętymi na zaschniętym błocie śladami kojota i królików, nie było widać żadnych oznak życia. Wszystko zmyła woda. Nawet ślady opon, prowadzące do domu, w którym zmarła Modesty.

Jill dojechała do stromego wzniesienia i w małej dolinie dostrzegła chatę pionierów. Stała na niewielkim wzniesieniu przy źródle, które przyciągnęło tu Brecków w latach czterdziestych XIX wieku. Kiedy Jill z matką wyprowadziły się - a właściwie uciekły - z Utah, zamieszkały najpierw z Modesty w nowym domu na ranczu. Gdy tylko urządziły chatę, przeniosły się do doliny.

Jako młoda dziewczyna Jill uwielbiała wspinać się po czerwonych gładkich wzgórzach, które tworzyły tylną ścianę chaty. Nie była tu od sześciu lat.

Im bliżej była chaty, tym większą czuła ulgę.

Przynajmniej nie będę musiała wydawać pieniędzy na motel. Kto wie, ile potrwa załatwienie spraw związanych z majątkiem Modesty.

W wypaczonych od wilgoci futrynach obsunęły się zawiasy, a jedna z okiennic zwisała smutno. Cała reszta była taka, jak zapamiętała Jill - stara, mała i dziwnie przytulna. Pamiątka odległej epoki, która przetrwała upływ czasu.

Prawnik Modesty powiedział przez telefon jedynie tyle, że jej cioteczna babka zginęła w pożarze, który doszczętnie strawił dom i inne zabudowania na ranczu. Jill wzięła wolne w pracy na rzece, dopiero kiedy znalazła zastępstwo. Zajęło jej to trzy tygodnie. Prawnik zapewniał ją, że nie ma powodu do pośpiechu. Zwłoki Modesty zostały skremowane i rozrzucone, zgodnie z jej wolą, a zwierzęta wyprzedane co do jednego na spłatę zaległych podatków, więc Jill nie musiała się o nic martwić. Prawnik złożył już wniosek o umorzenie pozostałych podatków z powodu spalenia się domu.

Podatki. Boże.

Ile może być warte zrujnowane ranczo?

Jill zaparkowała samochód na zarośniętym trawniku, wysiadła i się przeciągnęła. Potem podeszła do drzwi i szarpnęła za starą kłódkę, zabezpieczającą drzwi wejściowe. Nie żeby było tu co ukraść - w chacie znajdowało się kilka zdezelowanych krzeseł obitych skórą, stary drewniany stół kuchenny i stare łóżko piętrowe, w którym sprężyny zastępował sznurek przymocowany do kantówek.

Kłódka wyglądała na przeżartą przez rdzę, ale klucz otworzył ją bez trudu. Widocznie Modesty niedawno naoliwiła zamek. A może przez jakiś czas wynajmowała

komuś chatę. Na zapadłym ranczu pieniądze zawsze się przydawały.

W chacie było zaskakująco czysto. Jill ucieszyła się, że nie będzie musiała dekować się w namiocie w ogródku i sprzątać. Przy starej, wysłużonej pompie w kuchni stało przykryte wiadro z wodą. Podniosła je, by rozruszać pompę, i wtedy dostrzegła leżącą pod nim starannie złożoną kartkę.

W poprzek eleganckim, staroświeckim pismem Modesty wykaligrafowane było jej imię.

Odstawiła wiadro na bok i rozłożyła kartkę. Przebiegł ją dziwny dreszcz.

Trzymała w rękach list od nieboszczyka.

„Idź do swojej dawnej kryjówki.

Życie nie jest tak bezpieczne, jak wydaje się młodym”.

- Hm, dziwne - mruknęła pod nosem. - Ciekawe, czy staruszka miała źle w głowie? Jej siostra miała niezłego bzika.

Babka Justine zmarła jednak dawno temu i była rodzinną legendą, a Modesty zawsze kurczowo trzymała się rzeczywistości.

Jill wetknęła kartkę do tylnej kieszeni dżinsów, poruszyła pompą i uśmiechnęła się, kiedy do starego żelaznego zlewu popłynęła czysta woda. Zapasy, które kupiła w Page, powinny wystarczyć jej na kilka tygodni. A później... Cóż, będzie się o to martwić, kiedy dowie się, jak długo musi zostać na ranczu. Nie miała pojęcia, ile trwa załatwianie spraw spadkowych.

Westchnęła i otworzyła rozklekotane okiennice od wschodniej strony dwupokojowej chaty. Do środka wpadło wieczorne powietrze. Wypakowała rzeczy z hondy i zaparzyła kawę na kuchence polowej, którą przywiozła ze sobą. Wyszła z kubkiem przed dom, żeby rozkoszować się wiatrem, poruszającym liśćmi olbrzymiej starej topoli. Tego właśnie najbardziej brakowało Jill po wyjeździe z rancza.

Zwalista topola zakorzeniła się przy źródle, na długo zanim Breckowie pojawili się w Arizonie. W dzieciństwie drzewo służyło Jill jako drabina do wspinaczki po niższej partii wzgórza. Pozostałą drogę na szczyt pokonała już tradycyjnie, kiedy była trochę starsza.

- Ty chyba też kiedyś umrzesz, stara przyjaciółko - powiedziała, gładząc palcami głębokie bruzdy w pniu topoli. - Ja pewnie tego nie dożyję. Masz kilkaset lat więcej niż ja.

Niczym potwierdzenie z zaświatów przypomniał jej się list Modesty. „Życie nie jest tak bezpieczne, jak wydaje się młodym”.

- No, dobrze - wyszeptała, poirytowana tajemniczą wiadomością. - Zrobię to.

Modesty do perfekcji opanowała sztukę denerwowania innych. Jill była wystarczająco dorosła, by potrafić oprzeć się manipulacji.

A jednak nie mogła. Mamrocząc pod nosem, wyjęła z plecaka latarkę i rozejrzała się wokół chaty. Na zewnątrz znajdowała się piwniczka warzywna. Zanim na rolniczy Zachód dotarła elektryczność, piwniczki warzywne i komórki chłodzone wodą zastępowały lodówki. Czasem się w nich chowała.

Jednak jej ulubiona kryjówka znajdowała się wewnątrz chaty, na tyłach spiżarni. Stał tam ręcznie robiony kredens, za którym znajdowało się sekretne przejście. Prowadziło do małego pomieszczenia wielkości dwóch metrów kwadratowych, wykutego we wzgórzu, które stanowiło tylną ścianę chaty. W czasach, kiedy nie było banków ani policji, a Indianie i bandyci swobodnie poruszali się po kraju, w kryjówce przechowywano wszystko, co cenne, a w razie potrzeby, również członków rodziny.

Jill przesunęła palcami za trzecią półką, podniosła ukrytą dźwigienkę i pchnęła bok kredensu. Mebel zaskrzypiał,

odslaniając sekretne wejście. W dzieciństwie Jill zawsze czuła rozkoszny dreszcz podniecenia, kiedy zakradała się do komórki i chowała między workami ryżu, fasoli i cukru.

Włączyła latarkę i zajrzała do środka. Zamiast zapasów zobaczyła stary, zdezelowany kufer babki Justine. Był na tyle wielki, że zmieściłby się w nim nieduży kucyk. Kiedyś babka trzymała w nim przybory malarskie.

Jill była ciekawa, co znajduje się w nim teraz. Uniosła wieko. Stare skórzane zawiasy zostały niemal doszczętnie przetarte. Oparła wieko o kamienną ścianę i poświeciła do wnętrza latarką.

Nie było tam zaschniętych pędzli, farb olejnych ani upačkanych palet. Zamiast tego, w środku znajdowało się sześć prostokątnych paczek, ustawionych pionowo, jedna za drugą. Każda z nich owinięta była w ceratę.

Jill ogarnęło zaskakujące poczucie ulgi, że jednak nie wszystko obróciło się w popiół. Coś z dziedzictwa Modesty ocalało.

Coś z jej dziedzictwa.

Mam nadzieję, że w tych paczkach jest to, o czym myślę. Chociaż przysporzyły mi nie lada problemów.

Modesty spuściła mi niezłe lanie, kiedy przyłapała mnie na ich oglądaniu. Ile miałam wtedy lat? Dziesięć? Jedenaście?

Nieważne, w każdym razie była wściekła.

Teraz Modesty nie żyje, a obrazy należą do Jill. Może na nie patrzeć, ile tylko zechce. Już nie musi się zakradać do nich, kiedy Modesty i jej matka oporządzają bydło, naprawiają płot czy otwierają lub zamykają rowy irygacyjne małego sadu, ogrodu i pastwisk z oziminą.

Jill ostrożnie wyjęła paczki i oparła je o kamienną ścianę. Dopiero teraz zauważyła w kufrze skórzaną teczkę. Pamiętała ją z czasów, kiedy żyła mama. Wiedziała, że znajdują się w niej stare zdjęcia i papiery - akty własności ziemi,

potwierdzenie praw do wody, zaproszenia ślubne, akty urodzeń i zgonów. Wszystko, co ludzie gromadzą na przestrzeni życia.

- Świetnie. Dokumenty przydadzą się przy postępowaniu spadkowym.

Zostawiła teczkę w kufrze i pośpiesznie wniosła wielkie paczki do chaty. Kiedy odwinęła pierwszą, odkryła, że są w niej dwa obrazy. Były żywe, dzikie, namalowane z pasją, a jednak uporządkowane. Z uśmiechem rozpakowała wszystkie paczki, niecierpliwa jak dziecko otwierające prezenty gwiazdkowe.

Nie widziała obrazów, odkąd Modesty przyłapała ją na podziwianiu ich w schowku na strychu jej babki. Solidnie przetrzepała Jill tyłek, a potem zaprowadziła ją z powrotem do chaty i oznajmiła matce, że od tej pory dziewczynka może przychodzić do głównego domu tylko z matką, bo samej nie chce jej widzieć.

- Minęło tyle lat. - Jill uśmiechnęła się smutno na myśl o tym, jak wszystko się zmieniło. Oparła obrazy o ścianę, zachwycona ich prostotą, a jednocześnie głębią wyrazu. - Ciekawe, czemu Modesty nie chciała, żebym je oglądała. Cóż, zawsze była stukniętą, zrzędliwą jędzą.

Poczuła ulgę, mówiąc to głośno. Matka zawsze jej powtarzała, że powinna być wdzięczna Modesty za to, że przyjęła je pod swój dach, kiedy nie miały dokąd pójść.

„Życie nie jest tak bezpieczne, jak wydaje się młodym”.

- Dobra, nie zaprzeczam - mruknęła Jill. - Ale byłam dzieckiem i pokochałam te obrazy od pierwszego wejrzenia.

Pejzaże amerykańskiego Zachodu są majestatyczne i, mogło by się zdawać, bezkresne. Na obrazach wspaniale uchwycono ogrom gór, chłód zimowego wiatru, bezmiar nieba i nieopisaną wolność, jaką daje życie na własnych zasadach, na dzikiej ziemi.

Kiedy była mała, obraży ją urzekły.

Teraz, gdy miała za sobą studia z zakresu historii sztuki oraz malarstwa, wywarły na niej wielkie wrażenie.

Podobnie jak kiedyś, czuła niemal duchowe pokrewieństwo z malarzem, który oddał na płótnie jej własne odczucia. Może to dlatego, że na każdym obrazie znajdowały się ludzkie postacie - zwykle małe, zdominowane przez dziką przyrodę - i prawie zawsze kobiety.

Jako dziecko nie zwróciła na to uwagi. Teraz owszem, i zastanowiło ją to.

- Chwileczkę. Przecież obrazów było trzynaście.

Zmarszczyła brwi i weszła z powrotem do komórki. Poza zniszczoną skórzaną teczką w kufrze nic nie zostało. Wyjęła teczkę i zajrzała do środka. Był tam list zaadresowany do Modesty Breck. Stempel pocztowy wskazywał, że wysłano go tydzień przed śmiercią Modesty, a na kopercie znajdował się adres zwrotny galerii o nazwie Sztuka Historycznego Zachodu w Park City, w Utah, niedaleko Salt Lake City. Najwidoczniej cioteczna babka uznała, że list jest na tyle ważny, iż należy go dołączyć do rodzinnych dokumentów. Jill rozłożyła gruby, tłoczony papier firmowy i zaczęła czytać.

„Szanowna Pani Breck,

Dziękujemy za przesłany obraz, który, jak była Pani uprzejma poinformować, znajduje się w posiadaniu Jej rodziny od dawna. Jest to interesujący przykład malarstwa rodzajowego. Niestety, płótno nie jest sygnowane, co uniemożliwia potwierdzenie jego autorstwa, choć sugeruje Pani, że może to być dzieło znanego artysty z Zachodu.

Nie możemy zgodzić się z Pani sugestią, że obraz ten ma znaczną wartość pieniężną, choć jesteśmy przekonani, że dla Pani rodziny ma wielką wartość sentymentalną. Po konsultacji z innymi specjalistami w dziedzinie malarstwa

krajobrazowego, możemy potwierdzić, że obraz, choć ładny i dobrze namalowany, ma jedynie wartość symboliczną.

W normalnych okolicznościach, odesłalibyśmy obraz wraz listem. Niestety, płótno zaginęło. Sądzymy, że doszło do tego, gdy obraz znajdował się w rękach drugiego rzeczoznawcy. Zapewniam Panią że robimy wszystko co w naszej mocy, aby go odnaleźć i zwrócić.

Skontaktowaliśmy się już z ubezpieczycielem przesyłek wspomnianego rzeczoznawcy, a także z naszym własnym i oczekujemy na wskazówki odnośnie do dalszego postępowania. Skontaktujemy się z Panią ponownie, gdy tylko uzyskamy nowe informacje w tej sprawie.

Przepraszamy za wszelkie niedogodności związane z zaistniałą sytuacją.

Jeśli Pani sobie życzy, jesteśmy skłonni wypłacić Pani gotówkową rekompensatę, gdyby obraz się nie odnalazł. Biorąc pod uwagę ograniczony popyt na niesygnowane pejzaże niewiadomego pochodzenia z podobnego okresu, proponujemy kwotę dwóch tysięcy dolarów.

Proszę powiadomić nas, jeżeli zdecyduje się Pani przyjąć naszą ofertę wraz ze szczerymi przeprosinami i najlepszymi życzeniami".

List podpisany był nieczytelnie. Jill przeczytała go jeszcze raz, próbując uporządkować fakty.

Modesty wysłała jeden z obrazów do renomowanej galerii sztuki do wyceny i otrzymała prztyczka w nos.

Jill wiedziała dość o sztuce i wycenie, żeby rozumieć, że przy określaniu wartości, brak podpisu malarza zwykle dyskwalifikował dzieło. Prawdziwi artyści sygnowali swoje dzieła. Każdy niepodpisany obraz był automatycznie podejrzany. Bez możliwości potwierdzenia autorstwa, obraz stawał się estetyczną sierotą.

A mówiąc po ludzku - był ledwie wart płótna, na którym został namalowany.

Jill pamiętała, jak matka mówiła, że za tymi obrazami kryje się długa, smutna historia i że są one dziełem wielkiego artysty. Później zakazała córce wspominać o obrazach, bo inaczej Modesty raz na zawsze wyrzuciłaby je obie z rancza.

- Ja dotrzymałam mojej części umowy - powiedziała Jill do obrazów. - Dlaczego Modesty nagle zdecydowała się wyjąć jeden z nich ze strychu i pokazać światu?

Znała odpowiedź, jeszcze zanim skończyła mówić.

Pieniądze.

Zaległe podatki, o których wspominał prawnik. Modesty wiedziała, że sprzedaż inwentarza rozplodowego, konieczna do spłacenia podatków, oznaczałaby koniec rancza.

Jill zmarszczyła brwi i ponownie przeczytała ostatnie akapity listu.

Modesty wysłała jeden z obrazów do wyceny, skąd powędrował do nieokreślonych „innych”. Przy okazji poinformowano ją, że niesygnowany obraz jest w zasadzie bezwartościowy. A poza tym, że zaginął. Jaka szkoda.

Dlaczego ktoś proponuje dwa tysiące dolarów za bezwartościowy obraz?

Proste. Obraz nie jest bezwartościowy.

A może ludzie z firmy ubezpieczeniowej nie chcą zawracać sobie głowy dochodzeniem w sprawie zaginięcia obrazu wątpliwej wartości?

- To tani sposób na uniknięcie drogiego procesu - powiedziała Jill do siebie.

A może nie.

Spojrzała na pozostałe obrazy. To wszystko jej się nie podobało.

Modesty nie przeniosłaby obrazów, skórzanej teczki i starego kufra do chaty, gdyby nie martwiła się o bezpieczeństwo obrazów.

Chyba że zwariowała.

„Życie nie jest tak bezpieczne, jak wydaje się młodym”.

Jill nie wierzyła, żeby ciotka zwariowała. Była skąpa, bezwzględna i nienawidziła mężczyzn, ale nie była stuknięta.

Spojrzała na zegarek. Zanim dojedzie do miasta, biuro prawne i archiwum okręgowe będą już zamknięte, a szeryf pójdzie na kolację do Rimrock Cafe. Nie przerwie posiłku, chyba że będzie chodziło o sprawę życia i śmierci.

Śmierć Modesty się nie liczy. To żadna nowina.

- Wygląda na to, że życie nie jest bezpieczne również dla starszych - powiedziała Jill do obrazów.

Odpowiedziała jej cisza.

Modesty z jakiegoś powodu wyniosła obrazy i rodzinne dokumenty z głównego domu. Po kilku dniach lub tygodniach od przeniesienia kufra zginęła w wypadku, kiedy dokładała do starego pieca w środku mroźnej nocy.

A obraz, który wysłała do wyceny, zaginął.

Jill zatroskanym wzrokiem spoglądała kolejno na obrazy. Każdy zapierał dech w piersi. Żaden nie był podpisany.

Dlaczego „wielki artysta”, jak nazwała go matka, nie podpisał obrazów?

Dlaczego Modesty tak długo je ukrywała?

Jill wiedziała, że choćby wpatrywała się w pejzaże bez końca, nie znajdzie w nich odpowiedzi na dręczące ją pytania. Z płócien można było wyczytać jedynie opowieść o samotnym życiu na wspaniałym, wymagającym Zachodzie.

O życiu Modesty.

O śmierci Modesty.

Jill znów spojrzała na zegarek. Jutro ma spotkać się z prawnikiem i szeryfem w Blessing. Za kwadrans taryfa za

połączenia z jej drogiego satelitarnego telefonu zmaleje, bo skończą się godziny komunikacyjnego szczytu.

Wyjęła z plecaka cyfrowy aparat fotograficzny i się zawahała. W końcu wybrała trzy najmniejsze obrazy. Zrobiła im kilka zdjęć, wyjęła laptop i wgrała najlepsze. Szybko wyszukała w Internecie najlepsze okoliczne galerie, zajmujące się sztuką Zachodu. Wybrała Skarby Sztuki Zachodu w Snowbird, której właścicielem był Ramsey Worthington. Worthington posiadał kilka galerii, wszystkie w drogich kurortach. Poza tym był właścicielem Dzikiego Zachodu, domu aukcyjnego, który aspirował do tego, aby stać się nowym Sotheby's.

O ile wierzyć reklamom.

Jill przejrzała jeszcze kilka ogłoszeń i wybrała Sen o Pograniczu w Taos, której właścicielem był William Shilling. Prowadził interes pod tym samym adresem od trzydziestu lat, co dobrze wróżyło, jeśli chodzi o zaufanie klientów. Na chybił trafił wybrała jeszcze trzy galerie. Wszystkie specjalizowały się w sztuce Zachodu, kowbojach, Indianach, pionierskich zmaganiach i tematyce łowieckiej.

Galerię Sztuka Historycznego Zachodu sobie odpuściła. Już i tak zgubili jeden z obrazów jej babki. To dlatego tym razem Jill zamiast obrazów zamierzała wysłać zdjęcia.

Nie chciała, żeby jeszcze coś z jej dziedzictwa „zaginęło”.

Rozdział 5

Taos, Nowy Meksyk 12 września, rano

Kiedy u drzwi wejściowych galerii Sen o Pograniczu zadźwięczał dzwonek, William Shilling uniósł wzrok i natychmiast otworzył przyciskiem drzwi. Pani Caitlin Crawford należała do tych klientów, których widok szczególnie cieszy właścicieli galerii. Była piękna, miała klasę, i znała się na rzeczy. Co ważniejsze, była żoną starszego mężczyzny, który bez mrugnięcia okiem płacił za obrazy siedmiocyfrowe sumy.

- Caitlin, jak mi miło - powiedział Shilling, spiesząc do niej. - Masz ochotę na kawę? Jest dość chłodno na dworze.

Solidne drzwi uzbrojone w zamki antywłamaniowe zamknęły się z trzaskiem.

- Z przyjemnością - odparła Caitlin, zdejmując skórzane rękawiczki. Wsunęła je do kieszeni czarnego futra z wigonia.

- Czarna bez cukru, zgadza się? - spytał, pomagając jej zdjąć miękkie palto. Potem podszedł do ekspresu.

- Jak słodko, że pamiętasz. Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam. Talbert postanowił przylecieć, żeby obejrzeć nasz nowy hotel. Oczywiście, nie mogłam nie skorzystać z okazji, żeby się z tobą spotkać.

Shilling uśmiechnął się i podał jej filiżankę z chińskiej porcelany. Zapach specjalnie palonej kawy stanowił przeciwagę dla powściągliwego wystroju galerii.

- Wybrałaś odpowiednią porę - oznajmił. - Mam kilka obrazów. Zamierzałem je sfotografować i przesłać ci zdjęcia mailem. Naprawdę powalające.

- Dunstany? - spytała szybko. Jego uśmiech nieco zbladł.

- Nie... niezupełnie. - Niepodpisane Dunstany nie były warte płótna, na którym je namalowano. - Jest piękny Blumenschein, dość ładny Sharp i mały Russell, prawdziwa perełka. Właściciel rozważa, czy nie wystawić ich na aukcji w

Reno w przyszłym roku. Już za późno na zrobienie odpowiedniej reklamy przed aukcją w Vegas, ale jest skłonny rozważyć...

- Nie, dziękuję - przerwała Caitlin. - Oczywiście będziemy na aukcji w Las Vegas. Dunstany pojawiają się na rynku niezwykle rzadko.

- I wszystkie kupuje Talbert.

- Owszem. Powtarza mi, że tylko kolekcjonowanie najlepszych dzieł ma sens. Wszystkich.

Shilling stłumił westchnięcie. Talbert Crawford był legendą w kręgach znawców sztuki Zachodu. Kupował tylko najlepsze płótna.

Thomas Dunstan był najlepszy z najlepszych. Niestety, nie miał łatwego charakteru. Prawdę mówiąc, był zwykłym alkoholikiem. Pił non stop i do nieprzytomności. Bywał niebezpieczny. Potrafił przez lata nie pokazywać nikomu nowych obrazów. Przynajmniej miał dość rozsądku, by niszczyć swoje przeciętne lub gorsze malowidła, kiedy był trzeźwy.

Te, które przetrwały, zyskały miano ikon, kwintesencji najlepszej sztuki Zachodu.

Ze wszystkich znanych Dunstanów, Talbert Crawford posiadał trzynaście. Pozostałe znajdowały się w muzeach albo w prywatnych kolekcjach. Inaczej mówiąc - nie były na sprzedaż. A Tal oferował mnóstwo pieniędzy. Udało mu się nawet kupić jeden obraz z kolekcji rodziny Dunstana. Plotka głosiła, że zapłacił za niego siedmiocyfrową sumkę.

- Może nadeszła pora, żebyście poszerzyli swoje kolekcjonerskie horyzonty - powiedział łagodnie Shilling. - Jest wielu dobrych malarzy Zachodu, którzy...

- Obawiam się, że to nie wchodzi w grę - odparła Caitlin.

- Przynajmniej dopóki nie wykupimy wszystkich znanych Dunstanów. Talbert jest w tej kwestii nieugięty. - Raczej

opętany. - Wszechstronność w kolekcjonerstwie jest jak najbardziej na miejscu, ale kluczowe jest ukierunkowanie.

- Nic mi nie wiadomo na temat dostępnych Dunstanów o potwierdzonym pochodzeniu - powiedział Shilling.

- A do mnie wciąż docierają pogłoski, o co najmniej jednym nowym płótnie. A może i tuzinie.

Shilling przeklął w milczeniu długie języki kolekcjonerów sztuki.

- Ja też słyszałem te plotki. - Widziałem też zdjęcia, dodał w myśli. Same niesygnowane obrazy. - Oczywiście zadzwoniłem do Ramseya Worthingtona. Żaden z nas nie potrafi stwierdzić, od którego z kolekcjonerów, kuratorów czy ekspertów wyszła plotka. To jak próbować złapać ducha.

- Ja tropem plotki dotarłam do Park City, do galerii Sztuka Historycznego Zachodu - powiedziała Caitlin.

Shilling przeczesał rzednące włosy.

- Tak, słyszałem o nich. Podobno wysłali obraz w kilka miejsc do wyceny. - Wzruszył ramionami. - Wszyscy doszli jednak do wniosku, że to nie Dunstan.

- Mimo wszystko chciałabym zobaczyć ten obraz.

- Ja też. Dlatego poprosiłem o zdjęcie.

- I? - spytała ostro Caitlin.

- Obraz zaginął. Wobec czego nasuwa się pytanie, czy w ogóle istniał. Im bliżej wielkiej aukcji w Vegas, tym bardziej niestworzone krążą plotki. Co roku jest to samo. Do aukcji został zaledwie tydzień, więc nie należy się temu dziwić.

Shilling przemilczał fakt, że takie pogłoski niekorzystnie wpływały na sprzedaż prawdziwych, sygnowanych płócien.

Caitlin upiła łyk kawy. Między jej ciemnymi, elegancko zarysowanymi brwiami pojawiła się delikatna zmarszczka.

- W tej plotce coś jest. Jestem tego pewna. Shilling uśmiechnął się grzecznie.

- Wierz mi, ja też chciałem w nią uwierzyć.

- Zawiadomisz mnie, jeżeli pojawi się cokolwiek sygnowanego nazwiskiem Dunstana?

- Oczywiście. Ty i Talbert zawsze jesteście pierwsi na mojej liście.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się. - Gdybym dowiedziała się, że jest inaczej, byłoby mi bardzo przykro.

A Shilling nigdy nie zobaczyłby ani centa więcej z milionów Crawforda.

Wiedzieli o tym oboje, jednak byli zbyt dobrze wychowani, by powiedzieć to głośno.

Rozdział 6

Blessing, Arizona 12 września, późny ranek

Szeryf Ned Purcell odchylił się w fotelu przy biurku i wpatrywał się w sufit.

- Pożar miał miejsce prawie miesiąc temu, panno Breck. Orzeczenie już zostało wydane. Pani cioteczna babka zginęła w nieszczęśliwym wypadku.

- Rozumiem - powiedziała Jill pewnym tonem. - Ale biorąc pod uwagę list, jaki mi zostawiła, oraz to, że jeden z rodzinnych obrazów został w sprytny sposób zawieruszony, sądzę, że należałoby zbadać sprawę jeszcze raz.

- Panno... - Szeryf poskromił zniecierpliwienie i wyjrzał przez okno. Od ponad wieku kobiety z rodziny Brecków przysparzały samych problemów. Upierdliwe babska. - Modesty prawdopodobnie sama przyczyniła się do swojej śmierci. Starsze kobiety mieszkające samotnie nie powinny dolewać podpałki do pieca, który już się pali.

Jill wyprostowała się na drewnianym krześle po drugiej stronie biurka szeryfa. Miała serdecznie dość wysłuchiwania, że kobiety nie powinny mieszkać bez ochrony i nadzoru mężczyzny. To, między innymi, z tego powodu po wyjeździe z Arizony na uczelnię w Kalifornii rzadko wracała do przeszłości.

- Moja cioteczna babka urodziła się na tym ranczu - powiedziała Jill. - Korzystała z tego pieca przez całe życie. Wszystkie prace w gospodarstwie wykonywała sama, włącznie z renowacją starych silników i uzupełnianiem oleju, znakowaniem bydła, stryżeniem i sianokosami. Od początku nie chciało mi się wierzyć, że się tak po prostu potknęła i wylała naftę na rozpaloną kuchenkę. Teraz, kiedy w starym kufrze znalazłam jej list, uważam, że sprawie należy się ponownie przyjrzeć.

Purcell podniósł z biurka beżowy kapelusz kowbojski, który stanowił część jego umundurowania, podobnie jak tłoczony skórzany pasek, kabura z bronią, pałka, kajdanki i naboje.

Jill czekała. Wiedziała, że irytuje szeryfa, ale nie mogła nie zadać głośno dręczących ją pytań tylko dlatego, że facet był święcie przekonany, iż każdą żyjącą samotnie kobietę czeka marny koniec.

- Może po prostu przez wszystkie te lata Modesty miała szczęście - powiedział sucho Purcell. - Kobieta taka jak ona nie powinna mieszkać sama.

Jill poczuła jednocześnie satysfakcję i wściekłość. Nie znosiła, kiedy ktoś sugerował, że kobiety są gorsze od mężczyzn.

- Nie bardzo rozumiem - stwierdziła.

Purcell pochylił się i oparł na łokciach. Twarz miał starannie ogoloną i zaskakująco bladą jak na człowieka, który większość czasu spędzał w terenie. Usta miał wąskie, niewydatne. Ubrany był w białą kowbojską koszulę zapinaną na perłowe guziki, dżinsy, kowbojskie buty i sznurkowy krawat. Był prowincjonalnym stróżem prawa wybranym w demokratycznym głosowaniu, którego główną troską było przypodobanie się potencjalnym wyborcom.

- Modesty Breck była solą w oku okolicznych mieszkańców - wyjaśnił szeryf. - Afiszowała się z poglądami, które dla przyzwoitych ludzi są obraźliwe. Niejeden obywatel ostrzegał mnie, że Modesty jest nieobliczalna i że powinno się ją mieć na oku, zwłaszcza ostatnio.

- Byli też tacy, którzy twierdzili, że powinno się zacząć jej pilnować znacznie wcześniej - odparła Jill. - Niektórzy nie mogą znieść, że kobieta może po prostu nie chcieć wyjść za mąż, albo co gorsza, chcieć zakończyć uświęcone przez kościół małżeństwo i żyć na własny rachunek.

Na półeczki szeryfa wystąpił rumieniec.

- Modesty Breck uciekła od prawowicie zaślubionego męża.

- Nie wyszła ponownie za mąż - powiedziała Jill. - O ile wiem, nigdy nawet nie przyjęła oświadczyn.

- Wodziła za nos kilku mężczyzn, robiąc im nadzieję na małżeństwo.

Jill ugryzła się w język. O ile można wierzyć legendzie, jednym ze wzgardzonych zalotników był ojciec Purcella. Modesty nie trafiła na mężczyznę, bez którego nie mogłaby żyć.

Podobnie jak Jill.

- Z kolei siostra Modesty była bezwstydną cudzołożnicą - ciągnął ponuro Purcell. - Justine była alkoholiczką, która usiłowała zastrzelić swojego żonatego kochanka podczas kłótni. Mój ojciec aresztował ich oboje za pijaństwo i awanturnictwo. Kochanek Justine był porządnym facetem, który dał się omamić rozwiązłej, łatwej kobiecie. Miał w związku z tym takie wyrzuty sumienia, że powiesił się w więzieniu tego samego wieczoru, kiedy zostali aresztowani.

Jill otworzyła szeroko oczy.

- Co?

- Może mi pani nie wierzyć, ale mam jeszcze raport z aresztowania, odciski palców i inne dokumenty. Purcellowie pilnowali tu porządku, jeszcze zanim Arizonę ogłoszono terytorium Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy dumni z naszej pracy.

Jill nie wiedziała, co powiedzieć. Słyszała różne insynuacje, szepty i domysły, ale nigdy nic tak bezpośredniego, jak historyjka Purcella.

- Córka Justine z nieprawego łóża, pani matka, uciekła od porządnego męża i się z nim rozwiodła. Wróciła do nazwiska

Breck i nigdy więcej nie poszła do komunii - wyrzucił z siebie Purcell. - Kobiety z rodziny Brecków to same kłopoty.

- To wolny kraj - odparła Jill, bezskutecznie starając się, by jej głos brzmiał stanowczo. - Nie ma obowiązku bycia religijnym.

Purcell jęknął. Zasiadał w lokalnych władzach Kościoła mormonów. Swój autorytet zawdzięczał bardziej funkcji kościelnej niż odznace szeryfa przypiętej do szerokiego paska. Okręg Canyon zamieszkiwali bogobojni ludzie - był to według nich jeden z ostatnich bastionów przyzwoitości w coraz bardziej zdeprawowanym kraju.

- Jednak kościół nie wybacza odchodzącym kobietom - powiedziała Jill. - Grzeszącym mężczyznom owszem. Ale kobietom: nigdy.

Purcell wyprostował się w fotelu.

- Od razu słyszeć, że ma pani na nazwisko Breck. Ale to nie ma nic do rzeczy. Otrzymała pani kopię aktu zgonu i raportu lekarza sądowego. Modesty Breck się potknęła, rozbiła głowę o żelazny piec, upuściła naczynie z naftą i wywołała pożar, który strawił stary dom oraz stajnię.

Przez długą chwilę w pokoju panowała cisza. Słyszeć było jedynie tykanie starego zegara w rogu. Odmierzał czas w biurze szeryfa, jeszcze zanim terytorium Arizony przekształcono oficjalnie w jeden ze stanów. Szeryfem był wtedy pewnie któryś z Purcellów.

Jill się skrzywiła. To straszne, jak wielu ludzi z prowincji nie rozumie zasad państwowości ani realiów XXI wieku.

- Nikt nie miał motywu, aby zrobić cokolwiek pani ciotecznej babce - stwierdził Purcell, spoglądając na zegarek. - Wszystkie zniewagi pod adresem Kościoła padły ze strony Brecków dawno temu. Obecnie wierzący nie chowają tego rodzaju uraz. Nikt z okolicy nie życzył Modesty źle. Nikt

nawet o niej nie myślał, chyba że akurat jakiś przybłęda szukał pracy. Wtedy odsyłaliśmy go na rancho Brecków.

- A obrazy? - spytała Jill.

- A co ma być z obrazami? Autor listu, który mi pani pokazała, dość jasno stwierdza, że nie są nic warte. Niech pani bierze ubezpieczenie, które proponują, i dziękuje Bogu.

- Ale dlaczego Modesty przeniosła obrazy do chaty i zostawiła mi list, w którym pisze, że życie nie jest tak bezpieczne, jak mi się wydaje?

Purcell prychnął.

- Rozmawiałem z jednym z rzeczoznawców, z którego usług chciała skorzystać pani ciotka, miłym młodym mężczyzną spod Salt Lake. Powiedział mi wprost, że obraz, który mu przesała, był falsyfikatem albo zwykłą kopią. Być może Modesty doszła do wniosku, że pozostałe lepiej ukryć, ponieważ usiłowała je sprzedać jako wartościowe. A to przestępstwo, jak pani wiadomo. Wyłudzenie.

- Ale...

- Radzę mieć to na uwadze, panno Breck - uciął szeryf. - Jeżeli będzie pani próbowała sprzedać te obrazy jako wartościowe dzieła, może się pani wpakować w poważne kłopoty. Przestępczej natury.

Jill silnymi dłońmi ścisnęła poręczę krzesła. Wpatrywała się w szeryfa, licząc do dziesięciu. Dwudziestu. Trzydziestu. Purcell pochylił się do przodu i uśmiechnął niemal przyjacielsko.

- Wiem, że trudno się pogodzić ze śmiercią bliskiej osoby, zwłaszcza tak dobrze wykształconej młodej kobiecie jak pani. Chcę tylko, żeby pani zrozumiała, że działałem w dobrej wierze. Gdybym nie był przekonany, że śmierć Modesty była wypadkiem, użyłbym wszelkich dostępnych środków, żeby dociec prawdy.

- A więc jest pan pewny, że jej śmierć była wypadkiem.

- Ja, komendant straży pożarnej, lekarz sądowy i wszyscy inni, którzy znają fakty. Modesty Breck była upartą starą kobietą, która zawzięła się, że będzie mieszkać sama. Wiemy też, że dostawała coraz większego bzika. Nie przyszło pani do głowy, że mogła przenieść obrazy i dokumenty do pani chaty, aby nie spłonęły, a później nie tak całkiem przypadkowo zabiła się, żeby dla jej własnego dobra nikt siłą nie usunął jej z rancza?

Jill przebiegł dreszcz.

- Chce pan powiedzieć, że Modesty popełniła samobójstwo? Purcell wzruszył ramionami.

- Biorąc pod uwagę to, co mi pani powiedziała, samobójstwo jest równie dobrym wyjaśnieniem, co wypadek. Jeśli pani nalega, mogę ponownie zbadać sprawę. Ale to zdecydowanie utrudni otrzymanie ubezpieczenia na życie. Jako spadkobierczyni, powinna się pani nad tym zastanowić.

Jill starała się opanować wściekłość.

Purcell był uosobieniem wszystkiego, czego ona i pozostałe kobiety z rodziny Brecków nienawidziły w mormońskim Zachodzie. Jill zrozumiała, że jeżeli chce znaleźć odpowiedzi na nurtujące ją pytania, będzie ich musiała poszukać sama. Pomyślała o wizytówce, którą dał jej Joe Faroe, jednak szybko odeгнаła tę myśl. Nikt jej nie prześladował. Grozi jej tylko, że straci panowanie nad sobą i zaatakują stróża prawa.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, szeryfie. Nie będę więcej zawracać panu głowy.

Rozdział 7

Snowbird, Utah 12 września, godzina 13.30

Ramsey Worthington zmarszczył brwi, wpatrując się w monitor komputera. Ekran był duży, o wysokiej rozdzielczości, aby można było dostrzec najmniejsze szczegóły wszystkich odpowiednio przygotowanych plików fotograficznych. Jako właściciel renomowanego domu aukcyjnego i kilku galerii sprzedających wartościowe dzieła sztuki Zachodu, Worthington często musiał dokonywać oceny za pomocą elektroniki. Jeśli okaz zainteresował go w wirtualu, zwracał się z prośbą o możliwość obejrzenia go na żywo i dopiero wtedy podejmował decyzję o tym, czy go kupić lub wziąć w komis.

- Pojawiło się coś interesującego? - spytał John Cahill. Worthington uniósł wzrok i spojrzał na swojego współpracownika,

a od czasu do czasu również kochanka. Cahill nie był typem zazdrośnika. Worthington też nie, przynajmniej w kwestii seksu. Jak zawsze, Cahill był ubrany elegancko, ale swobodnie, w sposób sugerujący bogactwo i dobry gust bez epatowania nim. Nie po raz pierwszy Worthington żałował, że jego żona nie ma choćby krzty wyczucia stylu Cahilla.

- Nie jestem pewien - powiedział Worthington. - Zdjęcie na pewno robił amator.

Cahill spojrzał ponad jego ramieniem.

- Zdjęcie do dupy, ale obraz olśniewający. Jak duży?

- Nie napisała.

- Ona?

- Jillian Breck.

- O cholera. To pewnie jakaś jej krewna. To samo nazwisko, tylko inne imię. Pewnie stara umarła, a Jillian Breck jest spadkobierczynią.

Worthington kliknął na drugi obraz. Był równie imponujący, jak pierwszy.

Cahill jęknął zdegustowany.

- Ktokolwiek maluje te Dunstany, powinien zacząć malować pod własnym nazwiskiem. Jest dobry, zarobiłby na godziwe życie. Gdyby miał odpowiedniego agenta i trochę szczęścia, zarobiłby nawet na luksusowe życie. Robi wrażenie. Dobra technika i siła przekazu. Niecodzienne połączenie.

Worthington skinął głową.

Na ekranie pojawił się trzeci obraz. Imponujący. Piękny surowy krajobraz z bezkresnym niebem.

- Wysłałeś je Lee Dunstanowi? - spytał Cahill.

- Jeszcze nie. Był wściekły z powodu obrazu, który wysłał Ford Clark. O mało nie dostał zawału przy telefonie.

- Dlaczego coś takiego dzieje się zawsze przed wielką aukcją? - mruknął Cahill.

Worthington wzruszył ramionami.

- Chciwość. Ludzie dobrze wiedzą, że za nazwiskiem Dunstana stoją wielkie pieniądze. I chcą coś z nich uszczknąć.

- Ten spryciarz słabo się przygotował - zauważył Cahill. Worthington skinął głową.

- Tak. Postacie są nietypowe dla Dunstana. Każdy fałszerz to wie. A to oznacza, że ten jest albo głupi...

- Wykluczone - uciął Cahill. - Zbyt dobrze zna temat.

- ... albo to są rzeczywiście prace Dunstana.

- Lee musiałby to potwierdzić - zauważył Cahill.

- Tak czy siak, spróbujemy przytrzymać Jillian Breck aż do zakończenia aukcji - stwierdził Worthington. - Ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to pojawienie się w obiegu dwunastu wspaniałych, prawdopodobnie sfalszowanych, Dunstanów. Rynek psuły mniejsze rzeczy.

- Co zamierzasz? - spytał Cahill.

- Coś wymyślę. Cahill zaśmiał się cicho.
- Jak zawsze.

Rozdział 8

Hollywood 12 września, godzina 21.00

Score pocił się obficie, dźwigając ciężary w kontrolowanym szale. Tylko dzięki temu udało mu się nie wybić z wściekłości dziury w ścianie. Miał wrażenie, że ludzie z każdym dniem robią się coraz głębsi. Szczęście, że w porę wyszedł z biura, bo inaczej ukreśliłby komuś łeb.

Zadzwoił telefon komórkowy. Prywatny, którego numer miało niewiele. Score odwiesił sztangę i spojrzał na numer dzwoniącego.

Nie wyświetlił się.

- Score - powiedział do słuchawki.
- Mam nadzieję, że wpadłeś na trop tych obrazów.
- Już ci mówiłem. - Z dziesięć razy. - Ślepa uliczka. Spaliły się. - Score panował nad głosem tylko dlatego, że ten klient płacił mu wyjątkowo dobrze.

A im więcej płacą, tym większe mają wymagania.

- To może mi wytłumaczysz, dlaczego Jillian Breck rozesłała zdjęcia trzech niesygnowanych Dunstanów do wszystkich galerii na Zachodzie?

- Ktoś musiał zrobić zdjęcia wcześniej - odparł Score, rękami ocierając pot z ciała. - I co z tego? Zająłem się obrazami, a reszta to zwykłe brednie.

- Chciałbym w to wierzyć. Ale nie wierzę. Znajdź te obrazy albo udowodnij mi, że nie istnieją. I zrób to przed aukcją!

Score wyjrzał przez okno swojej domowej siłowni na migoczącą panoramę światła, jaką było w nocy Los Angeles.

- Jak mam dowieść, że coś nie istnieje? Zbadać popioły pod spektografem?

- Rób co trzeba. Za to ci płacę.

Rozdział 9

Północna Arizona 12 września, godzina 23.15

Jill obróciła się, próbując ułożyć się wygodniej na pryczy. Nie wychodziło jej.

Przecież to łóżko jest wygodniejsze niż pośłanie na łódce, na której zwykle sypiam. Rozluźnij się, do cholery!

Z zamkniętymi oczami przysłuchiwała się pojękiwaniu wiatru w gałęziach topoli. Sądząc po coraz niższych temperaturach, liście zaczną niedługo żółknąć.

A jeżeli Purcell ma rację? Jeżeli Modesty chciała umrzeć?

Wiatr zawył mocniej.

Jill znowu się obróciła.

A jeśli nie chciała?

Przeklinając pod nosem, wydostała się ze śpiwora.

- Wypiłam o jedną filiżankę kawy za dużo - wymamrotała do siebie i pośpiesznie wstała z łóżka.

Nie mogła spać. Nie dlatego, że chciało jej się siusiu albo naprawdę wypiła za dużo kawy. Wierciła się, bo była niespokojna.

- Może któraś z galerii przesłała mi mail. Sprawdziła skrzynkę pocztową. Nic.

Może pójść do kryjówki na tyłach spiżarni i jeszcze raz popatrzeć na obrazy, tylko po to, żeby się upewnić, że rzeczywiście są prawdziwe.

- Zmarnowałam pół godziny na to, żeby je owinać i odnieść na miejsce. Naprawdę chcesz...

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk telefonu satelitarnego.

- Widać nie tylko ja nie mogę spać. - Wzięła do ręki okazały aparat i spojrzała na wyświetlacz, na którym ukazała się informacja: „Numer prywatny”. No tak. Numery większości komórek nie wyświetlały się w sieci naziemnej, a co dopiero przy połączeniach satelitarnych.

Nie cierpiała odbierać telefonów z nieznanymi numerami, zwłaszcza przy wysokiej taryfie.

Dzwonek rozległ się znowu.

- To chyba lepsze niż gadanie do siebie. A stawka jest teraz naprawdę niska. - Wcisnęła guzik i odebrała.

- Halo?

- Jillian Breck? - Głos był dziwnie zniekształcony, jakby ktoś mówił z zapchanym nosem.

- Tak. Kto mówi?

- Blanchard. Jestem pośrednikiem handlu dziełami sztuki Zachodu. Słyszałem, że ma pani kilka obrazów wartych obejrzenia. Czy to prawda?

Jill zmarszczyła brwi. Nie przypominała sobie, żeby wysyłała mail do kogoś o nazwisku Blanchard. Chociaż może przecież pracować w jednej z galerii, do których rozesłała zdjęcia.

- Niestety, nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała powoli. - To chyba pomyłka.

- O ile mi wiadomo, pani krewna usiłowała sprzedać obrazy w Salt Lake City. Zgadza się?

Jill poruszyła się zakłopotana, przypominając sobie ostrzeżenie szeryfa. Jeżeli będzie próbowała sprzedać te obrazy jako wartościowe dzieła, którymi nie są, wpakuje się w poważne kłopoty. Natury przestępczej.

- Panie Blankford...

- Blanchard.

- Och, przepraszam. Wydaje mi się, że został pan źle poinformowany.

- Nic pani nie wie na temat dwunastu pejzaży, które od lat znajdują się w posiadaniu rodziny Brecków?

Jill w milczeniu odnotowała fakt, że Blanchard wie więcej o obrazach, niż wynikało z informacji, które zawarła w mailach do galerii.

Nie wiedziała tylko, czy to dobrze czy źle.

- Moja cioteczna babka wysłała do wyceny obraz, który był w posiadaniu naszej rodziny, do Park City, nie do Salt Lake City - powiedziała obojętnym głosem. - Ale nie wiedziałam, że rozmawiała z kimś na temat innych obrazów niż tamten.

- Świat sztuki Zachodu jest mały. - Dzwoniący zakaszłał ochryple. - Obraz, który wysłała pani krewna, widziało kilku pośredników. Nie odpowiedziała na mój list, więc dzwonię do pani.

Jill ścisnęło w gardle.

- Modesty Breck nie żyje.

- Och. Tak mi przykro. Czy ma pani obraz, który wysłała?

- Zaginął.

Blanchard wydał dziwny odgłos, coś pomiędzy śmiechem, kasłaniem palacza a dławieniem się. Odkasznął.

- A co z innymi obrazami? Też zaginęły?

Jill zawahała się i wzruszyła ramionami. Wystawiła przynętę w postaci zdjęć i ktoś ją chwycił.

- Z której jest pan galerii? - spytała.

- Pracuję dla kilku. Czy ma pani inne obrazy podobne do tego, który wysłała do wyceny pani babka?

- Obrazy znajdują się w rodzinie od bardzo dawna i nie wiem o nich zbyt wiele. Modesty była jednak przekonana, że wszystkie są dość wartościowe.

- Biedaczka musiała oglądać za dużo Skarbów ze strychu - odpowiedział Blanchard. W jego ochryłym głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. - Często się z tym spotykamy. Ludzie naoglądają się telewizji i zaczyna im się zdawać, że stara rodzinna błyskotka jest bezcenna.

- Jeżeli obrazy są bezwartościowe, dlaczego się pan nimi interesuje? Mężczyzna wysmarkał nos.

- Przepraszam. Staram się oszczędzić pani kłopotów. Pani obrazy być może mają wartość historyczną... może nawet udało by się pani dostać za nie może kilka tysięcy dolarów... ale nie namalował ich żaden słynny artysta. Jeżeli posiada pani jeszcze inne płótna, powinna pani obchodzić się z nimi ostrożnie. Podawanie falsyfikatów za oryginalne dzieła to przestępstwo.

Jill poczuła dreszcz, a później euforię, podobną do tej, jaką odczuwała, kiedy dostawała się w nurt wielkiego bystrza. Była świetna w tym, co robiła, choć zawsze istniał element ryzyka.

Dlatego to lubiła.

Blanchard, kimkolwiek był, wiedział o tych obrazach więcej niż ona.

A Modesty nie żyła.

- Zabawne - stwierdziła. - Po raz drugi dzisiaj ktoś mnie ostrzega na temat tych płócien.

- Może wiemy więcej niż pani.

- Całkiem możliwe - rzuciła drwiąco. - W końcu dlatego zwróciłam się do ekspertów.

- Chyba nie podobają się pani odpowiedzi.

- Nie podoba mi się, że obraz, który powierzyła wam moja babka, zaginął - odparła.

- Słyszałem o tym, ale nie byłem pewien, czy to prawda.

- Jak pan zauważył, stanowicie państwo stosunkowo niewielką grupę - powiedziała Jill. - Na tyle, że o obrazach usłyszały także osoby, do których nie wysłałam zdjęć.

Znów zakaszła.

- Przepraszam. Przeziębilem się. Jestem zainteresowany pani obrazami i chciałbym je obejrzeć osobiście, nie w wersji elektronicznej. Powiedziała pani, że ile ich jest?

- Nic nie powiedziałam.

- Jest pani o wiele sprytniejsza niż jej cioteczna babka. Mam propozycję. Umówmy się w miejscu publicznym - podsunął Blanchard. - Pani wybiera.

- Gdzie na przykład?

- Gdzie tylko będzie pani chciała, o dowolnej porze, pod warunkiem, że zabierze pani ze sobą obrazy. Co pani na to?

Jill się zawahała. Potrzebowała chwili do namysłu, podobnie jak przed wpływieniem na Lava Falls.

Wybrałam już kierunek. Teraz mogę się tylko wycofać albo płynąć z nurtem.

Spotkanie w Rimrock Cafe nie wchodziło w grę. Wołała miejsce, w którym nikt jej nie zna.

- Panno Breck?

Wzięła głęboki oddech i postanowiła płynąć w bystrze.

- Proszę przyjechać jutro o szóstej po południu pod Mesquite w Nevadzie, do kasyna hotelu Eureka. Będę przy automatach na monety, w dzinsach, japonkach i czarnej koszulce z napisem „Rozmnażaj się aż padniesz”.

Blanchard zachichotał i zakaszłał.

- Jestem teraz we wschodnim Teksasie. Niech pani wynajmie pokój na wypadek, gdybym miał złe połączenie. O tej porze roku pogoda lubi płatać figle. I niech pani przywiezie ze sobą obrazy. Nie mogę stwierdzić, ile są warte, dopóki nie zobaczę ich na własne oczy.

Rozłączył się, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Wyłączyła telefon i wpatrywała się w aparat. Po raz pierwszy wypłynęła na groźne bystrze, nie przyglądając się dobrze wodzie. Do adrenaliny była przyzwyczajona. Strach był czymś nowym.

Znowu pomyślała o Joem Faroe i St. Kilda Consulting.

Nie. Nie jestem małą dziewczynką, która potrzebuje, żeby duży silny mężczyzna prowadził ją za rączkę. Kasyno jest

tłumnie uczęszczanym miejscem. Jest tam góra pieniędzy i
pewnie mnóstwo ochroniarzy oraz kamer.

Będę bezpieczniejsza niż na rzece.

Rozdział 10

Hotel Eureka, Nevada 13 września, godzina 15.00

Jill zatrzymała samochód na olbrzymim parkingu przed hotelem Eureka. Spojrzała na saszetkę leżącą na siedzeniu pasażera, zważyła w dłoni telefon satelitarny i postanowiła zostawić drogi sprzęt w aucie. Na wszelki wypadek kupiła komórkę na kartę, która w tym miejscu sprawdzała się równie dobrze. Wcisnęła telefon satelitarny pod siedzenie pasażera i przeszła przez parking w kierunku recepcji.

Pustynny wiatr pokrył cienką warstwą pyłu ciężarówki i przyczepy kempingowe pozostawione na tyłach parkingu oraz samochody turystów, którzy zjechali z autostrady spragnieni mocnych wrażeń przy partyjce ruletki.

Nie rozumiała potrzeby takich doznań. W niej adrenalinę wyzwalala rzeka.

Tuż za hotelem i parkingiem pustynia czekała niewzruszona, aż wiatr, słońce i czas zmiążdżą w końcu cywilizację i jej niezaspokojoną chciwość.

Jill wolałaby pójść na pustynię. Ale nie mogła. Zamiast tego zamknęła samochód i ruszyła w stronę hotelu. Gdy tylko otworzyła drzwi, uderzyło ją przesiąknięte papierosowym dymem powietrze, choć wielki neon na zewnątrz informował o zakazie palenia.

Reklamował też natychmiastowe pieniądze i najlepsze automaty do gry w Nevadzie.

Niezbity dowód na to, że nie należy wierzyć we wszystko, co piszą.

- Raczej nie czuć, żeby obowiązywał tu zakaz palenia - powiedziała Jill do recepcjonistki.

Kobieta miała na sobie wyzywający makijaż dziewczyny z rewii, którą pewnie była dwadzieścia lat i kilogramów temu.

- Zakaz palenia dotyczy pokoi - odpowiedziała. - Za palenie w pokoju pobieramy grzywnę w wysokości pięciuset

dolarów. Jeżeli chce pani palić, musi pani zejść do kasyna. Tam wolno.

- Ale klimatyzację w hotelu i w kasynie obsługuje jeden agregat, prawda?

- Tak. Proszę tu podpisać i postawić parafkę przy ostrzeżeniu o zakazie palenia, groźbie grzywny w razie złamania przepisu oraz długości pobytu - wyrecytowała mechanicznie kobieta. - Pani pokój znajduje się za kasynem. Do wind, czwarte piętro, tam proszę skręcić w prawo i kierować się numerami pokoi.

Jill zerknęła na formularz, postawiła parafki, podpisała się i podała kartkę recepcjonistce.

- Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

Kobieta spojrzała na nazwisko na formularzu i sprawdziła w komputerze.

- Nie. Czy oczekuje pani kogoś?

- Może dzwonić pan Blanchard. W razie czego proszę go przełączyć do mojego pokoju.

- Oczywiście. Potrzebuje pani pomocy do wniesienia bagażu?

- Nie, dziękuję. W której części kasyna znajdują się automaty na bilon?

- W tej, gdzie nie podają bezpłatnych napojów. Północne skrzydło. Większe szanse ma pani w automatach dolarowych, a napoje są gratis.

- Dzięki. Zapamiętam.

Jill wzięła plecak i ruszyła przez kasyno, w którym na każdym kroku światłami wabiły automaty do gry. W oddali dostrzegła neon, który reklamował milionowe wygrane. W powietrzu wyczuwało się nerwowe podniecenie i głód wygranej. Były tak samo silne, jak stęchła woń papierosów, unosząca się z płaskich metalowych popielniczek w pobliżu „najlepszych automatów w Nevadzie”.

Jill skrzywiła się i szybko przeszła przez kasyno. Wprawdzie surowe mormońskie zasady i patriarchalne uprzedzenia ją drażniły, ale w budynkach użyteczności publicznej w Utah przynajmniej dało się oddychać.

Kiedy weszła do swojego pokoju, odurzył ją zapach odświeżacza powietrza. Poczowała się jak przy półce z perfumami w taniej drogerii. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zasunęła zasuwę. Nie przepadała za hotelami, ale tu była przynajmniej anonimowa. Nie to co w Rimrock Cafe.

Zamówiła przez telefon dużą sałatkę i hamburgera, i rozpoczęła oczekiwanie.

Rozdział 11

Hotel Eureka 13 września, godzina 19.00

Kiedy zrobiło się już całkiem ciemno Score mógł wreszcie opuścić punkt obserwacyjny na tylnym siedzeniu swojego minivana. Na gruchocie panny Breck kurz zbierał się od czterech godzin.

Na Scorze kurz osiadał od świtu. Był przyzwyczajony do wielogodzinnych obserwacji, ale bynajmniej za nimi nie przepadał. Jedzenie kanapek z marketu i sikanie do butelek po gatorade to niezły sprawdzian nerwów.

Czekało mu się gorzej niż zwykle, bo wiedział, że w rozklekotanym dziupie sto pięćdziesiąt metrów od niego zamknięte są obrazy. Breck nie zabrała ze sobą niczego pokazniej szych rozmiarów. Nie wysłała też nikogo po bagaż.

Ziewnął, spojrzął na zegarek, po czym zerknął na ochroniarza, który pilnował hotelowego parkingu przez osiem godzin, pięć dni w tygodniu, jeżdżąc po nim wózkiem golfowym. Widocznie stwierdził, że nie będzie zdzierał opon, bo zaparkował wózek za jedną z długich ciężarówek i osłonięty przed wiatrem, popijał kawę.

Kiedy Score otworzył drzwi minivana, podmuch wiatru prawie wyrwał mu klamkę z rąk.

- Sukinsyn - wymamrotał.

Wiatr był zimny i porywisty. Nic dziwnego, że ochroniarz nie miał ochoty jeździć w otwartym wózku golfowym. Daszek wprawdzie osłaniał przed słońcem, ale nie chronił przed wiatrem.

Gdyby ktoś kazał mi marznąć na tym wietrze za minimalną płacę, kazałbym mu iść do diabła.

W przytłumionych pomarańczowych światłach parkingu niewiele było widać, ale Score na wszelki wypadek włożył na głowę czapkę i naciągnął ją sobie na brwi. Dzięki temu ukrył kolor włosów i było mu ciepło w uszy. Pod skórzaną kurtkę

włożył maczetę, uważając, żeby końcem ostrza nie pokaleczyć sobie klejnotów. W specjalnej wewnętrznej kieszeni miał ukryty łom, który aż się prosił, żeby zrobić z niego użytek.

Podszedł do dżipa Jillian Breck. Sądząc po tym, jak go zamknęła, auto nie miało centralnego zamka.

Bułka z masłem.

Score wyjął łom, wsunął go między szybę a ramę drzwi od strony kierowcy, znalazł zamek i go wyważył.

Nie ma alarmu.

Nikt na niego nie patrzy.

W niecałą minutę zorientował się, że w dżipie nie ma żadnych obrazów.

Cholera, to było o wiele za proste.

Pod siedzeniem pasażera leżał telefon satelitarny, równie stary jak samochód. Podobnie jak auto, nadal działał.

Score schował telefon pod kurtkę i wrócił do minivana. Otworzył przesuwne drzwi, wskoczył do środka i zamknął je za sobą. Na obu ścianach furgonetki znajdowały się rzędy wykonanych na zamówienie półek, na których stała niezliczona ilość metalowych skrzynek różnych rozmiarów - od małych, jak dłoń, po bardzo duże, mogące pomieścić broń automatyczną. Score wybrał skrzynkę, włączył latarkę i przejrzał zawartość. W wyściełanych gąbką przegródkach znajdowały się różnej wielkości pluskwy i urządzenia namierzające. Otworzył telefon satelitarny Jill, spojrzął na baterię i pokręcił głową.

Wyjął drugą metalową skrzynkę. W tej pluskwy i nadajniki umieszczone były w bateriach.

Drogie gówna.

Ale za wszystko płaci klient.

Któryś z drogich podsłuchów musi pasować do aparatu Jill. Score wyjął z telefonu satelitarnego starą baterię, włożył nową, ulepszoną, i otworzył laptopa. Odpalił go, sprawdził

odczyt i stwierdził, że lokalizator działa. Potem powiedział kilka słów do telefonu, aby upewnić się, że pluskwa również jest sprawna. Nie miał specjalnej nadziei, że uda mu się coś podsłuchać, bo Breck musiałaby przez cały czas trzymać telefon najdalej metr od siebie, ale jedyna bateria z lokalizatorem, jaka pasowała do starego telefonu satelitarnego Jill Breck, zawierała również pluskwę z czujnikiem głosu.

Jeżeli Breck zna się na technice, mój klient straci trochę kasy. Do cholery z tym. Klienci mają kupę forsy.

Kiedy dziewczyna pojedzie do obrazów, namierzy ją przez GPS.

Będzie to o wiele bardziej efektywne i mniej niebezpieczne niż wyduszanie z niej prawdy torturami.

Odłożył skrzynki na miejsce, wsunął telefon do kieszeni kurtki i poszedł z powrotem do dżipa. Chcąc się upewnić, że panna Breck niczego nie ukryła, zapalił górne światło i pociął maczetą siedzenia.

Nic.

Nic nie znalazł również pod kołem zapasowym, które poszarpał na kawałki.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rozciąć także pojemnika z olejem stojącego na podłodze po stronie pasażera, ale nie chciał, by mokre ślady wskazały drogę do jego samochodu.

Gdzie są obrazy?

Nie zabrała ich ze sobą do hotelu. Nie zmieściłyby się do małego plecaka, który miała ze sobą, nawet gdyby je zwinęła. A pod ciasno opinającą ciało kurteczką nie było miejsca. Nie miała może figury modelki, ale nieźle się poruszała.

Score spojrział na ochroniarza - nadal popijał kawę. Szybkiem, ale swobodnym krokiem, aby nie zwracać uwagi, poszedł do minivana po kilka dodatkowych rzeczy i wrócił do dżipa.

Nie ma to jak przygotowywanie odpowiedniej scenografii. Jezu! Powinienem być producentem filmowym.

Co chwila zerkał nerwowo na parking. Jeżeli dziewczyna postanowi wyjść z hotelu, zanim on skończy, będzie musiał ją sprzątnąć.

Dwa trupy o nazwisku Breck w ciągu miesiąca to o jednego za dużo, nawet jak dla niego.

Rozdział 12

Hotel Eureka, Nevada 13 września, godzina 23.00

Jill miała ochotę sięgnąć po hotelowy telefon i po raz kolejny zadzwonić do recepcji, ale się powstrzymała. Recepcjonistka była równie zmęczona powtarzaniem jej, że nie ma dla niej żadnej wiadomości, jak ona sama słuchaniem tego. Obejrzała film w telewizji, straciła kilka dolców w kasynie przy automatach na bilon, zjadła kolejnego hamburgera, a w końcu, po trzech godzinach wysiadywania na celowo niewygodnych krzeselkach przed automatami do gry, wróciła do pokoju.

Mogłam zabrać brudne ciuchy. W hotelu na pewno jest pralnia. Przynajmniej wtedy ta wyprawa nie byłaby kompletną stratą czasu, pieniędzy i benzyny.

Jill patrzyła, jak wskazówki zegara przy łóżku odmierzają kolejne minuty. Ile trwa lot z Teksasu do Nevady? A może Blanchard wybrał się autostopem?

Niespokojnie dreptała po pokoju. Była przyzwyczajona do fizycznego wysiłku na rzece i w małym dusznym pomieszczeniu nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Pieprzę to. Idę się przejść.

Chwyciła kurtkę oraz saszetkę i skierowała się do windy. Zignorowała męczące dzwonienie automatów do gry w kasynie i szybkim krokiem wyszła na zewnątrz.

Powiew wiatru sprawił, że poczuła się tak, jakby zanurzyła się w chłodnej, rwącej wodzie. Nie przeszkadzał jej nawet unoszący się w powietrzu pył. Przespacerowała się kilka razy w tę i z powrotem przed hotelem. Drażniło ją, że nie robi niczego pożytecznego.

Sprawdź olej w samochodzie. To pożyteczne. Nie będziesz musiała robić tego jutro rano, kiedy będziesz wyjeżdżać.

Jej samochód brał mnóstwo oleju. Pożerał nawet litr na dobę.

I przy okazji sprawdź opony.

Nawoskuj auto.

Nie szwendaj się bez sensu.

Minęła spóźnionego gościa spieszącego do recepcji, przeszła przez jezdnię na parking i skierowała się do swojej podstarzałej terenówki.

Parking był wypełniony w połowie. Kompresory w ciężarówkach - chłodniach pomrukiwały miarowo, odmierzając czas do powrotu kierowców, którzy objadali się i podrywali kelnerki w hotelowej knajpie. W niektórych przyczepach kempingowych paliły się lampki nocne, aby wskazać drogę półprzytomnym hazardzistom, kiedy już zmęczą się przegrywaniem.

Wózek golfowy strażnika stał beczynnie przed wjazdem na parking. Na wietrze unosiły się odgłosy cichej rozmowy - ochroniarz informował nowego gościa, gdzie jest całonocny parking dla przyczep. Halogenowe światła placu rzucały na wszystko pomarańczowawy blask, dramatycznie zniekształcając rzeczywistość. Gdyby Jill nie pamiętała dokładnie, gdzie zaparkowała, w życiu nie rozpoznałaby swojego samochodu. Przeszła między rzędem gigantycznych ciężarówek i terenówek wielkości wagonów kolejowych. W końcu dostrzegła swoje niepozorne auto. Wydawało się jakieś mniejsze.

Zauważyła, że w lewym przednim kole jest flak.

W lewym tylnym również.

Zastygła w bezruchu, nasłuchując jakiegoś odgłosu, wypatrując ruchu, ale słyszała tylko szum wiatru i dalekie głosy kasyna. Poruszając się w odległości kilku rzędów aut od dżipa ostrożnie obesła go dookoła.

Flak we wszystkich czterech kołach.

Uchylone przednie drzwi.

Zamknęłam je. Na pewno.

Kiedy upewniła się, że jest sama, odwróciła się i wygrzebała z saszetki małą, kieszonkową latarkę. Skierowała wąski snop światła do wnętrza samochodu.

Żadnego ruchu.

W środku nie było nikogo - ani śpiącego pijaka, ani czyhającego na ofiarę zbira.

Siedzenia były pocięte. Lampka w suficie rozbita. Pod wycieraczką na przedniej szybie zatknięta była kartka. Z otwartej skrytki przy siedzeniu pasażera wystawało coś, co wyglądało na podartą szmatę.

Jill oświetliła latarką sąsiednie samochody. Puste. Zamknięte. Opony nietknięte. Żadnych reklam zatkniętych za wycieraczki. Tylko jej auto było uszkodzone.

Poczuła przyptyw adrenaliny.

Czuje się cholernie wyróżniona.

I wkurzona.

Znów rozejrzała się dookoła, nasłuchując, ale usłyszała jedynie hulający wiatr i szumiące kompresory samochodów dostawczych.

Wyszarpnęła kartkę spod wycieraczki. Drukowanymi literami ktoś napisał:

„Odpuść sobie albo zginiesz”.

Podniecenie zastąpiły mdłości.

Jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Nadał pusto. Nadal cisza. Ochroniarz patrolował inną część parkingu. Chciała go zawołać, ale kiedy wyobraziła sobie tłum miejscowych gliniarzy, zarzucający ją tysiącem pytań, na które nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać, zrezygnowała.

Klnąc pod nosem, podeszła do samochodu od strony pasażera, otworzyła drzwiczki i sięgnęła pod siedzenie. Ku jej zaskoczeniu telefon satelitarny leżał na swoim miejscu.

Wyjęła go i schowała do saszetki. Później chwyciła szmatę, wetkniętą do schowka.

Rozpoznała materiał, gdy tylko go dotknęła.

Płótno.

Werniks.

Strach zamienił się we wściekłość.

Pieprzony gnojek. Sama groźba mu nie wystarczyła. Musiał pociąć na strzępy obraz.

Równie dobrze mogła to być ona.

Rozdział 13

Manhattan 14 września, godzina 2.21

Dwayne Taylor miał jak zwykle nocny dyżur. Lubił to. O tej porze zgłoszenia były bardziej interesujące, poza tym z gabinetu ambasadora Steele'a rozpościerał się fantastyczny widok na panoramę miasta. Dwie z sześciu ścian biura wychodziły na Manhattan. Wrażenie, jakie robiły podświetlone drapacze chmur, potęgował odbłask z kuloodpornych szyb. Na trzech ścianach umieszczono ekrany z satelitarnym podglądem miejsc, w których agenci St. Kildy przeprowadzali najbardziej niebezpieczne operacje. Na ostatniej ścianie, oprócz drzwi, znajdowało się całe mnóstwo przeróżnych encyklopedii, atlasów i słowników.

Ambasador Steele siedział na swoim wózku inwalidzkim i ze słuchawkami na uszach rozmawiał z kimś w Paragwaju. Misja wykonana.

Prezes dużej międzynarodowej korporacji wrócił cały i zdrowy do szalejącej z niepokoju rodziny.

Rozległ się dzwonek gorącej linii.

Steele zakrył dłonią mikrofon.

- Możesz odebrać?

Dwayne natychmiast włączył słuchawki.

- St. Kilda Consulting. W czym mogę pomóc?

- Mówi Jillian Breck. Joe Faroe powiedział, żebym zadzwoniła pod ten numer, jeśli będę miała kłopoty.

Dwayne wyczuł w głosie kobiety napięcie. Wprowadził do komputera jej imię i nazwisko, domyślając się pisowni.

- Czy w tej chwili grozi pani jakieś niebezpieczeństwo?

- Tylko takie, że w automatach do gry przehulam kolejne pieniądze. Dwayne się uśmiechnął.

- Więc nie jest tak źle.

- Mam samochód w kawałkach. Za wycieraczką znalazłam groźbę, że jeśli się nie usunę, to zginę.

Uśmiech Dwayne'a znikł. Na ekranie komputera zaczęły się pojawiać informacje na temat Jillian Breck. Sprawa najwyższej wagi. Joe Faroe.

- Gdzie pani jest w tej chwili? - Dwayne nie dał poznać po głosie, jak bardzo się zaniepokoił. Jeśli Faroe twierdził, że coś jest ważne, to faktycznie było ważne.

- W hotelu Eureka, niedaleko Mesquite w Nevadzie. W kasynie. Pomyślałam, że tu będzie najbezpieczniej. Roi się tu od ochroniarzy.

- Świetny wybór. Ma pani pokój?

- Tak.

- Proszę podać numer. Jill się zawahała.

Dwayne czekał, aż do Jillian Breck dotrze oczywiste - nie dzwoniłaby, gdyby nie myślała, że może zaufać St. Kilda Consulting.

- Czteryście trzydzieści pięć - odparła.

- Niech pani poprosi jednego z ochroniarzy, żeby odprowadził panią do pokoju. Zanim wyjdzie, proszę zaciągnąć zasłony, a później zamknąć drzwi na zasuwę i łańcuch. Joe Faroe oddzwoni do pani w ciągu piętnastu minut.

- Niech pan poczeka. Nic mi nie jest. Tylko wariuję ze strachu. Nie ma potrzeby go budzić. Ja tylko...

- Niech ktoś odprowadzi panią do pokoju - uciał stanowczo Dwayne, wpisując zlecenie do komputera. Na czekoladowej skórze serdecznego palca połyskiwał sygnet z rubinem. - Piętnaście minut, pani Breck. Jeżeli nie odbierze pani telefonu w pokoju, Faroe... - dostanie kota, pomyślał. - ... będzie bardzo zaniepokojony.

Cisza.

- Pani Breck? Wszystko w porządku?

Wydała zduszony odgłos, który można by wziąć za śmiech.

- Tak. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś mi wydaje polecenia.

Dwayne stłumił chichot. Po tym, co wyczytał o niej z danych na komputerze, powinien się tego spodziewać.

- Przepraszam. Spróbuję powiedzieć to inaczej. Proszę pójść do swojego...

- Właśnie idę do windy - stwierdziła.

- Z ochroniarzem?

- Z boyem hotelowym.

Do wykonywania poleceń również jest nieprzyzwyczajona, pomyślał Dwayne. Agent, któremu dostanie się to zlecenie, będzie miał niezłą przeprawę.

Na ekranie pojawiło się nazwisko. Najbliżej Mesquite w Nevadzie znajdował się Zach Balfour. Na urlopie.

Już nie, pomyślał Dwayne.

Wybrał numer Zacha na czwartej linii.

- Rozłączę się dopiero, kiedy dotrze pani bezpiecznie do swojego pokoju - powiedział Dwayne do Jill.

- To naprawdę niepotrzebne. Już i tak głupio się czuję.

- Woleę, żeby czuła się pani głupio, niż gdyby miało się pani coś stać.

- Ten boy to kawał chłopca - odparła Jill. - A ja zaraz stracę zasięg w windzie.

- Proszę wejść po schodach.

- Mówi pan jak Joe Faroe.

- Ale o wiele lepiej wyglądam - zapewnił ją Dwayne.

Roześmiała się.

Steele skończył rozmowę z agentem i spojrzał na swojego asystenta i prawą rękę. Lewą był Joe Faroe. Grace Faroe była jego odpowiedniczką w terenie.

Dwayne wskazał głową w stronę biurka Steele'a, nie przestając stukać w klawiaturę. Przekazywał informacje do specjalnego pliku Faroe'a, jednocześnie kopiując je do

komputera Steele'a. W tym czasie Jill i coraz bardziej zdyszany boy hotelowy wspinali się po schodach do jej pokoju na czwartym piętrze.

Na linii czwartej Dwayne połączył się z pocztą głosową Zacha. Przerwał pisanie, żeby wcisnąć przycisk ponownego wybierania numeru.

Oddech Jill nie zmienił się podczas wspinaczki. Dwayne usłyszał odgłos otwieranych drzwi, trzaśnięcie, a później dźwięk zasuwanego rygla i pobrzękiwanie łańcucha.

- Zrobione - powiedziała do słuchawki Jill.

- Proszę tam zostać, dopóki do pani drzwi nie zapuka nasz agent St. Kildy. Niech pani nie otwiera nikomu innemu, nawet obsłudze hotelowej, pokojówkom, ochronie hotelowej...

- Ani Świętemu Mikołajowi i jego zapracowanym elfom - ucięła Jill. - Zrozumiałam. Poczekam na waszego człowieka.

- Oddzwonię i powiem, jakiego agenta ma się pani spodziewać. Dwayne przełączył zestaw słuchawkowy na czwartą linię.

- Co się dzieje? - zagadnął go Steele.

- Dzwoniła przewodniczka, która uratowała Lane'owi życie na rzece. Ktoś grozi, że ją zabije, jeśli się nie odwali.

- Interesujące. Gdzie ona jest?

- W Mesquite, w Nevadzie. Dzwoniła z kasyna hotelu Eureka. Siedzi teraz zaryglowaną w swoim pokoju. Najbliżej jest Zach Balfour.

Jasne oczy Steela przyswajały informacje z monitora. Zach był cenionym pracownikiem St. Kildy. Słyszał z niezawodnego instynktu, dzięki któremu wyszedł już z niejednej opresji.

- Porzucony facet? - spytał Steele, przeglądając plik z informacjami o Jill.

- Nie wiem.

- Zadzwoń do Faroe'a.

- Właśnie wybrałem jego numer. Linia druga. Zach Balfour nie odbiera. Aaa, jesteś, Zach. Tu Dwayne. Kod dwa czeka na ciebie w Mesquite w Nevadzie, hotel Eureka, pokój 435. Jillian Breck, groźba zabójstwa. Skontaktujemy się z tobą, jeśli będziemy wiedzieć coś więcej. Ruszaj.

Dwayne się rozłączył. Nie miał ochoty wysłuchiwać marudzenia Zacha na temat chętnych pańienek i prawdziwych problemów.

Rozdział 14

San Diego, Kalifornia 13 września, godzina 23.28

Grace odebrała telefon Faroe'a, spojrzała, kto dzwoni i włączyła skrambler. Potem przełączyła aparat na tryb głośnomówiący.

- Tu Grace. Joe nie może rozmawiać. Prowadzi.

- Bez przesady, w środku nocy nie ma przecież aż takiego ruchu - zauważył rzeczowo Steele.

- Nie chodzi o ruch. Grace rodzi! - krzyknął Faroe. - Lane, ile minęło od ostatniego skurczu?

- Dwie minuty, dwadzieścia osiem sekund. - Głos Lane'a był spięty, niski. Jak głos Faroe'a. - Jak tam, mamo?

- Moglibyście się obaj zamknąć? - spytała uprzejmie Grace. - Nie słyszę ambasadora. I zwolnij, chyba że chcesz nam zafundować policyjną eskortę.

Ze słuchawki dobiegł ciepły śmiech Steele'a.

- Rozumiem, że wszystko jest pod kontrolą, pani sędzino?

- Tak, ale moi mężczyźni panikują. Lekarz już jedzie do szpitala, zespół jest gotowy, dziecko, jak widać, też. Co się stało?

- Dzwoniła Jillian Breck, pytała o Joe.

- Co? - spytał Lane. - Dlaczego? Coś jej się stało? Czy...

- Uspokój się, Lane - uciął Faroe. Wiedział, że jego syn zadurzył się w Jill, każdy normalny młody mężczyzna byłby pod jej wrażeniem... ale to w tej chwili nie miało znaczenia. - Gdzie ona jest?

- W Mesquite, w Nevadzie. W hotelu Eureka. Pokój 435. Chwilowo jest bezpieczna. Grożono jej śmiercią.

- No, ładnie - skwitował Faroe, jeszcze raz rozglądając się na skrzyżowaniu, po czym przyspieszył, by zdążyć na żółtym świetle. Terenowy mercedes zawył radośnie. - Jak nie urok to sraczka.

Grace miała zamiar coś powiedzieć, ale zamilkła, bo jej brzuch zaczął uciskać kręgosłup, mocno i boleśnie, przybliżając chwilę narodzin dziecka.

- Czas - wycodziła do Lane'a przez zęby.

- O Boże - odezwał się Lane słabym głosem. - Skurcze są za częste! Grace myślała podobnie. Jej dziecku okrutnie się spieszyło. Wiedziała, że u większości kobiet drugi poród trwa znacznie krócej niż pierwszy, ale nie przypuszczała, że będzie to dotyczyć również jej. Minęło szesnaście lat, odkąd urodziła Lane'a.

- Najbliższym wolnym agentem jest Zach Balfour - powiedział Steele. - Nie wiemy dokładnie, jak poważna jest ta groźba, więc najlepiej zaangażować inteligentnego agenta.

Faroe mruknął przytakująco.

- Dobrze. Lubię styl Zacha. Ale kiedy z nim ostatnio rozmawiałem, mówił, że wybiera się na wakacje. Zmienił plany?

- Nie, ja je zmieniłem. Złapaliśmy go czterdzieści kilometrów od Mesquite, rano miał jechać na południe. Teraz jedzie na północ.

- Dla mnie bomba.

- Wątpię, czy Zach myśli tak samo - zauważył drwiąco Steele. - Ale już jedzie do panny Breck.

Faroe prawie się uśmiechnął.

- Wyciągnąłeś go z łóżka?

- Dochodzi do siebie po roli niańki DeeDee Milford.

- Jezus. Zapłać mu podwójnie. Niech tylko szybko znajdzie się u Jill.

- Widziałem, jak jeździ - stwierdził Steele. - Zapewniam cię, że będzie tam lada chwila.

Faroe zwolnił przy następnym czerwonym świetle, rozejrzał się po skrzyżowaniu i przemknął przez nie bez zatrzymywania. Potem wziął ostry zakręt w prawo.

- Podjeżdżamy pod izbę przyjęć. Daj mi numer telefonu hotelu Jill. Zadzwoń, jak będą przyjmować Grace.

- Może ja do niej zadzwonię... - zaczął Lane.

- Mierz skurcze! - zawołali jednocześnie Faroe i Grace. Steele głośno i wyraźnie podał numer Jill.

- Jak długo trwał skurcz? - spytał Faroe, ani na chwilę nie spuszczając oczu z podjazdu do szpitala.

- Jeszcze... się... nie... skończył - powiedziała Grace spiętym głosem.

- Cholera jasna! - mruknął Steele. - Sam porozmawiam z Jillian.

- Nie - zaprotestował Faroe, naciskając klakson terenówki, żeby wezwać obsługę szpitala, i zatrzymując się delikatnie przy szerokich szklanych drzwiach. - Mam wobec niej dług.

- Bądź rozsądny - odparł Steele. - Grace potrzebuje cię teraz bardziej niż...

- Mogę rozmawiać z Jill i jednocześnie kazać Grace przeć - uciął Faroe.

- Spróbuj tylko, a będziesz potrzebował chirurga, żeby ci wyjął telefon z tyłka - odparowała Grace.

Steel niemal roześmiał się na głos. Faroe ryknął śmiechem.

- I to mówi subtelna istotka, którą kocham. Idą lekarze. Zadzwoń do Jill.

Rozłączył się, spojrzał na Lane'a i zbliżających się do nich ludzi.

- Zajmij się mamą i odpowiedz na wszystkie pytania, a ja porozmawiam z Jill.

- Dobra.

Faroe już go nie słyszał. Wybierał numer hotelu Jill.

Rozdział 15

Hotel Eureka 14 września, godzina 00.17

Zach Balfour zapukał głośno do drzwi pokoju 435, po czym odsunął się na tyle, aby było go wyraźnie widać w wizjerze. Przypuszczał, że widok jego czterodniowego zarostu raczej nie podzielała na klientkę uspokajająco, ale miał to gdzieś. Powinien być na wakacjach, a nie u kolejnej laleczki z wybujałą wyobraźnią.

- Kto tam? - spytał kobiecy głos.

Był niski, lekko ochryply, bez cienia egzaltacji. Przynajmniej nie brzmi jak nakręcana wiewiórka, pomyślał. A to już jest coś.

- Zach Balfour, St. Kilda Consulting.

- Proszę wsunąć pod drzwi wizytówkę. Nie była to prośba.

Ciemne brwi Zacha uniosły się, ale wyciągnął firmową wizytówkę i wepchnął ją najdalej jak mógł pod drzwi pokoju. Kilka sekund później zgrzytnęła zasuwka, zabrzączał łańcuch i drzwi się otworzyły.

- Proszę - powiedziała Jill.

Zach energicznie wszedł do pokoju i przez chwilę przyglądał się, jak Jillian Breck zamyka drzwi, zasuwka rygiel i znów zapina łańcuch.

Pokój był zwyczajny. Przy ścianie w głębi stało podwójne łóżko, na którym leżały zmięta pościel i wypchana saszetka. Przed telewizorem stała poprzecierana kanapa, która mogła służyć za drugie poślanie. Nie było tu ani czysto, ani brudno. Było to po prostu miejsce, w którym można zostawić rzeczy na czas zabawy w kasynie.

Jillian Breck wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażał. Ubrana była w dzinsy, bawełniany T-shirt Ray Troll i znoszone sandały. Miała niepomalowane paznokcie i dyskretny makijaż, swobodnie opadające kasztanowe włosy,

ładny biust, niezły tyłek i wysportowane, a zarazem kobiece ciało.

Oczy bladozielone, czyste i spokojne.

Naturalnie zielone, bez soczewek kontaktowych, jak u odpychającej DeeDee.

Wściekłość na St. Kilda Consulting nieco się zmniejszyła. Wyciągnął rękę.

- Miło panią poznać, panno Breck - powiedział.

- Jill.

Podczas krótkiego, zaskakująco silnego uścisku dłoni wyczuł na jej ręce odciski od wiosłowania po nieokiełznanych rzekach.

- Mów mi Zach. Miałaś jeszcze jakiegokolwiek problemy po telefonie do St. Kildy?

Zamrugła.

- Jesteś bezpośredni.

- Nie lubimy tracić czasu.

Przechyliła lekko głowę i zmierzyła wzrokiem stojącego przed nią wysokiego, szczupłego mężczyznę. Przyzwyczajona do pracy z mężczyznami na rzece, od razu dostrzegła siłę drzemiącą w jego wytrenowanym ciele i szerokich barkach oraz przenikliwą inteligencję bijącą z bursztynowych oczu. Lekki ciemny zarost wyostrzał, już i tak wyraziste, rysy twarzy. Czarne, sięgające ramion włosy były zmierzwione, ale zadbane. Jego ubranie wyglądało tak, jakby się w nim przespał po dniu spędzonym na pieszej wędrówce. Może nawet kilkudniowej.

- Spodziewałam się czegoś innego - powiedziała.

- Smokingu, pistoletu i martini, wstrząśniętego, niemieszanego? Jej śmiech był równie naturalny, co kolor oczu.

- Przepraszam, nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji.

- Nie przepraszaaj. Niewielu ludzi jest przyzwyczajonych
do śmiertelnych pogrózek.

Przestała się śmiać. Wokół ust, które przed chwilą były miękkie i różowe, pojawiły się blade, napięte linie.

No ładnie, powiedział do siebie, wzdychając. Tylko niepotrzebnie ją zdenerwowałem.

Jego ostatnia podopieczna, DeeDee, zwykle nie zwracała uwagi na to, co mówił.

Może to dlatego wolał pracować przy komputerze zamiast z ludźmi.

- Wybacz, to nie było zbyt delikatne - powiedział. - Zaczniemy od początku. Cześć, jestem Zach. Joe Faroe chciał przyjechać zamiast mnie, ale jego żona w tej chwili rodzi.

- Naprawdę? - Jill uśmiechnęła się promiennie. - Lane musi być w siódmym niebie. Niewielu chłopców w jego wieku szalałoby z radości, ale on naprawdę się cieszy, że będzie miał w domu maluszka.

Uśmiech Zacha zaskoczył ją, podobnie jak jego znoszone traperki, brudne džinsy i czyste dłonie.

- Mam nadzieję, że urodzi mu się brat. Jill uniosła ciemnobrązową brew.

- Nie lubisz kobiet?

- Mam cztery siostry, najmłodsza jest ode mnie starsza o osiem lat. Mój tata zginął w wypadku samochodowym podczas wyścigu, kiedy miałem dwanaście lat. Nie mogłem się doczekać, żeby się wyrwać do strefy wolnej od estrogenów.

Jill uśmiechnęła się łagodnie.

- Ja wychowałam się wśród kobiet, w strefie zdecydowanie wolnej od testosteronu.

- Zapowiada się interesująco.

- Co?

- Następných kilka dni. Jej uśmiech znikł.

- Można tak powiedzieć.

- Widzę, że muszę zdecydowanie popracować nad swoją ogładą. Może więc lepiej ty mów? Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło zanim zapukałem do twojego pokoju hotelowego.

- O wszystkim?

- O wszystkim, co może mieć związek z tym, że zniszczeniem twojego samochodu. Możesz darować sobie dygresje o nieudanych związkach, psiapsiółach, krwawych porodach i to, o czym piszą w babskich gazetach.

Jill przypatrywała mu się dłuższą chwilę.

- Nieźle. Ty nie żartowałeś. O tej strefie bez estrogenu.

- Już nigdy nie zamierzam wysłuchiwać monologów na temat wyższości podpasek nad tamponami albo skurczów menstruacyjnych.

- W porządku. Ty za to obiecaj, że nie będziesz się ślinił nad wielkimi cyckami, stringami wbijającymi się w tyłek ani jęczał, że nie możesz tego mieć. Zgoda?

Zach uśmiechnął się leniwie, a potem roześmiał. Jill Breck w niczym nie przypominała DeeDee.

- Zgoda. A teraz mi powiedz, dlaczego nie zadzwoniłaś po gliniarzy tylko do St. Kilda Consulting.

- Ufam Joemu Faroe'owi.

- A glinom nie ufasz? Wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy, że pewien szeryf w Arizonie zrobił na mnie nie najlepsze wrażenie. A ja na nim jeszcze gorsze.

- Był po temu konkretny powód?

Jill wzięła głęboki oddech i opowiedziała Zachowi o ciotecznej babce, obrazach, liście z galerii, pożarze, sztywniackim szeryfie i pośredniku handlowym z Teksasu, który przedstawił się jako Blanchard.

Zach może i wyglądał niechlujnie, ale słuchał ze skupieniem i inteligencją, które przypominały jej Joego Faroe'a. Zadawał pytania, a ona odpowiadała mu najlepiej jak

umiała. Ze zdenerwowaniem odkrywała, że nie wie wielu podstawowych rzeczy o swoich krewnych.

- Hej, nie stresuj się - pocieszył ją. - Większość ludzi ledwie pamięta daty urodzin swoich rodziców, o dziadkach czy ciotecznych dziadkach nie wspominając. Ja na szczęście pamiętam daty urodzin moich sióstr, ale nie mam szans, jeśli chodzi o stado siostrzenic i siostrzeńców. Nie przejmuj się, St. Kilda od ręki zapełni luki w twojej rodzinnej historii.

Wyjął telefon komórkowy, przełączył na tryb głośnomówiący i wybrał numer.

- Sekcja informacyjna - odezwał się kobiecy głos.

- Mówi Zach Balfour. Chciałbym sprawdzić pośrednika handlu dziełami sztuki o nazwisku Blanchard, może pochodzić z Teksasu. Byłoby super, gdybyście znaleźli zdjęcie. Wiem, że raczej są małe szanse, żebyście wyciągnęli coś na tego gościa, ale może akurat się uda.

- Cześć, Zach. Tu Shawna Singh. Steele powiedział, że mam ci dziś dać pierwszeństwo. Ale jutro nic nie mogę zagwarantować.

Zach zagwizdał cicho.

- Będę wdzięczny za każdą minutę, jaką mi poświęcisz. Lubię pracować z najlepszymi. Gdybym wiedział, że wróciłaś z macierzyńskiego, od razu poprosiłbym o ciebie.

- Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętał, kiedy będziesz na mnie klął, jeżeli nie dokonam cudu. Wiesz, że znalezienie informacji na podstawie samego nazwiska jest praktycznie niemożliwe.

Zach odchrząknął zmieszany.

Jill stłumiła chichot. Nie miała okazji poznać Shawny, ale od razu ją polubiła.

- Masz coś lepszego niż Blanchard? - spytała kobieta.

- Modesty Breck - odparł Zach. - Urodzona w czerwcu tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego, trzeciego,

czwartego lub piątego roku, zamieszkała na ranchu Brecków koło Blessing w Arizonie. Ned Purcell, szeryf okręgu Canyon w Arizonie. Justine, Breck, urodzona...

Jill targwała ciekawość połączona z niepokojem, kiedy słuchała, jak Zach zleca szukanie informacji na temat jej rodziny. Miała ochotę spytać, czy na pewno konieczne jest grzebanie w życiorysach zmarłych, ale się powstrzymała. Zadzwoiła po pomoc, więc ją otrzymała.

Albo ją przyjmie, albo będzie musiała radzić sobie sama.

Przypomniała sobie pogrózkę pod wycieraczką, rozbity samochód i strzępy płótna, które leżały teraz razem z telefonem satelitarnym w saszetce, i doszła do wniosku, że przyda jej się pomoc.

Brutalność natury to jedno.

Ludzka brutalność to zupełnie co innego.

- Później sprawdź Forda Clarka z galerii Sztuka Historycznego Zachodu w Park City, w Utah - powiedział Zach. Sporo wiedział o sztuce Zachodu, ale od dawna nie był na bieżąco z tematem, więc wolał nie polegać na swoich informacjach. - I Ramseya Worthingtona ze Skarbów Sztuki Zachodu w Snowbird, w Utah. Na razie to wszystko.

Zach odpowiedział jeszcze na kilka pytań Shawny, rozłączył się i zorientował, że padła mu bateria. Westchnął. Wątpił, żeby w małej miejscinie na Zachodzie sprzedawali sprzęt, jakiego potrzebował do swojego ultranowoczesnego telefonu. Podłączy go na całą noc do ładowarki i będzie liczył na cud.

Spojrzał na zegarek.

- Masz do wyboru. Nocujemy tutaj albo jedziemy po obrazy.

- Nikt oprócz mojej ciotecznej babki nie wie o istnieniu chaty, więc obrazy powinny być tam bezpieczne. Poczta przychodzi do skrytki w Blessing.

Rzeczywiście, informatorzy St. Kildy nie wspomnieli nic o baraku, który ocalał z pożaru. Można więc było założyć, że przez noc obrazom nic się stanie.

Poza tym, kazano mu pilnować Jill Breck, a nie kupy malowideł.

- Będę spał tutaj - powiedział, spoglądając na zdezelowaną kanapę stojącą przed telewizorem.

- A mój samochód?

- Ktoś z St. Kildy się nim zajmie. Chevroletem chevelle, którego holowałem do domu, kiedy po mnie zadzwonili, też się zajęli.

Jill otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

- Zajmą się moim autem? - A to źle?

- Nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś się czymś za mnie zajmuje.

Uśmiechnął się łagodnie.

- To się przyzwyczaj. St. Kilda Consulting jest w tym najlepsza.

Rozdział 16

Reno, Nevada 14 września, godzina 8.00

Lee Dunstan odłożył telefon i zaklął. Żałował, że do jajek na śniadanie nie może się napić whisky.

Cholerni lekarze. Człowiekowi trochę szybciej zabije serce i od razu każą mu zrezygnować ze wszystkich przyjemności.

- Co się stało? - spytała Berty.

Dunstan spojrział na ojca zaniepokojony. Lee był upartym starym człowiekiem. Nie miał najmniejszego zamiaru zmieniać trybu życia i pozwolić, by podupadającym rodzinnym interesem poświęcał autentyczności dzieł sztuki zajął się syn. Lee nie miał głowy do interesów. Na ponad ćwierć wieku uczeplił się malarstwa Dunstana, co było zwykłą głupotą.

Na domiar złego, sprzedał jeden z obrazów prywatnemu kolekcjonerowi, nie czekając na inne oferty.

- Przede wszystkim... - zaczął Kevin - ... nie denerwuj się. Bo dostaniesz zawału.

- Nie dostanę żadnego cholernego zawału - powiedział Lee, ignorując pytanie żony. - Na spadek jeszcze będziesz musiał poczekać.

Ken wznosił oczy do góry i pokręcił głową.

- Z niecierpliwością odliczam dni. - I chciałbym, żeby do tego czasu coś ocalało, pomyślał.

- I bardzo dobrze - odparł Lee. - Bo do aukcji zostało ich już tylko pięć.

Tiffany Dunstan pod stołem położyła mężowi dłoń na udzie, dając mu do zrozumienia, by dał się ojcu uspokoić.

- Och, tato Dunstan - odezwała się. - Przecież wiesz, że tych kilka dolarów nigdy nie zastąpi nam ciebie.

Lee tylko prychnął.

Berty westchnęła, uniosła dzbanek stojący obok talerza męża i nalała mu kolejną filiżankę kawy bezkofeinowej. Będzie miała szczęście, jeśli Lee nie wyleje jej do kominka. Nienawidził kawy bezkofeinowej niemal tak samo, jak warzyw, leków na nadciśnienie i starzenia się.

- Ta cholerna suka! - zawył Lee.

Nikt nie spytał, o kogo chodzi. W domu Dunstana taki epitet mógł dotyczyć tylko jednej osoby, która do granic podnosiła ciśnienie Lee. Justine Breck.

- Od wieków nie żyje - zauważyła Berty, podając Lee kawę. - Ty żyjesz. To chyba wystarczająca zemsta?

- Nie żyje, ale dręczy. Potwornie. - Miał minę, jakby przeżuwał mlecz. - Cholerna zdzira.

Napił się z filiżanki, którą podała mu żona, i o mało nie splunął. Odstawił filiżankę z głośnym brzękiem i poszedł do kuchni nalać sobie kawy z dzbanka, z którego pili wszyscy pozostali.

- Chyba mi nie powiesz, że to ona dzwoniła - prychnął drwiąco Ken.

Tiffany zbesztła go wzrokiem.

- Lee, przecież wiesz, co lekarz powiedział o kofeinie - wymamrotała Betty.

- Do diabła, to moje życie. - Lee wrócił do stołu i upił łyk kawy. Wolałby, żeby to była whisky.

Wiedział jednak, że nie może pić, kiedy jest wściekły. Nie wynikało z tego nic dobrego, za to dużo złego. Nie chciał skończyć jak jego ojciec.

- Ta suka zniszczyła mojego ojca - wymamrotał.

Berty się wyłączyła. O dawnej kochance teścia nasłuchiwała się już za wszystkie czasy.

- Powinien był zabić tę sukę - oznajmił Lee. Zamiast tego Thomas Dunstan zabił siebie.

Betty stłumiła westchnięcie. Była zmęczona tym, że przeszłość nieustannie splatała się z teraźniejszością. Naprawdę zmęczona.

- Więc kto dzwonił? - spytał Ken. Zastanawiał się, co tak mogło wytrącić ojca z równowagi.

- Właściciel jakiejś galerii, z pytaniem, czy wiem coś na temat kilku nowych Dunstanów. - Wargi Lee się wykrzywiły.

Ken nie spytał, co to ma wspólnego z Justine Breck. Cieszył się, że ojciec zmienił płytę. Przeszłości zmienić się nie da. Przyszłość można. Może ojciec o tym nie wie, ale on - tak.

Tiffany wstała i objęła Lee.

- Tak mi przykro. Dlaczego galerie nie mogą przyjąć do wiadomości, że wszystkie obrazy jakie znajdują się w rękach prywatnych kolekcjonerów, poza dwoma, macie ty i pan Crawford? Dlaczego ciągle zatruwają ci życie?

Lee prychnął i poklepał Tiffany po szczupłej ręce.

- Nie martw się, kochanie. Wiem, jak zadbać o spadek Kena.

Ken się skrzywił. Jeśli jego ojciec znowu coś spieprzy, jak już nieraz mu się zdarzało, nie będzie o co dbać. Tiffany uśmiechnęła się do teścia.

- Jestem pewna, że doskonale o wszystko się zatroszczysz. Betty żałowała, że nie ma podobnej pewności.

- Odetchnę z ulgą kiedy będzie już po aukcji. - Przesuwała widelcem po talerzu zimne kawałki jajecznicy. - Większość ludzi na Zachodzie bieduje z powodu braku ziemi. My biedujemy z powodu sztuki. Od dawna.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wiedzieli, że to prawda.

Lee dopił kawę. Nauczycielska emerytura i nieregularne wpływy z weryfikowania autentyczności obrazów ojca nie starczały na dostatnie życie. Na szczęście Tal Crawford był nadziany. Po skończonej aukcji Lee będzie się tarzał w pieniądzach.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Będzie dobrze - powiedział sobie Lee. Tal Crawford nie doszedłby do tego, co ma, obstawiając kulawe konie.

- Chcesz diamentów, kupię ci diamenty - powiedział szorstko Lee. - Po aukcji.

Berty nadal bawiła się widelcem. Wolała nie wypowiadać na głos prostej prawdy, która pobrzmiwała jej w głowie.

W zamkniętym światku sztuki Zachodu wszystko jest możliwe.

Rozdział 17

Ranczo Brecków 14 września, godzina 12.15

Zach zatrzymał półciężarówkę, wyłączył silnik i spojrzał na Jill. Spała, oparta o twarde drzwi samochodu, z głową na saszetce, którą dla wygody zawinęła w jego skórzaną kurtkę. Zeszłej nocy nie spała pewnie zbyt dobrze. Nic dziwnego, skoro parę metrów dalej na kanapie spał obcy facet.

A może nadal była w szoku z powodu pogrózek?

Zach nie chciał jej budzić. Wyglądała tak spokojnie. Wczoraj była kłębkim nerwów.

Opuścił szybę po swojej stronie. Dookoła był jedynie wiatr, cisza i ciepły blask słońca. Tak jak podejrzewał, nikt nie zadał sobie trudu, by ich śledzić.

Doskonale.

A może nie.

Czas pokaże.

Sięgnął na tylne siedzenie i wyciągnął laptopa. Przed wyjazdem z hotelu nie miał czasu sprawdzić, czy nie przyszła jakaś wiadomość z St. Kildy. Zrobi to teraz. Kiedy Jill się obudzi, oprowadzi go po spalonym ranczu.

Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy.

Tutaj nikt ich nie wypatrzy.

Ranczo Brecków leżało na odludziu. Jedyne dowody ludzkiej obecności były odległe ślady samolotów na pustym, błękitnym niebie i rząd nadpalonych topoli, które dawno temu ktoś z rodziny posadził przy domu dla osłony przed wiatrem.

Poza tym, trawa i wiatr.

Gorzkie zakończenie historii rodu pionierów, pomyślał Zach.

Jill przeciągnęła się, westchnęła, ale się nie obudziła. W słońcu, wpadającym przez zamknięte okno, jej włosy połyskiwały odcieniami miedzi i oberżyny. Jej piersi, ukryte

pod ciemną koszulką, rytmicznie unosiły się i opadały. Wargi były rozluźnione, różowe, pełne.

Kuszące.

Nic dziwnego, że Lane się w niej zadurzył. Intrygująca kobieta. Silna, ale nie babochłop, sprytna, ale nie zarozumiała. Wie, czego chce. Jedna z tych, które idą przez życie ramię w ramię ze swoim mężczyzną, budują domy, rodzą dzieci i oswajają Zachód.

Spojrzał na szerniałe szczątki stajni, zardzewiały stary sprzęt farmerski, ogrodzony drutem kolczastym rodzinny cmentarz przy pastwisku i przecinające łąkę jasne strumyki źródlanej wody.

Jill jest ostatnią z Brecków.

Żyje, ale otacza ją śmierć.

Lepiej, żebym jej dobrze pilnował, bo inaczej Faroe zrobi sobie z mojego tyłka worek treningowy.

Odpalił komputer. Ucieszył się, że bateria działa, a sygnał jest silny. Wpisał kod, za pomocą którego łączył się przez satelitę go z St. Kildą.

Uniósł czarne brwi. Kiedy spał, a potem jechał na ranczo Jill, w St. Kildzie pracowali pełną parą. Zaczął ściągać pliki.

Ściągały się i ściągały.

Shawna spędziła w biurze chyba całą noc.

Teraz musiał przejrzeć wszystkie dokumenty i wyłowić informacje, które pomogą mu chronić Jill. Zajmował się podobnymi sprawami od dawna i był w tym naprawdę dobry. To dlatego szefowie St. Kildy płacili mu regularną pensję plus wysoką stałą stawkę za poszczególne zlecenia. Chcieli mieć pewność, że nie zacznie się rozglądać za innym pracodawcą.

Pierwszy plik, który otworzył, dotyczył Jill. Zaczął szybko przeglądać dokumenty. Miał wprawę w przedzieraniu się przez gąszcz informacji, w poszukiwaniu faktów, mogących ocalić klientowi życie.

Po chwili się zatrzymał. Patrzył na zdjęcia obrazów Jill. Kilka z nich wisiało w różnych salach college'u w Pomonie, przypominając studentom, że talent można oszlifować, ale nie można się go wyuczyć. Albo się go ma, albo nie.

Zach go nie posiadał.

Jill, tak.

Obrazy przedstawiały krajobrazy z jej wspomnień - było przy zbiorniku z wodą, konia w śnieżycy, drut kolczasty ciągnący się w nieskończoność po bezkresnych pastwiskach. Zach niemal czuł chłód śniegu i podmuch wiatru, a także grubość końskiej derki, która miało chronić zwierzę przed zimnem.

Czy Faroe wie, że Jill jest artystką?

Jeśli nawet wie, to nic nie powiedział.

Zach skończył przeglądać pliki i powiększył zdjęcia obrazów Jill. Żałował, że nie może zobaczyć ich z bliska. Ale na wycieczkę do Pomony nie mieli czasu. Lepiej dla Jill, żeby w ogóle nie musieli się tam wybierać.

Wyglądając w milczeniu przez przednią szybę, przyswajał wyczytane informacje. Przetwarzał je w myślach, łączył fakty z poszlakami, odnotowywał znaki zapytania. Wniosek był ciągle ten sam: Jill była niezwykłą kobietą wywodzącą się z rodu niezwykłych kobiet.

Upartych kobiet.

Zawziętych kobiet.

Spojrzał w bok i zorientował się, że Jill przygląda mu się oczami koloru wiosennej trawy. W jej włosach płonął delikatny ogień, który sprawił, że zapragnął ich dotknąć.

- Dzień dobry - powiedział. - Już południe. Spojrzała na zegarek.

- Nie mogę uwierzyć, że przespałam całą drogę.

- Jechałem ostrożnie.

- Zwykle nie śpię w samochodzie.

Zach przypomniał sobie, co przeczytał o niej w dokumentach.

- Skłonność do kontroli.

Wzruszyła ramionami, po czym się przeciągnęła.

- Droga jest tak wyboista, że myślałem, że zaraz powypadają mi zęby.

Jill zrozumiała, że zatrzymał się po to, by jej nie obudzić. Rozbawiło ją to i zarazem oczarowało. Była przyzwyczajona, że musi radzić sobie sama w każdych okolicznościach. Mężczyźni na rzece żartowali sobie z jej obsesyjnej niezależności, ale czuli przed nią respekt. Prowadziła wycieczki, wiosłowała i pracowała o wiele ciężiej niż oni.

Tylko w ten sposób mogła zdobyć ich szacunek.

- Dzięki - mruknęła Jill. - Nie musiałeś tego robić. Nie potrzebuję dużo snu.

- Nie ma sprawy. Przynajmniej miałem czas przejrzeć raport Shawny. Powiedz mi, co kobieta ze stopniem magistra informatyki, historii sztuki i malarstwa robi, pracując jako przewodniczka?

Jill uniosła brwi.

- Uczyłaś się w domu - powiedział Zach. - Kiedy miałaś siedemnaście lat, dostałaś stypendium i wyjechałaś na studia do Pomony. Ukończyłaś je cztery lata później z trzema dyplomami i podjęłaś pracę jako przewodnik rzeczny. Jestem ciekawy, dlaczego nie chciałaś uczyć, sprzedawać dzieł sztuki albo zbijać fortuny jako informatyczka.

- Lubię pracę na świeżym powietrzu. - Jill natychmiast oprzytomniała. Ani Zachowi, ani Faroe'owi nie opowiadała aż tyle o sobie. - Czy Shawna szukała informacji o mnie?

Zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż pytanie, ale Zach odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Oczywiście.

- Prosiłam o pomoc, a nie o wtrącanie się w moją prywatność. Stłumił uśmiech.

- Jedno bez drugiego jest raczej trudne. Ale nie martw się, jak dotąd wszystko pochodzi z jawnych źródeł. Lokalny dziennik śledzi twoje życie niczym paparazzi. Mają o tobie mnóstwo informacji. Egzamin na studia zdałaś z najlepszym wynikiem. Niezłe osiągnięcie, zwłaszcza dla dziewczyny - samouka z prowincji.

- Dlaczego szukałeś informacji o mnie?

- Bo masz kłopoty. Ciężko komuś pomóc, jeżeli się o nim niewiele wie.

Milczała przez dłuższą chwilę. Nie podobało jej się to, co zrobił, ale chyba miał trochę racji.

- Mama załatwiła pomoc od firmy informatycznej - wyjaśniła Jill. - Coś w rodzaju stypendium dla zdolnych dzieci z ubogich rodzin. Mogłam spędzać czterdzieści godzin tygodniowo przy komputerze za darmo.

- Większość dzieciaków spędziłaby ten czas na grach.

- Uwielbiałam się uczyć prawie tak samo, jak pracować na ranchu. Czułam się wolna.

- Wolna, hm? Gdzie mieszkałaś, zanim matka wróciła w rodzinne strony i do panińskiego nazwiska?

- A co to ma wspólnego z obrazami i pogrózką?

- Nic. Wszystko. Nie dowiem się, dopóki mi nie powiesz.

- Słyszałaś o Hildale? - spytała. - Mieszkałam w podobnym miejscu, ale nie należałam do Creekerów.

Spojrzała na Zacha. Wpatrywał się w horyzont w skupieniu, mrużąc oczy.

- Creekerzy - powiedział po chwili, szperając w pamięci. - Nazwa wywodzi się z czasów, kiedy Hildale i Colorado City tworzyły jedno miasto po dwóch stronach potoku (creek (ang.) - potok (przyp. red.)). Ortodoksyjna wspólnota mormońska - dodał po chwili. - Mężczyzna musi mieć wiele żon, żeby

dostać się do nieba. Kobiety noszą czepki, długie rękawy i jeszcze dłuższe spódnice. Dziewczęta otrzymują minimalne wykształcenie. Bardzo wcześnie wychodzą za mąż, zwykle za dużo starszego mężczyznę. A potem rodzą dzieci. Całe mnóstwo. Taki porządek rzeczy nadaje całkiem nowe znaczenie zwrotowi „rodzina mieszana”. Zamiast lekarzy, porody odbierają akuszerki. Brak aktów urodzenia.

- Tak. Łatwiej wtedy pozbyć się „zawad”, nikt o nic nie pyta.

- „Zawad”?

- Kobiet, dzieci czy niemowlaków. Jednego dnia są, a następnego znikają bez śladu. Zabija się je i grzebie w tajemnicy. Nikt nigdy więcej nie wymawia ich imienia ani nie mówi o tym, jak zginęli.

Zach poczuł w ustach gorycz obrzydzenia, ale nic nie powiedział.

- Ile żon - sióstr miał twój ojciec? - spytał w końcu. Skrzywiła się.

- Tego nie dowiedziałeś się z lokalnej gazety. Milczą na temat wielożeństwa, „zawad” i wszystkiego, co mogłoby źle wpłynąć na wizerunek patriarchy... Są też synowie i córki zatracenia, czyli mężczyźni i kobiety, którzy odchodzą z Kościoła. Moja matka była jedną z nich.

- A ty?

- A jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie żadne - odparł. - O ortodoksyjnych mormonach wiem tylko tyle, ile zdołam wyczytać lub gdzieś usłyszeć. Nie mam żadnych mądrych dyplomów. Formalne kształcenie nigdy mnie nie pociągało. - Pracując u Garlanda Frosta i dla federalnych, nauczyłem się więcej niż inni przez całe swoje życie, dodał w myśli. - Czy to dlatego twoja matka odeszła od ojca? Nie chciała siostrzanej żony?

- Co to ma wspólnego z...

- Obrazy są własnością twojej rodziny - powiedział obojętnie Zach. - To znaczy, że informacje o niej są istotne.

Jill zakłęta przez zaciśnięte zęby. Nienawidziła rozmawiać o tak zwanej rodzinie. Niecierpliwym ruchem otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

- Muszę się ruszyć. Dość się już nasiedziałam.

Zach również wysiadł i ruszył za nią. Poruszała się lekko, szybko, krokiem osoby przyzwyczajonej do wielokilometrowych wędrówek z plecakiem. Podobnie chodzili strażacy, żołnierze oddziałów specjalnych i wytrawni wędrowcy.

Ale żaden z pewnością nie wyglądał od tyłu tak apetycznie jak Jill.

Zach odwrócił wzrok. Tylko tego mu brakowało, żeby zaczął pożądać klientki. Zwłaszcza takiej, która ma w kieszeni dyplom z malarstwa i historii sztuki, i nie za bardzo pali się do opowiadania o obrazach, na których komuś zależy tak bardzo, że rozwalil jej samochód i groził śmiercią.

Wiem, że ją lubisz, Faroe, ale nie uwierzę, że nie przeszło ci przez myśl, iż mogła namalować te obrazy sama.

Mnie przeszło.

Biorąc pod uwagę, w jak opłakanym stanie znajdowało się ranczo Brecków, Zach nie zdziwiłby się, gdyby Jill chciała zarobić w ten sposób trochę pieniędzy.

Jill obeszła pogorzelisko i podeszła do nienaruszonego metalowego wiatraka, który rozprowadzał wodę po nieistniejącym już gospodarstwie. Wpatrywała się w zimną ciecz wpadającą do wielkiego zbiornika, rozbryzgującą się i przelewającą do rowów irygacyjnych biegnących wzdłuż pastwisk, na których od dawna nie pasaly się krowy.

Zach czekał i obserwował. Nie trzeba było być detektywem, żeby się domyślić, iż rodzina nie należy do ulubionych tematów Jill.

Wpatrywała się w wodę wlewającą się do zbiornika, lśniące fale tworzące się na jej powierzchni i przezroczyste tafle, którymi spadała do rowów nawadniających.

Zach pomyślał, że będzie musiał znowu zwrócić się do St. Kildy, by zbadali rodzinną historię Jill, kiedy dziewczyna się odezwała:

- Mam trzech rodzonych braci. Starszych. Dużo starszych. Mama kilka razy poroniła, zanim urodził się ostatni syn, a później jeszcze parę razy. Kiedy poszła do miejscowej akuszerki, usłyszała, że powinna się więcej modlić, bo bożą wolą jest, aby rodziła dzieci. Mama o mało nie umarła, starając się wypełnić bożą wolę. Później pojechała do Salt Lake City i znalazła lekarza, który nie stawiał religii ponad potrzeby pacjentów.

Zach przyglądał się twarzy Jill, na której emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Słuchał w skupieniu. Nie lubiła swojej przeszłości, ale była ona jej nieodłączną częścią.

- Nie wiem, co dał jej lekarz, ale podziałało - powiedziała.
- Nie było już więcej poronień. Dzieci też nie. Mniej więcej w tym czasie mój ojciec stał się ortodoksem. Przeniósł się z rodziną do Nowego Edenu, postawił dom, poślubił szesnastolatkę i spłodził kolejne dzieci. Potem wziął trzecią żonę. Miała piętnaście lat. Znowu dzieci. Całe mnóstwo. Mama wciąż z nim była.

Chociaż głos Jill brzmiał pewnie, jej oczy były zmrużone, a wargi zaciśnięte. Nie rozumiała matki. Nie lubiła ojca.

Nienawidziła mormońskiej ortodoksji.

„Byłam wychowana przez kobiety w strefie wolnej od testosteronu”.

Teraz Zach rozumiał dlaczego.

- I wtedy mama zaszła w ciążę ze mną - powiedziała Jill. - Myślę, iż sądziła, że nie ma szans na dzieci... menopauza i tak

dalej. - Przestała stosować antykoncepcję, którą kiedyś przepisał jej lekarz.

- Sam znalazłem się na świecie w podobny sposób - stwierdził Zach spokojnie.

Jill uśmiechnęła się krzywo.

- Więc ty też jesteś dzieckiem z wpadki?

- Zgadza się.

Westchnęła przeciągle, pozwalając ujść napięciu nagromadzonemu podczas opowieści o dzieciństwie, które usilnie starała się wymazać z pamięci.

- Mama uparła się, że donosi ciążę. Urodziła mnie i zacisnęła zęby, kiedy jej mąż wziął sobie czwartą, bardzo młodą żonę - ciągnęła. - To znaczy, myślę, że zacisnęła zęby. Może czuła ulgę, że nie będzie już odwiedzał jej sypialni. - Jill znowu wypuściła powietrze. - Nieważne. Była z nim, dopóki nie usłyszała, że planuje wydać mnie za mąż za jednego z przywódców Kościoła. Miałam osiem lat.

Zach uniósł raptownie brwi. Wymamrotał coś pod nosem.

- Och, małżeństwo miało być skonsumowane dopiero, kiedy zacznę miesiączkować - powiedziała Jill z goryczą. - Widzisz, władze kościelne się o mnie martwiły. Nie byłam dobrze rokującym ortodoksyjnym nasieniem. W końcu postanowili, że zamieszkam z liczną rodziną przywódcy wspólnoty, a kiedy będę w stanie rodzić dzieci, zostanę jego piątą żoną.

Zach poczuł, że wrze w nim krew.

- To nielegalne.

- Nie na mormońskim Zachodzie. Władze kościelne oficjalnie nie popierają wielożeństwa, ale nie robią nic, żeby je wyeliminować. To tutejsza tajemnica poliszynela.

Jill pochyliła się, podniosła kamień i z całej siły cisnęła nim przez pastwisko.

- Nieważne - powiedziała. - Mama jakimś cudem powiadomiła swoją ciotkę.

- Modesty Breck.

- Tak. Kilka dni później Modesty przyjechała i zabrała nas na ranczo. Zrzuciłam mormońskie ubranie: czepek i długą spódnicę, a włosy ścięłam kuchennym nożem. Nauczyłam się jeździć konno, rzucać lassem, znakować bydło, wiązać snopy siana i naprawiać ogrodzenie.

- Twój ojciec tak po prostu pozwolił matce odejść? - spytał Zach.

- O, nie. Przyjechał po nas. Raz.

- I co?

Uśmiech Jill był szeroki i smutny jednocześnie.

- Modesty postraszyła go dubeltówką. Powiedziała, że jeżeli jeszcze kiedyś postawi nogę na ziemi Brecków, zabije go i zakopie w ogródku przy kuchni, bo tacy jak on nadają się tylko na nawóz.

Zach się roześmiał.

- Chyba polubiłbym twoją cioteczną babkę.

- Ale ona nie polubiłaby ciebie. Miała awersję do mężczyzn. Mama wróciła do panieńskiego nazwiska. Moje też zmieniła. Od tamtej pory żadna z kobiet z rodziny Brecków nie postawiła stopy w kościele.

- To wyzwanie, kiedy mieszkasz w mormońskim okręgu.

- Dlatego uczyłam się w domu.

- Nic dziwnego, że nie ufasz szeryfowi - stwierdził Zach.

- Nie ufasz żadnym instytucjom publicznym.

- Nie, jeśli mają coś wspólnego z Kościołem Świętych Dnia Ostatniego. Ned Purcell zasiada we władzach Kościoła. Większość urzędników publicznie demonstruje swoją wiarę. Każdy z nich ma po kilka żon, chociaż nikt nie mówi o tym głośno.

- Lista szkolnych nazwisk musi być krótka - zauważył kpiąco Zach.

- Och, nie są głupi. Wszystkie żony, oprócz pierwszej, przyjmują pierwsze lepsze nazwisko. Na tatę mówi się „wujek”; wyjątkiem są dzieci pierwszej żony. - Jill cisnęła w stronę pastwiska kolejny kamień. - Jeśli chodzi o traktowanie kobiet, ten region tkwi nadal w połowie XIX wieku.

- Pewnie cię ucieszy, że St. Kilda Consulting ma w tej kwestii nowoczesne poglądy - powiedział Zach.

- Wiem, że Joe Faroe na pewno. Docenił moje umiejętności na rzece. Chyba nawet zrobiłam na nim wrażenie. Nie czuł się ani trochę niezręcznie w zetknięciu z kobietą o większych możliwościach fizycznych niż on. Rzadko zdarzają się tacy faceci.

- Polubiłabyś jego żonę.

- Polubiłam jego syna. Za kilka lat wyrośnie na świetnego faceta. I dobrego człowieka.

- Koło się zamyka.

- Słucham? - spytała.

- Wszystko się ze sobą łączy: twoje dzieciństwo, rzeka, na której uratowałaś Lane'owi życie, i chwila, kiedy zapukałem do drzwi twojego pokoju hotelowego, bo ktoś groził, że cię zabije. Ciekawe...

Uniosła brew. Spojrzał na nią.

- Ani razu nie wspomniałaś o obrazach.

Rozdział 18

Hollywood 14 września, godzina 13.00

Załatwione - powiedział Score do telefonu. - Mam dowody, których nie można przedstawić w sądzie, ale dostaniesz kupę kasy, kiedy pokażesz mu potwierdzenie od linii lotniczych i zdjęcia z dziecięcego burdelu w Tajlandii. Nie tylko zapłaci alimenty, ale będzie cię jeszcze całował po rękach z wdzięczności, że nie sprzedałaś wszystkiego tabloidom. - Przerwał. - Nie, tabloidy nie zapłacą ci za zdjęcia więcej niż on. Wierz mi.

Znów zadzwonił telefon. Odebrał go ktoś w głównym biurze. Kilka sekund później na interkomie Score'a zaczęła migać lampka, sygnalizując, że ktoś chce się z nim widzieć. Zakończył rozmowę, zapewniając klientkę, że zdjęcia zostaną przekazane przez posłańca jej prawnikowi. Potem rozłączył się i wcisnął guzik interkomu.

- Niech wejdzie - powiedział.

W drzwiach stanęła jedna z jego informatyczek. Aktualnie włosy miała pofarbowane na czarno z zielonymi końcówkami. Kolczyki z nosa i wargi wyjęła, ale na języku zostawiła.

Na myśl o piercingu Score'owi robiło się niedobrze, postanowił więc o tym nie myśleć. Była jedną z jego najlepszych specjalistek. Jeśli chodziło o niego, mogła przychodzić do pracy nago, cała poprzekłuwana kolczykami.

Ale potrafiła go też wyprowadzić z równowagi. Demonstrowała kompletny brak szacunku.

- Siadaj - rzekł Score. - Co masz?

- Niewiele - odpowiedziała Amy. - Przepuściłam to przez wszystkie programy, jakie mamy. I ciągle brzmi to, jakby ktoś wpakował pluskwę do walizki wypchanej ciuchami.

- Lepsze to niż nic.

Amy wzruszyła ramionami i podała mu kilka stron skryptu.

Wydruk na pierwszej kartce powiedział mu to, co już wiedział. Lokalizator działał bez zarzutu. Jill Breck znajdowała się około trzydziestu kilometrów od rancza staruszki. Wracała do domu.

- Hm. Wynajęła samochód? - spytał.

- Jeśli tak, to pluskwa nie wychwyciła transakcji. Ale schemat przemieszczania idealnie pasuje do jadącego samochodu.

- Właśnie na tym polega kłopot z telefonami satelitarnymi. Są za drogie, żeby je nosić przy sobie jak komórkę. Pewnie przez większość czasu aparat leży poza zasięgiem głosu.

- Nie używała go - potwierdziła Amy. - Może kupiła komórkę?

- Na pewno nie od operatora w Mesquite czy Page.

Zdobywanie poufnych informacji handlowych było specjalnością firmy Score'a. Nieważne, czy chodziło o telefony komórkowe, stacjonarne, karty kredytowe, linie lotnicze, hotele, restauracje, sklepy jubilerskie, czy urzędy stanowe i federalne - jego ludzie potrafili dotrzeć wszędzie, by zdobyć potrzebne dane.

- Może operator nie zarejestrował jeszcze jej konta w centrali - zauważyła Amy.

- A może się wycwaniała i kupiła jednorazówkę - odparł.

- To nam utrudni sprawę.

Score nie odpowiedział. Przeglądał drugą stronę skryptu.

- Dwa głosy? Jesteś pewna?

- Jeden kobiecy: ten sam wzór, który nagrałeś, kiedy rozmawiałeś z nią przez telefon - powiedziała Amy, drapiąc się ołówkiem po głowie. - Drugi męski, tożsamość nieznana.

Marszcząc czoło, Score odczytał kilkanaście słów, które udało się wyłowić z papki dźwięków, przekazanych przez

pluskwę do jego komputera. Zaklął pod nosem. Słowo „obrazy” pojawiło się kilkakrotnie.

Może mówiła o tym, że się spaliły?

A może je sprzedaje?

Czy rzeczywiście je ma, czy zdjęcia cyfrowe pochodzą sprzed pożaru?

Blefuje?

Czy wnuczka staruszki od początku prowadzi przemyślaną grę?

Zniekształcony sygnał nie dawał żadnych odpowiedzi. Przygody Score'a z Modesty i Jillian Breck też nie. Modesty zginęła zanim zdążył od niej cokolwiek wyciągnąć. Jill była na tyle sprytna, że nie dała się złapać w pułapkę.

Nawet kaczki wiedzą, przed czym uciekać w sezonie polowań. Wykiwała mnie w Mesquite, ale nie wymagało to od niej wielkiej inwencji.

A zirytowało go jak cholera.

Cisnął skrypt na bok z głośnym przekleństwem.

- Pilnuj jej. Jeśli pluskwa zmieni położenie, daj mi natychmiast znać.

- W jakim promieniu? Rząd znowu majstruje przy satelitach. Margines błędu wynosi dziewięćdziesiąt metrów.

- Ustaw współrzędne namiaru na kilometr. Powiadom mnie, jeśli wyjdzie poza tę granicę. Choćby metr. Jasne?

- Jasne. - Amy wstała i skierowała się do drzwi. Zielone końcówki jej włosów podskakiwały sztywno.

Score jeszcze kilka razy przeczytał skrypt. Nie doznał olśnienia. Podskoczyło mu za to ciśnienie. Musi poćwiczyć na siłowni, zanim jakiś kretyn doprowadzi go do szału.

Ale przede wszystkim musi się dowiedzieć, co knuje ta suka Breck.

Spojrzał na kalendarz. W najbliższych dniach miał zaplanowanych niewiele spotkań, na których z powodzeniem

mogliby go zastąpić pracownicy. Było też jednak kilka takich, na których musiał się pojawić osobiście. Zaczął się zastanawiać, czy do prowadzenia sprawy Breck nie wyznaczyć innego agenta.

Nie da rady. Nie teraz, kiedy stara nie żyje. Nawet gdyby potraktowali to jako nieumyślne spowodowanie śmierci, miałbym przerąbane.

Muszę mieć tę sprawę na oku.

W milczeniu potarł kciukiem o palec wskazujący. Zastanawiał się, czy powinien pojechać do Arizony, czy ryzykować i czekać.

Jeśli Breck ma obrazy, powinien być bliżej.

Jeśli nie ma, lepiej trzymać się z daleka.

Jeśli. Jeśli. Jeśli.

Roześmiał się na głos, zupełnie beztrosko, tak jak lubił. Teraz jednak nie mógł sobie pozwolić na beztroskę.

Powiniennem ograniczyć sterydy.

Jeszcze nie teraz.

Pokręcił głową na wspomnienie, jakim był kiedyś chuderlakiem, i jeszcze raz spojrzął na kalendarz. Jeżeli będzie musiał, da radę zająć się Jill Breck i nie zawalić roboty.

Po cichu liczył, że sama go do tego zmusi.

Rozdział 19

Reno 14 września, godzina 13.38

Caitlin Crawford uniosła wzrok znad komputera w domowym gabinecie, kiedy wszedł jej mąż. Nie pasował do prostych nowoczesnych mebli, które uwielbiała. Miał na sobie drogi i nieskazitelny strój kowboja, którym nigdy nie był. Chociaż byli małżeństwem od dziesięciu lat, Caitlin nadal nie przyzwyczaiła się do jego stylu ubierania. Ale pogodziła się z nim.

Bogaty człowiek ma prawo do dziwactw.

Jednym z nich było to, że Tal wziął ją za trzecią żonę tylko dlatego, iż pochodziła ze starej szanowanej rodziny z Pasadeny, której już dawno nie stać było na luksusowe życie. Nabył ją jak jeden ze swoich obrazów, i pękał z dumy, prezentując ją przyjaciołom i wspólnikom, ubrany w nieodłączne kowbojki i sznurkowy krawat.

Jak wielu bogaczy, lubił też trwonić pieniądze.

Ma co trwonić, powiedziała do siebie. Ten, kogo stać na dzieła Pollocka i Picassa, ma więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać.

Jej matka mądrze wychowała córki. Caitlin nie znała wprawdzie poufnych szczegółów filmowych transakcji męża, ale wynajęła człowieka, który miał na oku jego konta bankowe. Dla niej liczyła się gotówka. Wychowała się w biedzie, w bogatej dzielnicy, zachowując pozory wielkopaństwa, a to ją nauczyło, wokół czego kręci się świat.

Bynajmniej nie wokół seksu.

Jednak mąż nie ułatwiał jej śledzenia stanu swoich finansów. Był staromodny nie tylko w kwestii garderoby. Miała rachunek domowy, który hojnie zasilał, nigdy nie wspominając o tym, jak idą interesy i czy powinna wydawać mniej czy więcej. Tylko dzięki plotkom wiedziała, że federalny urząd skarbowy wszczął śledztwo w sprawie

niezgodności w bilansie firmy Tala. Caitlin nie wiedziała dokładnie, czego dotyczy ani jak poważna jest sprawa przeciwko jej mężowi, ale to, co usłyszała, wystarczyło, by zaczęła się bać.

Jeśli Tal pójdzie na dno, ona utonie razem z nim.

- Jak poszło spotkanie z Lee Dunstanem? - spytała. Jej głos był beztroski, uśmiech ciepły, a żołądek ściśnięty z przerażenia.

- Mówiłem ci, kochanie, żebyś się o nic nie martwiła. O wszystko zadbałem. Skarbówka już niedługo komuś innemu zacznie się kręcić koło tyłka.

Stłumiła przekleństwo. I krzyk. Półtora roku wcześniej szef biura księgowego, z którego usług Tal korzystał przy obsłudze firmowych i osobistych rachunków, został oskarżony, osądzony i skazany za defraudację. Zostawił za sobą wystarczająco wiele tropów, by urząd skarbowy mógł doszukać się należnych podatków od niezgłoszonych dochodów.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedziała, uśmiechając się zaciśniętymi ustami.

Chciała w to wierzyć. Ale Tal nigdy nie rozmawiał z nią o interesach i dlatego cały czas musiała walczyć z paraliżującym strachem, że znowu będzie biedna.

- Chciałbyś zerknąć na listę gości zaproszonych na bankiet po aukcji? - spytała.

- Wolę chłostę.

Spodziewała się takiej odpowiedzi. Tal poślubił ją, żeby dodać splendoru swojemu domowi, przyjęciom i reputacji. Caitlin została wychowana po to, by być żoną bogatego mężczyzny, i umiała o wszystko zadbać sama. Nie należała do osób, które wyrzucają pieniądze w błoto, więc ograniczyła listę gości do ludzi, którzy mogli pomóc Talowi w interesach. Chciwych krewnych i starych znajomych posłała do diabła.

Tal nawet nie zauważy ich nieobecności, chyba że ktoś zwróci mu na to uwagę.

Zaoszczędzone pieniądze pójdą na jej prywatne konto, razem z tym, co uszczknęła z konta domowego.

Kobieta, która jest żoną starszego mężczyzny, musi umieć się o siebie zatroszczyć. Tal nigdy się do tego nie przyzna, ale nie jest już tak sprawny jak pięć lat temu. Albo choćby rok temu.

- W takim razie nie będę ci zawracać głowy szczegółami bankietu - odparła z uśmiechem.

- Potrzebujesz pieniędzy na konto domowe?

- A czy kiedyś nie potrzebowałam?

Roześmiał się i z kieszeni dzinsów wyjął książeczkę czekową.

- Pięćdziesiąt starczy?

- Sześćdziesiąt.

- Cholera, te przyjęcia stają się coraz droższe.

- Ale dzięki nim interesy lepiej się kręcą. Tal się roześmiał.

- Tu mnie masz. Sześćdziesiąt.

Z uśmiechem wystawił żonie czek na sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Była warta dwa razy takiej sumy. Klasy nie da się kupić, ale można ją poślubić.

Rozdział 20

Ranczo Brecków 14 września, godzina 13.49

Jill podjechała do starej chaty, zaciągnęła ręczny hamulec i wyłączyła silnik. Zach nie przestawał jej zaskakiwać. Kiedy powiedziała, że trudno znaleźć starą piaszczystą drogę do chaty, jeżeli się nie wie, czego szukać, po prostu oddał jej kluczyki do ciężarówki.

Interesujący facet. Nie spodziewała się tego. Wiedziała, że podoba mu się jej sposób poruszania, jednak nie zrobił do tego nawet najmniejszej aluzji, o podrywaniu nie wspominając.

Bardzo intrygujące.

I wkurzające. Im dłużej z nim przebywała, tym bardziej chciała, żeby zaczął ją podrywać.

- A oto mój dom - powiedziała.

Zach zamknął laptopa. W milczeniu przyglądał się zniszczonej starej chacie, wspartej o wzgórze z czerwonego piaskowca i ukrytej w cieniu ogromnej topoli.

Zagwizdał cicho.

- A myślałem, że to ja mam sentyment do historii.

- Co masz na myśli?

- Kiedy nie pracuję dla St. Kildy, zajmuję się kolekcjonowaniem i renowacją starych aut z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. To prawdziwe relikty sztuki motoryzacyjnej. Ale ta chata pochodzi z czasów, kiedy świat nie słyszał jeszcze o silnikach spalinowych, a złoża ropy w Pensylwanii nie były warte ziemi, na której się znajdowały.

Jill się uśmiechnęła.

- Szkoda, że nie żyłam w tamtej epoce.

- Jesteś jedną z niewielu osób jakie znam, które dałyby sobie wtedy radę.

Komplement ją zaskoczył. Kątem oka zerknęła na Zacha. Bursztynowymi oczami w skupieniu studiował chatę.

Intrygujący, irytujący, inteligentny. Seksowny w naturalny, niewymuszony sposób.

Pokręciła głową, odganiając pożądlive myśli. Nigdy nie podrywała faceta. I nie zamierzała robić tego teraz, chociaż hormony się rozszalały.

- Czy St. Kilda znalazła coś na temat Blancharda? - spytała, zmieniając temat.

- Znaleźli kilku pośredników handlu sztuką i mężczyzn o nazwisku Blanchard w zachodnim Teksasie, ale żaden nie spełnia obu kryteriów.

- Może był tam przejazdem, szukał dzieł sztuki.

- A może jest wytworem swojej własnej wyobraźni. Jill uśmiechnęła się ponuro.

- Tak właśnie pomyślałam, kiedy zobaczyłam swój rozwalony samochód.

Zach przyglądał się starej chacie, grubym, wypaczonym okiennicom i otworom strzelniczym, które już w bezpieczniejszych czasach zostały wypełnione. Kiedy objeżdżał Zachód w poszukiwaniu starych samochodów, często natykał się na szkielety pionierskich domostw, jednak nigdy nie widział tak starego budynku nadal zamieszkanego przez ludzi.

- Facet liczył, że weźmiesz ze sobą obrazy - stwierdził.

- Musiałabym być skończoną kretynką.

Roześmiał się i spojrział na Jill. Jej włosy połyskiwały w blasku słońca złotem i czerwienią.

- Kretynów nie brakuje.

- Wiem - odpowiedziała. - Pewien mężczyzna oznajmił, że nie wsiądzie na moją tratwę, bo...

- ...jesteś dziewczyną - dokończył Zach. - Głupek. Każdy facet, który przyjrzy się uważnie, zauważy, że jesteś wysportowana.

- Przyjrzy się uważnie?

- Spojrzy na coś więcej niż cycki i tyłek. Prychnęła.
- To chyba ma coś wspólnego z chromosomem Y - stwierdziła.

- Chcesz powiedzieć, że chromosom Y odpowiada za głupotę?

- U niektórych na pewno. - Otworzyła drzwi ciężarówki i wyskoczyła na zewnątrz. - To samo z kombinacją XX. Na rzece miałam do czynienia z kretynami obojga płci.

Zach wysiadł i jeszcze raz spojrzął na drogę. Pustkowie. Niepokoila go myśl, że Jill mieszka tu sama. Owszem, była wysportowana i potrafiła posługiwać się nożem i strzelbą, ale w konfrontacji z prawdziwym przeciwnikiem nie na wiele by jej się to zdało.

Nie był jednak na tyle głupi, żeby powiedzieć to głośno. Wściekłyby się, on wściekłyby się na nią i nic dobrego by z tego nie wynikło.

Znów zerwał się wiatr. Zaczął się bawić liśćmi topoli, które leżały na ziemi, i porwał następne z rozłożystej korony drzewa.

Zach poszedł za Jill do chaty i przez maleńką kuchnię wszedł do spiżarni. Jill włożyła rękę z tyłu kredensu, a potem go przesunęła, odsłaniając wejście do jamy w piaskowcu.

- Super - skwitował Zach, uśmiechając się szeroko. - Moja praprababka opowiadała swojego czasu historie o pionierskim życiu w późniejszym Nowym Meksyku i wspominała o podobnych miejscach.

Zach nigdy jednak nie przypuszczał, że zobaczy jedno z takich miejsc z bliska.

- Żyliśmy skromnie, ale na własnych warunkach.

- Tak jak rodzina mojej matki. - Patrzył, jak Jill się pochyla i coś ciągnie. Wytarte dzinsy kuszaco opięły jej bardzo zgrabną pupę. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie, ale nią nie pogardzę.

W poczuciu służbowego obowiązku Zach zbliżył się do Jill na tyle, by móc zajrzeć do skrytki. Dotyk jej bioder był jeszcze przyjemniejszy niż ich widok.

- Kufer? - spytał.

- Tak.

Sięgnął po kufer, ocierając się o nią, aż udało mu się go chwycić. Skóra była zniszczona i kruszyła się ze starości, ale wytrzymała pociągnięcie.

Jill chwyciła kufer z drugiej strony i lekko się zachwiała, zaskoczona. Wydawał się o wiele lżejszy, kiedy trzymały go dwie osoby. Po kilku potknięciach i chwiejnych krokach udało im się wnieść go do kuchni.

- Czy to tutaj znalazłaś list od swojej ciotecznej babki? - dociekał Zach.

- Nie. Był pod wiadrem z wodą przy zlewie.

- Bardzo sprytnie. Wiadro podniósłby tylko ktoś, kto zamierzał użyć pompy.

- Modesty była sprytna. I uparta. Dzięki temu sobie radziła. - Jill spojrzała na Zacha. - Jesteś jedną z niewielu osób z mojego pokolenia, która ma pojęcie o ręcznych pompach i wiadrach na wodę.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Staromodny ze mnie gość.

- Powiedz to komuś, kto ci uwierzy.

- Mówię tobie.

Jill ukryła uśmiech, pochylając się nad otwartym kufrem. O Zachu można było powiedzieć wiele, ale nie to, że jest staromodny. Staromodni mężczyźni nie mogli się doczekać, by udowodnić swoją siłę. Tymczasem on używał delikatnego sprzętu elektronicznego. Najnowocześniejszego, jaki widziała w życiu. Marzyła, by dotknąć jego komputera. Ale jeszcze bardziej marzyła, by dotknąć jego.

Ugryzła się w język, żeby nie zakląć, i otworzyła skrzynię.

Zach dostrzegł podniszczoną skórzaną teczkę na dokumenty i sześć prostokątnych pakunków różnych rozmiarów.

- Co to? - spytał, dotykając teczki.

- Rodzinne papiery: wyblakłe zdjęcia, stare listy, poświadczenie praw do wody, granic rancza, dzierżawy ziemi, i inne dokumenty, które ktoś uznał za warte zachowania dla przyszłych pokoleń. Już je przejrzałam. Nie mają nic wspólnego z obrazami.

- Dobra. Dokumenty mogą poczekać - odparł.

Teraz chciał zobaczyć obrazy, z których powodu Jill grożono śmiercią.

I przez które prawdopodobnie zabito jej cioteczną babkę.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Modesty Breck zmarła niedługo po tym, jak wysłała do wyceny obraz. Kolejną ciekawostką był fakt, że obraz zaginął, a później odnalazł się w strzępach.

Zach nie wierzył, by był to przypadek.

- Ciotka Modesty odziedziczyła kufer po swojej siostrze - wyjaśniła Jill, odkładając na bok wieko. - Mojej babce, niespełnionej artystce, która była wieloletnią kochanką Thomasa Dunstana.

Zach znieruchomiał. Thomas Dunstan. Nic dziwnego, że ktoś próbował położyć łapy na tych obrazach.

- Znam to nazwisko - powiedział obojętnym tonem, spoglądając na prostokątne paczki starannie utknięte w przepastnym kufrze. - Świetny malarz. Tworzył zrywami. Teraz na pewno jest w cenie.

- Podobno. W kufrze było trzynaście obrazów. Teraz jest ich dwanaście. Jeden podarł na strzępy facet, który mi zniszczył samochód. Płótno było niewielkie, ale... - W jasnych oczach Jill rozblęśla złość. - To był kawałek historii, a teraz została z niego kupa skrawków w mojej saszetce.

Zach zanotował w pamięci, aby przejrzeć saszetkę, kiedy wróca do samochodu. Garland Frost zacząłby chyba zionąć ogniem, gdyby usłyszał, że został zniszczony obraz Dunstana.

- Dwanaście obrazów. - Zagwizdał cicho. - Jeśli udałoby się dowieść, że namalował je Dunstan, pieniądze ze sprzedaży wystarczyłyby na opłacenie podatków za następne sto lat.

Jill przerwała odpakowywanie obrazów.

- Naprawdę?

- Tak.

- O rynku sztuki Zachodu wiem tyle samo, co o szukaniu, hm, reliktyw sztuki motoryzacyjnej - przyznała.

Uśmiechnął się szeroko, choć krew pulsowała mu szybko pod wpływem adrenaliny.

Dwanaście nowych Dunstanów. Dobry Boże. Tylko czy są prawdziwe?

- Uwielbiałam patrzeć na te obrazy, kiedy byłam mała - powiedziała Jill, wyciągając gruby, starannie opakowany prostokąt. - Modesty trzymała je na strychu. Lubiłam się tam zakradać i przyglądać się im. W końcu mnie przyłapała i stłukła na kwaśne jabłko.

- A ty i tak dalej się tam zakradałaś. Pokręciła głową.

- Mama powiedziała, że Modesty nas przepędzi, jeżeli jeszcze raz przyłapie mnie na strychu. Byłam mała, ale po ucieczce z Nowego Edenu nauczyłam się doceniać bezpieczny dach nad głową. Aż do śmierci ciotki nie widziałam więcej obrazów.

- Czy Modesty wspominała, że płótna są cenne?

- Mówiła tylko, że mam się trzymać od nich z daleka i nigdy o nich nie wspominać. Nikomu.

Zach miał ochotę zedrzeć opakowanie i spojrzeć na obraz, który trzymała w rękach Jill, ale się powstrzymał. Jedną z wielu rzeczy, jakich nauczył się od Frosta, była cierpliwość.

- A co myślisz o nich teraz? - spytał. - Skarby czy śmieci?

- Patrzę okiem artysty, nie handlarza. No, nareszcie, pomyślał.

Zdażył się sporo dowiedzieć o Jill z raportu St. Kildy, ale chciał porównać to, co przeczytał, z tym, co powie mu sama. Niektóre fakty bardzo go zaintrygowały. Na przykład to, że Jill ukończyła między innymi studia malarskie.

Sfrustrowani malarze nierzadko stawali się świetnymi fałszerzami.

- Malujesz? - spytał.

- Studiowałam malarstwo - odpowiedziała. - Uwielbiam malować olejami, ale wyżyć się z tego nie da. Oddałam się więc mojej drugiej miłości, rzece.

Zastanawiał się nad tym, czego mu nie mówi. Nie pytał, nie chciał jej zniechęcać. Ważne, żeby sama mu zaufała.

Taka praca, powiedział sobie.

W rzeczywistości nigdy dotąd nie zależało mu tak bardzo, by zdobyć zaufanie klienta, jak w przypadku Jillian Breck.

- Im więcej dowiadywałam się o tym, jak stosować farby, aby uzyskać określone efekty - ciągnęła - tym częściej zastanawiałam się, czy obrazy Modesty mają jakąś wartość. Są bardzo dobre. Przynajmniej moim zdaniem, które oczywiście nie jest warte złamanego grosza.

Zach miał ochotę wyrwać jej z rąk grubego pakuneka.

- Czy twoja cioteczna babka kiedykolwiek oddała te obrazy do wyceny? - spytał.

Jill pokręciła głową.

- Moja babka nie chciała, by ktokolwiek oglądał obrazy. Modesty się zgodziła i nie złamała obietnicy nawet po śmierci siostry.

- Dziwne. Wzruszyła ramionami.

- Modesty w ogóle była dziwna.

- To czemu w końcu wysłała jedno płótno do wyceny?

- Domyślam się, że z powodu podatków za ranczo. Ziemia jest biedna. Zastanawiam się tylko... - Jill załamał się głos.

- Nad czym?

- Czy zginęłaby, gdyby nie ten cholerny zaległy podatek. Który, nawiasem mówiąc, jest już zapłacony. Zaległe podatki, umorzone podatki, cały ten cholerny mętlik. Poszły na niego pieniądze za bydło z rancza oraz odszkodowanie za pożar i śmierć w wypadku. Za rok... - Jill pokręciła głową. - Za rok ziemia pójdzie pod młotek. Chyba że te obrazy są coś warte. Inaczej nie będę w stanie utrzymać rancza Brecków. A prędzej mnie piekło pochłonie, niż oddam je moim głupim braciom.

Zach wyjrzał przez otwarte drzwi chaty na połać ziemi, na której leżało ranczo - na wyschnięte niecki i niskie wzniesienia ciągnące się w stronę północnej krawędzi Wielkiego Kanionu, oddalonego o jakieś piętnaście kilometrów. Ranczo ujmowało jałowym pięknem Zachodu, wymagającym pięknem, którego większość ludzi nie dostrzegała.

Jill umiała je dostrzec. Jej spojrzenie i głos mówiły Zachowi, że kocha tę ziemię. Miała nadzieję, że obrazy pozwolą jej zatrzymać ranczo.

- Sztuka to śmieszny interes - stwierdził. - Z każdym dniem śmieszniejszy.

- Z tego, co wiem, na rynku sztuki obraca się dużymi pieniędzmi.

- Ale wartość obrazu można oszacować jedynie, opierając się na ostatniej wylicytowanej na aukcji cenie - powiedział. - Albo na przedostatniej. W każdym razie takiej, jaką były skłonne zapłacić za niego co najmniej dwie osoby.

- Co masz na myśli?

- Sztuka jest jak wszystko inne. Jest warta tyle, ile ktoś chce za nią zapłacić. Kropka. Żeby wyciągnąć z ludzi więcej

forsy, domy aukcyjne i eksperci tworzą wokół dzieła odpowiednią atmosferę. Obraz nie zmienia wartości w ciągu dekady. Różni się jedynie atmosfera towarzysząca jego sprzedaży. I cena.

- Myślisz, że moje obrazy są bezwartościowe? - spytała.
- Musiałbym je zobaczyć. Uśmiechnęła się powoli.
- Myślałam, że nigdy o to nie poprosisz.

Rozdział 21

Hollywood 14 września, godzina 13.50

Score'owi ledwie udało się spławić nowego bogatego klienta, kiedy do gabinetu wparowała Amy. Głośno zamknęła za sobą drzwi. Była tak wściekła, że drżały nawet zielone końcówki jej włosów.

- Następnym razem, jak chcesz coś wiedzieć „natychmiast”, odbierz telefon.

Z trudem się powstrzymał, żeby jej nie zdzielić. Potrzebował jednak głowy Amy tam, gdzie ją obecnie miała - na karku. Zawsze miał wybuchowy temperament, ale ostatnio był wyjątkowo podminowany.

Sterydy.

To ja rządę sterydami, nie one mną, powiedział sobie. To ta cholerna sprawa Breck doprowadza mnie do szału.

- Pluskwa w telefonie Jillian Breck przemieściła się o około pięć kilometrów na północny wschód - powiedziała.

- A co jest pięć kilometrów dalej?

- Według mapy, którą mi dałeś, nic. Jedno wielkie pustkowia. Score'owi przypomniały się szydercze słowa Modesty Breck.

Ten dom zbudowali pionierzy, którzy żyli samotnie i umieli się bronić. Wybudowali kryjówki, których nawet Indianie z plemienia Pajutów nie byli w stanie znaleźć.

- Czy pluskwa wychwyciła jakieś rozmowy? - spytał.

- Nic poza tym, co już ci dałam. Telefon musi być daleko od niej. Score spojrzał na swój grafik i zaklął pod nosem. Wkurzało go, że nie

wie, co knuje ta mała Breck.

Nie chciał teraz wyjeżdżać z Hollywood.

A nie mógł pozwolić sobie na to, żeby zawalić tę sprawę. Ten klient był zbyt ważny.

- Daj mi znać, jeżeli wyłapiesz coś nowego z pluskwy - powiedział, zwracając się do Amy. - Albo jeżeli aparat opuści granice rancza. Dostaniesz premię, jeżeli wyciągniesz coś konkretnego z telefonu.

- Zdefiniuj słowo „konkretny”.

- Najpierw coś znajdź.

Rozdział 22

Ranczo Brecków 14 września, godzina 13.58

Jill bez słowa odpakowywała kolejne płótna i opierała je o ścianę. Zach również milczał. Obrazy były powalające.

Jasny gwint. Frost oniemiałby, gdyby zobaczył choć jeden. A jest ich dwanaście!

Różniły się rozmiarami. Miały od dwudziestu na trzydzieści centymetrów do osiemdziesięciu pięciu centymetrów na metr. Były nieoprawione. Jeśli to Dunstany, warte są pieniędzy, dla jakich nawet porządni ludzie gotowi byliby zabić, pomyślał Zach.

- Modesty mieszkała sama? - wydusił w końcu.

- Tak, odkąd zmarła mama, a ja wyjechałam.

- Po co więc je ukrywała? To szaleństwo - mruknął. - Podobno tutejszy wiatr przyprawia o lekki obłąd. - Podziwiał niewiarygodnie piękne obrazy. - Ale to przekracza...

- Modesty nie miała czasu ani cierpliwości do sztuki. Była zbyt pochłonięta walką o przeżycie.

Mówiąc to, Jill rozpakowała ostatnie dwa obrazy i oparła je o ścianę.

- A niech mnie! - sapnął Zach. - Jeśli są w połowie tak dobre, na jakie wyglądają...

Niemal z nabożeństwem uniósł jeden z obrazów do światła i zaczął go studiować. Zwrócił uwagę na staranne pociągnięcia pędzla i doskonałą technikę.

I to coś fantastycznego i nieuchwytnego, zwanego wielkością.

Obraz ukazywał pierwsze zwiastuny nowoczesności, wdzierającej się na Dzikie Zachód. U podnóża suchej, skalistej grani, tuż obok gęstych zarośli znajdowała się stacja benzynowa, która musiała być całkiem nowa, w czasie kiedy powstawał obraz. Choć to nowe wypierało stare - a może z tego właśnie powodu - obraz doskonale oddawał bezkres

przestrzeni, odosobnienie i nieuchronny upływ czasu. Odwrócił go. Tytuł brzmiał Indiańskie Źródła.

Na chybił trafił wziął kolejne płótno. Był to bezbłędnie wykonany pejzaż Zachodu, przedstawiający kotlinę i szerokie zbocze samotnego wzniesienia, na którym stała wiejska chata, tak mała, że wydawała się bez znaczenia wobec bezmiaru ziemi. Postać kobiety w długiej czerwonej spódnicy i białej bluzce, niosącej wiadro z wodą ze źródła, była bardziej zarysowana niż namalowana. Te kilka pociągnięć pędzlem na olśniewająco pięknym krajobrazie, mówiło o tym, ile kosztowało pionierskie życie na samotnej, skalistej ziemi Zachodu.

- Wspaniały obraz - stwierdził w końcu Zach. - Choć moje zdanie na rynku jest warte nie więcej niż twoje.

- Studiowałam sztuki piękne. Ale żaden z wykładowców nie wspominał o malarstwie rodzajowym Zachodu.

- Nic dziwnego. Dla nich liczy się tylko Europa, modernizm i minimalizm. No, może jeszcze Georgia O'Keeffe, jeżeli ich trochę przyciśniesz.

- Mówisz, jakbyś chodził na moje zajęcia - zauważyła Jill.

- Mam nieformalne wykształcenie, za to zdobyte u pierwszorzędnego nauczyciela. - A przy okazji prawdziwego sukinsyna. Zach pochylił płótno tak, aby światło padało na nie pod kątem, a później wprawnie je odwrócił i obejrzał z tyłu. - Też bez podpisu.

- Żaden nie jest sygnowany.

Wziął inny obraz. Kolejny pejzaż, równie doskonały technicznie i dynamiczny jak pozostałe. Niemal wyczuwało się na nim upływający czas, niezmierną przestrzeń i odległość, a także obietnicę sprawdzenia swoich możliwości w konfrontacji z nieznaną, dziką ziemią. Męskie ujęcie klasycznego tematu sztuki Zachodu, na długo zanim Hemingway uczynił z niego swój znak rozpoznawczy.

Tym razem kilka swobodnych pociągnięć pędzla przedstawiało kobietę w powiewającej na wietrze jasnej spódnicy. Odwrócona tyłem, wpatrywała się w pustkowie i bezkresne niebo. Postać znów bardzo mała, jednak bez niej płótno nie byłoby tak wymowne. Stanowiła subtelny punkt odniesienia, dzięki któremu obraz nie był jedynie zwykłym pejzażem.

Zach sprawdził tył płótna. Na blejtramic dużymi literami wymalowany był tytuł. Siła przetrwania.

- Amen - powiedział cicho. Jill spojrzała mu przez ramię.

- To jeden z moich ulubionych. Doskonale oddaje samotność tej ziemi.

- Wszystkie są tak dobre? - spytał Zach, spoglądając na resztę obrazów, stojących pod ścianą.

- Nie wiem, co powiedzieliby znawcy, ale moim zdaniem tak. Ale to pewnie kwestia gustu.

- Gust to jedno, a wyczucie to drugie.

Uniósł obraz i obejrzał go uważnie ze wszystkich stron. Również brak podpisu.

- Widziałem kilka płócien Dunstana - powiedział Zach. Codziennie obok nich przechodziłem, ale to było wiele lat temu, pomyślał. Z całej kolekcji malarstwa zachodniego Frosta i ze wszystkich obrazów, które przewinęły się przez jego galerię, Dunstan najbardziej przemawiał do Zacha. Do Frosta zresztą też. Staruszek nie rozstałby się ze swoimi obrazami za żadne skarby świata.

- I? - spytała niecierpliwie.

- To, co widzę, zgadza się z tym, co pamiętam na temat tamtych prac. Nie jestem tylko pewny, czy często na swoich obrazach umieszczał postacie. - Na pewno nie było ich na dwóch płótnach, które miał Frost. Ani na żadnym z katalogu twórczości. - Pejzaże są bardzo wymowne. - Raczej oszałamiające. - Na pewno są dziełem utalentowanego artysty.

- Więc powinny być coś warte.

- Jak już mówiłem, sztuka to śmieszny interes. - Zach ostrożnie trzymał płótno. - Bez podpisu ciężko stwierdzić, kto jest autorem obrazu, a już bardzo trudno przypisać go takiej ikonie malarstwa, jak Dunstan. Czy Modesty kiedykolwiek sugerowała, że są to dzieła Dunstana? Może to szkice zrobione w plenerze? Wielu artystów nie podpisuje szkiców.

- Modesty o obrazach wspomniała tylko tyle, że jej siostra, kochanka Dunstana, mówiła o nich: „dwadzieścia siedem lat nieszczęścia”.

- A może to jakiś stary przesąd? Taki jak rozbite lustra, czarne koty i inne rzeczy?

- A może tak długo Justine znała Dunstana - podsunęła Jill.

- Czy twoja matka była córką Dunstana? Jill wzruszyła ramionami.

- Rodzinna legenda milczy na ten temat. W akcie urodzenia moja matka figuruje jako Maureen Breck, córka Justine Breck. Ojciec nieznany. Z kilku rozmów, jakie na temat babki prowadziły Modesty i mama, wywnioskowałam, że o ojcostwo można by podejrzewać kilku mężczyzn.

- Widzę, że był to bardzo nowoczesny związek - zauważył kpiąco Zach.

- Za każdym razem, kiedy Justine i Dunstan rozstawali się z hukiem, babcia brała sobie na jakiś czas innego kochanka artystę. Jednak zawsze wracała do Dunstana. Aż do ostatniej awantury, po której oboje wylądowali w więzieniu.

- Za pijaństwo i zakłócanie spokoju?

- Podobno chciała go zabić. Zach uniósł brew.

- Ooo, widzę, że kobiet z rodziny Brecków lepiej nie wkurzać.

- Zapamiętaj to sobie. - Jill uśmiechnęła się łagodnie. - Kiedy Justine wyszła z więzienia, zamieszkała na ranchu ze swoją dużo młodszą siostrą i córką.

- Gdzieś chyba czytałem, że Dunstan powiesił się w więzieniu - przypomniał sobie Zach.

- Już powiedziałam, że lepiej nas nie wkurzać. Zach uśmiechnął się lekko.

- Ty naprawdę wywodzisz się z linii samodzielnych, trudnych kobiet.

Jill spojrzała mu w oczy.

- Mówisz, jakby to było coś złego. Zerknął na płótno, które trzymał w dłoni.

- Zastanawiam się, jak ująłby to artysta, który namalował ten obraz.

- Kobiety z rodziny Brecków zawsze żyły tak, jak im się podobało, robiły swoje i nie słuchały niczyich poleceń - powiedziała. - Mnie nigdy nie przeszkadzało, że jestem sama. Aż do wczorajszego wieczoru.

Zach odłożył płótno i zaczął przechadzać się wzdłuż ustawionych rzędem pejzaży, opartych o ścianę chaty. Mimo że oglądał je już po raz trzeci, każdy obraz wydawał mu się bardziej niezwykły niż poprzedni.

Są niewiarygodne.

- Czy niczego nie pominęłaś w naszej wczorajszej rozmowie? - spytał, nie spuszczając wzroku z płócien. - Jakiegoś nazwiska, numeru telefonu, danych właścicieli galerii, zapomnianych kochanków? Brakuje mi punktu zaczepienia, żeby namierzyć wandala z Mesquite. Jak na razie w grę wchodzi galeria, właściciele i sprzedawcy dzieł sztuki. Jeżeli pogrożka pochodzi od kogoś innego, zmarnujemy kupę czasu, zanim się czegoś dowiemy.

Jill zmarszczyła czoło, w skupieniu patrząc na obrazy, po czym pokręciła głową.

- Nie.
- Dawni narzeczeni?
- Nie.
- Nie miałaś chłopaka?
- Nigdy takiego, który nie czułby ulgi, gdy się rozstawaliśmy. Jak zauważyłeś, kobiety z rodziny Breck nie przejmują się niczymi rozkazami.
- Więc w łóżku używasz pejcza i skóry? Jill zaniemówiła.
- Przepraszam. - Zach robił wszystko, żeby się nie roześmiać. - Zapomnij o tym, co powiedziałem. Prześlę wątki związane ze sztuką. Jeśli na nic nie trafię, wrócę i zadam ci jeszcze kilka pytań.
- Jak to: wrócisz?
- Po prostu. Umieszczę cię w kryjówce St. Kildy i...
- Nie - ucięła. - To moje obrazy. Zostaję z nimi.
- Jesteś zbyt niewin... hm, bezpośrednia - poprawił się szybko Zach.
- To znaczy?
- Założę się, że umiem kłamać lepiej niż ty.
- Cóż, przynajmniej jestem wiarygodna - powiedziała ironicznie.
- Nie lubisz kłamców?
- Nie. Skinał głową.
- To tylko dowodzi, że mam rację.
- O czym ty mówisz?
- Zarabiasz na życie, pracując na rzece. Nie lubisz kłamców i nie umiesz przekonująco kłamać.
- I co z tego?
- Bezpieczniejsza będziesz z daleka od zawodowego kłamcy. W przeciwnym razie musiałabyś kłamać razem ze mną. - Uśmiechnął się łagodnie, widząc jej zdumione spojrzenie. - Nie martw się, możesz zaufać St. Kildzie.

Kłamiemy tylko dla dobra naszych klientów. To między innymi dzięki temu jesteśmy tacy skuteczni.

- Joe Faroe nie wspominał o przetrzymywaniu mnie w jakiejś kryjówce.

- Był wtedy trochę zajęty, zapomniałaś? Jego żona rodziła. - Zach przyglądał się Jill spod zmrużonych powiek, zastanawiając się, jak bardzo zależy jej na tym, żeby zostać z obrazami. - W takich sytuacjach mężczyzna często traci głowę.

- Znalazł się ekspert! Skąd możesz wiedzieć, jak to jest, kiedy żona rodzi?

- Nie wiem, do diabła! Ale wyobrażam sobie, jak bym się czuł na jego miejscu. Polubisz kryjówkę St. Kildy. Mają tam dobre jedzenie, basen, wszystkie wygody.

Zach uniósł jeden obraz i zaczął mu się ostentacyjnie przyglądać, dając do zrozumienia, że uważa dyskusję za zamkniętą.

Jill chciała się kłócić, ale zamiast tego odwróciła się i pomaszerowała do ciężarówki. Odwiązała skórzaną kurtkę z saszetki, wyjęła telefon satelitarny i wybrała numer, którego zdążyła nauczyć się na pamięć.

- Poproszę z Joem Faroe'em - powiedziała bezceremonialnie. - Mówi Jillian Breck.

Rozdział 23

Hollywood 14 września, godzina 14.03

Score patrzył, jak lampka na interkomie mruga ze zdwojoną prędkością. Pilne.

Co znowu? Nie mogę mieć chwili dla siebie. O co chodzi, do cholery? Przeczekał, aż wzburzenie minęło.

- Przepraszam - zwrócił się do wystraszonego synalka nadzianych rodziców, siedzącego po drugiej stronie dużego biurka. Jeszcze jeden hazardzista biorący kokę, który boi się oprychów ściągających długi. Score nie lubił tego rodzaju klientów, ale pieniądze to pieniądze. A matka chłopaka miała ich mnóstwo. - To zajmie tylko chwilę.

Nie czekając na odpowiedź, Score szybkim krokiem przeszedł do przyległego gabinetu, gdzie z bardzo zadowoloną miną czekała Amy. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - powiedział szorstko Score.

- Breck rozmawiała z St. Kilda Consulting. Facet, który z nią jest, to ich agent.

- Hm... - Score rozmyślał gorączkowo. Niedobrze. St. Kilda to zła wiadomość. - Mówili o obrazach?

- Tylko raz. Z kontekstu domyśliłam się, że Breck albo je ma, albo wie, gdzie są. Dziewczyna sprzeciwiała się planom agenta, który chciał ją umieścić w bezpiecznej kryjówce i zająć się sprawą pogroźki. Żadne nie wspomniało, gdzie znajdują się obrazy, ale wygląda na to, że naprawdę istnieją.

Matko wszystkich dziwek. Skąd wiejska dziewczucha wie o St. Kilda Consulting? I jakim cudem ją na nich stać?

Może Steele w ramach zapłaty weźmie obrazy? Coraz gorzej.

- Masz imię agenta? - spytał kategorycznie Amy.

- Mówiła o nim „Zach”.

- Nie znam. - Ale to nic nie znaczy. Większość agentów pracowała dla St. Kildy na zlecenie, nie na pełen etat. - Masz skrypt?

- Chwileczkę. - Podbiegła do najbliższej drukarki i wzięła kartkę z podajnika. - Rozmawiała z kimś o nazwisku Joe Faroe.

Faroe. Bardzo, bardzo niedobrze. To może być prawdziwe bagno.

Albo i nie.

Niektórzy z agentów St. Kildy to zwykli ochroniarze. Będzie jeden na jednego.

Bułka z masłem. Zegnę go w precelka, a rozgniotę na miazgę.

Na samą myśl w Scorze zaczęły tętnić wściekłość i rozkosz.

Czytał, a Amy czekała, drżąc z niecierpliwości. Nie dowiedział się niczego poza tym, co już mu powiedziała. Jedyna dobra wiadomość to ta, że Breck nie wybiera się do żadnej kryjówki.

Jeżeli będzie musiał, dopadnie Jill Breck i ją załatwi. Zanim ktokolwiek połapie się, o co w tym wszystkim chodzi, będzie już po aukcji. Jego klient będzie szczęśliwy. Score będzie szczęśliwy. A po Jill Breck nie będzie śladu.

Rozdział 24

Ranczo Brecków 14 września, godzina 14.07

Zach rozmawiał przez telefon z Grace, bo Faroe był nadal na linii z Jill. Nie okazała mu za grosz współczucia. W jej głosie słycać było rozbawienie.

- ...a z tego, co słyszę z rozmowy Joego... - powiedziała radośnie - .. Jill da sobie z nami spokój, jeżeli spróbujemy ją gdzieś wywieźć. Joe głównie słucha. I dobrze. Dorobił się córki, musi się uczyć, jak sobie radzić z nadmiernie rozwiniętym instynktem opiekuńczym.

- Gratuluję córy. A o Joego bym się nie martwił. Wie, co robi.

- Oj, nie wiem. Właśnie ustąpił Jill. Jedzie z obrazami. Zach wmawiał sobie, że jest zły.

Nie był.

I wiedział o tym.

- Mogę porozmawiać z Joe'em? - spytał.

- Nie zmieni zdania.

- Tak sądzisz? - rzucił z przekąsem. Śmiejąc się, Grace podała telefon mężowi.

- Chcesz zrezygnować? - spytał Zacha Faroe.

- Nie. Potrzebujesz mnie.

- Mam innych agentów.

- Ale nie takich, którzy poznawali sztukę Zachodu u Garlanda Frosta.

Cisza.

- Więc obrazy ci się spodobały - odezwał się po chwili Faroe.

- Bardzo.

- Na tyle, żeby zabić?

- Zgadnij. Ale nie są sygnowane. Na miejscu St. Kildy nie liczyłbym na to, że pokryją koszty operacji. Może się okazać, że są gównem warte.

- Jill uratowała Lane'owi życie. Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz.

Zach się uśmiechnął i zaczął sporządzać listę.

Rozdział 25

Hollywood 15 września, godzina 4.00

Score obudził się na dźwięk alarmu komputera. Jak co godzina. Nieco rzadziej dzwonił klient, ale Score nie odbierał telefonu. Był wprawdzie potwornie zmęczony, ale bał się, że go poniesie. A na tego klienta nie mógł się drzeć.

Przewrócił się na bok i spojrzał na laptopa na nocnej szafce. Wcisnął aktualizację i czekał, aż na monitorze ukaze się nowy odczyt. Czerwona linia i migocząca czerwona strzałka pokazywały na mapie Arizony, gdzie znajduje się Jill Breck.

Ciągle się przemieszcza.

Co oni robią, do cholery? Jada oglądać wschód słońca w Wielkim Kanionie?

Ciekawe, czy mają ze sobą obrazy? A może zostały tam, gdzie trzymała je staruszka?

Usiadł, wziął inny komputer i włączył cyfrowe odtwarzanie nagrania podsłuchu pod kątem wybranych słów.

Dzięki Bogu za komputery. Nie ma nic gorszego niż prowadzenie nasłuchu na bieżąco i wyczekiwanie, aż usłyszysz się coś poza szumem.

Dzięki informatyce od razu mógł przejść do sedna.

Czasami. Bo akurat w tej chwili nic się nie działo... W tle słyhać było jedynie coś, co przypominało muzykę country. Nie miał pojęcia, gdzie Jill trzyma telefon, ale podejrzewał, że aparat znajduje się za daleko, żeby się na coś przydać.

A może przestali się do siebie odzywać.

Na miejscu agenta St. Kildy Score byłby wściekły, że musi targać ze sobą klienta, w dodatku takiego, który obserwuje jego każdy ruch. Ale dzięki temu łatwiej będzie dopaść Jill, więc nie ma co się nad tym zastanawiać.

Musi dopilnować, by obrazy nie ujrzały światła dziennego aż do zakończenia aukcji.

Zostały cztery dni.

Ziewnął. Cholernie chciało mu się spać, ale wiedział, że nie może ryzykować. Jeżeli Jill ma ze sobą obrazy, a należało brać pod uwagę ten najczarniejszy scenariusz, trzeba je ukraść albo zniszczyć przed aukcją.

Ziewnął jeszcze raz, zadzwonił do czynnej całą dobę agencji Do Usług i za ciężkie pieniądze, na koszt klienta, wynajął samolot z Burbank.

Prześpi się w powietrzu.

Rozdział 26

Okolice Colorado City 15 września, godzina 6.00

Zach podjechał do krawędzi asfaltowego pasa małego lotniska i zaparkował. Wynajęty samolot powinien właśnie lądować.

Nie było widać świateł.

Cierpliwości, powiedział sobie. O punktualności lotów często decydowały wiatry przeciwnie, tylne, boczne, huragany i inne wymysły Matki Natury.

W małym hangarze było ciemno - nie stał w nim żaden prywatny samolot, czekający cierpliwie na poranny odlot.

Jill naląła z termosu kawy, którą zaparzyła na ranczu, i podała kubek Zachowi.

- Nadal jesteś na mnie wściekły?

- Wcale nie byłem na ciebie wściekły, więc nie ma mowy o żadnym „nadal”. - Błądził wzrokiem po niebie, wypatrując nadlatującego samolotu.

- Wiem, że nie chciałeś mnie ze sobą zabierać.

Spojrzała na jego profil, na którym igrało światło wczesnego poranka. Wyglądał niewiarygodnie. Smakowicie. Miała go ochotę schrupać. Zadowolili się kawą.

- Dzięki - powiedział, biorąc od niej kubek. - To bez znaczenia. Jeśli coś się stanie, to Faroe będzie cię miał na sumieniu, nie ja.

- Pocieszyłeś mnie.

- Twoja cioteczna babka nie żyje, a tobie rozwalono samochód i grożono śmiercią. Chcesz pocieszenia? Poszukaj w słowniku między hasłami „brutalny” a „rzeczywistość”.

Przeżuwała jego słowa, aż w końcu przełknęła je razem z kawą.

- Nie łatwo mnie przestraszyć.

- Bardziej martwi mnie to, że za cholere nie umiesz kłamać.

- Już to przerabialiśmy.

- I będziemy przerabiać jeszcze nie raz. - Dopił kawę i oddał jej kubek. - Dopóki jesteś ze mną, masz grać swoją rolę. Chwilowo ja jestem obleśnym typem, a ty słodką młodą laseczką.

- Nie jestem ani słodką, ani młodą, ani laseczką. - Termosem wzniosła w milczeniu toast, po czym naląła sobie kolejny kubek kawy.

- Sedno tajnej operacji polega na tym, żeby ludzie uwierzyli, że jesteś kimś innym niż w rzeczywistości - wyjaśnił.

- Chcesz powiedzieć, że w rzeczywistości nie jestem seksowna i urocza?

Roześmiał się i pokręcił głową.

- Zaczynam rozumieć, przez co przy Grace przechodzi Faroe. Oczywiście, istnieją też przyjemne strony takiego związku.

- Inteligentna rozmowa? - spytała sarkastycznie Jill.

- Nie znam nikogo, kto od samej inteligentnej rozmowy dorobiłby się dziecka.

Usiłowała stłumić uśmiech, ale jej się nie udało. Pokręciła głową.

- Zaczynam współczuć Grace. Proponuję rozejm.

- To nie wojna.

- Więc co?

- Na pewno nie zabawa - stwierdził Zach. - Faroe zatrzymał mnie przy tobie, bo wie, że o kłamaniu mógłbym napisać książkę. A o sztuce Zachodu wiem dość, by wmówić bzdury nawet najlepszym znawcom.

Jill zamrugęła.

- Dobra. Kłamiesz nieźle. To już ustaliliśmy. I co z tego?

- Kłamstwo to najlepszy sposób, żeby dotrzeć do cwaniaków, którzy rządzą tym interesem.

- Mówimy o sztuce?

- O jej ciemniejszej stronie. Żeby frajerzy płacili miliony, trzeba stworzyć odpowiednią atmosferę.

- Na moich zajęciach z malarstwa niewiele mówiono o oszustwach - przyznała Jill, marszcząc brwi.

Zach przyjrzał się niebu, które z każdą minutą robiło się jaśniejsze. Gdzie ten cholerny samolot? Napił się kawy i zajął się doksztalcaniem panny Jillian Breck.

- Dobry fałszerz, odpowiednio przygotowany w zakresie historii sztuki, może odkryć „zaginiony” obraz Starego Mistrza u babki na strychu i wprowadzić w popłoch całe rzesze znawców. Żaden sprzedawca, krytyk czy kurator nie lubi poruszać tematu fałszerstw z kupującymi u niego laikami lub, jak kto woli, frajerami. Wywołuje to zbyt wiele pytań związanych z naturą sztuki i jej wartością. Co gorsza, frajer mógłby się nieźle wkurzyć. Zawsze polegał na ekspertach, którzy ponoć znają się na sztuce, aż tu nagle dowiaduje się, że pewności co do autentyczności dzieła nie można mieć nigdy.

- Ale nie każdy kolekcjoner sztuki jest frajerem. Zach wzruszył ramionami i upił łyk kawy.

- Zależy, jak na to spojrzeć. W Chinach za ciężkie pieniądze sprzedaje się starą kaligrafię. Uważana jest za najwyższą formę sztuki w cywilizacji, która sztukę szanuje.

- Kaligrafia? Naprawdę?

- Sama widzisz. Nie słyszałaś o chińskiej kaligrafii, choć studiowałaś sztuki piękne. Sprzedaje się naprawdę dobrze wśród bogatych Chińczyków. Kluczowe znaczenie w sztuce ma kontekst.

Jill przypomniała sobie, z jakim zainteresowaniem i znawstwem Zach oglądał jej obrazy. Odniosła wrażenie, że ich widok dostarczył mu prawdziwej estetycznej przyjemności.

- Czy wokół moich obrazów robiłeś sztuczną atmosferę?

- Nie. Oglądałem je prywatnie. Teraz rozmawiamy o interesach. - Wyciągnął rękę z pustym kubkiem i spojrzał wyczekująco na Jill. - Wszystko napędzają fałszerze i frajerzy.

Ostrożnie naląła mu kawy.

- Mówisz tak, jakby w sztuce nie istniała nieskażona, nieprzemijalna wartość.

Upił kolejny łyk kawy i niemal westchnął. Była tak mocna, że postawiłaby na nogi nieboszczyka. Doskonała.

- Zanim zaczniesz mnie pouczać na temat nieprzemijalnej natury prawdziwej sztuki, zgadnij, jak świetnie sprzedaje się chińska kaligrafia w Stanach Zjednoczonych.

- Jak?

- Poza grupami chińskich emigrantów, nikt nawet na nią nie splunie. Kontekst kulturowy powoduje różnicę w wartości.

Znowu omiół wzrokiem niebo. Nadal puste.

- A kontekst to synonim bredni? - spytała.

- Czasem tak. Zwłaszcza kiedy chodzi o sztukę pozycjonującą.

- Sztukę pozycjonującą? O czymś takim też nie słyszałam na zajęciach z malarstwa. - Jill pokręciła głową.

- Co robisz, kiedy zbijesz fortunę i chcesz zaimponować innym bogaczom? - spytał Zach, obserwując niebo. - Kupujesz rezydencje we wszystkich słynnych miejscach na świecie, tyle drogich samochodów, że starczyłoby na wyposażenie dziesięciu salonów samochodowych, i jacht większy niż Monte Carlo. Tak, ale to mają wszyscy multimilionerzy. Jak wyróżnisz się z tłumu?

- Kupując coś, czego inni kupić nie mogą. Wyjątkowe dzieło sztuki. Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Czy wspominałem ci już, że bardzo lubię bystre kobiety? Zgadłaś. Tak postąpią i japońska korporacja, bez opamiętania licytując dzieła impresjonistów, aby zrobić wrażenie na świecie zachodnim, i miliarder z branży

informatycznej, który wyda majątek, aby zdobyć płótno Jacksona Pollocka. Sztuka pozycjonująca jest dowodem statusu i ma cholernie mało wspólnego z miłością do sztuki, natomiast wiele wspólnego z ego.

- Droga wersja zabawy w „moja zabawka jest fajniejsza niż twoja”. Zach się roześmiał.

- Tak. W przypadku aukcji razem z obrazem kupujesz też błysk fleszy. Wydajesz grubą kasę. Robisz wrażenie na swoich współnikach w interesach. Dajesz się poznać jako ważny kolekcjoner. Rozwijają przed tobą czerwony dywan w najlepszych galeriach. Guzik ich obchodzi, czy naprawdę kochasz dzieła, które kupujesz, czy nie. Taki jest właśnie świat sztuki pozycjonującej i sztucznie podgrzewanej atmosfery.

- Ciekawe - powiedziała sucho.

- Jest w nim dużo miejsca na szwindle. Powszechnie wiadomo, że podczas aukcji właściciele galerii sami również licytują dzieła artystów, których reprezentują lub których prace mają w prywatnych zbiorach. Wszystko, aby podbić cenę. To, oczywiście, całkowicie nielegalne, podobnie jak wiele innych rzeczy, które jednak mają miejsce. Nagle płótno ich Nieznanego Artysty sprzedaje się za sześciocyfrową sumę. Właściciel galerii organizuje spotkanie swoich ulubionych zbieraczy sztuki pozycjonującej i roztoczywszy uprzednio odpowiednią atmosferę wokół obrazów, sprzedaje inne dzieła z dwustu - lub trzystuprocentową marżą.

- Zaczynam myśleć, że moje studia były stratą czasu.

- Nauka zawsze jest potrzebna.

- Mówisz, jakbyś naprawdę tak uważał.

- Bo uważam. - Zach pomyślał o Garlandzie Froście. - A najwięcej daje ci nauka, której najbardziej nie lubisz. - Zawahał się i wzruszył ramionami. - Tego rodzaju lekcję odbierasz teraz.

- Myślisz, że moje obrazy to falsyfikaty?

- Nie wiem. Wiem tylko, że są bardzo, bardzo dobre. Zanim dowiemy się czegoś więcej, będziesz musiała kłamać jak z nut podczas rozmów z właścicielami galerii. Co najmniej jeden z nich będzie prawdopodobnie wiedział o wiele więcej niż my na temat pociętych płócien i śmiertelnych pogroźek.

Zesztywniała, a później westchnęła.

- Ciągle o tym zapominam.

- Nie możesz. - Nigdy, dodał w myśli.

- Czym się zajmowałaś, zanim zaczęłaś pracować dla St. Kilda Consulting?

- Wywiadem.

Jill czekała, aż powie coś więcej.

Zach łyknął kawy i nadal obserwował niebo.

- Ze sztuką pozycjonującą jest tak, że im więcej pieniędzy jesteś skłonny ulokować w status, tym wyższe robią się ceny na rynku sztuki.

Okej, pomyślała. Na temat mojej przeszłości chce wiedzieć wszystko, ale o swojej milczy...

Na razie. Ale później...

Jill nie zapomniała łatwo o sprawach, które były dla niej ważne. Nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego, ale Zach był dla niej ważny.

- Biorąc pod uwagę, jakie kwoty wchodzi w grę, nikogo nie powinno dziwić, że rynek sztuki przyciąga przestępców. Odnajdywałem skradzione dzieła sztuki, udając przekupnego kuratora muzeum. Negocjowałem okup za skradzione rzeźby. Podawałem się za niebezpiecznego szaleńca, posiadającego prywatną galerię pełną skradzionych dzieł światowej sztuki.

Jill nie wiedziała, czy jest bardziej zaintrygowana czy przerażona.

- Nie śmieć się, ale wydajesz mi się taki... bezpośredni.

- Wobec ciebie jestem.

- To dobrze. Chyba.

Zerknął na nią kątem oka. Chciał ją bliżej poznać. Dosłownie i w przenośni. W świetle wczesnego poranka wyglądała niedbale i seksownie.

Jakby dopiero co wyszła z czyjegoś łóżka po namiętnej nocy. Naprawdę chciał, żeby była jego.

Do samochodu wdarł się pomruk silników samolotu.

Westchnął. Czas wracać do pracy.

Na szczęście. To, na co mam ochotę z Jill, wykracza poza granice poprawnych stosunków z klientem.

Ale mam przeczucie, że byłoby naprawdę fantastyczne.

Jasny punkcik na niebie szybko przybrał kształt dwusilnikowego samolotu. Przeleciał nad nimi, zawrócił i wylądował. Przejechał obok ciężarówki, a później zgrabnie zakreślił i zaczął się zbliżać w ich stronę.

- Znasz pilota? - spytała Jill.

- W pewnym sensie.

Zach wysiadł z samochodu, przeciągnął się i otworzył twardą metalową pokrywę, która osłaniała pakę czarnego pikapa. Nie targał ze sobą całego kufra Jill. Bardzo ostrożnie owinął obrazy w brezent, a zdjęcia i dokumenty spakował w tekturową teczkę. Później zabezpieczył wszystko na tyle ciężarówki.

Pilot zatrzymał samolot na wysokości samochodu Zacha i wyłączył silniki. Jeden z dwóch członków załogi otworzył drzwi w kadłubie i wypuścił schody. Zaczął wylądowywać sześć wielkich aluminiowych waliz. Za nim czekało na wypakowanie sześć jeszcze większych, drewnianych skrzyń zamykanych na kłódkę. Miały chronić walizki i ich zawartość.

Zach zamienił kilka słów z załogą i podał pierwszy pakunek zawierający dwa obrazy. Potem uważnie obserwował. Kobieta, której przekazał paczkę, z ogromną ostrożnością odwinęła brezent, ułożyła obrazy w piankowym

wypełnieniu jednej z aluminiowych waliz, zamknęła i wsunęła do drewnianej skrzyni. Zabezpieczyła kłódkę na skrzyni i odwróciła się, żeby wziąć następny pakunek z obrazami.

Zach skinął głową i wrócił do ciężarówki. Miał pewność, że obrazy znalazły się w rękach ludzi, którzy wiedzieli, co robią.

- Wsiądź i rozprostuj nogi - powiedział do Jill. -
Nasiedzisz się w samolocie.

- Tak?

- Tak.

- A dokąd lecimy? - spytała.

- W siną dal.

Zach wyjął z paki pikapa swój miękki płócienny worek i plecak Jill. Do jednej z szelek plecaka przyczepiona była saszetka.

- Bierzesz ją ze sobą na pokład czy oddać ją z resztą bagażu? - spytał.

- A będę mogła się do niej dostać podczas lotu, jeżeli będzie z bagażem?

- Raczej nie.

- To mi ją daj.

Odpiął saszetkę i rzucił Jill. Choć pękała w szwach, nie była ciężka.

- Czy zachowałeś te strzępy płótna z jakiegoś szczególnego powodu? - zapytał Zach. - Być może pozostałe obrazy to skarby, ale podarty nie jest wart złamanego grosza.

- Szmaty przydadzą mi się, kiedy będę miała ochotę cię udusić. Ostatnio zrobiłam się wybuchowa.

Zach się uśmiechnął.

- Jesteś przewidująca. Chodźmy. Skierował się w stronę samolotu.

- Dokąd lecimy? - spytała.

- Do góry i przed siebie.

- Zach...
 - Zmień płytę - uciął. - I zaufaj mi.
 - Wolę liczyć na strzępy płótna - odparła.
 - A ja myślałem, że na starego grata, który rdzewieje na parkingu hotelu Eureka. Wsiadasz czy nie? Wybieraj.
- Bez słowa skierowała się do samolotu.

Rozdział 27

Nad Kalifornią 15 września, godzina 6.30

Niewielki samolot zniżył gwałtownie lot, by po chwili odzyskać charakterystyczną chwiejną równowagę i opuścić przełęcz Bajon, zmierzając w stronę wysoko położonych terenów pustynnych. Poniżej, dwoma szerokimi pasami wiła się autostrada pełna samochodów.

Score obudził się, przetarł oczy i odpalił laptopa. Najpierw otworzył najnowszy skrypt przesłany mailem przez Amy. Tym razem pojawiło się kilka nowych słów, ale nadal nie było mowy o obrazach. Tylko coś o szmatach i strzępach, płótnach i saszetce. Przełączył na podgląd GPS.

Przemieszczają się.

Zatrzymali się gdzieś koło Colorado City. Później w błyskawicznym tempie zaczęli się poruszać na północ, do Utah, w linii o wiele za prostej jak na autostradę.

Włączył mikrofon i spytał pilotkę:

- Czy przy Colorado City jest lotnisko?

- Tak, niewielkie, ale jest.

- Czy trzeba zgłaszać zamiar przylotu i wylotu? - spytał Score.

- Zawsze. A dlaczego pan pyta?

Score nie odpowiedział. Włączył maila, wysłał do biura krótką wiadomość i czekał.

Czekanie nie trwało długo. Wszystkie plany lotów, niezależnie od wielkości lotniska, trafiały, między innymi, do Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego i były udostępniane do publicznej wiadomości. Po kilku minutach Score znał cel podróży Jill Breck.

- Musimy zgłosić nowy plan lotu - oznajmił Score pilotce.

- Co?

- Lecimy do Snowbird, w Utah.

Pilotka zaczęła coś mówić, po czym wzruszyła ramionami. Mieli dość paliwa, by przy dobrym wietrze dolecieć do Salt Lake City z przepisowym zapasem. Jeżeli nie, zatankują w Las Vegas.

Wprowadziła nowe miejsce docelowe na komputerze pokładowym, zgłosiła zmianę, zaczęła na akceptację i skorygowała kurs.

- To będzie pana kosztowało ekstra - powiedziała.

- Nieważne. Muszę jak najszybciej znaleźć się w Snowbird.

Rozdział 28

Nad Utah 15 września, godzina 9.30

Zach wyciągnął słuchawki z gniazda supernowoczesnego telefonu i podłączył je do interkomu pasażera w samolocie. Zmarszczył czoło, widząc wskaźnik poziomu baterii w telefonie. Jeśli się wyczerpie, nie będzie mógł jej doładować w powietrzu. Pozostawało mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Pochylił się, przełączył słuchawki Jill z kanału z muzyką na interkom pasażera. Spojrzała na niego pytająco.

- O Blanchardzie nadal nic nie wiadomo - powiedział.

- A to ci niespodzianka. - Starła się powstrzymać ziewnięcie.

- Ramsey Worthington jest od niedawna liczącym się graczem na rynku zachodniej sztuki. Zamierza zdobyć rozgłos i uczynić ze swojego domu aukcyjnego Sotheby's Zachodu.

- Fascynujące. - Zakryła dłonią usta, ziewając.

- W informacjach na temat Worthingtona nie znalazłem nic obciążającego. No może poza paroma mandatami za przekroczenie prędkości. Znany jest z działalności charytatywnej wśród mormonów, katolików i w Hollywood.

- A Hollywood to religia?

- Och, tak - odparł Zach. - Jeżeli nie pokłonisz się aktualnemu bóstwu, jesteś skreślony.

- Dobrze, że nie zamierzam zostać gwiazdą filmową. Uśmiechnął się.

- Nikt nie zareagował na twoje maile ze zdjęciami. To zwróciło jej uwagę.

- Nie dałam ci hasła do mojego maila.

- Wygląda na to, że lokalni znawcy sztuki zupełnie cię zignorowali.

- Zach, nie dałam ci... Nie przestawał mówić.

- Kilka miesięcy temu jeden z kolegów Worthingtona sprzedał olej Charlesa M. Russella. Płótno opisano jako "jedną

z jego lepszych, ale z pewnością nie najlepszych prac". Poszło za prawie siedem milionów dolarów.

Wargi Jill drgnęły, ale była zbyt zszokowana, by cokolwiek powiedzieć.

- Kiedy byłam mała, często widywałam obrazy Russella na starych kalendarzach w sklepach. Był niezły w przedstawianiu koni i dzikich zwierząt, ale...

- ...bez przesady - przytaknął Zach. - Większość typowo „zachodnich” scenek pochodzi z dzieł Russella i Federica Remingtona albo z filmów Johna Forda i Johna Wayne'a, które należą już do zupełnie innej gałęzi sztuki.

- Najpierw włamujesz się do mojej skrzynki mailowej, a później opowiadasz mi o różnych gatunkach sztuki.

- Typ wielozadaniowy, to ja.

Jego szelmowski uśmiech byłby po prostu uroczy, gdyby nie towarzyszył mu błysk piekielnej inteligencji w oczach.

Ale towarzyszył.

Jill była zafascynowana.

Już miała wrócić do tematu włamania do jej maila, kiedy doszła do wniosku, że to bez sensu. Prosiła o pomoc. Dostała ją w postaci Zacha Balfoura.

Nikt nie obiecywał, że wszystko będzie się jej podobać.

- Russell widział Zachód takim, jakim był naprawdę - zauważyła, wracając na względnie bezpieczny grunt sztuki. - Widział w nim ojczyznę Indian, a także Europejczyków, którzy ich wyparli. Tu nikt nie był bogiem. Nikt nie był diabłem. Po obu stronach barykady stali zwykli ludzie, którzy po prostu próbowali przeżyć.

- To co powiesz na opinię współczesnych krytyków, którzy potępiają sztukę Zachodu, twierdząc, że to bigoteria na płótnie?

Wzruszyła ramionami.

- Podobno lepiej być nielubianym niż ignorowanym.

Zach zaśmiał się lekko. Na tym właśnie polega urok bystrej kobiety - potrafi błyskawicznie sparować cios. Ktoś mniej inteligentny nadal zastanawiałby się nad odpowiedzią.

- Masz rację - potaknął. - Co ciekawe, część malarstwa Zachodu jest obecnie uznawana za sztukę światowej klasy, a to oznacza, że ludzie z odpowiednim wykształceniem i ostrymi akademickimi nożami mają całe mnóstwo świeżej padliny do rozszarpywania. A handlarze sztuką mogą liczyć na nowe góry pieniędzy.

- Mimo to uważam, że siedem milionów za Russella to gruba przesada.

- Kiedy obraz Gustava Klimta sprzedaje się za ponad sto milionów dolarów, w górę idą ceny wszystkich obrazów, nawet autorstwa malarza podsumowanego kiedyś przez krytyków ze Wschodniego Wybrzeża jako „miernego ilustratora”. Cena, która wczoraj wydawała się kosmiczna, dzisiaj jest ceną okazyjną.

Jill pokręciła głową.

- Więc ceny sztuki Zachodu wzrosły dlatego, że zdrożało wszystko inne?

- Po części tak. Dużą rolę odegrały również coraz większe pieniądze obecne na Zachodzie. Finansowy środek ciężkości przesunął się, a wraz z nim zmieniło się pojęcie tego, co jest, a co nie jest sztuką. Atmosfera się zagęszcza, a wraz z nią rosną ceny.

- Kto kupił Russella?

- Mogę ci zagwarantować, że ktokolwiek to był, nie mieszka na stałe na Wschodnim Wybrzeżu - powiedział kpiąco Zach. - Zachód jest w tej chwili bardzo bogaty. Nowi milionerzy i miliarderzy z zachodnimi korzeniami pragną zamanifestować swoje pochodzenie i tożsamość. A kolejne rezydencje trzeba przecież czymś udekorować, zgadza się?

- Więc sztuka Zachodu stała się sztuką pozycjonującą?

- Szybko się uczysz. Według pani Singh, Worthington jest pierwszym marszandem na zachód od Missisipi, który zaczął reklamować sztukę Zachodu jako nowość w świecie, pełnym starych, oklepanych rzeczy. Liczy na to, że dzięki swojej pomysłowości zbierze kilkaset milionów dolarów.

- Na zakup dzieł sztuki? - spytała.

- Na stworzenie wielkiej galerii i domu aukcyjnego, wyspecjalizowanych w malarstwie, z naciskiem na sztukę Zachodu.

Jill siedziała przez chwilę bez ruchu, w milczeniu, ugniatając palcami strzępy pociętego płótna wystającego z saszetki.

- Wygląda na to, że to dobry interes.

- I to jak. Parę lat temu pracowałem nad sprawą rosyjskich dzieł sztuki. Kilka wielkich galerii z Zachodu importowało całe kontenery dzieł rosyjskich impresjonistów, starając się stworzyć na nie rynek tu, w Stanach.

- Udało się?

- Skończyło się na planach.

Ironia w głosie Zacha zaintrygowała Jill.

- Co się stało?

- Importerzy z galerii dostali ostrzeżenie od rosyjskiej mafii, która wykorzystywała dzieła rosyjskich impresjonistów do prania brudnych pieniędzy w swoich amerykańskich galeriach. Ci kolesie nie grają fair. Prowadzą skomplikowany i bardzo niebezpieczny interes.

- Boże... - Jill westchnęła przeciągle. - Modesty nie miała pojęcia, w co się pakuje. Chciała tylko zdobyć kilka tysięcy na opłacenie podatków, a wywołała lawinę i skończyła na cmentarzu.

- Och, z rodzimymi rzezimieszkami radzimy sobie całkiem dobrze - uspokoił ją Zach. - Rosjanie pojawili się na międzynarodowym rynku dzieł sztuki całkiem niedawno.

- A Blanchard? Nasz stary dobry amerykański rzezimieszek. Myślisz, że to profesjonalista?

- Być może. Ciężko odróżnić profesjonalistów od amatorów. Wszyscy walczą do upadłego.

- Wygrywa ten, kto ostatni zostanie na placu boju - podsumowała chłodno.

- Mniej więcej. - Zach się przeciągnął. Samoloty czarterowe są o niebo lepsze niż lot w klasie ekonomicznej regularnych linii, ale fotele nie są przystosowane dla ludzi o długich nogach. - W centrali znaleźli też kilka ciekawych rzeczy na temat Dunstana.

- To znaczy?

- Był jednym z niewielu artystów Zachodu, którzy rzeczywiście pochodzili z... Zachodu.

Jill zamrugła.

- Naprawdę? A skąd pochodziła reszta?

- Moran i Bierstadt, na przykład, ze Wschodu. - Zach zakołysał plastikowym kubkiem i dopił resztki kawy.

Jill czekała.

- Malarze z tamtego okresu niewiele się od siebie różnili. - Wyciągnął rękę z pustym kubkiem w wyczekującym geście. - Miastowe chłopaki. Kończyli paryskie szkoły, albo uczyli się u mistrzów, którzy studiowali w Paryżu. Zarabiali na życie, ilustrując rządowe publikacje na temat Zachodu oraz artykuły do wschodnich czasopism. Albo uczyli.

- Jak na kogoś, kto nie skończył studiów... - zaczęła, nalewając mu do kubka resztkę kawy - .. .wiesz niezwykle dużo o sztuce Zachodu.

Wzruszył ramionami.

- Jak mówiłem, mogę ściemniać nawet najlepszym.

- To coś więcej. - Zakręciła termos. - Dlaczego jesteś taki wyczulony na tym punkcie?

Bo uczyłem się od pewnego bardzo wyczulonego sukinsyna, pomyślał. Głośno powiedział tylko:

- Dunstan urodził się i wychował na Zachodzie. Malował głównie w surowych plenerach Wielkiej Kotliny. Dla odmiany próbował też przedstawiać Taos, Santa Fe i Płaskowyż Kolorado. Studiował na Wschodzie, wrócił tworzyć w rodzinne strony. Ale o tym pewnie wiesz.

Pokręciła głową.

- Modesty nigdy nie opowiadała o swojej siostrze, a tym bardziej o jej kochankach. A mama... Mama wstydziła się tego, że była dzieckiem z nieprawego łoża. Rzadko wspominała o swojej matce i nigdy nie powiedziała słowa o mężczyźnie, który mógł być jej ojcem.

- Nie miałas łatwego życia.

Ku zaskoczeniu Zacha i swojemu własnemu Jill się uśmiechnęła.

- Jak człowiek kilka razy się przewróci, uczy się omijać wyboje. To się nazywa dorastanie.

- Nie każdemu się to udaje.

- Tobie się udało.

- Ale Thomasowi Dunstanowi nie. Pił. Urodził się w Wyoming, jako syn ubożego rolnika.

- Na Zachodzie jest wielu biedaków - powiedziała Jill. - Życie na suchej ziemi nie jest łatwe.

- Amen. Rodzina mojej matki była przeraźliwie biedna. Chcesz się dowiedzieć więcej o dawnym kochanku twojej babki?

- Chyba najwyższy czas, żebym usłyszała o nim coś więcej.

Zach oddał jej niedopity kubek z kawą i otworzył laptopa. Wybrał plik dotyczący Dunstana i zaczął czytać fragmenty dokumentów dziewczynie, która mogła być wnuczką tego żalostnego pijaka, a zarazem znakomitego malarza.

- .. .uznawany za kronikarza pustkowi Zachodu Dunstan, potrafił doskonale uchwycić majestat ziemi przed pojawieniem się na niej białego człowieka i bla bla bla... - zakończył, streszczając treść notatki.

Zachichotała i ukradkiem upiła łyk jego kawy. Zauważył to, puścił do niej oko i wrócił do przeglądania dokumentów w komputerze.

- .. .malował i niszczył płótna, dopóki nie stworzył takiego, które mu się podobało. Między obrazami zdarzały się wieloletnie przerwy.

- Szkoda, że inni malarze nie selekcjonowali swoich dzieł, zanim pokazali je światu - stwierdziła Jill. - Mam na myśli, na przykład, Picassa i Dalego.

Zach się roześmiał i dalej wybierał fragmenty.

- Dobrze się sprzedawał w swojej epoce, choć malował niewiele. Pił i to dużo. Nie bez znaczenia jest fakt, że zwrócono na to uwagę w czasach, kiedy nadużywanie alkoholu na Zachodzie nie było niczym nadzwyczajnym.

- Wygląda na to, że pieniądze ze sztuki szły na popijawy.

- W tamtych czasach popijawy były tanie. Za to słono kosztowało utrzymywanie rodziny i kochanki.

- Nie spodziewaj się, że będzie mi go żal.

- Nie spodziewam się. Mężczyzna rodzi się z dwiema głowami. Dunstan słuchał tej niemej.

Jill prawie się zakrztusiła kolejnym wypitym ukradkiem łykiem kawy.

- ... zanim zmarł, sprzedawał obrazy po dziesięć tysięcy dolarów za sztukę - ciągnął Zach obojętnym tonem. - Ówczesne dziesięć tysięcy to jak dzisiejsze pół miliona. Cholera, a może i milion. Inflacja robi swoje.

Odkasznąła.

- Wiadomo, kto kolekcjonował jego dzieła?

- Na początku głównie bogaci hodowcy bydła i magnaci kolejowi, prawdziwi ludzie Zachodu, którzy uważali, że nie ma na tej ziemi wyzwania, któremu nie byliby w stanie sprostać. Ale ostatnio... - Zach otworzył kolejny plik.

Jill czekała. Znow napiała się ukradkiem kawy i obserwowała uciekającą spod skrzydeł samolotu wyschniętą ziemię. Nadal trudno jej było uwierzyć, że życie jej niepokornej babki miało tak wiele wspólnego z życiem mężczyzny, który stał się ikoną sztuki Zachodu.

I bardzo drogim artystą.

W słuchawkach rozległ się cichy gwizd Zacha, który przerwał jej rozmyślenia.

- O co chodzi? - spytała.

Odwrócił ekran komputera tak, by mogła zobaczyć zestawienie cen za obrazy Dunstana od chwili jego śmierci do ostatniej sprzedaży sprzed roku.

Pięćset tysięcy dolarów pod koniec XX wieku.

Cztery miliony dolarów rok temu.

Za jeden obraz.

Jill miała wrażenie, że nagle znalazła się w stanie nieważkości. Z trudem przełknęła ślinę. Odwróciła się do Zacha, który przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- Cztery. Miliony. Dolarów? - spytała ochryplym głosem.

- Tak.

Pokręciła gwałtownie głową.

- Nie jestem w stanie tego wszystkiego ogarnąć. Nie mogę uwierzyć, że nasza rodzina posiada dwanaście Dunstanów, a tym bardziej że mają nieziemską wartość.

- Nie wiemy, czy to obrazy Dunstana.

- Ale wiemy, że zwróciły czyjąś uwagę - przypomniała mu, myśląc

o swoim biednym, starym samochodzie. I o pociętym na strzępy obrazie.

I o Modesty Breck. Martwej.

Rozdział 29

Snowbird, Utah 15 września, godzina 10.04

Ramsey Worthington starał się nie okazać zniecierpliwienia, gdy Cahill ostrożnie i powoli otwierał skrzynię z przesyłką od spadkobierców bogatego kolekcjonera sztuki Zachodu. Obrazy miały być gwoździem programu zbliżającej się aukcji.

Jako właściciel kilku galerii i organizator cieszących się dużym powodzeniem aukcji Worthington zdawał sobie sprawę, że nie powinien faworyzować żadnego artysty. A w każdym razie nie powinien nikomu zdradzać, że jest inaczej.

Jednak Cahill wiedział, że jego szef ma kompletnego bzika na punkcie obrazów Nicolai Fechina.

„Tatarski” malarz pochodził z Rosji, ale w pierwszej połowie XX wieku portretował rdzennych Amerykanów z Południowego Zachodu w swobodnym impresjonistycznym stylu, który sprawiał, że jego obrazy były osobiste, a zarazem uniwersalne.

Ponad pół wieku po śmierci Fechina jego prace osiągnęły wartość dotąd niespotykaną - grubo ponad sto tysięcy za płótno, i to za mniejsze dzieła. Jednak Worthington był pod wrażeniem bynajmniej nie z powodu setek tysięcy czy milionów dolarów, które warte były obrazy Fechina.

Po prostu lubił znajdować się w otoczeniu rzeczy wielkich.

Odkaszlnął. Oglądał zdjęcia obrazów Fechina ze zbiorów zmarłego kolekcjonera, jednak nie widział płócien na żywo.

Cahill stłumił uśmiech. Wiedział, że to małosłowne drażnić Worthingtona przeciąganiem odpakowania przesyłki, jednak zbyt dobrze się bawił. Wprawdzie rozumiał, że portrety Fechina są dziełami, jednak nie przemawiały do niego w jakiś szczególny sposób ani nie przyprawiały go o szybsze bicie serca. Brakowało im rozmachu i swobodnej wielkości

zwykłych pejzaży Thomasa Morana. To był dopiero artysta, który powalał na kolana.

Po kilku dodatkowych teatralnych gestach Cahill dał za wygraną i wyjął obraz ze starannie przygotowanego opakowania.

Worthington wydał cichy odgłos, coś pomiędzy westchnieniem a jękiem.

Cahill wyjął następne obrazy.

Worthington sapał i postękiwał.

- Przestań - powiedział Cahill. - Przez ciebie mi staje, a na lunch umówiłeś się z żoną.

Nawet jeśli Worthington go usłyszał, nie skomentował uwagi.

Cahill nie wysiłał się, żeby ukryć uśmiech. Związek Worthingtona z żoną często był powodem rozbawienia obu mężczyzn. Nie miała zielonego pojęcia o radosnej biseksualnej naturze męża.

W biurze Worthingtona zadzwonił telefon. Była to prywatna linia, zarezerwowana dla najlepszych klientów. Albo największych frajerów.

Worthington nie zwrócił uwagi na dzwoniący aparat. Pochłoneły go żywe barwy i wnikliwość portretów Nicolaia Fechina.

Cahill podbiegł i odebrał telefon.

- Skarby Sztuki Zachodu, mówi Jack Cahill. W czym mogę pomóc?

- Tu Betty Dunstan. Czy jest Ramsey? Chodzi o aukcję.

- Betty! Jak miło cię słyszeć. - Cahill przewrócił oczami. Nie musiał pytać, o jaką aukcję chodzi. Mająca odbyć się za kilka dni licytacja, organizowana przez Worthingtona, była najważniejszą w kręgach sztuki Zachodu. - Jak się miewasz? A Lee?

- Dobrze. Oczywiście denerwujemy się przed aukcją. Ale mam też kilka, hm, wątpliwości, o których chciałabym porozmawiać z Ramseyem.

- Oczywiście. Pozwolisz, że przełączę cię na oczekiwanie i odciągnę go od klienta. - Cahill wcisnął przycisk i spojrzał na Worthingtona. - I?

- Ty się nią zajmij. Mam już dość prowadzenia jej za rękę. Ty też masz w aukcji finansowy interes.

- Nie tak duży jak ty.

- Jestem właścicielem domu aukcyjnego i organizatorem aukcji - przypomniał Worthington. - Nic dziwnego, że lepiej zarabiam.

Czerwona lampka sygnalizująca rozmowę oczekującą migiała natarczywie.

- To jak będzie... - Cahill nie dał za wygraną.

- Do diabła, daj mi ją. Ty nie rozumiesz kobiet.

- Tej na pewno. Worthington się roześmiał.

- Betty jest miłą osobą, choć trochę nadwrażliwą. Nie wiem, jak wytrzymuje z tym nadętym osłem, swoim mężem.

Cahill pokręcił głową znów wcisnął guzik oczekiwania i oddał słuchawkę swojemu szefowi.

- Witaj, Betty. Jak zwykle, bardzo mi miło - odezwał się Worthington. - Przepraszam, że musiałaś czekać. Co mogę dla ciebie zrobić?

Cahill wyłączył się z rozmowy i zaczął sprzątać pokój. Co chwila zerkał na płótna Fechina, starając się pojąć ich siłę oddziaływania nie tylko intelektualnie, ale również emocjonalnie.

Może bardziej doceniłby jego dzieła, gdyby przestał myśleć o tym, że na tubylcach malowanych przez Fechina pełno było robactwa. Nie mógł wyzbyć się przyprawiającej o mdłości pewności, że wielu, o ile nie wszystkim modelom artysty przydałoby się porządne szorowanie ługiem. Na samą

myśl o pchłach i wszach pod rustykalnymi kostiumami Cahilla zaczynało wszystko swędzieć.

To właśnie dlatego nie podróżował do biednych miejsc na świecie. Higiena była jego religią.

Tym, co naprawdę fascynowało Cahilla, były eleganckie, a zarazem dzikie pejzaże Morana.

- .. .zapewniam cię - powiedział Worthington spokojnie, ale głośno - ...gdyby na rynku krążył jakiś zabłąkany Dunstan, wiedziałbym o tym pierwszy.

Słuchał z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Tak, tak, wiem, że są zdjęcia - powiedział. - Ale zdjęcia to tylko bezwartościowa kupa pikseli. Liczą się tylko płótna. Reszta to...

Worthington słuchał Betty Dunstan z poczerwieniałą twarzą. Złości nie było słyhać, ale niewątpliwie było ją widać.

- Betty, moja droga, niepotrzebnie się denerwujesz - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał kojąco. - Jeśli istnieje jakiś nieznany Dunstan, na co nie ma żadnego dowodu, ostatnie słowo w kwestii jego autentyczności będzie miał Lee. Jest autorem katalogu dzieł twórczości Dunstana i to on potwierdza autentyczność każdego obrazu.

Cahill przestał udawać zajętego i słuchał. Jak słusznie zauważył Worthington, miał finansowy interes w zbliżającej się aukcji.

- Tak, jestem zupełnie pewien - zapewnił Worthington. - Nie ma powodu do obaw. Po skończonej aukcji ty i Lee będziecie bardzo zadowoleni. I żadne Dunstany niewiadomego pochodzenia tego nie zmienią. O ile w ogóle istnieją.

Worthington przełożył słuchawkę do drugiej ręki. Cahill czekał.

- Ależ to żaden problem, moja droga - powiedział uspokajająco Worthington. - Wszyscy jesteśmy przejęci zbliżającą się aukcją. Cieszę się, że udało mi się trochę cię uspokoić.

Worthington otworzył usta, po czym je zamknął i ugryzł się w język. Cahill przechadzał się po pokoju.

- Rozumiem - potaknął Worthington. - Oczywiście. Dowiesz się jako pierwsza, jeśli dotrą do nas wiarygodne informacje na temat istnienia nieznanymi Dunstanów.

Cahill udawał, że przygląda się portretowi młodej indiańskiej dziewczyny, pędzla Fechina. Jej czarne oczy były niewinne, a jednocześnie niepokojąco stare. Do diabła z robactwem, pomyślał. Sposób, w jaki Fechin przedstawił starczą mądrość w oczach dziewczyny, był prawdziwie ponadczasowy.

A robactwo?

Cahill westchnął. Cokolwiek by robił, nie był w stanie zapomnieć o rzeczywistości na rzecz sztuki.

Worthington odłożył słuchawkę i spojrzał na Cahilla.

- Ciągłe niepokoją cię wszy? - spytał ironicznie.

- Prawie udało mi się o nich zapomnieć. W oczach tej dziewczyny jest coś niesamowitego. Coś porywającego.

- Wyraziste, niemal żywe oczy są charakterystycznym elementem wszystkich portretów Fechina. To dlatego jego prace są tak niezwykłe.

- Faktycznie. - Ale nie dla mnie. Wciąż nie mogę przestać myśleć o robalach. - Domyślam się, że pani Dunstan szaleje z powodu zdjęć?

Worthington się skrzywił.

- Przez nią i panią Talbert wyląduję w psychiatryku, zanim jeszcze zacznie się aukcja.

- Lee Dunstan już nie raz i nie dwa suszył mi głowę - powiedział Cahill. - Ma obsesję na punkcie kochanki swojego ojca.

- Rozumiem wściekłość Lee, bo to z powodu Justine Breck Thomas Dunstan pozostawił po sobie stosunkowo niewiele prac. Bóg jeden wie, ile świat malarstwa Zachodu stracił przez tę kobietę.

- Grube miliony, jeśli wierzyć naszym prognozom dotyczącym aukcji.

- No właśnie - zirytował się Worthington. - Co gorsza, nienamalowane lub zniszczone dzieła Dunstana to bezpowrotnie stracona szansa głębszego wejrzenia w umierający świat dawnego Zachodu oczami tego wyjątkowego artysty.

- Ćwiczysz przemówienie na aukcję? Worthington się uśmiechnął.

- Oczywiście. Ludzie pojawiają się na podobnych imprezach nie tylko po to, żeby kupować dzieła sztuki. Szukają nowych przeżyć, rozrywki, okazji, żeby zaistnieć w towarzystwie.

Cahill się roześmiał i pokręcił głową.

- Czy nasza aukcja naprawdę będzie takim sukcesem, jak to opisałeś pani Dunstan?

Uśmiech znikł z twarzy Worthingtona.

- Lepiej dla nas, żeby tak było.

Rozdział 30

Park City 15 września, godzina 10.15

Jill wyglądała przez okno, kiedy samolot lądował na małym lotnisku na wschodnim krańcu Salt Lake City. Gdy tylko koła dotknęły pasa, w stronę płyty lotniskowej ruszyła cysterna z paliwem. Do wyznaczonego miejsca postoju podeszło trzech ludzi. Czekali na samolot. Mieli na sobie cywilne ubrania, jednak wyglądali tak, jakby byli w pracy. Byli czujni, podobnie jak Zach.

Gdy drzwi samolotu się otworzyły, Zach zszedł po schodkach. Rozmawiał krótko z jednym z mężczyzn, od którego otrzymał pęk kluczy, a później zaczął wydawać polecenia pozostałym. Podrzucił kluczyki w dłoń i odwrócił się do Jill, która pojawiła się u szczytu metalowych schodków samolotu. Przebrała się w czarne dżinsy i jedwabną zieloną bluzkę, która podkreślała jej kolor oczu.

Wyglądała cholernie seksownie.

- Chodźmy - powiedział. - Nie mamy zbyt wiele czasu, jeśli chcemy dotrzeć do Taos przed wieczorem. Zostaw wszystko w samolocie.

- Do Taos? Wieczorem? Zach ruszył przed siebie.

- Do Snowbird powinniśmy dojechać w pół godziny.

Jill wróciła szybko do kabiny, chwyciła swoją saszetkę i zbiegła za Zachem po schodkach. Ledwie usiadła w skórzanym fotelu wypożyczonego samochodu, uruchomił silnik i ruszył w stronę Snowbird, nie zwracając najmniejszej uwagi na obowiązujące ograniczenia prędkości.

Bardzo szybko znaleźli się w górach. Strzeliste szczyty skąpane były w słońcu. Osiki rozjaśniały wąwozy i górskie grzbiety niczym złoty jesienny ogień. Jill opuściła szybę i zaczęła głęboko oddychać. Miała wrażenie, że wczorajsza huśtawka emocji - od strachu, do poczucia bezpieczeństwa, i z powrotem do strachu - była tylko złym snem.

Siedzący obok niej brunet o bursztynowych oczach i z kilkunastu zarostem obserwował drogę, nie krajobrazy.

- Jak tu pięknie - zachwyciła się Jill.

Zach spojrział na górskie szczyty, tak naprawdę wcale ich nie widząc. W myślach rozważał różne plany działania, w zależności od reakcji właścicieli galerii. Poza tym ciążyła mu nieprzyjemna perspektywa spotkania z ciętym, złośliwym językiem Garlanda Frosta.

- Tak, rzeczywiście ładnie - odpowiedział automatycznie. Pomyślała o samolocie.

- Czy obrazy są bez nas bezpieczne? Spojrział na nią kątem oka.

- Nieważne - powiedziała. - Zapomnij, że pytałam. Wiem, teraz rządzi St. Kilda i tak dalej.

Zach uśmiechnął się łagodnie, poprawiając uchwyt na kierownicy nowego džipa. Jediną oznaką tego, że samochód pochodzi z miejscowej wypożyczalni, była dyskretna naklejka na zderzaku.

Jill rozejrzała się po wnętrzu auta. Pomyślała o szybkim małym samolocie i trzech mężczyznach, którzy otoczyli go niczym wartownicy. Zastanawiała się, czy są uzbrojeni.

Później pomyślała o Joem Faroe, Zachu Balfourze i całej St. Kildzie.

Na pewno byli uzbrojeni.

- Kto za to wszystko płaci? - spytała. - Za samochody, samolot, telefon komórkowy i satelitarny, informacje...

- Spytaj Faroe'a - uciał Zach. - To on kieruje tą operacją.

- Myślałam, że ty.

- Ja tylko wykonuję polecenia. A Faroe uczy się w tej chwili, jak niańczy dziewczynkę.

- Dziewczynkę? O rety. - Jill się roześmiała.

- Tak, będzie mu spędzała sen z powiek przez najbliższych trzydzieści lat.

- Jak ma na imię?

- Kłopot.

Jill przewróciła wymownie oczami.

- Raczej w to wątpię.

- Ja nie. Faroe ojcem został późno, ale należy do tych nadopiekuńczych.

- Jak to: późno? Przecież Lane ma szesnaście lat.

- To długa historia.

Jill była zaintrygowana, ale nie drażyła tematu. Jej życie również było pełne długich historii. Szanowała rodzinną prywatność.

- Na pewno nie będzie gorszy niż ojciec jednej z moich koleżanek z liceum - powiedziała. - Był weterynarzem. Kiedy Sara skończyła piętnaście lat, na drzwiach wejściowych zamocował nóż do kastracji. Twierdził, że sprawdzi się jako kołatka.

Zach parsknął.

- I co, dużo miała randek?

- Zero, dopóki nie wyjechała na studia. Pokręcił głową i docisnął pedał gazu.

Jechał naprawdę szybko. Jill pewnie by się denerwowała, ale wiedziała, że jeżeli dobry kierowca prowadzi dobry samochód, to nie powinni wypaść z drogi. Oparła się i rozluźniła, co rzadko jej się zdarzało, kiedy ktoś inny siedział za kółkiem.

Prowadził w sposób skoordynowany, płynny, szybki, przewidujący. Ciekawe, w czym jeszcze jest dobry?

Miała ochotę wypróbować z nim kilka rzeczy. Niekoniecznie tych na czterech kółkach.

Bardzo szybko w dzikiej górskiej scenerii pojawiły się chaty, wyciągi krzesełkowe i puste stoki.

- Dobra, czas na teatrzyk - powiedział Zach. - Jesteś...

- Słodką miłą lalunią - ucięła. - A ty jesteś facetem pokroju tych, jakich ojciec Sary chciał zniechęcić nożem na drzwiach.

Zach się skrzywił.

- Niezbyt przyjemna wizja.

- Jestem pewna, że niejednemu amantowi wybiła amory z głowy. Zach pomyślał, że na drzwiach Jill nóż na nic by się nie zdał, ale nie

powiedział tego głośno. Już i tak był w tarapatkach, bo jej pragnął. Gdyby się zorientowała, co do niej czuje, i z tego powodu wycofała, nieźle rokująca operacja zamieniłaby się w jedno wielkie gówno.

Jak Faroe zdołał uratować Grace życie, szalejąc za nią z pożądania?

Nie spytał szefa o to, kiedy miał okazję, a teraz było już za późno.

Planował jeszcze raz omówić z Jill scenariusz wizyty w galerii, ale zrezygnował. Nie jest głupia. Jeżeli trzeba będzie zmodyfikować plan w trakcie gry, jest na tyle bystra, że się połapie.

Bardziej martwił się o to, czy da radę przewidzieć jej posunięcia. Była przyzwyczajona do załatwiania spraw po swojemu. Jeśli przejmie inicjatywę, może niechęć otworzyć niewłaściwe drzwi. A Zach z doświadczenia wiedział to, o czym Jill jedynie słyszała. Za niektórymi drzwiami czai się śmierć.

Rozdział 31

Snowbird 15 września, godzina 11.03

Pierwsza galeria, którą odwiedzili, mieściła się w górskiej chacie przy stacji jednego z wyciągów narciarskich. Stoki poza miastem były nadal nagie i suche, nigdzie nie było nawet płątka śniegu. Bez trudu znaleźli miejsce parkingowe.

- „Blask Zachodu, pani Joanna Waverly - Benet” - odczytała z szyldu Jill. - To jedna z galerii, do których wysłałam zdjęcia.

Zach już to wiedział, ale skinął głową.

- Skoro wielcy nie byli zainteresowani, pomyślałam, że może mniejsza galeria, która nie cieszy się wielkim rozgłosem, zechce nawiązać współpracę - wyjaśniła Jill.

- Sprytnie. I trafnie.

- Jak to?

- Shawna twierdzi, że pani Waverly - Benet jest nowa w kręgu handlujących sztuką Zachodu. Specjalizuje się w malarzach epoki Dunstana. Właściwie nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że Hillhouse przesłał jej do obejrzenia obraz Modesty, kiedy badał rynek.

- Na mój mail nie odpowiedziała. Co prawda, od wczorajszego wieczoru nie sprawdzałam poczty.

Zach wyjął telefon satelitarno - komórkowy, zmarszczył brwi na widok wskaźnika poziomu baterii i stwierdził, że nie ma żadnych nowych wiadomości z St. Kildy.

- Pani Waverly - Benet nie odpowiedziała na twój mail - powiedział. - Wygląda na to, że przynęty nie złapały nawet płotki.

- Dziękuję bardzo, że włamałeś się do mojej skrzynki.

- St. Kilda jest zawsze do usług.

Jill wysiadła z wielkiej terenówki, głośno trzasnęła drzwiami i ruszyła w stronę galerii. Odruchowo chwyciła się w tali, sprawdzając czy ma saszetkę. Wtedy przypomniała

sobie, że zostawiła ją na tylnym siedzeniu samochodu, bo sztywny pasek haczył jej jedyną dobrą bluzkę. Zach szedł tuż za nią, ale po chwili ją wyprzedził.

- Ja wchodzę pierwszy, pamiętasz? - powiedział uprzejmie.

- Rycerze naprawdę wymarli.

- Pozabijali się, bo wszędzie wchodzili pierwsi - odparował. Wielkie okna pozwoliły Zachowi zajrzeć do galerii. We środku było

czysto, przestronnie i jasno. Żadnych niespodzianek. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, włącznie ze szczupłą brunetką przy komputerze obok głównej sali. Właśnie chwytając z biurka słuchawkę.

- Zmiana planu - oznajmił Zach. - Będę dla niej miły.

- Czeka cię prawdziwe wyzwanie.

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po karku, poprawiając kołnierzyk jedwabnej bluzki.

Spojrzała na niego zaskoczona. Po chwili odwzajemniła uśmiech i wygładziła kołnierzyk jego czarnej bawełnianej koszuli, celowo wsuwając palce pod materiał.

Przymknął powieki.

- Rozpraszasz mnie.

- Nawzajem. - Uśmiechnęła się do niego, przesunęła dłoń po jego szyi tak, że czuła puls, i cofnęła rękę.

Jego leniwy uśmiech niósł ostrzeżenie i obietnicę. Zach otworzył drzwi. Wszedł przy akompaniamencie wesołej melodii elektronicznego dzwonka i przytrzymał drzwi dla Jill.

- Już do państwa podchodzę! - krzyknęła kobieta, podnosząc słuchawkę.

- Nie ma pośpiechu - odpowiedział Zach z uśmiechem.

Kobieta zamrugnęła, zaskoczona łagodnym głosem i przyjaznym wyrazem twarzy postawnego mężczyzny, któremu zarostu mógł pozazdrościć niejeden filmowy brutal.

Odwzajemniła uśmiech i ściszone głosem zaczęła rozmawiać przez telefon.

Jill oddaliła się, żeby obejrzeć ścianę ekspozycję impresjonistów. Kilka obrazów przedstawiało nieistniejący już amerykański Zachód, jednak większość ukazywała śnieżycę na Syberii, Paryż w wiosennym deszczu, tancerki wygięte przy drążku w stylu Degasa albo wiejskie stogi siana, które liczni naśladowcy Moneta zamienili w banał.

Niemal spodziewała się, że zaraz zobaczy wazon słoneczników namalowany w hołdzie van Goghowi.

Zach zerknął na obrazy, a potem wymownie odwrócił wzrok, dając do zrozumienia, że już nieraz widział podobne „dzieła” i że nie robiły na nim specjalnego wrażenia.

W tle słyhać było szept kobiety. Nie dało się podsłuchać, o czym mówiła cichym, spokojnym tonem.

Jill z zaciekawieniem spoglądała na tabliczki z nazwiskami artystów, którzy bez wątpienia wychowali się na klasycznym impresjonizmie. Wszystkie nazwiska były rosyjskie, a obrazy pochodziły z XIX lub XX wieku.

Wszystkie miały sześciocyfrowe ceny wywoławcze.

Niezależnie od tematu, rosyjscy malarze prezentowali nienaganną technikę, podobnie jak supergwiazdy jazdy figurowej na lodzie, gimnastyki i baletu, z których niegdyś słyhał Związek Radziecki.

- Marszczysz brwi - powiedział Zach do Jill. - Coś się stało?

- Nie. Właśnie w tym problem. Uniósł brew.

- To znaczy?

- Technika tych obrazów jest perfekcyjna. Światło. Cień. Kolor. Proporcje. Pociągnięcia pędzla. Wszystko.

- Denerwuje cię to, co? - spytał drwiąco.

- Przypomina mi o czymś, o czym wspomniałeś wcześniej w związku z rosyjskim impresjonizmem i... - spojrzała szybko na kobietę, która nadal rozmawiała przez telefon - ... i mafią.

- Tak, tego rodzaju prace masowo zalewają rynek - przyznał Zach, podchodząc do innej ściany, na której znajdowały się płótna przedstawiające scenki z amerykańskiego Zachodu. - Tylko w ten sposób nowa rosyjska oligarchia ma szansę wyciągnąć kasę z dawnego Związku Radzieckiego.

- Niesamowite. - Jill pochyliła się nad obrazem.

- Ceny?

- To też.

Uśmiech Zacha nie dodawał otuchy.

- Prawdziwy problem polega na tym, że nikt tak naprawdę nie wie, które obrazy są oryginalne, a które zostały sfabrykowane w malarskich manufakturach współczesnej Rosji.

- Włosi za czasów Leonarda robili to samo. Pod wielkim nazwiskiem malarza prace tworzyła grupa jego „uczniów”. - Przeszła się do następnego malowidła, słonecznego blasku na wodzie. - Naprawdę niewiarygodna technika.

- Wolę twoją.

Gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę.

- Co moje?

- Technikę. Tę, którą zastosowałaś, malując konia na wietrze. Poczułem chłód pustynnej zimy, a przecież patrzyłem tylko na zdjęcie.

Lekko przechyliła głowę na bok.

- Mówisz o obrazie z akademii w Pomonie?

- Jesteś zbyt skromna. Wisi tam sześć twoich obrazów. Przy dobrej reklamie i odpowiednim pośredniku odniosłabyś komercyjny sukces. A gdybyś rozkochała w sobie krytyków, mogłabyś nawet stać się „wielką” malarką.

Jill wzruszyła ramionami.

- Przyzwoitych malarzy jest tyle, co końskich much. Odwiedź pierwszą lepszą akademię sztuk pięknych.

Zach pokręcił głową.

- Jesteś zdecydowanie niepospolitym okazem końskiej muchy.

- Dzięki. Mam nadzieję.

- Masz jeszcze jakieś obrazy? - spytał od niechcienia, ale wzrok miał skupiony, przenikliwy.

- Miałam - odpowiedziała, przyglądając się, a jakże, wazonowi słoneczników. - Wszystkie rozdałam przyjaciołom, kiedy wracałam do pracy na rzece.

- Pejzaże?

- W większości. Było też kilka portretów. - Nagle znieruchomiała. - Myślisz, że to ja namalowałam obrazy Modesty.

- Przeszło mi to przez myśl.

Głupotą było się złościć, a tym bardziej czuć się dotkniętą, jednak Jill tak właśnie się czuła.

- Dzięki za wotum nieufności.

- Gdybym nie brał pod uwagę możliwości, że to ty namalowałaś obrazy, pracowałbym w McDonalddie, a nie dla St. Kildy. Nigdy nie lekceważ rzeczy oczywistych: to nasza pierwsza zasada.

- Świetnie. Jak tylko znajdę długi gwóźdź i młotek, przybiję ci na czole złotą gwiazdę.

- To nie ty namalowałaś płótna z kufra Modesty - stwierdził Zach, nie zwracając uwagi na uszczypliwość Jill.

- Tego się dowiedziała St. Kilda od szkoły w Pomonie?

- Tego się dowiedziałem z twoich obrazów. Wiesz, co znaczy samodzielność, ale nie samotność.

- W przeciwieństwie do tego, kto namalował obrazy z kufra.

- I tak, i nie - powiedział Zach. - W tych dwunastu obrazach jest trawiący gniew, uwięziona zwierzęca wściekłość na wszystko, co powstrzymuje przed zachłyśnięciem się otaczającą wolnością. W twoich obrazach nie ma wściekłości. Przyjmujesz życie i ziemię takimi, jakie są. Jesteś sama z ziemią, nie sama na niej.

- A ty jesteś zawodowym kłamcą - burknęła, nie chcąc dać się zwieść złudzeniu, że Zach rozumie jej malarstwo.

I ją.

Dość że działał na nią deprymująco w fizyczny sposób. Nie potrzebowała dodatkowych komplikacji związanych z jego inteligencją.

- Zdarza się, że kłamię - przyznał. - Ale teraz akurat nie. Jill wypuściła głośno powietrze.

- Nie mogę przestać myśleć o zniszczonym obrazie i o tym, że Ford Hillhouse sugerował, że to wielkie oszustwo, a mimo to chciał zapłacić Modesty dwa tysiące za święty spokój. Poza tym, jak można „zgubić” obraz?

- Wysyłając go do trzech lub czterech innych pośredników z prośbą o opinię. Jeden z nich ma pecha przy wysyłce i obraz ginie. Zdarza się. To dlatego przesyłki są ubezpieczone. Spytaj kogokolwiek z branży.

- Ale...

- Nie byłbym zaskoczony, gdyby Hillhouse pokazał obraz kilku kolekcjonerom Dunstana, tylko po to, żeby przekonać się, czy któryś z nich wysunie hipotezę na temat jego pochodzenia.

- To oszustwo. Zach pokręcił głową.

- Nie, o ile sprzedający i kupujący mają świadomość, że autentyczność obrazu nie jest potwierdzona. Wtedy to tylko interes.

- Więc dlaczego Hillhouse posunął się do tego, żeby określić obraz jako falsyfikat?

- Miałem zamiar zadać mu to pytanie - odparł Zach. - Ale nie odbiera telefonów od St. Kildy. A skoro obraz jest w strzępach, nie ma sensu marnować czasu i ciągnąć Hillhouse'a za jaja pod mur. Jeśli będzie trzeba, wydobędę z niego odpowiedź na każde pytanie.

- Ale jeżeli nie będzie chciał z tobą rozmawiać... - Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy spojrzała Zachowi w oczy. Przełknęła ślinę, akceptując, że nie każdy człowiek jest do końca cywilizowany, mimo postępu cywilizacji.

- Kończy rozmowę - zauważył Zach, wskazując na kobietę.

- Skąd wiesz?

- Język ciała. Jesteś gotowa?

- Nigdy nie zrobię kariery jako malarka - mruknęła. - Nie potrafię malować, jednocześnie trzymając się za nos, a musiałabym to robić nieustannie, żeby nie czuć odoru bredni, które najwyraźniej są ważniejsze niż sama sztuka.

- Na tym właśnie polega kreowanie odpowiedniej atmosfery - stwierdził Zach. - Na wymyślaniu mnóstwa bredni, które się potem odpowiednio rozpowszechnia. A teraz postaraj się okiełznać swoją impulsywną naturę i bądź miła dla miłej pani sprzedawczyni.

Jill zacisnęła zęby.

- Dość ciężko udawać miłą wobec obcej kobiety, która nie odpisuje na maile i mogła maczać palce w śmierci mojej babki.

- Albo będziesz miła, albo idź się przejść. Wybieraj.

Jedno spojrzenie na Zacha wystarczyło, by Jill zrozumiała, że nie żartuje.

Wykrzywiła wargi w sztucznym uśmiechu i odwróciła się do eleganckiej brunetki, która się do nich zbliżała.

Rozdział 32

Snowbird 15 września, godzina 11.07

Zach przyglądał się zmierzającej w ich stronę kobiecie. Miała na sobie kaszmirowy sweter, dyskretnie odsłaniający obojczyk, boleśnie stylowe szpilki i czarne wełniane spodnie, które na pierwszy rzut oka kosztowały więcej, niż wynosiła tygodniowa pensja większości ludzi. Kolczyki z czarnymi perłami i elegancka, prosta złota broszka do kompletu wyglądały na prawdziwe i drogie.

- Witam, jestem Jo. Widzę, że podziwiają państwo rosyjskich impresjonistów. Ich technika...

- ... jest doskonale znana pośrednikom i konsultantom - uciał Zach, uśmiechając się, by złagodzić ostrość Swoich słów. - Przyjechaliśmy tu z panną Jillian Breck w związku z niesygnowanym obrazem Thomasa Dunstana, który być może widziała pani w zeszłym miesiącu, oraz zdjęciami niesygnowanych płócien, które zostały do pani niedawno przesłane mailem.

Na dźwięk nazwiska „Dunstan” kobieta otworzyła szeroko oczy i uniosła dłoń do szyi.

Zach dostrzegł w jej reakcji mimowolny wysięk, aby ukryć silny wstrząs. Najprawdopodobniej strach.

Poziom adrenaliny we krwi gwałtownie mu się podniósł.

W końcu ktoś nas zauważył.

- Coś nie tak? - spytał ze zmartwioną miną.

- Nie tak? - głos Waverly - Benet zrobił się nienaturalnie piskliwy. Odkaszlnęła, opuściła rękę i już normalnie powiedziała. - Nie. Tylko wołałabym tego obrazu nigdy nie zobaczyć. Przez niego straciłam sporą prowizję i wystawiłam na próbę dobrą wolę ludzi, którzy są bardzo ważni na rynku sztuki Zachodu.

- Bardzo przykro mi to słyszeć - powiedział grzecznie Zach. - Zawodowe animozje są, niestety, chlebem powszednim na rynku dzieł sztuki.

- Podobnie jak oszustwa - dodała beznamiętnie. Jill gwałtownie się poruszyła.

Przed wybuchem powstrzymał ją Zach, który lekko pogłaskał ją po rękę.

- Wysłałam obraz do niekwestionowanego znawcy twórczości Dunstana - powiedziała Waverly - Benet, wyraźnie spięta. - Przysłał mi najpaskudniejszy list, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Wytknął mi „niezaprzeczalny brak kompetencji” i dziwił się, jak w ogóle mogło mi przyjść do głowy, że obraz może być autentycznym Dunstanem.

Zach gwizdnął.

- To ostre słowa, nawet jak na tę branżę. Widziałem obraz. Było to wyjątkowe dzieło i nie powinno się obrażać nikogo, na kim wywarło wrażenie.

Panna Waverly - Benet poczuła się swobodniej, najwyraźniej ośmielona wyrozumiałością Zacha.

- Też tak myślę. Później okazało się, że ów ekspert doradził liczącemu się kolekcjonerowi sztuki Zachodu, który chciał umieścić jedno ze swoich płócien w mojej galerii, żeby tego nie robił, bo jestem idiotką.

Zach pokręcił głową.

- To zachowanie niegodne profesjonalisty. W zasadzie nadaje się do sądu. Przykro mi, że musiała pani przez to przejść.

Jill starała się za bardzo nie gapić na łagodnego, rozsądnego, wyrozumiałego i pełnego współczucia nieznanego, który posiadał ciało Zacha.

- Niestety, opinia tego eksperta jest jedyną, która się liczy - stwierdziła z goryczą Waverly - Benet. - Powiedzmy, że wyszła z Olimpu.

- Mówimy o Lee Dunstanie, synu Thomasa? - spytał Zach.

- Niestety, tak.

- Szkoda, że nie został artystą - rzekł Zach. - Ani wykształcenia, ani talentu.

Waverly - Benet westchnęła.

- Zgadzam się. Ale to on decyduje, które obrazy można uznać za oryginalne dzieła, i tyle.

Jill zmarszczyła brwi.

- Wiem, że to powszechne, zwłaszcza w Europie, że rodzina zmarłego artysty dziedziczy moralne prawo do tego, by oceniać, czy dzieło jest autentyczne. Bez potwierdzenia autorstwa przez rodzinę może ono zostać uznane za nieautentyczne, lub, co gorsza, za sfałszowane.

Waverly - Benet się wzdrygnęła.

- Spadkobiercy Picassa dorobili się na tym bardzo dużych pieniędzy - powiedział Zach. - Ale w amerykańskiej sztuce to dość rzadkie zjawisko.

- Ostatnio nie. - Waverly - Benet znowu zeszywniała. - Im słynniejszy artysta, tym większe prawdopodobieństwo, że pojawi się moralny autorytet, który zechce sprawować władzę życia i śmierci nad kwestionowanymi dziełami. Może to być członek rodziny, ale również profesor, kurator lub krytyk, który całe życie poświęcił studiom nad dziełami artysty i wydał katalog prac.

- Och, tak - stwierdziła Jill. - Nie ma to jak odpowiednia atmosfera. Zach stłumił uśmiech.

Waverly - Benet nie miała czego tłumić. Pod elegancką powierzchownością kryły się złość i strach. Wbiła ciemne oczy w Jill.

- Jeżeli nadal usiłuje pani sprzedać obraz, który odesłałam do Hillhouse'a, powinna pani wiedzieć, że naraża się na poważne problemy prawne.

- Modesty Breck wysłała obraz do wyceny, to wszystko - odpowiedziała Jill. - Nigdy nie padło słowo „sprzedaż”.

- Tak zwany Dunstan został oceniony przez ekspertów i uznany za dzieło nieautentyczne - oznajmiła Waverly - Benet.

- Jeżeli przyszła pani nadal zawracać mi tym głowę, to marnuje pani mój czas i bardzo szkodzi mojej reputacji.

- Ale uznała pani obraz za wystarczająco dobry, by... - zaczęła Jill.

- Najwyraźniej się myliłam - ucięła Waverly - Benet. - Dość już miałam kłopotów przez to płótno. Nie chcę mieć z nim więcej nic wspólnego. O ile nie chcą państwo rozmawiać o czymś innym, proszę wyjść.

Jill zamierzała coś powiedzieć.

Zach położył dłoń na jej ręce. I ścisnął ją.

- Przepraszamy za kłopot - powiedział do Waverly - Benet. - Nie będziemy dłużej zawracać pani głowy.

Jill pozwoliła się wyprowadzić na zewnątrz, do terenówki.

- To kobieta przerażona - stwierdziła Jill, kiedy Zach uruchomił silnik.

- Siedzi na milionach dolarów w towarze, czynsz za wynajem lokalu w kurorcie narciarskim wynosi tyle, że można by nim wesprzeć mały kraj Trzeciego Świata, a jej reputacja w kręgach znawców sztuki została właśnie poważnie nadszarpnięta. Nic dziwnego, że jest przerażona.

- Mimo wszystko, nie ma prawa...

- Ty też powinnaś być przerażona - ciągnął Zach. - Jej grozi, że straci środki do życia. Tobie: że stracisz życie.

Rozdział 33

Snowbird 15 września, godzina 11.18

Tym razem ja będę nieuprzejmy, a ty wyrozumiała - oznajmił Zach, kiedy zbliżali się do następnej galerii.

- Czy to znaczy, że laleczka ma zacząć gadać? Zerknął na nią kątem oka.

- Czyżbym poprzednim razem przekroczył granice?

- Jakie granice?

- I właśnie dlatego mówiłem ja - odparł dobrotliwie. - Ty nie znasz granic.

- Tak? A ja myślałam, że twoim ciałem zawładnął po prostu wyjątkowo uprzejmy kosmita.

- To się przygotuj na nieuprzejmego kosmitę.

- Tym akurat mnie nie zaskoczysz - mruknęła pod nosem.

- Kosmici mają doskonały słuch.

Zamilkła i zaczęła się przyglądać guzikowi dzwonka, zamkniętym drzwiom i bardzo rzucającemu się w oczy strażnikowi.

- Wygląda jak bank.

- Dzieła sztuki są poręczne i cenne, a takiej kombinacji bandyci nie potrafią się oprzeć. Worthington przygotowuje się do aukcji w Las Vegas. W tej galerii znajduje się kilkadziesiąt naprawdę wartościowych płócien, które czekają na przewiezienie na miejsce licytacji.

- Przecież aukcja jest już za cztery dni. Czemu nadal są tutaj?

- Hotel, w którym odbędzie się aukcja, prawdopodobnie nie chce brać na siebie ryzyka i odpowiedzialności za przechowywanie obrazów. A może wycofali się agenci ubezpieczeniowi. Mówię ci, sztuka to interes.

Kiedy Zach przycisnął guzik dzwonka, zauważył na szybie świeżo wykaligrafowany napis: Ramsey Worthington, dzieła sztuki.

- Fachowo zabrał się do rzeczy - stwierdził Zach.
- Co?
- Worthington. - Zach wskazał napis. - W nowym szyldzie nie podkreśla, że zajmuje się sztuką Zachodu.
- Ciężko zostać następcą Sotheby's, jeżeli się nosi kowbojki i sznurkowy krawat - zauważyła drwiąco Jill.
- Zach uśmiechnął się i ponownie nacisnął dzwonek.
- Nikt nie wybiega nam na powitanie, bo nie pasujesz do tego miejsca - powiedziała cicho Jill.
- W tym cała rzecz.
- Ja też nie pasuję.
- Ty owszem - stwierdził. - Na zachód od Gór Skalistych wielu bogatych ludzi preferuje swobodny, ale szykowny styl.
- Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.
- Nigdy nie uważałam moich wyjściowych dżinsów za szykowne.
- Chodzi o ogólne wrażenie, nie tylko o ciuchy. - Spojrzał na nią, mając nadzieję, że nie widać, jaki jest podniecony. Bluzka, którą miała na sobie, nie była obcisła ani wydekoltowana, ale materiał przywarł do piersi Jill niczym cień. Była bez stanika.
- Doprowadzała go do szaleństwa.
- Biję od ciebie pewność siebie, fizyczna i psychiczna - stwierdził, zmuszając się, aby spojrzeć na galerię, a nie na to, co znajdowało się pod jedwabną bluzką Jill. - Ludzie, a zwłaszcza sprytni sprzedawcy, podświadomie utożsamiają czyjaś pewność siebie z bogactwem. Ty, jako zamożna osoba, nie naśladujesz niczyjego stylu, tylko go narzucasz. Masz tyle kasy, że stać cię na bycie indywidualistką, okej?
- W takim razie, co robię z takim nieokrzesanцем, jak ty?
- To, co zwykle.
- To znaczy?
- Uprawiasz dziki seks.

Jill nie zdążyła ochłonać po odpowiedzi Zacha, kiedy drzwi otworzyła im uśmiechnięta młoda kobieta. Sympatyczna, promienna blondynka, pewnie zaraz po studiach. Wyglądała bardziej na specjalistkę marketingu niż absolwentkę akademii sztuk pięknych. Na identyfikatorze miała napisane: Christa Moore.

Strażnik przy wejściu się nie uśmiechał. Obserwował Zacha, który w duchu pochwalił czujność ochroniarza.

- Witam - odezwała się ciepło panna Moore. - W czym mogę pomóc?

- Nie może pani, chyba że jest pani Ramseyem Worthingtonem w damskim przebraniu - odparował Zach.

Jill była wprawdzie przygotowana na to, że będzie niemiły, jednak ostry ton jego głosu ją zaskoczył.

Panna Moore odruchowo obejrzała się przez ramię. Między przykuwającym uwagę portretem kobiety z plemienia Apaczów a rzeźbą bizona wystawiającego nozdrza na wiatr, znajdowały się drzwi z napisem: Pomieszczenie prywatne. Choć bizon był nieruchomy, wydawał się niesamowicie żywy.

- Czy są państwo umówieni z konkretnym sprzedawcą albo... - zaczęła.

- Z Ramseyem Worthingtonem — uciął niecierpliwie Zach. Kobieta zamrugła i odruchowo cofnęła się o krok. Jill przesunęła się

na wolne miejsce. Zach stanął tuż za nią.

Panna Moore wydała cichy pomruk zdenerwowania.

- Och. Pan Worthington nikogo nie uprzedził, że ma zaplanowane spotkanie.

Zach wzruszył ramionami i zaczął ostentacyjnie rozglądać się po galerii, dając do zrozumienia, że ani problemy dziewczyny ani jej miejsce pracy nie robią na nim wrażenia.

- Proszę powiedzieć panu Worthingtonowi, że przyjechałam obejrzeć jego zbiory malarstwa Zachodu - odezwała się gładko Jill.

- Cóż, obawiam się, że z tym może być problem - oznajmiła kobieta, zwracając się do Jill. Najwyraźniej czuła ulgę, że ma do czynienia z kimś mniej obcesowym niż Zach. - Pan Worthington jest w trakcie przygotowań do aukcji w Las Vegas i bardzo stanowczo polecił, żeby mu nie przeszkadzać. Może porozmawiają państwo z panem Cahillem, kierownikiem galerii?

- Niech pani zawoła Worthingtona - powiedział Zach, nie patrząc na kobietę. - Na lotnisku czeka na nas samolot, ma nas zabrać do Telluride. Jeżeli wielki wódz jest zbyt zajęty, żeby sprzedać nam obraz, poszukamy innej galerii.

- Cóż, dobrze, oczywiście - odpowiedziała kobieta. - Przepraszam państwa na chwilę. Pójdę porozmawiać z panem Worthingtonem. To może chwilę potrwać, zwłaszcza jeśli rozmawia z którymś z kolekcjonerów na temat zbliżającej się aukcji.

- Albo tu będziemy, jak się wynurzy, albo nie - oznajmił Zach. Ton jego głosu wskazywał, że jest mu to zupełnie obojętne.

Kobieta pośpiesznie się oddaliła.

Jill rozejrzała się dookoła, mierząc wzrokiem strażnika za biurkiem. Dzielił swoją uwagę między Zacha a pięć monitorów, które pokazywały obraz z kamer obejmujących zasięgiem każdy centymetr powierzchni galerii.

W chwili, gdy panna Moore otwierała drzwi gabinetu szefa, Zach krzyknął donośnym głosem:

- Niech mu pani powie, że to właścicielka niedawno odkrytego Dunstana, który został mu przysłany do wyceny!

Kobieta zamarła, po czym wpadła do gabinetu, jakby ją ktoś ścigał.

- Widać wie, o jakim obrazie mówisz - szepnęła Jill.

- O, tak. W końcu.

Teraz trzeba się tylko modlić, żeby Ramsey Worthington połknął haczyk.

Rozdział 34

Snowbird 15 września, godzina 11.22

Przynajmniej nie będzie to zupełna strata czasu - powiedział Zach, spoglądając na zegarek.

- Czemu?

- Spójrz za siebie. - Wskazał dłonią długą ścianę obwieszoną dziełami, które nadawały sens określeniu „sztuka piękna”.

Jill odwróciła się, wzięła krótki wdech i bez wahania podeszła do ściany.

Zach obserwował ją z przyjemnością. Gra, którą prowadzili, oraz towarzyszące jej niecierpliwość i podniecenie sprawiały, że chód Jill zyskiwał coś szczególnego.

Nawet strażnik zwrócił na to uwagę.

Zach podszedł za nią do ściany z obrazami. Po drodze wziął z leżącego stosu katalog dzieł, które miały być wystawione na zbliżającej się aukcji w Las Vegas. Niemal wszystkie obrazy oprawione były w tradycyjne lub nowoczesne złożone ramy. Wiele z nich miało tak imponujące rozmiary, że aż prosiło się o powieszenie nad gigantycznym kominkiem w jednej z kosztownych rezydencji w Vail, Telluride, Aspen lub Taos.

Albo w muzeum.

Jill szybko przeszła wzdłuż długiej ściany, a potem jeszcze raz, znacznie wolniej. W obu przypadkach wniosek był ten sam.

- Niewiarygodne - oznajmiła, kiedy Zach stanął obok niej.

- Nie przeczę - odparł. - Jest tu kilka naprawdę znakomitych płócien.

- Ale... Zach czekał.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że obrazy Modesty są na tyle dobre, by wisieć wśród nich, a nie stanowić jedynie tło -

powiedziała Jill. - Nie pasują jedynie rozmiarem. Żadne z tamtych płócien nie ma więcej niż metr z najdłuższej strony.

- Dunstan nie malował wielkich obrazów - przypomniał Zach. - Nie kierował się wartościami rynkowymi. Nie miał nawet pracowni z prawdziwego zdarzenia. Był artystą plenerowym. Jego pracownią były wielkie przestrzenie.

Pomyślała o niemal stale obecnym, zawsze nieprzewidywalnym wietrze Wielkiej Kotliny.

- Na dworze chyba nie dałoby się malować na wielkich płótnach. Zwłaszcza na wietrze. Byłyby jak latawce bez ogona.

- Dunstan na ogół przemieszczał się konno lub w odsłoniętym wozie - powiedział Zach, przypominając sobie to, czego dowiedział się od Garlanda Frosta. - Nie był w stanie targać ze sobą wielkich płócien.

- Ten, kto namalował obrazy Modesty, nie potrzebował wielkich płócien, żeby oddać bezmiar ziemi - stwierdziła Jill.

- To między innymi dlatego są świetne. Małe obrazy, które dotykają twojej duszy w wielki sposób.

Spojrzała na niego i dostrzegła, że jest żywo zainteresowany znajdującymi się przed nim malowidłami.

- Jesteś najbardziej nietypowym znawcą sztuki, jakiego znam.

- To przez zarost.

- Nie tylko. Wyglądasz na typowego samca. Rzucił jej wymowne „męskie” spojrzenie.

- Gdybyś miała co do tego wątpliwości, z przyjemnością udowodnię ci, że się mylisz.

- Nie sądzę, by Ramsey Worthington był zadowolony z pokazu seksu na żywo - odparła. - Ale dzięki za propozycję.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech, który zaraz potem zniknął, niczym błyskawica podczas burzy. Przeszedł powoli wzdłuż ściany.

- Wpadło ci coś w oko? - spytała Jill po chwili.
- Zawsze lubiłem Alberta Bierstadta i Thomasa Morana. - Zach wskazał dwa największe płótna. - Zwłaszcza Morana. Ale wolę jego mniejsze obrazy. Są mniej teatralne, więcej w nich prawdy. - Wzruszył ramionami. - Jestem w mniejszości.
- A Charlie Russel i Frederic Remington? - spytała Jill, podchodząc do dwóch innych obrazów.
- Byli XX - wiecznymi piewcami zachodniego folkloru kowbojów, Indian i traperów. - Zach spojrział na malowidła. - Obraz Russella jest typowy dla swojego gatunku. Remington ma ładny podpis.
- Zagryzła wargę, żeby stłumić śmiech.
- To chyba też niezłe osiągnięcie?
- Nawet najlepszym malarzom zdarzało się tworzyć przeciętne obrazy. Samo życie. Niestety, większości kupujących zależy bardziej na podpisie artysty niż na samym dziele. Prestiż wiąże się ze znanym nazwiskiem.
- Nie masz zbyt dobrego zdania o kolekcjonerach.
- Siedzę w tym interesie już kilka lat.
- Wydawało mi się, że pracowałeś w wywiadzie.
- Tak. - I zdarza mi się robić to nadal, tylko dla innego pracodawcy. Takiego, który rozumie, że zły wywiad prowadzi do fatalnej strategii, pomyślał.
- A co z artystami, których nazwiska nie są znane? - spytała, wskazując resztę obrazów. - Niektóre z tych płócien są całkiem niezłe, zarówno jeśli chodzi o technikę, jak i wybór tematu. A niektóre są niewiele lepsze niż ilustracje z dawnych czasopism.
- Bo niektóre naprawdę były ilustracjami do czasopism. Nie ma w tym nic złego. Sztuka Zachodu miała być przystępna. Nie trzeba akademickiego wykształcenia, by ją docenić.

- Wiele z tych obrazów moi wykładowcy określiliby jako sentymentalnie i intelektualnie naiwne.

- To język polityki, nie sztuki - odparł Zach. - Dawniej monopol na sztukę miał Kościół. Teraz pobieraniem marży zajmują się świeccy kapłani, sprzedający modernizm. Podobnie jak kiedyś Kościół, uzurpują sobie moralne prawo do ferowania wyroków na temat sztuki.

Jill bacznie przyglądała się Zachowi. Nie zauważył. Na każde płótno spoglądał ze znanostwem profesora ukrytego w ciele awanturnika.

Gdyby był obrazem, zapakowałaby go i zabrała ze sobą do domu.

Ale nie był, więc skupiła się na olbrzymich płótnach, pełnych kolorowych indiańskich bohaterów i kawalerzystów w niebieskich mundurach oraz czapkach zniszczonych przez złą pogodę i wojenną tułaczkę.

- Moi wykładowcy byliby niezwykle oburzeni... - stwierdziła Jill - .. .ale ten obraz naprawdę do mnie przemawia. Chyba zwyczajnie jestem prostytutką.

Zach spojrział na obraz i odszukał go w katalogu. Przy krótkiej notce biograficznej artysty podany był prognozowany pułap cenowy, jaki dzieło miało osiągnąć.

- Jesteś prostytutką z doskonałym gustem - odparł. - To Howard Ruckelshaus. Spodziewają się, że dostaną za niego od miliona do miliona dwustu tysięcy dolarów. Jeżeli na aukcji znajdą się zagorzali wielbiciel Ruckelshausa, nie zdziwię się, jeżeli po ostrej licytacji płótno pójdzie za półtora miliona. To właśnie jest najważniejsze w aukcjach: podniecenie i rekordy cenowe.

Jill spojrzała na Zacha, chcąc się upewnić, że nie żartuje, i znów zaczęła oglądać obrazy. Długą chwilę spędziła przy ogromnym portrecie zmokniętego i wycieńczonego kowboja w żółtym płaszczu, z siodłem w jednej i z uzdą w drugiej ręce.

W zagrodzie za nim stał zmęczony koń. Ze spuszczoneym łbem, jadł świeżo rozwiązana belę siana.

- Znam to - powiedziała Jill. - Takie zmęczenie, że człowiek się śłania. Ale koń musi być nakarmiony, napojony i wyczesany, zanim właściciel będzie mógł odpocząć.

- Prawo Zachodu?

- Prawo rancza. Najpierw zwierzęta, później ludzie.

Zatrzymała się przy kolejnym płótnie - epickim, świeżym i żywym, jakby dopiero co wyszedł spod pędzla artysty. Ukazywał scenę wbicia „złotego gwoźdźca” w punkcie spotkania przeciwległych nitek kolejowej linii transkontynentalnej. Dobrze odżywieni biali mężczyźni gratulowali sobie wykonania ważnego zadania.

Jednak głównej roli na obrazie nie odgrywali zadowoleni mężczyźni w garniturach, ale duża grupa chińskich robotników, którzy zostali odpędzeni na bok. Pozwolono im być świadkami wydarzenia, do którego doszło dzięki ich katorżniczej pracy, ale nikt im nie gratulował.

Jill westchnęła cicho i przyjrzała się robotnikom. Ich twarze były różne i niepowtarzalne, niemal bohaterskie. Stanowiły zupełne przeciwieństwo jednostajnych i pozbawionych wyrazu twarzy biznesmenów. Podobnie jak koń kowboja, Chińczycy ledwie trzymali się na nogach, tyle że zwierzęciem miał się kto zająć, a nimi nie.

- Wspaniały - zauważyła Jill. - Technika i kompozycja są klasycznie europejskie, ale robotnicy do złudzenia przypominają żołnierzyki z chińskiej porcelany. Odrębne indywidualności zjednoczone we wspólnym ludzkim losie.

- Twórcą jest chiński emigrant. Mieszka w Tuscon. - Zach przekartkował katalog. - Kiedyś zostanie uznany za wielkiego malarza, bo niewątpliwie nim jest. Zakładając, że galerie i kolekcjonerzy przełkną fakt, że Chińczyk maluje stary Dzikie Zachód.

- Bigoteria jest obrzydliwa.

- Jak wiele innych prawdziwych rzeczy. Ale nie martw się: ten obraz powinien się sprzedać za sześciocyfrową sumkę. Nieźle jak na faceta, który dopiero co przekroczył czterdziestkę.

Jill zaśmiała się cicho.

- Z czego się śmiejesz? - spytał.

- Z siebie - odpowiedziała. - Ukończyłam wydział malarstwa jednej z najbardziej prestiżowych szkół w Stanach Zjednoczonych, a jednak wiele z tych obrazów widzę po raz pierwszy w życiu. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że moja wiedza ogranicza się głównie do Europy. Większość moich wykładowców z amerykańskich dzieł uznawała jedynie puszkę zupy Campbella Warhola i przedwcześnie wytryski Jacksona Pollocka.

Zach odchrząknął.

- Domyślam się, że nie jesteś wielbicielką Pollocka?

- Mogę ci wyrecytować, jakie znaczenie miał Pollock dla sztuki, omówić jego śmiałą wizję artystyczną, błyskotliwy intelekt i bla bla bla.

Jednak jego prace nigdy do mnie nie przemawiały, na żadnym poziomie, nawet intelektualnym. Podobnie jak angielscy twórcy scenek pasterskich, ale ich przynajmniej można podziwiać za technikę.

Zach chciał coś powiedzieć, ale wyczuł, że ktoś się do nich zbliża. Odwrócił się płynnie i zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę z przyprószonymi siwizną włosami, sięgającymi kołnierzyka granatowego swetra.

Ramsey Worthington podpłynął do przynęty.

Rozdział 35

Snowbird 15 września, godzina 11.28

Nazywam się Ramsey Worthington, a państwo...? - spytał.

Jill odwróciła się do niego. Wyglądał bardziej na Europejczyka niż człowieka amerykańskiego Zachodu. Głos miał dystyngowany, z lekkim brytyjskim akcentem, który sugerował wysoką kulturę. Starannie go modulował.

Nie podał im ręki.

- Nazwiska nie są ważne - rzucił niedbale Zach. - Czy nie to powtarzają zawsze sprzedawcy dzieł sztuki? Liczy się jakość dzieła, nie nazwisko artysty.

Worthington zmrużył niebieskie oczy.

- O co tu chodzi?

- O Thomasa Dunstana, a ściślej rzecz biorąc, o jedno z jego płócien, które ostatnio znajdowało się w pańskich rękach, a potem „zaginięło” i zostało zniszczone - oznajmił Zach.

Worthington uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony.

- Zniszczone? Na miłość boską, o czym pan...

- Więc zaginięcie obrazu nie jest dla pana niespodzianką?
- uciął Zach.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach.

- Nie wiem, o czym pan mówi - stwierdził Worthington.

Christa Moore otworzyła drzwi i wpuściła do środka kilka osób. Prezentowali styl niechlujnej swobody i niezobowiązującego szyku.

Zachowywali się tak, jakby mogli sobie pozwolić na wszystko, co wpadnie im w oko.

- Z prawdziwą przyjemnością panu wyjaśnię - odparł Zach. - Mogę nawet użyć paru brzydkich słów i podniesionego głosu. Mam to zrobić tutaj czy u pana w gabinecie?

Worthington spojrział na nowo przybyłych. Znał ich. Znani kolekcjonerzy, którzy raz jeszcze przyszli ocenić dzieła przed aukcją. A także znani plotkarze.

- U mnie w gabinecie - rzucił szorstko.

Biuro ostro kontrastowało z przestronną, schludną galerią. W specjalnie przygotowanych przegródkach przy ścianach jeden za drugim stały dziesiątki obrazów. Półki ugiwały się pod rzeźbami z brązu i marmuru.

Zach rozpoznał brązową statuetkę Remingtona - kowboja na skaczącym koniu. Prawdziwym Remingtonem powinno się chełpić. Autentyczności dzieła dowodziła wiekowa, sfatygowana kartonowa etykieta, przyczepiona do rzeźby drutem.

Jill aż świerzbiły ręce, żeby wyjąć obrazy i na nie popatrzeć. Jedno spojrzenie na twarz Zacha powiedziało jej, że nie ma na to szans. Worthington również nie miał zachęcającej miny.

- Więc co to za bzdura ze zniszczonym Dunstanem? Wszystkie Dunstany o potwierdzonym pochodzeniu są pilnie strzeżone i znajdują się w doskonałym stanie.

Zach dał Jill subtelny znak. Czas rozpocząć przedstawienie.

- Moja cioteczna babka, Modesty Breck, wysłała obraz do wyceny. Mój doradca... - Jill wskazała głową Zacha - ... jest przekonany, że trafił on do pana. Płótno rzekomo zaginęło. Niedawno, hm, do mnie wróciło. W strzępach.

Worthington zmarszczył czoło.

- Pamiętam ten obraz. Przysłał mi go Hillhouse. Odesłałem go. Jestem pewien, że mamy w dokumentacji dowód nadania i odbioru, jeżeli ma to dla pani jakieś znaczenie. Co do reszty, nie jest to ani moja sprawa, ani moja odpowiedzialność.

- Formularze może wypełnić i podpisać każdy, kto ma skończoną podstawówkę - stwierdził Zach. - Nie mają wartości dowodowej, jeśli w grę wchodzi coś, czego warto dowodzić.

- Proszę mu wybaczyć - powiedziała Jill poważnym tonem. - Zniszczenie płótna bardzo go rozzłościło.

Worthington posłał Zachowi nieufne spojrzenie. Zach pokazał mu dwa rzędy białych równych zębów.

- Przyjechałam tu, bo chcę się dowiedzieć, co pan sądzi na temat mojego obrazu - ciągnęła Jill.

- Nie mam w zwyczaju omawiać dzieł znajdujących się w prywatnych rękach z nikim innym poza właścicielem.

- To dobrze się składa - powiedział Zach. - Modesty Breck nie żyje. Rozmawia pan z jej cioteczną wnuczką.

- Wyrazy współczucia - odparł automatycznie Worthington. - Ale to nie wyjaśnia kwestii własności.

- Jestem spadkobierczynią - potwierdziła Jill. - Jeśli to konieczne, mogę przedstawić pismo od mojego prawnika, a także akt zgonu i zaświadczenie lekarza sądowego. Świadectwo od rady Kościoła...

Przerwał jej Zach:

- Wiem, że denerwujesz się, kiedy o tym mówisz. - Ścisnął ją mocno za ramię i zwrócił się do Worthingtona. - Więc co pan sądzi o obrazie?

- Zaskakująco dobry - powiedział Worthington. - Pod wieloma względami przypomina prace Thomasa Dunstana. Ale brak podpisu i inne szczegóły każą przypuszczać, że najprawdopodobniej nie jest to Dunstan..

- Szczegóły, he? - odparł Zach. - Jakie, na przykład?

Jill uśmiechnęła się do Worthingtona, jakby chciała prosić, by był bardziej uprzejmy niż Zach.

- Na czym dokładnie polega pana doradcza rola przy spadkobierczyni Modesty Breck? - spytał Worthington.

- To już nasza sprawa - powiedział Zach. - Panna Breck jest naprawdę poruszona swoją stratą, a pan jest zajęty aukcją. Najszybciej się nas pan pozbędzie, odpowiadając na pytania.

Po kilku sekundach namysłu Worthington doszedł do tego samego wniosku.

- Pierwszą kwestią jest dowód historyczny - wyjaśnił. - W porównaniu z innymi malarzami, Thomas Dunstan namalował stosunkowo niewiele obrazów. O ile nam wiadomo, autentyczność każdego z nich została oficjalnie potwierdzona, a same obrazy objęto ochroną. Spadkobiercy Dunstana bardzo zazdrośnie strzegą jego dobrego imienia i dziedzictwa.

- I zbijają na tym kasę - dodał Zach.

- Nie ma nic niezwykłego w płaceniu za ekspertyzę.

- A od kiedy to spadkobierca staje się automatycznie ekspertem? - spytał Zach.

- Chodzi tu o tak zwane droit moral, prawo moralne, ale nie mam czasu panu tego tłumaczyć - odparł niecierpliwie Worthington. - Drugą kwestią jest to, że temat obrazu nie przypomina niczego z catalogue raisonne Dunstana.

- Jeszcze jedno francuskie słówko - zakpił Zach.

- Jeżeli pan go nie rozumie, to nie powinien pan nikomu doradzać w kwestii dzieł sztuki - powiedział z naciskiem Worthington.

- Ja mówię dobrze po francusku - wtrąciła się Jill. Miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać złości. - A na obrazie był pejzaż, co raczej doskonale pasuje do oeiwre Dunstana.

Zach miał ochotę się roześmiać, ale zepsułyby wrażenie złego typka, za jakiego próbował uchodzić. Pogłaskał Jill po rękę, bawiąc się brzegiem rękawa jej jedwabnej bluzki.

- W pracach Dunstana raczej nie pojawiają się postacie - powiedział Worthington do Jill, zupełnie ignorując Zacha. - Ludzkie figury występują na niecałych czterech procentach obrazów. I zawsze są to mężczyźni. Dunstan miał niepospolitą

zdolność malowania pejzaży, które odzwierciedlały niezłomną męską siłę, przeciwstawiającą się sile surowej, nieposkromionej ziemi.

- Wydawało mi się, że w czasach, kiedy tworzył Dunstan, ziemia była już całkiem poskromiona - zauważyła Jill.

- To dlatego prace Dunstana cieszyły się takim powodzeniem wśród mężczyzn, którzy ujarzmiali Zachód - wyjaśnił Worthington, spoglądając ostentacyjnie na zegarek. - Jego obrazy były hołdem dla brutalnej męskiej siły, jakiej trzeba było, żeby przeżyć na Zachodzie, a tym bardziej, żeby go okiełznać.

Zach zastanawiał się, jak powstrzymać zbliżający się wybuch. Jill na pewno nie zniesie pokornie tej manifestacji zatwardziałego szowinizmu. Ścisnął ją za rękę, przypominając, że w ich duecie ma grać tę dobrą.

Była spięta.

Zastanawiał się, czy pomoże, jeśli się pomodli.

Nie miał szansy się o tym przekonać.

- Chce pan powiedzieć, że kobiety nie przejawiały siły i odwagi? - spytała, otwierając szeroko oczy. - Niech mnie pan poprawi, jeśli się mylę, ale sądzę, że właśnie naruszył pan zasadę politycznej poprawności obowiązującą w świecie poważnych znawców sztuki.

- Wyjęła mi pani z ust kolejne wyjaśnienie - powiedział Worthington, uśmiechając się chłodno. - Sztuka Zachodu od samego zarania była politycznie niepoprawna. Na szczęście i na nieszczęście, sztuka Zachodu jest niemal wyłącznie domeną mężczyzn. Dunstan nie tylko o tym wiedział, ale też temu hołdował. Jego znakiem rozpoznawczym jest uznanie dla męskiej siły.

- A ja naiwnie myślałam, że sztuka jest uniwersalna. - Jill pokręciła głową. - Teraz widać, ile jest warte wykształcenie uniwersyteckie. Chyba naprawdę potrzebuję doradcy.

A jeśli ten doradca nie przestanie mnie zaraz głaskać, to go ugryzę. Pytanie tylko, gdzie.

Uśmiech Worthingtona stał się cieplejszy. Zaczął kłamać jak specjalista od sprzedaży, którym przecież był.

- Owszem, ogólnie rzecz biorąc, sztuka jest uniwersalna i płeć nie ma znaczenia.

- To dlatego na świecie jest tyle słynnych artystek - zauważył kpiąco Zach, błędząc po ręce Jill. - Rzeczywiście, jest uniwersalna jak jasna cholera!

Worthington go zignorował i skupił się na Jill.

- Starzy Mistrzowie Zachodu, z których największym był Dunstan, byli wytworem swojej epoki. Wierzyli, że to dzięki męskiej sile poskramia się dzicz i buduje cywilizację. To przekonanie jest nadal powszechne wśród kolekcjonerów sztuki Zachodu. Właściwie jest podstawowym kryterium przy ocenie autentyczności dzieła.

Jill potaknęła jak grzeczna uczennica.

- Więc chce pan powiedzieć, że odrzucił pan obraz mojej ciotecznej babki nie na podstawie analizy techniki malarskiej, ale politycznego kontekstu.

- Zgadza się - przyznał Worthington. - Dzieła sztuki powstają w kontekście historycznym. Przy ocenianiu autentyczności jest on równie ważnym elementem jak styl pracy, kolorystyka, pociągnięcia pędzla czy rodzaj farb.

Jill starała się sprawiać wrażenie uczennicy, którą właśnie wziął pod swoje skrzydła mistrz, a nie wykształconej kobiety.

Zach przesunął palcami od jej nadgarstka do łokcia, a potem wsunął je w jedwabny rękaw bluzki. Pieszcząc. Rozprasząc.

Ostrzegając.

Westchnęła przeciągle.

- Rozumiem pański punkt widzenia. - Arogancki, protekcyjny, bigoteryjny.

- Przykro mi - stwierdził Worthington. - Przypuszczam, że żywiła pani wielkie nadzieje w związku z wartością obrazu. Proszę mi wierzyć, z wielką radością potwierdziłbym, że to autentyczny Dunstan.

Jill starała się udawać wdzięczną. Widocznie jej się udało, bo Zach przestał doprowadzać ją do szału ciągłym głaskaniem i otworzył katalog aukcji.

- Nie tylko odkryłbym nowego Dunstana dla świata sztuki - ciągnął Worthington. - Obraz stałby się nie lada atrakcją aukcji w Vegas. W naszym katalogu mieliśmy kilka najlepszych Dunstanów, jakie kiedykolwiek poszły pod młotek.

- Naprawdę? - Jill nie musiała udawać zaskoczenia. Była szczerze zdziwiona. — Aż trudno uwierzyć, że przy tak znanych nazwiskach, jak Remington i Russell, atrakcją na aukcji mógł być Dunstan.

- W opinii znawców sztuki Zachodu, Thomas Dunstan nie ma sobie równych. Pomijając artystyczną wartość dzieła - dodał Worthington - Dunstan jest niezmiernie atrakcyjną inwestycją. Wartość jego płócien w ciągu ostatnich kilku lat znacząco wzrosła.

Skupiony wzrok Jill zachęcił Worthingtona do dalszych wyjaśnień.

- Szczerze mówiąc - ciągnął - spodziewamy się nowych rekordów cenowych za dzieła Dunstana.

Zach uniósł wzrok znad katalogu.

- Powodzenia. W katalogu prognozujecie, że poszczególne płótna pójną za cztery do siedmiu milionów.

Jill wciągnęła powietrze.

- To ostrożne szacunki - oznajmił Worthington. - To duże płótna jak na Dunstana. W zeszłym roku uzyskaliśmy cztery miliony za dużo mniejszy obraz. Była to prywatna transakcja pomiędzy spadkobiercami Dunstana a jednym z

kolekcjonerów. Kiedy najważniejsi kolekcjonerzy zaczną licytować w Las Vegas, cena na pewno zostanie podbita do ośmiu cyfr

- Tak? A kim są ci szczęśliwi kolekcjonerzy? - spytał Zach.

- To nie pańska sprawa.

- Oczywiście, że moja. Reprezentuję właścicielkę dwunastu płócien, które można przypisać Thomasowi Dunstanowi.

Worthington zmrużył oczy. Odwrócił się bokiem do Zacha i spojrzał na Jill, jakby właśnie nadepnęła mu na odcisk.

- Nie prowadzę firmy świadczącej darmowe usługi doradcze - oznajmił chłodno. - Ale tego nedorzecznego stwierdzenia nie mogę pozostawić bez komentarza.

Jill czekała.

- Pani tak zwany doradca prowadzi panią niebezpieczną drogą - powiedział po chwili Worthington egzaltowanym tonem. - Za twierdzenie, że posiada pani dwanaście Dunstanów o nieudowodnionym pochodzeniu, może pani trafić przed sąd. Jeżeli będzie się pani upierać przy tej głupocie, skończy się tym, że zostanie pani aresztowana za oszustwo. Wszyscy renomowani znawcy sztuki z przyjemnością podejmą się pracy na zlecenie prokuratury.

- Domyślam się, że pan także - Jill starała się sprawiać wrażenie rozczarowanej, nie wściekłej.

- Dam głowę, że znalazłby się wśród nich i jeszcze pewnie grał pierwsze skrzypce - wtrącił Zach. - Perspektywa pieniędzy skusi każdego.

Twarz Worthingtona poczerwieniała ze złości.

- Nie mam żadnego finansowego interesu w obrazach Dunstana. Nie posiadam na własność żadnego z jego płócien.

- Jeżeli na aukcji sprzedadzą się dwa Dunstany po siedem milionów każdy, dostanie pan procent od czternastu milionów - powiedział Zach. - Ciekawe, co to jest, jeśli nie interes?

- Naszą rozmowę uważam za skończoną - wycedził Worthington przez zaciśnięte zęby. - Proszę natychmiast wyjść, albo wezwę strażnika.

Zach roześmiał się kpiąco.

- Tego wynajętego gliniarza? Niech pan da spokój. Jill chwyciła Zacha za rękę i pociągnęła do wyjścia.

- Nie przejmuj się, kochanie. Skoro pan Worthington nie jest zainteresowany nowo odkrytymi Dunstanami, to jego strata.

Zach bez słowa dał się wyprowadzić z galerii do wypożyczonego samochodu. Rzucił Jill kluczyki, wsiadł od strony pasażera i z hukiem zatrzęsął drzwiami.

- Co się stało? - spytała Jill, kiedy wsiadła i uruchomiła silnik. - Myślałam, że dobrze nam poszło?

Zach nie odpowiedział.

- No co? - Nie dawała za wygraną. - Przyjechaliśmy tu po to, żeby puścić w obieg plotkę o Dunstanach i wywabić z ukrycia tajemniczego Blancharda. Kiedy dowie się, że obrazów jest więcej, że przeszły mu koło nosa na ranczu i w kasynie, zacznie węszyć. Nie rozumiem, dlaczego jesteś zły?

- Bo zacznie węszyć koło twojego kształtnego tyłka.

- St. Kilda chyba się tego spodziewała?

- Tak. Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. Jedź na lotnisko, ja wykonam kilka telefonów.

- A inne galerie?

- Nieaktualne. Nie mam zamiaru wystawiać cię więcej na linię ognia.

Rozdział 36

Reno 15 września, godzina 13.00

Rezydencja Crawfordów, Caitlin przy telefonie.

- Caitlin, mówi Ramsey Worthington. Czy jest Tal?

Caitlin na sekundę zamknęła oczy i w milczeniu pomodliła się, żeby nie chodziło o aukcję.

- Witaj, Ramsey. Zaraz sprawdzę. - Włączyła przycisk oczekiwania i domowy interkom. - Tal? Możesz na chwilę oderwać się od gry? Ramsey chciałby z tobą porozmawiać.

- Teraz moja kolej. Oddzwonię do niego.

Skrzywiła się na prostactwo męża, które było dla niego równie typowe, co sznurkowy krawat. I pieniądze.

Niestety, pieniądze można stracić. Tal stracił ich w życiu niemało.

Ale za każdym razem spadał na cztery łapy, jeszcze bogatszy niż wcześniej, powiedziała sobie.

Ale wtedy był młodszy.

To nie ma znaczenia.

Wzięła uspokajający oddech.

Czyżby?

Ze strachu żołądek podszedł jej do gardła. Miała czterdzieści lat i była za stara, żeby znaleźć sobie kolejnego bogatego męża, który potrzebował reprezentacyjnej żony. Westchnęła przeciągle. Kiedy odzyskała nad sobą panowanie, wróciła do rozmowy z Worthingtonem.

- A może ja będę ci mogła w czymś pomóc, Ramsey?

Nastąpiła cisza, po której w słuchawce rozległ się pomruk zniecierpliwienia.

- Chciałem mu tylko powiedzieć, że dwoje oszustów obnosi się z niesygnowanymi i prawie na pewno fałszywymi Dunstanami.

- Co? - Caitlin wiedziała, że jej głos zabrzmiał ostro, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie była też w stanie zapanować nad oszalałym biciem serca.

Worthington właśnie potwierdził jej najgorsze obawy.

- Mężczyzna i kobieta - dodał. - Oboje około trzydziestki. Jestem ciekaw, czy zjawili się u Tala ze swoimi podejrzanymi płótnami.

- Nie. Powiedziałałby mi. - Czy aby na pewno?

- Gdyby zgłosił się do was ktoś, oferując nieznane Dunstany, poproś Tala, żeby skontaktował się ze mną, zanim cokolwiek kupi.

- Zawsze tak robi. Worthington się roześmiał.

- Caitlin, jesteś wyjątkowo piękną i dyskretną kobietą, ale oboje wiemy, że Tal potrafi być nieprzewidywalny, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieła Thomasa Dunstana.

- Doskonale znasz mojego męża. - Caitlin wysiliła się, by jej śmiech brzmiał beztrąsko. - Ale nie wspominał o żadnych Dunstanach poza tymi, które mają być wystawione na aukcji w Las Vegas. Jesteśmy tak przejęci, że gdyby nie konferencja prasowa w związku z otwarciem nowego muzeum, już bylibyśmy w Vegas.

- Właśnie takich rzeczy lubi słuchać właściciel domu aukcyjnego. To będzie wyjątkowe wydarzenie, zwłaszcza kiedy informacja o hojności Tala trafi do publicznej wiadomości.

Caitlin zdobyła się jedynie na słaby pomruk zgody.

- Mam jeszcze dużo pracy przed aukcją - powiedział Worthington. - Ale gdyby Tal się czegoś dowiedział, na rozmowę z nim zawsze znajdę czas. Teraz muszę się skontaktować z Lee Dunstanem.

Caitlin uprzejmie się pożegnała, odłożyła słuchawkę i utkwiała wzrok w swoich zaciśniętych, pobielających dłoniach.

Rozdział 37

Nad Utah 15 września, godzina 13.10

Palce Score'a biegały po klawiaturze komputera. Nawet bez skryptu Amy wiedział, że Breck znów się przemieszcza. Lokalizator, który założył w jej telefonie satelitarnym, wskazywał zmiany położenia typowe dla ruchu powietrznego.

Cholera. Skąd ona bierze na to wszystko kasę?

Niecierpliwie postukał palcami w obudowę klawiatury. Problem nie w tym, skąd bierze kasę, tylko w tym, by dotrzymać jej kroku.

Bębnił palcami w plastik, czekając, aż ktoś z biura przyśle mu najnowszy plan lotu Breck.

Kiedy go w końcu dostał, siarczyście zaklął.

Założył słuchawki.

- Musimy zgłosić nowy plan lotu - powiedział.

- Dokąd lecimy? - Sądząc po głosie, pilotka była jednocześnie poirytowana i znudzona.

- Taos.

Kobieta nie potrzebowała komputera, żeby przekazać klientowi radosną nowinę.

- Musimy lądować w Salt Lake na tankowanie, zgodnie z dotychczasowym planem lotu.

- A Snowbird? - Tam gdzie lokalizator, a więc i panna Breck, spędzili trochę czasu.

- Nie ma lotniska. Same problemy.

- Muszę się znaleźć w Taos najszybciej jak się da. Gwałtownym ruchem zerwał słuchawki z głowy i przyglądał się, jak

migoczący punkt na ekranie laptopa się od niego oddala.

Z przyjemnością w końcu dorwie sukę, która wpędziła go w te cholerne kłopoty.

Rozdział 38

Carson City, Nevada 15 września, godzina 17.00

Stojąc u boku gubernatora Nevady, Tal Crawford podziwiał klasę żony. Towarzysząca mu Caitlin była swobodna i skupiona jednocześnie. Wpatrywała się w gubernatora, sprawiając wrażenie nieświadomej całej baterii kamer i mikrofonów wycelowanych w polityka. Jej elegancka, ale swobodną fryzura mówiła, że jest kobietą, która dobrze się czuje we własnej skórze. Na jej perfekcyjnie umalowanych ustach gościł łagodny uśmiech. Jak wszystko inne - od stylowych szpilek po pastelową garsonkę - był wyważony i odpowiedni do sytuacji. Ani zbyt śmiały, ani zagubiony - po prostu idealny.

Moja najlepsza inwestycja, pomyślał Tal.

Prawie się uśmiechnął na tę myśl. Zachował jednak kamienną minę, stosowną przy wysłuchiwanie publicznych wystąpień, które tak lubili politycy.

A politycy byli bogaczom bardzo potrzebni.

- Panie i panowie - zaczął gubernator Rollins. - Mam przyjemność ogłosić, że pan Talbert Crawford wkrótce podaruje naszemu wspaniałemu stanowi najcenniejszą kolekcję pejzaży Zachodu, jaka do tej pory została udostępniona publiczności.

Grupa ekspertów do spraw kultury, stojąca za gubernatorem, zaczęła entuzjastycznie klaskać.

Tal starał się nie dać po sobie poznać, że cisną go nowe kowbojki. A cisnęły i to bardzo.

Nie wiem, jak Caitlin wytrzymuje na obcasach. Ja zostałbym kaleką po pięciu krokach.

- Nie jestem znawcą sztuki - oznajmił wyborcom gubernator. - Ale wiem, co mi się podoba. A obrazy Thomasa Dunstana, najważniejszego malarza, jaki urodził się na amerykańskim Zachodzie, naprawdę mnie zachwycają.

Znowu brawa.

- Ten dzień na trwałe zapisze się w historii kultury naszego stanu - ciągnął gubernator.

Stojący za nim ludzie przytakiwali i uśmiechali się promiennie, rozradowani jak dzieci w Boże Narodzenie. Byli naprawdę przejęci, nie udawali na potrzeby kamer.

- Dzięki tej wspaniałej kolekcji, uzupełnionej o nowe płótna Dunstana, które Tal zamierza nabyć na zbliżającej się aukcji w Las Vegas, nasz wspaniały stan znajdzie się w posiadaniu piętnastu najważniejszych prac tego genialnego artysty i niewątpliwie najważniejszego człowieka, jaki malował nasz dziki i piękny stan. To o dwanaście więcej niż zgromadziło jakiegokolwiek państwowe muzeum czy kolekcjoner prywatny!

Caitlin słuchała braw i modliła się, aby wszystko w Vegas poszło zgodnie z planem. Pójdzie.

Musi.

Nie dawała po sobie poznać, że jest niespokojna. Uważała, że kobieta zawsze powinna być opanowana, prezentować wdzięk i skromność.

- Dzięki tej kolekcji - ciągnął gubernator - Nevada stanie się najważniejszym ośrodkiem kulturalnym na Zachodzie. Nowe muzeum stanowe będzie magnesem dla ceniących sztukę obywateli naszego wspaniałego kraju.

Caitlin zawtórowała brawom rozbrzmiewających wśród ludzi zgromadzonych na schodach kapitolu.

Błysnęły flesze aparatów fotograficznych. Gubernator uśmiechnął się i odwrócił do Tala.

- W imieniu obywateli stanu Nevada, chcę panu podziękować za tak wielką hojność.

Mikrofony i kamery skierowały się na Crawforda.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł z melodyjnym akcentem Tal. - Bóg okazał się łaskawy i

poślę do Ciebie pieniądze, dzięki którym mogę choć w niewielkiej części spłacić dług, jaki mam wobec naszego wielkiego narodu. Do tego, co powiedział gubernator Rollins, chciałbym dołączyć podziękowania dla senatora Pata Healy'ego. To dzięki jego pomocy udało się dopiąć szczegóły przedsięwzięcia na ostatni guzik. Mamy szczęście, że pilnuje naszych interesów w Waszyngtonie. - Tal uśmiechnął się niczym mały chłopiec przyłapany na podkradaniu ciasteczek. - Muszę przyznać, że gdyby nie wysiłki tych dwóch wspaniałych mężczyzn, nigdy nie dałbym się namówić na rozstanie się z moimi Dunstanami, o całej kolekcji sztuki Zachodu nie wspominając.

Na usta Caitlin wypląnął promienny uśmiech. Klaskała, politycy się uśmiechali, a flesze aparatów utrwały powalające orędzie sławy. Caitlin nadal się uśmiechała, kiedy Tal zaczął opisywać nieustającą troskę gubernatora i senatora o obywateli. Później opowiadał o tym, jak ważna stała się sztuka Zachodu, kiedy świat wreszcie docenił wielkość malarzy pokroju Thomasa Dunstana.

Dla Caitlin przemowa nie była zaskoczeniem. Osobiście dopracowała każde słowo i gest męża, uwzględniając przerwy na oklaski. Teraz pozostawało jej jedynie modlić się, żeby Tal niczego nie spieprzył, zachowując się jak prowincjonalny prostak, którym był i z urodzenia, i z upodobania.

- Kiedy prace nad muzeum zostaną ukończone, miliony ludzi będzie mogło cieszyć oczy najlepszymi obrazami Thomasa Dunstana - oznajmił Tal. - Dziś z tego miejsca chcę zachęcić innych kolekcjonerów sztuki Zachodu, aby przyłączyli się do mojej inicjatywy, ofiarując dzieła ze swoich kolekcji. Współzawodnictwo jest wpisane w nasz wspaniały styl życia, zapraszam was więc na aukcję do Las Vegas w najbliższą niedzielę. Zobaczymy, czy będziecie mieli odwagę zmierzyć się ze mną w walce o pierwsze od dziesięcioleci

płótno Thomasa Dunstana, wystawione na publiczną sprzedaż. Obiecuję, że przyniesiemy chlubę Nevadzie i ustanowimy nowy rekord na dzieło wielkiego malarza Zachodu!

Odpowiedziała mu burza oklasków. Najwyraźniej kulturalna elita Nevady żywiła wielkie nadzieje na to, że Carson City stanie się w przyszłości mekką sztuki Zachodu.

Tal uśmiechnął się szeroko i zrobił krok do tyłu, oddając głos gubernatorowi.

- Dziękuję, Tal - powiedział Rollins i zwrócił się w stronę tłumu kamer. - Naszym obowiązkiem i przywilejem jest troska o to, by kulturalne dziedzictwo Zachodu było chronione i promowane. Podobnie jak nasi bracia ze Wschodniego Wybrzeża, musimy wspierać lokalnych artystów. Długo czekaliśmy na ten dzień, ale w końcu nastał. Wspaniały stan Nevada rozpoczyna nowy rozdział w historii kultury Zachodu!

Rozległy się długie, głośnie brawa. Stojąca u boku Tala Caitlin rozpromieniła się. Biła brawo tłumowi, który oklaskiwał jej męża.

Prawie koniec.

Prawie.

Nie przestawała się uśmiechać, klaskać i gorąco modlić, żeby już było po aukcji.

Rozdział 39

Taos 15 września, godzina 18.00

Na krajowym lotnisku w Taos czekał na nich nowy dodge magnum. Zach bardzo szybko załadował do środka sześć drewnianych skrzyń. Wynajęty samochód był wprawdzie prawie tej samej wielkości, co kryty pikap, jednak za przednimi fotelami nie zostało wiele miejsca na jego torbę i plecak Jill. Zmarszczył brwi.

- Czułbym się pewniej, gdyby St. Kilda wynajęła nam opancerzoną ciężarówkę - powiedział, wsiadając za kierownicę.

- Po co? Moje obrazy to tylko falsyfikaty - odparła z goryczą Jill, zajmując fotel pasażera i mocno zatrzaskując drzwi. - Nikt z ekspertów sztuki Zachodu nie ma co do tego wątpliwości.

- Oho. Ktoś dużo myślał, kiedy spałem w samolocie.

- Temu komuś się wydaje, że to wszystko strata czasu i pieniędzy.

- O tym zadecyduje Faroe - powiedział Zach. - Nie wycofamy się z gry, dopóki nie rozprawimy się z Blanchardem.

- Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

- Co? Dalsza gra?

- Rozprawianie się z kimś. Brzmi groźnie.

Zignorował ją i w skupieniu włączył się w wieczorny ruch uliczny na drodze. Mocne pomarańczowe światło słońca zalewało wszystko złocistą poświatą.

- Po co przyjechaliśmy do Taos? - spytała ostro.

- Żeby porozmawiać ze znawcą twórczości Dunstana.

- Nie mogliśmy załatwić tego przez telefon? Wszyscy tak robią.

- Garland Frost to nie wszyscy - odparł Zach. - Dlatego właśnie tu jesteśmy.

Jill przyglądała się, jak Zach wprawnie manewruje wśród krótkich, wąskich i pełnych niespodzianek ulic Starego Miasta. Przed oczami migwały jej stare ceglane mury, a także parterowe i piętrowe domy, oraz biura. Jill w milczeniu spoglądała na topole, tak wiekowe, jak drzewo przy jej domu na ranczu, i na okna z tak starymi szybami, że rysy rozpraszały światło wpadające przez nie do środka.

Zach sprawnie lawirował po wąskich uliczkach. Widać było, że ma doświadczenie.

- Mieszkasz tu? - spytała Jill.

- Już nie.

- Dlaczego wyjechałeś?

- Przez Garlanda Frosta.

- To czemu tu jesteście?

- Przez Garlanda Frosta.

Ton jego głosu nie zachęcał do zadawania dalszych pytań. Jill zastanawiała się, czy pomęczyć go jeszcze, tak dla zabawy, ale doszła do wniosku, że lepiej nie. Intuicja podpowiedziała jej, że wkurzony Zach Balfour nie będzie ani trochę zabawny.

Skręcili w spokojną uliczkę, biegnącą wzdłuż niewysokiego muru z czerwonej cegły. W połowie długości ulicy znajdowała się szeroka brama, prowadząca do ogrodu pełnego topoli i świerków. Zach wjechał przez nią, zaparkował przed drzwiami okazałego murowanego domu i wyłączył silnik.

- I co teraz? - spytała Jill.

- Przekonamy się, czy zmarnowaliśmy paliwo do samolotu.

- Czy ty mi kiedyś odpowiesz poważnie?

- Marnowanie paliwa jest bardzo poważną sprawą.

Uchylił tylne drzwi samochodu, otworzył wieko jednej ze skrzyń i wyjął metalową walizkę. Zielona pokrywa

skrzypnęła, zgrzytnęła i po chwili z powrotem opadła na pustą już skrzynię.

Gdy tylko Jill wysiadła, Zach zamknął pilotem centralny zamek samochodu i ruszył do drzwi domu. Zignorował elektroniczny dzwonek i posłużył się starym kapitańskim dzwonem z brązu. Zadzwoił nim głośno trzy razy.

I czekał.

Niecałą minutę później drzwi się otworzyły. W gasnącym świetle dnia stał wysoki, siwowłosy mężczyzna w niebieskich dżinsach, znoszonych traperach i niebieskiej koszuli. Był szczupły i wyprostowany. Oczy miał czarne jak bezgwiezdna noc.

Spojrzał na Zacha, potem na Jill, a później jeszcze raz na Zacha.

- Więc jednak wróciłeś - powiedział. Głos miał chrapliwy, ani niski, ani wysoki, po prostu szorstki. - Przynajmniej przywiozłeś mi kogoś, na kogo można popatrzeć, bo twój widok niespecjalnie mnie interesuje.

- Nawzajem - odparł Zach. - Wpuścisz nas do środka? Starszy człowiek spojrzał na Jill. Uśmiechnął się i podał jej rękę.

- Garland Frost - przedstawił się.

Zamrugła i złapała się na tym, że odwzajemnia uśmiech. Kiedyś musiał być z niego niezły amant, pomyślała. Nawet teraz jego uśmiech mógłby roztopić lodowiec. Ujęła jego dłoń i ścisnęła lekko.

- Jill Breck, bardzo mi miło, nawet jeżeli panu Gburowatemu miło nie jest.

- Zach po prostu mnie zna. - Odparł Frost ze śmiechem.

- I właśnie dlatego jest gburem - wtrącił Zach.

- Zapraszam - zwrócił się Frost do Jill. - Już cię polubiłem.

- A on? - spytała.

Frost spojrział na srebrną walizkę w ręce Zacha.

- Przywiozłeś mi coś?

- A po co innego bym przyjeżdżał?

W oczach staruszka coś błysnęło. Może złość, ciekawość, ból albo zniecierpliwienie, a może wszystko naraz.

Nawet gdyby Jill nie miała doświadczeń z klientami na rzece, szybko zauważyłaby, że więź między Frostem i Zachem jest skomplikowana i bolesna.

- Właśnie, po co? - odparł szorstko Frost. - Powinienem ci zatrzaskać drzwi przed wrednym nosem.

- Wtedy nigdy byś się nie dowiedział, co przywiozłem. - Zach się uśmiechnął, ukazując białe zęby. - A to by cię cholernie zirytowało.

Frost odwrócił się do niego tyłem, wziął Jill pod ramię i wprowadził do domu.

- Witaj w Taos. Nie do wiary, że tak atrakcyjna kobieta wylądowała u boku Zacha Balfoura.

Nie zatrzaskał Zachowi drzwi przed nosem, więc ten również wszedł do środka.

Nie spieszył się, by dogonić Jill. Doskonale wiedział, gdzie i jak Frost zamierza sprawdzić Jill. Salon był wielki nie tylko z powodu rozmiaru. Jeżeli ktoś nie był nim zafascynowany, Frost nie marnował na niego czasu.

Jill zaliczyła test.

W milczeniu podziwiała pokój. Miała nadzieję, że nie opadła jej szczeka, chociaż nie zdziwiłaby się, gdyby tak było.

W rogu, w nieosłoniętym kominku buzował ogień. Salon wypełniał czysty, naturalny zapach palonego cedru. Wysoko na jasnych ścianach wisały liczne obrazy. Pod nimi, dookoła całego pokoju jedna przy drugiej stały gabloty, wypełnione glinianymi dzbankami, posążkami kowbojów z brązu i indiańskim rękodziełem.

Na jej oko, wszystko w pokoju miało wartość muzealną.

Pozostałą część podłogi zajmowały biblioteczne stoły, na których piętrzyły się stosy książek i częściowo posklejane dzbanki. Wyjątkiem było ogromne drewniane biurko. Stało na dwustopniowym podwyższeniu i wyglądało jak punkt obserwacyjny.

- Podoba jej się - powiedział Frost do Zacha. - Poprawił ci się gust, jeśli chodzi o kobiety.

- To klientka - odparł Zach. - Wykonuję zlecenie.

- Czyli nadal rząd. Przykro mi to słyszeć. Banda zarozumiałych durni udających, iż wiedzą, co robią, nie jest warta tego, by jej pomagać.

- Z rządem dałem sobie spokój pięć lat temu - wyjaśnił Zach. - Teraz pracuję dla St. Kilda Consulting.

- Dziwi mnie, że ambasador Steele chce mieć z tobą coś wspólnego. - Frost uniósł srebrne brwi.

- Jest erudyta i jest kulturalny. Dogadujemy się bez problemu.

Nie tak jak my.

Jill skrzywiła się, słysząc podtekst w odpowiedzi Zacha, ale nie chciała się wtrącać. Poza tym była zafascynowana pokojem. Korciło ją, żeby zajrzeć do każdej szuflady i szafki.

- Więc znów zajmujesz się sztuką? - Frost nadal był powściągliwy.

- Jak widać. - Zach wzruszył ramionami. - W wolnym czasie zajmuję się archeologią samochodową.

- A co to, do licha?

- Wyszukiwanie zdezelowanych zabytkowych samochodów. Jeśli masz jeszcze swoje stare kombi, dam ci za nie pięć tysięcy - oznajmił Zach.

- Po co ci moje kombi?

- Znam faceta, który takiego szuka i zapłaci za nie co najmniej osiem tysięcy.

- Nie wierzę - powiedział Frost. - Jak się nazywa?

- Nie znasz go.

- Dowień się. Jeśli chodzi o rynek unikatów, mam dojście do wszystkiego.

- Tak? - spytał Zach. - To znajdź mi kabriolet plymoutha barracudę rocznik 1971 z silnikiem Hemi 426.

- Gdybym cierpiał na nadmiar czasu, tobym znalazł - odparł szorstko Frost.

- Musiałbyś go mieć naprawdę dużo - stwierdził Zach. - Wyprodukowano ich tylko dziewięć, z czego osiem już odnaleziono. Ten ostatni został podobno oddany na złomowisko gdzieś na Południu, choć ja uważam, że to cacko jednak przetrwało.

- I co z tego? Samochody to nie sztuka.

- Kwestia gustu.

- Przestań drażnić naszego gospodarza - powiedziała Jill do Zacha, nie spuszczać wzroku z obrazów wiszących w głębi salonu. - Kiedy widzisz dzieło, wiesz, że masz do czynienia ze sztuką. A ja w tej chwili oglądam wspaniałe dzieła.

Zach i Frost wydawali się zaskoczeni tym, że oprócz nich w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Spojrzeli w kierunku, w którym spoglądała Jill.

Na ścianie wisiało osiem płócien przedstawiających pejzaże amerykańskiego Zachodu. Wszystkie były oprawione w ciężkie złote ramy i umiejętnie podświetlone tak, aby wydobyć najdrobniejsze szczegóły malowideł.

- Wielka Kotlina, zachodnie Góry Skaliste, północno - zachodnie wybrzeże, płaskowyże, południowy Zachód, różne pory roku i nastroje - powiedziała Jill, podchodząc do obrazów. - Nie do wiary.

Dwa były dziełami Dunstana.

Rozdział 40

Nad Nowym Meksykiem 15 września, godzina 18.14

Coś nowego? - warknął Score do słuchawki.

- A widzisz coś nowego w plikach? - Ton głosu Amy zdradzał, że jest wyraźnie poirytowana. - Mam randkę, a komórka co chwila skacze mi w kieszeni jak wystraszony chomik. Bez przerwy latam do damskiego kibla. Dave pewnie myśli, że mam sraczkę.

- Masz nadgodziny.

- Wolałabym się z nim przespać.

Score z trudem powstrzymał się przed puszczeniem wiązanki przekleństw. Problem z młodymi zdolnymi informatyczkami polegał na tym, że były przede wszystkim młode.

- Na pluskwie nie ma nic nowego - powiedziała Amy głośno i wyraźnie, jakby miała do czynienia z kretynem. - Powiedziałam, że zadzwonię, jak coś będzie.

- A kiedy ostatnio sprawdzałaś?

- Kiedy ostatnio dzwoniłaś. Czyli cztery minuty i szesnaście, nie, siedemnaście sekund temu.

- Gdzie masz komputer?

- W biurze, zaprogramowany na przesłanie informacji na moją komórkę, jeśli coś się zmieni. Poprosiłam też Steve'a, żeby zajrzał do niego od czasu do czasu, na wypadek gdyby akurat wyskoczyło coś ważnego. Możesz mu wysłać wiadomość i sam sprawdzić.

Score cmoknął zdegustowany i zakończył rozmowę. Zmarszczył brwi, spoglądając na ekran jednego z komputerów, które miał ze sobą. Pulsujący punkt lokalizatora pojawił się nad planem Taos.

Jedyna dobra wiadomość była taka, że nadajnik w końcu przestał się przemieszczać.

Score powiększył mapę, żeby odczytać adres. Potem przesłał informacje na drugi komputer i z niecierpliwością czekał, aż na ekranie pojawi się instrukcja dojazdu. Przez cały czas obserwował lokalizator.

Nie poruszał się.

- Tak trzymaj, żabko. Ani drgnij. Tatuś już do ciebie jedzie.

Miał szczerą nadzieję, że uda mu się sprzątnąć tę sukę, Breck. Osobiście nic do niej nie miał, ale robiła za dużo zamieszania. Tak jak jej cioteczna babka. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, panna Jillian Breck niedługo pogada sobie ze starszą panią.

Zakładając, że umarli mają głos.

Rozdział 41

Taos 15 września, godzina 18.21

Więc podobają się pani zachodnie pejzaże? - zagadnął Frost po długiej chwili ciszy. - Zwłaszcza Dunstany. Dlaczego?

Jill drgnęła. Była tak pochłonięta sztuką że na moment zapomniała o obecności obu mężczyzn.

- Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna.

- Nie ma za co, moja droga - odparł Frost. - Twoja reakcja przypomniała mi, jak wspaniałe są te obrazy. Tak poświęciłem się sklejanemu glinianych skorup, że zapomniałem, aby od czasu do czasu rozejrzeć się dookoła.

Jill spojrzała na Zacha, w milczeniu pytając, ile może powiedzieć Garlandowi Frostowi.

- Wszystko, co usłyszysz, musi zostać między nami - oznajmił Zach Frostowi.

Frost zmierzył go przenikliwym ciemnym spojrzeniem.

- Jak za dawnych czasów. Zach skinął głową.

- Zgoda - powiedział Frost. - Co masz?

- Pytania na temat dwunastu pejzaży, które od trzech pokoleń znajdują się w rodzinie Jill.

- Czy to dobre płótna?

- Moim zdaniem tak.

Frost odchrząknął i zwrócił się do Jill:

- Kto kupił te obrazy?

- Myślę, że to był prezent - odparła. Albo kradzież, dodała w myśli. - W rodzinnych dokumentach nie znalazłam żadnego pokwitowania ani innego dowodu zakupu.

- Spadek? - zapytał Frost Zacha.

- Babka Jill dała płótna młodszej siostrze, a ta zapisała je Jill.

- Ekspertów jest mnóstwo, a St. Kilda Consulting ma umowę z firmą Biały Kruk. Dlaczego zjawiasz się u mnie?

- Moja babka przez wiele lat była kochanką Thomasa Dunstana - powiedziała Jill, uprzedzając Zacha. - Obrazów było trzynaście. Kiedy mojej ciotecznej babce zabrakło pieniędzy na podatki, wysłała najmniejsze płótno do wyceny do galerii w Park City, w Utah. Nie wiem jak, ale obraz „zaginał”.

Frost zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

- W końcu wrócił do mnie w strzępach - zakończyła z goryczą Jill.

- Zniszczony? - spytał wzburzony Frost.

- Nieodwracalnie - odparł Zach. - Skrawki są w jej saszetce. Nie pytaj mnie, po co je zachowała. Mówiłem jej, że są bezwartościowe.

Jill wzruszyła ramionami, odpięła saszetkę z pasa i rzuciła Zachowi.

- Jak jesteś taki mądry, to sam je wyrzuć. Ja nie potrafię.

- Później. - Zach jedną ręką złapał torebkę w powietrzu i cisnął ją na najbliższą kanapę. Obciążona telefonem satelitarnym saszetka poszybowała na odległość dwóch i pół metra. - Ważne jest to, że razem ze strzępami dostała list z pogróżką. To dlatego zadzwoniła do St. Kildy.

Frost spojrział na metalową walizkę, którą trzymał Zach.

- Czy to jeden z rodzinnych obrazów?

Zach położył walizkę na podłodze, rozpiął klamry i podniósł wieko. Zdjął ochronną folię, odsłaniając dwa obrazy umieszczone w wyciętych w gąbce otworach, po jednym z każdej strony walizki.

Frost przyglądał się im w zupełnej ciszy. Jill miała ochotę nim potrząsnąć.

- Wyjmij je - odezwał się w końcu. - Chcę się im przyjrzeć z bliska. Zach ostrożnie wyjął płótna.

- Wyjęłaś je z ram? - spytał Frost.

- O ile mi wiadomo, nigdy nie były oprawione - odpowiedziała Jill.

- Tutaj - powiedział jedynie Frost.

Przesunął ręką po blacie biurka, robiąc miejsce na obrazy. Czasopisma malarskie i archeologiczne spadły niezauważone na podłogę. Zach położył pejzaże na biurku.

- Przynieś resztę - polecił Frost, nie odrywając wzroku od płócien.

- Do usług - mruknął Zach.

- Pomogę ci - zaoferowała się Jill.

- Ty zrób miejsce - odparł Zach, wskazując biblioteczny stół zavalony książkami. - Ja przyniosę obrazy.

Frost nie zwracał uwagi na nic poza leżącymi przed nim pejzażami. Przyglądał się im w milczeniu. Wzrok podniósł dopiero, kiedy Zach wyjął dwa kolejne malowidła. Frost podszedł do nich, stąpając cicho po perskim dywanie. Nie zauważył, że na podłogę spadło kilka książek przekładanych przez Jill.

Zach wrócił z kolejnymi płótnami.

Frost spojrział na swoje Dunstany. Kiedy Jill położyła na bibliotecznym stole piąty i szósty obraz, szybko do nich podszedł.

Po raz pierwszy w życiu cisza doprowadzała Jill do szału. Kiedy Zach wrócił z siódmym i ósmym obrazem, uniosła pytająco brew. Pokręcił głową, zamknął pustą walizkę i postawił ją obok innych.

Frost przełożył dwa płótna.

- Światło - powiedział. - Mosiężna lampa koło skorup.

W pokoju była tylko Jill, więc domyśliła się, że mówi do niej. Podeszła do stolika, stojącego pośrodku salonu, wyłączyła lampę z kontaktu i przyniosła Frostowi.

Zrzucił na podłogę kilka książek, żeby zrobić miejsce na masywną podstawę i długie, składane ramię. Jill postawiła lampę i podłączyła długi przewód do najbliższego gniazdka.

Jeżeli tak odnosił się do Zacha, nic dziwnego, że nie mogli się dogadać, pomyślała. Jednak arogancja Frosta dorównuje chyba jego doświadczeniu. Inaczej Zach nie organizowałby całej tej wyprawy.

Sprzątała książki, a Zach wnosił kolejne malowidła. W końcu wszystkie znalazły się na stole. Ulubione płótno Jill - pejzaż z kobietą w czerwonej spódnicy - Zach wniósł jako ostatni.

Frost przyjrzał się mu badawczo. Później wziął do ręki kolejno każdy obraz i obejrzał z przodu, z tyłu i po bokach.

- Niesygnowane - uprzedził Zach. - Wszystkie.

- Mam oczy - warknął Frost.

W narastającej ciszy studiował ostatnie płótno.

W końcu spojrzał na Jill.

- Co za debil powiedział, że to nie Dunstany?

Rozdział 42

Taos 15 września, godzina 18.40

Odpowiedź jest skomplikowana - powiedział Zach. - Powiedzmy, że sam Lee Dunstan oświecił w tej kwestii jednego z marszandów.

- Lee zna się na sztuce jak krowa na lataniu - oznajmił Frost.

- Mówi ci coś określenie „autorytet moralny”? Wargi Frosta wykrzywiły się w cierpkim grymasie.

- Tak jakby istniał gen sztuki, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Zach wzruszył ramionami.

- Jeżeli pochodzenie obrazu nie jest udowodnione, syn Dunstana ocenia co jest, a co nie jest dziełem ojca.

- Brednie. - Frost machnął niecierpliwie ręką. - Jasne, wiem, że tak to wygląda. Między innymi dlatego wycofałem się z rynku dzieł sztuki. Sami idioci. - Zwrócił się do Jill. - Więc Lee Dunstan nie chciał potwierdzić autentyczności twoich obrazów?

- Nie wysłałam mu ich. Ale sądząc po tym, co powiedziała Jo Waverly - Benet, zaoszczędziłam na przesyłce.

- Który obraz widział?

- Ten, który teraz jest w strzępach - odpowiedziała Jill, wskazując saszetkę leżącą w drugim końcu pokoju.

- Sukinsyn. Chcesz mi powiedzieć, że zniszczony został nieznany Dunstan?

- Wiem tylko... - zaczęła ostrożnie - .. że moja cioteczna babka wysłała do wyceny najmniejszy z trzynastu obrazów. Teraz mam tylko dwanaście obrazów i garść strzępów.

Frost bez słowa przemierzył pokój, rozpiął saszetkę i wyrzucił jej zawartość na kanapę. Kiedy zobaczył strzępy płótna, zaklął pod nosem, chociaż z zasady nie używał niecenzuralnych słów w obecności kobiet.

Odwrócił się.

- Bywają dni, kiedy boli mnie upadek człowieka - powiedział, podchodząc z powrotem do Jill. - Dziś jest właśnie taki dzień.

- Mnie boli notorycznie - mruknął Zach. Frost go zignorował.

- Komu jeszcze nie spodobały się obrazy? - spytał Jill.

- Poza panem i Zachem właściwie nikt ich nie widział. Do właścicieli galerii na Zachodzie rozesłałam tylko cyfrowe zdjęcia trzech obrazów.

- Trafiły, między innymi, do Ramseya Worthingtona - wtrącił Zach.

- I? - spytał niecierpliwie Frost.

- Worthington oświadczył, że mogę zostać aresztowana za oszustwo - wyjaśniła Jill.

- Chcę zobaczyć te zdjęcia. - Frost zmrużył oczy.

Zach podszedł do swojej torby, wyjął laptopa i go odpalił. Wywołał zdjęcia na pulpit i pokazał Frostowi.

Staruszek poświęcił im znacznie mniej czasu niż samym płótnom.

- Nikt nie chciał zobaczyć obrazów na żywo?

- Tylko jakiś Blanchard - mruknęła Jill.

- Który nie istnieje - dodał Zach.

- I co ten Blanchard miał do powiedzenia na temat obrazów? - spytał Frost.

- Niewiele. Kiedy nie znalazł ich w samochodzie Jill, rozwalił go i zostawił list z pogróżką.

- I zniszczone płótno - przypomniała Jill.

- Po wyprawie do Snowbird przestałem się łudzić, że uda mi się coś wskórać w kręgu znawców sztuki Zachodu - wyjaśnił Zach. - To wtedy zadzwoniłem do Lupity i uprzedziłem ją, że zjawimy się przed kolacją.

- Teraz rozumiem, dlaczego przygotowała takie ilości jedzenia - odparł Frost. - Zawsze święcie wierzyła, że świat kręci się wokół ciebie.

- Mądra kobieta - skwitował Zach. Jill prychnęła.

- Potrzebujemy obiektywnej oceny obrazów. Dlatego przyjechałem do ciebie.

- Miło wiedzieć, że nadal mi ufasz. - Usta Frosta wykrzywiły się w słabym uśmiechu.

- Powiedz, co sądzisz.

- Jeśli tych obrazów nie namalował Thomas Dunstan, zjem całą moją kolekcję naczyń Anasazich. Ale nie jestem autorytetem moralnym. W kręgach sztuki Zachodu nie mam takiej pozycji jak Ramsey Worthington. Moją opinią możesz sobie podetrzeć tyłek.

- No, nie wiem - odparł Zach. - Reputacja taka jak twoja nie idzie w zapomnienie. Staje się legendą.

Frost spojrzał na Zacha tak, jak patrzył na Dunstany. Potem energicznie pokiwał głową.

- Jak mogę wam pomóc?

Jill wyczuła, że Zach odetchnął z ulgą.

- Dziękuję - powiedział. - St. Kilda z przyjemnością zapłaci za twoje...

- Nie obrażaj mnie - przerwał mu szorstko Frost. - Przynieś z garażu drabinę i zdejmij ze ściany moje Dunstany.

Zach wydał pomruk zniecierpliwienia. Po chwili się uśmiechnął.

- Tak jest!

Frost zrobił zdziwioną minę, ale odwzajemnił uśmiech.

- Ja pójdę - zaoferowała się Jill.

- Nie ma sprawy - odezwał się Zach. - Robiłem za Piętaszka tyle razy, że jeden więcej nie robi mi różnicy.

- Przestań gdakać i przynieś drabinę - polecił Frost. - Chcę porównać Dunstany Jill z moimi.

- Pana są większe niż moje - zauważyła Jill.

- Wprawdzie nastoletni chłopcy są innego zdania, ale wierz mi, że większe nie znaczy lepsze - odparł Frost.

Jill zamrugła i się roześmiała. Garland Frost nie był łatwym człowiekiem, ale go polubiła. Na rzece też wolała wiry od spokojnych rzecznych zakoli.

Frost bez słowa zniknął w innym pokoju. Przez uchylone drzwi Jill dostrzegła, że jest to biblioteka. Zach wrócił do salonu z wielką aluminiową drabiną. Ustawił ją pod ścianą z Dunstanami i zaczął się wspinać. Podał pierwszy obraz Jill.

- Trzymaj mocno - ostrzegł. - Jest cięższy, niż się wydaje.

Nie zachwiała się, chwytając ciężar. Wiosłowanie świetnie rozwijało mięśnie górnych partii ciała.

- Trzymam. Możesz puścić.

- Oprzyj go o podstawę biurka - poradził Zach.

Ostrożnie postawiła płótno przy biurku i wróciła po drugie. Zanim zdążyła ustawić go obok poprzedniego, Zach zszedł na dół, stanął przy niej i zaczął przypatrywać się obrazom.

- Na jednym jest postać - zauważyła. - Małeńka, ale jest.

- Mężczyzna - stwierdził Zach, bardzo uważnie przyglądając się malowidłu.

- Może. A może to kobieta w dzinsach. Kobiety nosiły już wtedy spodnie. W pracy na ranczu długie spódnice tylko przeszkadzały.

- Myślisz, że wielki piewca męskiego Zachodu namalowałby kobietę w spodniach? - spytał kpiąco Zach. - Gdyby Worthington to usłyszał, zacząłby rwać włosy z głowy.

- Włosy z głowy chętnie wyrwałabym mu ja.

- Obrazy Frosta są podpisane - stwierdził Zach.

- Szczęściarz. - Zawahała się. - Naprawdę myślisz, że moje obrazy namalował Thomas Dunstan?

- Skłaniam się ku tej teorii bardziej niż jeszcze dwie godziny temu.

- Frost jest aż tak dobry?

- Tak. I wie o tym.

- A Ramsey Worthington?

- Też. - Zach uśmiechnął się szelmowsko. - To dopiero byłby pojedynek!

Frost pojawił się z wielką, dość cienką książką. Położył ją na biurku i otworzył w zaznaczonym miejscu.

- Oto moje Dunstany - powiedział z dumą. - Zmierzch w kanionie i Przed burzą.

Jill spojrzała na reprodukcje obrazów, a później na okładkę książki.

- Katalog twórczości Dunstana. Kiedy został wydany?

- Półtora roku temu z funduszy Tala Crawforda - wyjaśnił Frost. - Mniej więcej wtedy, kiedy obrazy Dunstana zaczęły szybko zyskiwać na wartości. I to dużo.

- Kim jest Crawford? - spytała Jill.

- Liczącym się kolekcjonerem - odparł Frost. - Zarobiłem dzięki niemu sporo pieniędzy, kiedy prowadziłem galerię. Słyszałem, że licytuje każdego Dunstana, jaki pojawi się na rynku. Od lat ma chrapkę na moje.

- Dlaczego? - dopytywała się Jill. - To znaczy, jasne, mnie też zachwycają obrazy Dunstana, ale nie czuję najmniejszej potrzeby, żeby każdy mieć na własność.

- Bo nie jesteś kolekcjonerem - odpowiedzieli jednocześnie Frost i Zach.

- Masz całkiem inną naturę - ciągnął Frost.

- Amen - posumował Zach. - Kolekcjonerzy są jak szczury wodne.

- Rozumiem - powiedziała Jill z uśmiechem. - Wariaci, ale niegroźni.

- Zachowi naprawdę poprawił się gust w kwestii kobiet. - Frost spojrzał na Jill.

- Jestem klientką - przypomniała.

- Tak ci się tylko wydaje. - Frost się uśmiechnął.

- Obrazy Jill są lepsze niż twoje - ocenił Zach, zmieniając temat. - Jaśniejsze. Bardziej żywe.

- Były przechowywane w kufrze na strychu - powiedziała.

- Lepsze to niż stodoła. - Frost się skrzywił. - Obejrzałeś je pod ultrafioletem?

- Nie - odpowiedział Zach.

- Dlaczego?

- Nie miałem ultrafioletu ani czasu.

- No to teraz masz. Druga szuflada po prawej stronie biurka. Sprawdź kobiece postacie na obrazach Jill. Mogły być domalowane, dodane później, nie wiem.

Zach podszedł do biurka i wrócił z czymś, co przypominało małą lampkę na biurko, tyle że wyposażoną w czarną zamiast jasnej żarówki i zasilaną bateriami. Jill patrzyła ponad jego ramieniem, kiedy włączył światło i wycelował w pierwszy pejzaż. Płótno zaalała fioletowa poświata.

- Promienie ultrafioletowe - wyjaśnił Zach.

- Używają ich na imprezach techno - skomentowała Jill.

- Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie na imprezie techno - zadrwił Zach.

- Zabawne, bo ja wyobrażam sobie ciebie bez problemu.

- W przerwie między kolejnymi imprezami techno wykorzystuję promienie ultrafioletowe do wykrywania poprawek i zmian na obrazach. - Zęby Zacha zaśniły biało w fioletowym blasku.

Jill spojrzała na Frosta.

- Myślisz, że tak mogło być? Że kobiece postacie zostały domalowane później?

- Nie byłyby to pierwszy taki przypadek. Czy twoja cioteczna babka była artystką?

- Nie, ale była nią moja babka. Z tego, co mówiła mi matka, Justine Breck malowała portrety dzieci i kwiaty.

- Babskie tematy - skwitował Frost. Jill ugryzła się w język.

Zach prześwietlał ultrafioletem każdy obraz po kolei, zwracając szczególną uwagę na kobiece postaci.

- I co? - spytał niecierpliwie Frost.

- Nic. Postacie są częścią oryginalnego obrazu. Podobnie jak stacja benzynowa w Indiańskich Źródłach. Namalowano je równocześnie z pejzażem, jako integralny element kompozycji.

- To wiedziałam bez ultrafioletu - mruknęła pod nosem Jill.

Frost zignorował uwagę. Wprawnie wyjął z ram jeden ze swoich obrazów i położył go między jej malowidłami. To samo zrobił z drugim.

Jill dostała gęsiej skórki. Sygnowane Dunstany bez ram całkiem nieźle pasowały do niesygnowanych płócien. Zaniemówiła. Spojrzała na Frosta.

- Dziękuję - powiedział Frost, patrząc na Zacha. - Czegoś takiego jak te obrazy nie widziałem przez dwadzieścia lat.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez długą chwilę, w której każdy usiłował wypowiedzieć coś, co utknęło między umysłem a językiem.

- Nie ma za co - wydusił w końcu Zach. - Wiedziałem, że twoja opinia będzie uczciwa, niezależnie od tego, czy mi się spodoba czy nie.

- A podoba ci się? - spytał Frost.

- Pytasz, czy miałem nadzieję, że to płótna Dunstana? Frost skinął głową.

- W pewnym sensie, tak - odparł Zach.

- Dlaczego tylko „w pewnym sensie”? - spytał Frost.
- Bo teraz muszę zadzwonić do St. Kildy i powiedzieć im, że nasze zlecenie to odbezpieczony granat.

Rozdział 43

Taos 15 września, godzina 19.10

Score siedział z tyłu nieoznakowanego wypożyczonego minivana. Miał szczęście. Zaparkował go przy cukierkowatym szyldzie pobliskiego pensjonatu, gdzie obecność obcego samochodu nie wzbudzała niczyich podejrzeń.

Mimo martwego sezonu, w pensjonacie byli goście, co nieco komplikowało sprawy. Przynajmniej na ulicy było spokojnie, a mocno przyciemniana szyba minivana zapewniała dodatkową dyskrecję. Rozsiadł się wygodnie i obserwował żelazną bramę po drugiej stronie ulicy oraz wysoki ceglany mur wokół domu Garlanda Frosta.

To, czego dowiedział się o Garlandzie Froście, wystarczyło, by zdążył się spocić.

Znawca sztuki Zachodu. Cieszący się wielkim autorytetem, mimo braku stopni naukowych. Nieomyślne oko.

Emeryt, ale nie niedołęga. St. Kilda najwyraźniej ma do niego pełne zaufanie.

Ma opinię aroganta. Długo trzeba przed nim skamleć, żeby zechciał na coś spojrzeć.

Przy odrobinie szczęścia, Jillian Breck co najwyżej go wkurzy.

Najnowsze nagranie z podsłuchu w telefonie satelitarnym Breck ujawniło podobno interesujące szczegóły. Amy przepuszczała je właśnie przez program do obróbki dźwięku. Lada moment Steve powinien mieć dla niego informacje.

Lepiej, żeby je miał.

Zrobiła się z tego niezła zadyma. Muszę wiedzieć, czy Frost ogląda zdjęcia obrazów czy prawdziwe płótna. A może mówi Breck, żeby poszła do diabła.

Muszę to wiedzieć. Natychmiast.

Dzień aukcji zbliża się wielkimi krokami. Jeżeli Frost ogląda prawdziwe obrazy, może się zrobić naprawdę nieciekawie.

Do ogrodu mogę wejść. No problemo.

Ale do domu?

Wielkie problemo.

Stawiał duże pieniądze na to, że dom Garlanda Frosta jest chroniony kamerami i mikrofonami. Ze staruszką było inaczej - ona miała tylko zdezelowaną dubeltówkę. Frost miał w domu wiele cennych przedmiotów.

Score nie zamierzał ryzykować włamania, chyba że nie będzie miał wyjścia.

Najbardziej wkurzało go to, że nie mógł podsłuchać rozmowy w domu nawet mikrofonem kierunkowym. Murowane ściany chłoną dźwięk jak gąbka, a do okna nie mógł podejść bez ujawnienia się. Pat. Rozległo się pikanie drugiego komputera. Spojrzał na ekran i uruchomił komunikator. Z wbudowanych głośników popłynął głos Steve'a:

- Score?

- Nie, zając wielkanocny. Co masz?

- Trzeci głos - powiedział Steve.

Coś takiego, pomyślał z ironią Score. Tyle wiem i bez ciebie.

- Facet ma rysztockowe słownictwo - ciągnął Steve. - Wszystko jest w skrypcie.

- Pojedyncze słowa czy ogólny kierunek rozmowy?

- Słowa. Mam ci przeczytać skrypt?

- Pod warunkiem, że jest mowa o obrazach.

- W liczbie mnogiej? Nie. Tak jak poprzednio, dźwięki były mocno stłumione, aż nagle wszystko stało się wyraźne. Nowy koleś wściekał się na palantów, którzy niszczą dzieła sztuki.

- Coś jeszcze?

- Nowy głos uciekł w tło, razem z dwoma poprzednimi, jakby oddalił się od pluskwy. Znowu słyszeć niewyraźnie, ale i tak lepiej niż wcześniej.

Score rzucił się na tę informację niczym pies myśliwski na ofiarę.

- Co się zmieniło?

- Głos jest cichy, ale nie stłumiony. Mam nowy program do obróbki dźwięku. Chciałem go wypróbować, ale wolałem cię najpierw...

- Do roboty! - uciał ostro Score. - I zaraz do mnie oddzwoń.

- To może potrwać kilka godzin. Program wykorzystuje złożone algorytmy, a to zabiera mnóstwo czasu, zwłaszcza na moim laptopie.

- Nieważne, o której skończysz, masz do mnie zadzwonić. Zadzwonić, zrozumiałeś? Na komórkę. Jasne?

- Jasne.

- No to do roboty.

Score wyłączył komunikator i popatrzył przez szybę. Na pewno wiedział tyle, że jeden z obrazów został zniszczony. Ale to nie była żadna nowość. W końcu sam pociął go maczetą na strzępy.

Dlaczego prosta robota zawsze musi się pochrzanić?

Przeszedł na tył minivana, otworzył małą srebrną walizkę i wyjął półautomatyczny pistolet. Założył tłumik, sprawdził magazynek i wrócił na przód samochodu.

Kiedy się ściemni, rozejrzy się koło domu Frosta. Może znajdzie okno, przy którym będzie się mógł zacziąć. Na lotnisku w Taos dowiedział się, że z samolotu wynajętego przez St. Kildę wyładowano sześć skrzyń. Wygląda na to, że ich agent postawił wszystko na jedną kartę.

A może nie.

Chodzi jak kaczka, mówi jak kaczka...
.. .a może się okazać, że to płotka.
Ale Score umiał sobie radzić z płotkami.

Rozdział 44

Taos 15 września, godzina 19.15

Siedzieli we trójkę w małym kąciku jadalnym w przestronnej kuchni Frosta. Ledwie się pomieścili.

Nieustanne ciepło i mięśnie twardego uda Zacha przy udzie Jill rozpalały ją bardziej niż meksykańskie tamale Lupity. Zach pewnie nie dostrzegał w tej sytuacji niczego szczególnego. Ale jednak z każdym ruchem przysuwał się coraz bliżej niej.

Na pewno przypadkiem.

Akurat. A kurczaki znoszą czekoladowe jajka. Od kostek po biodra czuła ciepło wysportowanego, silnego męskiego ciała.

- Rozumiem, co pan mówi - powiedziała do Frosta. - Ale nadal uważam, że to wszystko nie ma sensu. To normalne, że zdania ekspertów są podzielone. Powie to panu każdy prawnik.

Zach pochylił się, żeby dolać sobie ostrego sosu. Jego ręka delikatnie otarła się o jej pierś. Dobrze, że akurat mówił Frost, bo w tej chwili Jill nie byłaby w stanie wydusić z siebie słowa.

- Eksperci mogą mieć różne zdania i, oczywiście, mają - zgodził się Frost, wzruszając ramionami. - Znam przypadki sporów o autorstwo, ciągnących się latami, nawet w odniesieniu do dzieł XIX - i XX - wiecznej sztuki Zachodu, których historia jest stosunkowo dobrze udokumentowana.

Zach znów nachylił się po dokładkę sosu. Albo czegoś innego.

- W sprawach o przypisanie autorstwa z rak do rąk przechodzą sumy, które przewyższają początkową wartość dzieła - ciągnął Frost. - W tej chwili w Montanie toczy się proces w sprawie obrazu, który moim zdaniem namalował Charlie Russell. Inni twierdzą, że to nie on jest autorem. Jeden z marszandów publicznie wypowiedział się o swoich

wątpliwościach. Właściciel dzieła podał go do sądu, oskarżając o pomówienie, zniesławienie i ogólny idiotyzm, z powodu których wartość obrazu wycenianego na pięć milionów dolarów znacznie spadła.

- I jak się to skończyło? - spytał Zach niskim, chrapliwym głosem. Jill nie mogła złapać tchu.

Sięgnęła przez niego na prawo, po papierową serwetkę. Odpłacę mu pięknym za nadobne.

Zach wciągnął gwałtownie powietrze. Jego twarde mięśnie napięły się pod wpływem jej dotyku.

- Chłopaki z sądu w Montanie stanęli po stronie eksperta z Montany - odparł Frost. - Ten postanowił się zemścić i oskarżył właściciela kwestionowanego Russella o działanie w złej wierze. Kolejny skład sędziowski z Montany, w ramach zadośćuczynienia, przyznał ekspertowi dwadzieścia milionów dolarów czy inną podobnie kuriozalną kwotę. Odwołania ciągną się jak smarki z nosa. Ten proces chyba nigdy się nie skończy.

- To nauczka dla nas wszystkich - powiedział Zach, wypuszczając powietrze, kiedy Jill usadowiła się z powrotem na swoim miejscu. - I dobry przykład tego, co może się stać, kiedy zetrą się bogaci kolekcjonerzy, prawnicy i znawcy sztuki. Jazda bez trzymanki.

- Czy to znaczy, że lepiej nie rozpowszechniać pana opinii na temat moich obrazów? - spytała Jill Frosta.

- Starość i bogactwo mają swoje dobre strony. - Roześmiał się. - Nie muszę się bać niczego ani nikogo.

- Jakbyś kiedykolwiek się bał - wtrącił Zach. Frost go zignorował.

- Przeciąganie liny między ekspertami to tylko część problemu - powiedział, zwracając się do Jill. - Inna to taka, że w porównaniu z resztą twórczości Zachodu, rynek na prace Dunstana jest niewielki i zamknięty.

Zach sięgnął po kolejną porcję ostrego sosu.

- Widziałem ostatnie ceny sprzedaży i według mnie są całkiem przyzwoite.

Jill wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. Wiedziała, że stwardniały jej sutki.

Teraz Zach również o tym wiedział.

- Nie sugeruj się wynikami sprzedaży, chłopcze - powiedział Frost. - Nie zawsze wszystko jest takie, na jakie wygląda.

Zach zakaszał, raczej pewien, że to, czego dotknął, było takie, na jakie wyglądało.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dunstan miał niewielki dorobek. To może działać na niekorzyść artysty.

- Myślałam, że hasło „unikat” jest kluczowe dla sztuki pozycjonującej - stwierdziła Jill.

- Jeżeli w obiegu jest kilkaset płócien, konkurencja robi się nieco większa - powiedział Frost, wymachując widelcem, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. - Do aukcji włącza się więcej ludzi, bo istnieje większa szansa na to, że uda się coś upolować. - Przerwał i spojrzał na Zacha. - Jak będziesz tak żłopał ten ostry sos, to na stare lata nie zostanie ci żaden kubek smakowy.

Zach zignorował Frosta, nalał sobie jeszcze kilka kropel sosu i odstawił butelkę na miejsce na środku stołu. Powoli.

- Przez całe lata na Dunstana nie było popytu. - Frost pokręcił głową. - Cały rynek sztuki Zachodu napędzają zachodnie pieniądze, głównie z ropy naftowej, a tania ropa podkopała fortuny wielu wielbicieli jego obrazów.

- To już chyba przeszłość - zauważyła Jill.

- Tak, ale jeśli chodzi o sztukę, trzeba być dalekowzrocznym. - Frost upił łyk czerwonego wina, po czym uniósł kieliszek do światła, podziwiając nasyconą barwę. -

Kolekcjonerami kierują ukryte pobudki. Na najwyższym poziomie chodzi głównie o sportową rywalizację.

- Jak w myślistwie - przyznał Zach.

- Ja mam tę satysfakcję, że za każdy okaz z moich licznych kolekcji zapłaciłem pieniędzmi, które zarobiłem na innych kolekcjonerach. - Frost uśmiechnął się łagodnie. - Czasami mam wrażenie, że kolekcjonerzy robią to wszystko tylko po to, żeby zagłuszyć ból duszy. Mnie przy okazji udało się zarobić na życie.

- Chyba już wiem, po kim Zach jest takim cynikiem - stwierdziła Jill.

- Nauczyłem go wszystkiego, co umiałem - przyznał Frost.

- Chyba jednak więcej w kwestii sztuki niż cynizmu. Przedmioty cechują się tym, że posiadają zarówno walory wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Podejrzewam, że Zach ma wyrobiony zmysł estetyczny. Pana zmysłu estetycznego jestem pewna - powiedziała do Frosta.

- Tym akurat...

- ..można sobie podetrzeć tyłek - dokończył zdanie Zach. Frost posłał mu przez stół groźne spojrzenie.

Zach go zignorował. W tej chwili jego myśli zaprzętało zupełnie co innego.

- Nawet spośród doświadczonych marszandów i prywatnych kolekcjonerów, niewielu ugania się za pracami Dunstana. Tak naprawdę jest ich może dziesięciu, i to w ich posiadaniu znajduje się większość pięćdziesięciu płócien.

- O kim mówimy? - spytał Zach, unosząc wzrok znad drugiej enclilady.

- Przede wszystkim o Talu Crawfordzie - powiedział Frost. - Miliarderze. Magnacie naftowym. I dupku.

- Sądziłem, że Crawford woli sztukę nowoczesną - odezwał się Zach. - Zapłacił kupę kasy za Warhola, mniej więcej w czasie, kiedy opuszczałem Taos.

- Tamtego Warhola kupił do biura w Bostonie. Obrazy Picassa do biura na Manhattanie. Pollock poszedł do jego posiadłości na Martha's Vineyard. Ostatnio słyszałem, że na południe od Reno buduje zamek i urządza ranczo, które zajmie prawie całą pobliską dolinę.

- I oczywiście na każdej ścianie w zamku musi mieć odpowiednie dzieło z kanonu sztuki Zachodu - skwitowała Jill.

- Wielu miliarderów i multimilionerów kolekcjonuje dzieła sztuki - stwierdził Frost. - W tej chwili to głównie oni napędzają rynek. Gatunek nie ma znaczenia. Sztuka pozycyjna podbija ceny, które sięgają niebotycznych kwot. Chcesz piwa? - spytał Jill.

- A ja? - Zach wprawdzie nie miał na nie ochoty, ale nie mógł przepuścić okazji, by dać Frostowi prztyczka w nos.

- Wiesz, gdzie jest lodówka.

- Ja dziękuję - odparła Jill.

- Na pewno? - spytał Zach. - Możesz mi się prześlizgnąć po kolanach, żeby się wydostać zza stołu.

- Jesteś głupim samcem i tyle - mruknęła pod nosem. Uśmiechnął się szeroko.

Frost nie zwracał na nich uwagi.

- Tak naprawdę to nie wiem, czy Tal zalicza się jeszcze do grona miliarderów. Krążą plotki, że przez ostatnie dziesięć lat sporo stracił. Może dlatego skupił się na sztuce Zachodu ogólnie, a w szczególności na Dunstanie.

- W małym stawie łatwiej wzburzyć wodę - zauważył Zach.

- Właśnie.

- Jeśli ludzie płacą za płótna Dunstana po cztery miliony albo i więcej, to ten staw wcale nie jest taki mały - stwierdziła Jill.

- Niezupełnie. - Frost wzruszył ramionami. - Słyszałem, że na aukcji w Vegas Dunstany mają pójść za około dziesięć milionów sztuka.

- Wszystko jest względne - powiedział Zach. - Pamiętasz Klimta? Jill nabrała powietrza, po czym je wypuściła.

- Tak. Grabo ponad dziesięć milionów. Tylko... - Pokręciła głową. - Taka liczba zer mnie przerasta.

- Crawford kolekcjonuje dzieła sztuki od trzydziestu lat - powiedział Frost. - W ciągu ostatnich kilku lat sobie tylko znanymi sposobami kupił wszystkie Dunstany, jakie pojawiły się na rynku. Kilka z prywatnych kolekcji. Podobno to on stoi za projektem muzeum stanowego w Nevadzie. Znajdzie się tam największa, bo jedyna istniejąca kolekcja dzieł Dunstana.

Jill spojrzała na salon.

- Ale dwóch niewątpliwie autentycznych Dunstanów mieć nie będzie.

- Nie myśl, że nie kuśły mnie jego propozycje - wyznał Frost. - Bez problemu dostałbym siedem milionów za większe płótno, ale nie mogę sobie pozwolić, by je sprzedać.

- Dlaczego? - spytała Jill. - Oczywiście, poza tym, że uwielbia pan te obrazy.

- Podatki. Musiałbym wywalić kupę pieniędzy, żeby pokryć różnicę między ceną sprzedaży a wartością z wyceny i chybaby mnie trafił szlag, że zgarnie je rząd.

- Chciałabym mieć tylko takie problemy - stwierdziła Jill.

- Będiesz miała, jeśli uda nam się potwierdzić autentyczność twoich obrazów - powiedział Zach.

- Jak to?

- Podatek od spadku - wyjaśnił.

- Podatek od spadku po Modesty Breck został oficjalnie umorzony czy anulowany, czy jak to tam nazywają prawnicy - odparła Jill.

Zach spojrział na Frosta, który tylko wzruszył ramionami.

- Może ci się upiecze - powiedział Frost. - A może nie. Rząd wszędzie szuka pieniędzy, żeby mieć za co kupować głosy.

- Chcecie powiedzieć, że, być może, będę musiała sprzedać połowę obrazów po to, żeby zapłacić podatek za drugą połowę?

- Możesz podarować część muzeum, a w zamian uzyskać zwolnienie z podatku na resztę płócien - stwierdził Frost. - Darowizn nie przekazuje się z patriotycznych pobudek, tylko po to, by wyrolować fiskusa.

- Witamy w cudownym świecie podatków od spadku - parsknął Zach. - I wygranych na loterii. Bez względu na to, kto wygrywa, rząd zawsze zgarnia połowę stawki.

Jill sięgnęła po piwo i pociągnęła duży łyk.

- Ciekawe, dlaczego nie było z tego powodu rewolucji?

- Za małe zainteresowanie. - Zach przełknął ostatni kawałek tamale i spojrział na Frosta. - Czy masz dojście do Tala Crawforda?

- Łatwiej o zdjęcie z prezydentem. - Frost się roześmiał.

- A może Ambasador Steele zna kogoś, kto zna kogoś... - zastanawiał się Zach.

- Mogę się skontaktować z jednym z pośredników, od którego kupuje Tal - zaproponował Frost. - Ale od niego do Crawforda daleka droga. Poza tym Bóg jeden wie, czy jest akurat w Afryce, Wenezueli czy w Nevadzie albo Meksyku.

- Chciałbym się przekonać, jak zareaguje na wiadomość o dwunastu nowych Dunstanach - powiedział Zach.

- Zadzwoń do kilku osób. - Frost wstał od stołu. - Dowiem się, czy Crawford jest na Zachodzie. Robię to tylko

dlatego, że cię polubiłem - zwrócił się do Jill. - A nie z powodu widzimisię kowboja, z którym podróżujesz...

Zach patrzył, jak Frost znika z kuchni, zostawiając go z brudnymi naczyniami. Nie pierwszy raz. I gdyby Zach został, na pewno nie ostatni. W tej chwili nie miał wyboru - musiał zostać.

Rozdział 45

Taos 15 września, godzina 20.05

Score otworzył boczne drzwi transportera. Lampka w suficie nie zapaliła się, bo przezornie ją uszkodził. Ulice oświetlało zaledwie kilka latarni. Pewnie dlatego, że „chodnikiem” był wąski pas ubitej ziemi pomiędzy tym, co służyło za krawężnik, a ceglanymi murami domów. Choć znajdował się tu przytulny pensjonat, w dzielnicy wysokich płotów i żelaznych bram turystyka raczej się nie przyjęła.

Ruch zaczynał się dwie ulice dalej, przy rządzie restauracji i galerii. Tutaj, pośród domów w starym hiszpańskim stylu, ogrodzonych grubym murem, nie było żywego ducha.

Czas na mały rekonesans.

Pistolet w kaburze przy pasku bardzo mu przeszkadzał. Cholerny tłumik. Score nie miał wyboru, musiał wytrzymać.

Nękały go złe przeczucia. Zastanawiał się, czy to wrodzona paranoja czy może po prostu niepokoje go myśl o sześciu skrzyniach przywiezionych do znawcy sztuki Zachodu.

A może to te ceglane ogrodzenia. I domy jak fortece w ciemnych alejkach. Każdy poczułby się nieswojo.

Nakazał sobie spokój i skupił się na pracy. Swobodnie maszerował ciemną bitą ścieżką, jakby przechadzał się tędy codziennie.

Kiedy stanął przed bramą Frosta, stwierdził, że jest dokładnie taka, na jaką wyglądała przez lornetkę. Zatrzaśnięta. Zamknięta na klucz. Z solidnymi, sprytnie zainstalowanymi alarmami. Urządzenia elektroniczne, sterujące furką i alarmem, były poza jego zasięgiem.

Zawrócił do ceglanego muru. Jeżeli miał chronić przed intruzami, to niezbyt dobrze spełniał swoją funkcję. Regularne przerwy między cegłami pozwalały szybko wspiąć się do gałęzi drzewa, zwieszających się nad murem.

Score wdrapał się na górę.

Nad murem nie było drutu pod napięciem. Ani czujników. Ani tłuczonego szkła. Ani dzwonek czy gwizdków. Tylko kurz i zwiędłe liście.

Równie dobrze Frost mógł wywiesić transparent powitalny.

Score się uśmiechnął. Jeśli ktoś wykazuje taką beztroskę, sam jest sobie winien.

Zeskoczył do ogrodu, tuż za pniem drzewa. Przez kilka minut nasłuchiwał i obserwował, a potem podszedł do dodge'a magnum.

Zamknięty.

Elektroniczne zabezpieczenia.

Agent St. Kildy był bardziej przezorny niż Frost.

W żadnym z okien domu od strony ulicy nie paliło się światło, więc Score zaryzykował i zaświecił latarką do wnętrza samochodu. Stały w nim skrzynie, dokładnie tak jak opisał facet na lotnisku. Sześć. Jedna przy drugiej -

Frost najwyraźniej nie palił się do wyceny obrazów.

Zakładając, że w skrzyniach są obrazy, a nie, na przykład, trociny. Ludzie St. Kildy znali więcej sztuczek niż David Copperfield.

Score wyłączył latarkę i zaczął się przy pniu drzewa. Mógłby ukraść auto, ale to by było głupie. Z wyjazdem przez bramę pewnie nie miałby problemu, ale podejrzewał, że samochód ma nadajnik GPS. Wypożyczalnie przy meksykańskiej granicy często stosowały takie zabezpieczenia.

Mógłby też wynieść skrzynie z auta. Doszedł jednak do wniosku, że to kiepski pomysł. Przeprowadzając się przez mur sześć razy, za każdym razem ze skrzynią pod pachą, na pewno ściągnąłby sobie na głowę kłopoty.

Cokolwiek postanowi, musi poczekać, aż wszyscy zasną. Albo wyjadą. Skąd wiadomo, czy agent i Breck lada moment

nie wyjdą z domu? W dossier Frosta pełno było wzmianek o jego trudnym charakterze. Całkiem możliwe, że odmówi pomocy St. Kildzie i przepędzi agenta gdzie pieprz rośnie.

Score uśmiechnął się blado. Poczeka i zobaczy, co się wydarzy. Bezpieczniejszy będzie jednak na parkingu przy pensjonacie niż na podjeździe domu Frosta.

Przeskoczył przez mur równie cicho, jak poprzednio.

Niezauważony.

Wsiadł do minivana i zaczął obserwować bramę posesji. Jeśli do północy nic się nie wydarzy, podjedzie za miasto na całodobową stację benzynową i kupi co potrzeba. Wróci, wykona zadanie i ustrzeli każdego, kto wybiegnie z domu.

O ile nie wyniknie nic nieprzewidzianego, przystopuje przeciwnika do czasu zakończenia aukcji.

A później niech się martwią inni.

Rozdział 46

Taos 15 września, godzina 20.30

W ogóle się nie zmienił - stwierdził Zach zde gustowany.

- O czym ty mówisz? - spytała Jill.

- Zrobi wszystko, byle tylko nie zmywać. - Wstał od stołu i zaczął zbierać talerze. - Pewnie mu się wydaje, że jest stworzony do wyższych celów.

- Od dawna udajecie, że się nie lubicie? - Jill się roześmiała i zaczęła pomagać Zachowi sprzątać ze stołu.

- Udajemy?

- Udajecie. I chyba tylko wy się na to nabieracie.

Zach zgarnął do śmietnika resztki kolacji i odłożył talerze na blat. Jill otworzyła zmywarę i zaczęła wkładać naczynia do środka.

- Zacząłem pracować dla Frosta pod koniec szkoły średniej, Twierdził, że bezpłatne praktyki są bezcenne. W końcu, po pół roku, dostałem pierwszą pensję. Zostałem pięć lat. Ale... - Wzruszył ramionami. - Okazało się, że nie ma tu miejsca dla nas obu.

- Dwóch kapitanów na jednym statku to rzeczywiście o jednego za dużo - przyznała Jill. - To pierwsza zasada, której człowiek uczy się na rzece.

Zach z uśmiechem otworzył szufladę i wyjął stary mosiężny klucz.

- Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Plecak już ci zaniósłem.

- A saszetka?

- A będzie ci potrzebna?

- Nie.

Wyszła za nim na zewnątrz i poczuła rześkie, górskie powietrze. Po hiszpańskich alejkach ogrodu wiatr przeganiał suche liście. W ciemności słychać było łagodne pluskanie fontanny.

Zach otworzył drzwi małego domku i odsunął się, by przepuścić Jill. Otarła się o niego, ciepłem i subtelnym zapachem jeszcze bardziej pobudzając jego zmysły.

Zamknął drzwi. Pokój oświetlał jedynie lampion z gliny, ustawiony w ściennej wnęce.

- Kiedy stąd wyjeżdżałem, byłem przekonany, że nie wrócę. - Zach powiesił klucz na gwoździu. - Nigdy. Jeden z dawnych wspólników Frosta zatrudnił mnie w CIA, jako doradcę do spraw międzynarodowego handlu dziełami sztuki.

- Nie sądziłam, że CIA ma coś wspólnego ze sztuką. - Jill podeszła do kominka.

- Owszem. W sprawy związane z handlem dziełami sztuki zaangażowanych jest wielu dyplomatów, a także międzynarodowe siły wywiadowcze. Sami tylko Rosjanie w ekskluzywnych domach aukcyjnych w Londynie i Nowym Jorku wyprali już setki milionów dolarów.

Ciemność rozjaśnił płomień zapałki. Jill przyłożyła ją do suchej podpałki i drobnych gałęzi w kominku.

- I z czym się zetknąłeś w tej sztuce dla sztuki? - spytała, prostując się.

- Z rzeczywistością. - Zach podszedł do niej i tańczących w kominku płomieni. - Ale za biurkiem wcale nie byłem szczęśliwszy niż jako popychadło aroganckiego geniusza. W końcu ambasador Steele zaproponował mi pracę na zlecenie. Zgodziłem się.

Jill odwróciła się i popatrzyła na Zacha. Spodobało jej się to, co zobaczyła.

- Czemu tak patrzysz? - spytał. - Nos mam z tyłu czy co?

- Ja nie czytałam dossier na twój temat, więc jestem na przegranej pozycji.

- Zapewniam cię, że wiesz wszystko, co powinnaś wiedzieć. - W jego bursztynowych oczach odbijał się ogień.

- W kwestii pracy pewnie tak. Ale nie życia prywatnego...
- Czekala.

Znieruchomiał. Wspomnienie jej twardych sutków paliło go niczym ogień.

- Jak brzmi pytanie? - Jego głos był ochrypły, ale nie miał na to wpływu. Podobnie jak na kształt swoich dżinsów, które z każdym uderzeniem serca robiły się z przodu coraz ciaśniejsze.

- Jesteś zaangażowany w coś jeszcze, oprócz pracy dla St. Kildy i zbierania starych samochodów? - spytała Jill.

- W co, na przykład?
- Związek z kobietą.
- Nie. A ty?
- Wolę mężczyzn.
- W liczbie mnogiej? - spytał poważnie.
- Z więcej niż jednym chyba nie dałabym sobie rady. - Właściwie to nie wiem, czy dam sobie radę z jednym, przyznała w myślach, ale zaryzykuje. Lubię wyzwania.

Zach objął ją za kark i przyciągnął bliżej, a potem jeszcze bliżej, aż poczuł jej ciało od ust do kolan.

- Mam nadzieję, że myślisz o tym samym co ja - powiedział.

- Jeśli myślisz o nas dwojgu i łóżku, to owszem.
- O łóżku, podłodze, ścianie, wszystko jedno. Nie jestem wymagający.
- Jesteś twardy - wyszeptała mu w szyję. - I dlatego nie jesteś wymagający. - Ale za to cholernie kuszący.

Kiedy poczuł, że delikatnie smakuje go językiem, zaparło mu dech.

- Przez ciebie lekceważę podstawową prawdę, że niebezpiecznie jest łączyć interesy z przyjemnościami.
- Spływy rzeką to moja pasja i praca. I co powiesz na to?
- A, cholera, nie wiem.

Jill wspięła się na palce, a on ją objął. Pocałunek Zacha był taki jak on sam - silny, gorący, mocny, tak podniecający, jak moment, w którym tratwę porywa nurt.

Złość i strach, które w sobie tłumiała od chwili, kiedy zniszczono jej auto, przerodziły się w namiętność. Ogarnęło ją pożądanie, jakiego nigdy przedtem nie czuła. Dziewictwo straciła z ciekawości jeszcze w liceum, a potem rzadko się z kimś kochała. Od mężczyzn o wiele bardziej fascynowała ją rzeka.

Aż do tej pory.

Zach wyczuł tętniącą w Jill namiętność, usłyszał ochrypły szept jej pragnienia i natychmiast zapomniał się w jej smaku, ciepłe i dotyku jej skóry pod dłońmi i językiem.

Łóżko stało po drugiej stronie pokoju.

Stanowczo za daleko.

Zdjął z niej bluzkę i rzucił przez ramię na podłogę. Pochylił się nad stwardniałymi sutkami, które od kolacji doprowadzały go do szaleństwa. Wziął jedną do ust i w tej samej chwili poczuł na plecach powiew chłodnego powietrza. Zorientował się, że Jill zdarła z niego koszulę i rzuciła na ziemię.

Jej dłoń na zamku dzinsów doprowadziła go do granic wytrzymałości.

- Prezerwatywa - powiedział.

- Gdzie? - wyszeptała mu w nagi tors, przygryzając skórę.

- W tylnej kieszeni.

- Miałam nadzieję, że w przedniej.

Jego śmiech przeszedł w jęk, kiedy jedną dłonią rozpięła zamek spodni, a drugą powoli szukała prezerwatywy w tylnej kieszeni.

- Kusisz - zamruczał.

- Bo jesteś wart grzechu.

Ledwie nad sobą zapanował, słysząc jej pełen przyzwolenia głos i czując pieśczość dłoni.

- Druga kieszeń - wychrypiał.

Wsunęła dłoń do slipek i chwyciła jego penisa.

- Dość tego. Koniec zabawy. - Wyszeptał chrapliwie, kiedy zaczęła go pieścić najpierw dłonią, a potem ustami.

Kilka sekund później Jill leżała naga przy kominku. Uklęknął między jej nogami, nałożył prezerwatywę i sprawdził palcem, czy jest gotowa. Kiedy poczuł wilgoć i zapach podniecenia, ucieszył się, że już klęczy, bo inaczej na pewno padłby na kolana. Była śliska, gorąca i ciasna, jej skóra płonęła z podniecenia, a biodra unosiły się, żeby się z nim spotkać.

Chciał w nią wejść delikatnie, ale było za późno. Była za bardzo rozpalona na dłuższe igraszki. On zresztą też. Napiął pośladki i wtargnął w nią jednym stanowczym ruchem, wypełniając ją do końca.

Krzyknęła gardłowo. Znieruchomiał.

- Za szybko? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Nie odpowiedziała, więc zaczął się wycofywać. Wtedy poczuł pieśczość rytmicznych skurczów jej spełnienia, które unosiły go na szczyty rozkoszy. Zanurzał się w niej mocno, głęboko, szybko, aż zadrżał i stracił poczucie rzeczywistości.

Nie wiedział, ile czasu minęło, kiedy ocknął się przy trzaskającym ogniu. Leżał na miękkim i silnym ciele Jill, która gładziła go dłońmi po plecach.

- Przygniataam cię.

- Tak, ale jest mi dobrze. - Roześmiała się bez tchu. - Nie tylko z tego powodu mi z tobą dobrze.

Dotknął nosem jej szyi, a później odwrócił się na bok, pociągając ją za sobą, cały czas zanurzony w niej.

- Przepraszam. Na ogół nie kończę tak szybko.

- A ja w ogóle rzadko zaczynam. Nie dociera do mnie, co się stało. I zastanawiam się, co zrobić, żeby to powtórzyć.

Leniwie przesunął palcami po jej kręgosłupie i między twardymi, seksownymi pośladkami, a później niżej, tam, gdzie nadal była gorąca i wilgotna.

Zapało jej dech.

- Zach?

- Hm?

- Nie za szybko?

- Dla ciebie nie.

Chciała spytać, co ma na myśli, ale nie mogła złapać tchu. Zamiast tego, po prostu odpowiedziała na wprawne ruchy jego palców, nacisk, pocieranie, wsuwanie i wysuwanie. Jego dotyk rozpałał w niej ogień, który trawił całe ciało.

Uśmiechnął się, czując jej orgazm. Kiedy w końcu doszła do siebie, wysunął się z niej powoli. Jęknęła jak niezadowolona kocica.

- Czas do łóżka. - Roześmiał się, pomagając jej wstać.

- Wolę zostać tutaj. - Ziewnęła.

- Zobaczysz, rano mi podziękujesz.

- Dziękuję ci już teraz.

- Mam nadzieję, że nie jesteś śpiąca, bo chodzi mi po głowie całowanie i lizanie. - Chwycił dżinsy, wyjął kilka prezerwatyw i spojrzał na nią.

- Gdzie? - Jill obdarzyła go leniwym uśmiechem.

- Wszędzie.

Rozdział 47

Taos 15 września, godzina 23.07

Garland Frost siedział w otoczeniu obrazów i rozmyślał. Na biurku leżał otwarty katalog dzieł Dunstana. Fotografie nie bardzo mu się przydały do porównań, ale poza dwoma swoimi Dunstanami nie miał nic innego, na czym mógłby się oprzeć.

Im dłużej przyglądał się niesygnowanym płótnom, reprodukcjom w katalogu i swoim pejzażom, tym bardziej był przekonany, że obrazy Jill Breck są dziełami Thomasa Dunstana - i to mimo obecności kobiecych postaci, stacji benzynowej na obrazie Indiańskie źródła i braku sygnatur.

Jeżeli nie wyszły spod ręki Dunstana, to stworzył je fałszerz tak biegły, że oryginał i falsyfikat niczym się od siebie nie różniły.

Prawdziwym dowodem autorstwa były pociągnięcia pędzla, energia, dobór barw, wycucie przestrzeni albo jej brak, atmosfera spokoju lub wręcz przeciwnie, i tysiące innych szczegółów, które stanowiły o wyjątkowości płócien Dunstana.

Tak, to były obrazy Thomasa Dunstana.

Teraz musiał tylko tego dowieść.

Ogarnęło go podniecenie. Poczuł, że wstępuje w niego siła, o którą od dawna się nie podejrzewał. Okazało się, że cały czas była w nim. Wystarczyło tylko, żeby w życiu, które zaczęło go nużyć, pojawiło się coś wartego zainteresowania.

Miał ochotę obudzić Zacha i go przytulić. Ale Zach pewnie nie byłby zadowolony, że mu przeszkadza.

Frost z uśmiechem zaczął robić to, co przez kilka ostatnich godzin robił już wiele razy. Brał do rąk po kolei każde płótno i oglądał je z przodu, z tyłu i z boków. Był pewien, że coś przeoczył.

Nie wiedział tylko co.

Niecierpliwie otworzył laptopa. Jeszcze raz przejrzał wzmianki na temat Dunstana, stare zdjęcia jego prac, wzniosłe słowa opisujące to, czego opisać się nie da.

- Idioci i kretyni - mruknął. - Zwłaszcza Lee Dunstan. Zna się na sztuce jak kura na pieprzu.

Bezwiednie przejechał palcami po Indiańskich Źródłach, rozmyślając o Dunstanie, sztuce, życiu i tym, co nieznane. W pewnej chwili zorientował się, że jego palce bez przerwy wracają do tego samego punktu na płótnie. Powtórzył delikatny ruch, tym razem skupiając się na tym, co robi.

Wyraźnie inna struktura.

Odwrócił obraz do góry nogami i spojrzał na miejsce, w którym wyczuł zmianę. Być może było to tylko zgrubienie farby, ale w tym świetle nie mógł tego stwierdzić. Zaniósł płótno do biurka, nachylił do światła i, marszcząc brwi, spojrzał na dolną krawędź. Gdyby obraz był oprawiony w ramę, nie byłoby jej widać.

Zapalił lampę ultrafioletową i zgasił lampkę na biurku. Przez minutę przyglądał się swojemu znalezisku. Potem obejrzał pod wiązką ultrafioletu krawędzie wszystkich pozostałych obrazów.

Przy szóstym zaczął się promiennie uśmiechać. Zanim skończył, śmiał się na głos. Ogarnęła go nieopisana radość, bo odkrył coś niezwykłego, chociaż był przekonany, że na tym etapie życia wszystko jest szare i bez wyrazu.

- Zach, mój synu, jutro mnie będziesz całował po nogach. I jeszcze mi za to podziękujesz.

Nie przestając się uśmiechać, zaczął przeszukiwać Internet, aby potwierdzić to, co właśnie odkrył.

Rozdział 48

Taos 16 września, godzina 1.07

Score wysikał się do pustej butelki po gatorade, zakręcił ją i postawił obok drugiej na podłodze przy siedzeniu pasażera. Kiedy będzie wyjeżdżał z miasta, zrobi to, co kierowcy ciężarówek w długiej trasie - na autostradzie międzystanowej wyrzuci butelki przez okno.

Sprawdził komputery, ale nie znalazł żadnych nowych informacji z podsłuchu Breck. Stwierdził, że najwyższa pora brać się do roboty.

Od zapachu benzyny robiło mu się niedobrze.

Wysiadł z furgonetki i pod osłoną mroku ruszył do domu Frosta. Pałka sprężynowa, którą miał w kieszeni, ciągnęła kurtkę do dołu i uderzała go w biodro. Pistolet z tłumikiem wbijał mu się w tyłek, a ukryta w papierowej torbie butelka z benzyną potwornie śmierdziała. Zabezpieczył ją warstwą wiórów, które przydadzą się, żeby rozkręcić zabawę.

Wspiął się na mur i zeskoczył niezauważony z drugiej strony.

Podszedł szybko do dodge'a i zobaczył, że skrzynie są na swoim miejscu. Uśmiechnął się. Wprawnym, szybkim ruchem uderzył pałką w tylną szybę. Bezpieczne szkło rozsypało się na tysiące błyszczących kawałków. Nie były ostre, więc nie musiał się martwić o skaleczenie.

Po kilku sekundach włączył się alarm. Tyle czasu wystarczyło, aby Score zapalił prowizoryczny lont na butelce z benzyną i razem z papierową torbą wrzucił ją do środka.

Płomień rozbłysnął tak szybko i mocno, że o mało nie poparzył mu twarzy.

Niech to szlag! Trzeba było dać mniej trocin.

Chciał jednak mieć pewność, że ogień się rozpali. Stał przy murze jeszcze kilka sekund, sprawdzając, czy płomień nie gaśnie.

Po chwili pożar rozszalał się na dobre.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe. Score dostrzegł
lśniące siwe włosy, wyciągnął pistolet i wycelował.

Pistolet Frosta wypalił chwilę wcześniej.

Rozdział 49

Taos 16 września, godzina 1.11

Zach wciągnął dżinsy i pobiegł do drzwi domku gościnnego, nie do końca świadomy, co go obudziło.

- Zach? - odezwała się zaspana Jill.

- Zostań - nakazał, wychodząc. - Strzelanina.

Sprzed posiadłości dobiegało przenikliwe wycie alarmu samochodowego.

Zatrzasnął drzwi domku i puścił się pędem boso przez ogród. Broń miał tam, gdzie sam powinien być - w sypialni gościnniej na górze.

Drzwi wejściowe były otwarte. Przed nimi, w świetle padającym z korytarza, w czerwonej plamie krwi leżał Frost, a kilka centymetrów od jego prawej ręki - wielki rewolwer.

Na podjeździe szalał ogień. Trawił wynajęty samochód, oświetlając piekielnym blaskiem całe podwórze.

Piętnaście centymetrów nad głową Zacha kula rozbujała kapitański dzwon.

Tłumik.

Zach błyskawicznie zgasił światła i padł na ziemię obok Frosta. Jedną ręką zbadał mu puls.

Przyśpieszony, ale jest.

Podniósł z ziemi rewolwer, ścisnął go dwa razy w dłoni i wycelował w sylwetkę mężczyzny, który przykucnął na murze.

Zobaczył błysk wystrzału.

Huk broni Frosta zabrzmiał po raz drugi i trzeci, rozdzierając nocną ciszę. Rewolwer mocno odskakiwał w dłoniach Zacha, ale spodziewał się tego. Frost zawsze powtarzał, że broń, która nie kopie jak osioł, nadaje się dla dziewczyn.

Rozległ się krzyk, potem przekleństwo i cień zniknął za murem.

Zach poderwał się z ziemi i na panelu sterującym wbił kod otwierający bramę. Usłyszał odgłos bosych stóp na korytarzu i wołanie Jill.

- Wezwij pogotowie! - przekrzyczał ją. - Frost jest ranny! Nie wiem, ilu jest napastników!

Pobiegł do bramy, usłyszał kroki uciekającego mężczyzny i szybko wyjrzał za otwierające się skrzydło.

Metalową kratę drasnęła kula.

Zach padł na brzuch i na łokciach podczołgał się do przodu. Zobaczył, że mężczyzna rzucił się do ucieczki. Oddał jeszcze dwa strzały, które rozbrzmiały potężnym hukiem.

Mężczyzna się zawahał. Potem skręcił na rogu ulicy i zniknął.

Zach ostrożnie wybiegł na jezdnię. Po trzech susach puścił się w szaleńczą pogoń za złowieszczym cieniem.

Rozdział 50

Taos 16 września, godzina 1.12

Zach zniknął za otwartą bramą, a Jill padła na kolana obok Garlanda Frosta. Chciała krzyknąć do Zacha, żeby uważał, ale było za późno. Już wybiegł na ulicę. Jedyne, co mogła zrobić, to spróbować pomóc Frostowi.

Światło na ganku było wyłączone, ale i bez tego widziała, że z miejsca powyżej klamry paska Frosta wypływa krew. Ciemna ciecz spływała mu po boku i wsiąkała w indiański dywanik, przykrywający podłogę z płytek.

Za dużo krwi.

Chwyciła telefon bezprzewodowy ze stolika na korytarzu, wybrała numer linii alarmowej i ramieniem przytrzymała słuchawkę przy uchu. Zanim usłyszała sygnał połączenia, rozpięła Frostowi koszulę, chcąc ocenić rozmiary urazu. Prawie nie zwróciła uwagi na płonącego dodge'a, smród palonego plastiku, parafiny, i ropy. Była całkowicie pochłonięta rannym mężczyzną.

W końcu w słuchawce odezwał się spokojny głos dyspozytora.

- Numer alarmowy Taos. W czym mogę pomóc?

- Chcę zgłosić strzelaninę. Jest jeden ranny. Mamy też niekontrolowany pożar samochodu - powiedziała Jill. - Dom Garlanda Frosta, Taos. Natychmiast potrzebna karetka. I straż pożarna. Kolega ściga napastnika. Obaj są uzbrojeni. Nie znam adresu.

- Na adres Garlanda Frosta dostaliśmy już wezwanie od firmy ochroniarskiej. Policja jest w drodze. Nazwisko i wiek ofiary?

- Garland Frost, po siedemdziesiątce.

- Pani nazwisko?

- Nieważne - ucięła Jill. - Później podam dane. - Nie rozłączając się, odłożyła słuchawkę na bok i rozchyliła Frostowi koszulę. - Słyszysz mnie pan?

Poruszył głową i na kilka sekund skupił na niej wzrok. Otworzył usta, ale wydobył się z nich tylko jęk. Zamknął oczy, a jego ciało zwiotczało.

Jedno spojrzenie na ranę wystarczyło, żeby Jill zrozumiała, że nie jest w stanie mu pomóc. Mogła jedynie robić wszystko, by nie stracił przytomności.

- Panie Garland - powiedziała spokojnie i wyraźnie. - Musi mi pan pomóc. Niech pan nie zasypia. Niech pan na mnie spojrzysz. - Pogłaskała go po policzku. Nie zareagował, więc go uszczypnęła. Otworzył oczy i znów na nią spojrzał. - Boli pana coś oprócz boku?

Poruszył głową w jedną, a potem w drugą stronę, żeby zaprzeczyć. Jill poczuła ulgę. Rdzeń kręgowy nienaruszony. Dzięki Bogu.

- R... rana - wydusił.

- Wiem. Pomoc jest już w drodze. W oddali rozległo się wycie syren. Jill miała nadzieję, że to pogotowie. Zza tylnej szyby samochodu strzeliły iskry. Jeżeli wybuchnie zbiornik z paliwem, Frost znajdzie się dokładnie na linii ognia.

- Muszę pana wciągnąć do środka. Będzie bolało. Przepraszam. Nie mam wyboru.

Pobiegła z powrotem do domu, chwyciła koniec indiańskiego dywanu i zaczęła go wciągać w głąb korytarza.

Powoli, upomniała się. Bo pogorszysz uraz. Zbiorniki z paliwem wybuchają tylko w filmach.

Brednie. Przy odpowiednich warunkach wybuchają wszędzie.

I tylko od zbiornika zależy, jakie to będą warunki.

Frost miał ponad siedemdziesiąt lat, ale był z niego kawał chłopca. Jill musiała się zapierać bosymi stopami o płytki,

ciągnąc dywan. Razem z Frostem przesuwiał się telefon. Gorączkowo zastanawiała się, czy staruszek nie dostanie zapaści spowodowanej utratą krwi.

Miała wrażenie, że minęła wieczność, a jednak już po kilku sekundach Frost leżał bezpiecznie w korytarzu. Podbiegła do drzwi wejściowych i je zatrzasnęła. Wróciła do Frosta. Na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność.

- Niech pan nie zasypia! - zawołała stanowczo. - Proszę nie zasypiać! - Nie przejmując się krwią, wetknęła słuchawkę telefonu między ucho a ramię, jednocześnie starając się wyczuć puls Frosta. Jest.

Staruszek jęknął słabo.

- Moje nazwisko Jillian Breck - powiedziała do słuchawki. - Pacjent co chwila traci przytomność. - Wstała i pośpiesznie weszła do małego, staromodnie urządzonego saloniku. Chwyciła z kanapy dwa puchate jaśki i ozdobny indiański koc.

- Jeszcze moment - uspokajał ją dyspozytor. - Karetka już jedzie.

Wróciła do Frosta i usłyszała, że operator wzywa dodatkowe jednostki i przez radio ostrzega funkcjonariuszy, że jeden z mieszkańców domu jest uzbrojony.

- Niech pani powie, żeby odłożył broń - poprosił dyspozytor.

- Nie ma go tu, a poza tym nie odłoży broni, bo ktoś do niego celuje. Nie wiem, kto to jest, ale ma tłumik, bo słyszałam odgłos tylko jednego pistoletu.

- Radiowóz będzie za niecałą minutę - oznajmił dyspozytor. - Proszę mi opisać swojego znajomego.

- Jest boso i bez koszuli. - Jill uniosła stopy Garlanda i ułożyła na poduszkach, potem przykryła go wełnianym kocem. - Ma na sobie dżinsy. Nazywa się Zach Balfour. Ma ponad metr osiemdziesiąt, ciemne włosy i posturę kowboja z

rodeo. - Ostrożnie uciskała ranę, starając się zatamować krwawienie. - Nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda napastnik. - Usłyszała głos Zacha. - Jestem w korytarzu! - krzyknęła, zasłaniając słuchawkę dłonią. - Policja już jedzie. Masz odłożyć broń.

Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły.

- Proszę bardzo - mruknął Zach zde gustowany. - I tak skończyły mi się naboje. Stary rewolwer Frosta robi dużo hałasu, nic poza tym.

- Odłożył broń - poinformowała Jill dyspozytora. - Zrozumiał pan? Nie ma broni.

- Przyjąłem. Przekażę policjantom. Wycie syren stawało się coraz głośniejsze.

Jill uniosła głowę. W długich, wąskich oknach po obu stronach drzwi wejściowych, w których stał Zach, odbijały się lśniące, roztańczone płomienie.

- Myślisz, że zbiornik paliwa wybuchnie? - spytała.

- Zależy od tego, kiedy zjawi się straż. Co z Frostem?

- Żyje.

Zach nie zadawał więcej pytań. Jej spięty głos powiedział mu więcej niż słowa.

- Co z karetką? - odezwała się do Jill dyspozytora. - Pacjent stracił przytomność. Nie ma czasu do stracenia.

- Jest pani lekarzem?

- Jestem zawodowym przewodnikiem rzeczonym. Przeszłam szkolenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy.

- Niech straż podjedzie pod główną bramę! - zawołał Zach, na tyle głośnie, żeby dyspozytor go usłyszał. - Zbiornik paliwa może wybuchnąć w każdej chwili. Od północy jest furka dla gości. Tam będzie bezpiecznie. Niech karetka zajedzie od tamtej strony.

- Przyjąłem - zameldował mężczyzna. - Straż pożarna ma jeszcze kilometr. Policja i sanitariusze wejdą przez północną furtkę.

- Napastnik pobiegł na południe - dodał Zach. - Wydawało mi się, że słyszę odgłos zapalającego silnika, ale nie jestem pewien. Nie widziałem żadnych świateł.

- Zrozumiałem - odparł dyspozytor. - Poinformuję funkcjonariuszy. Zach odłożył rewolwer na półkę na korytarzu i spojrzał na Jill.

- Pójdę otworzyć północną furtkę. Wracam za minutę.

- Przynieś koce. Co z tamtym facetem?

- Chyba go trafiłem, ale widocznie za lekko, bo zwiął.

Zach zniknął. Biegł przez dom boso, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu.

Rozdział 51

Taos 16 września, godzina 1.18

Radiowóz stanął na ulicy za bramą wjazdową. Syrena przestała wyć, ale kogut nadal migał na niebiesko i czerwono. Z okolicznych domów zaczęli wychodzić ciekawscy sąsiedzi. Jeden z funkcjonariuszy wyjął megafon i nakazał im się rozejść.

Silnik wielkiego wozu strażackiego zwiększył obroty, kiedy kierowca uruchomił pompy. Do płonącego samochodu podbiegło z węzem pożarniczym dwóch strażaków w pełnym ekwipunku i hełmach na głowie. W zetknięciu z gorącą stałą woda zaczęła syczeć i zamieniać się w parę, spowijając białą chmurą czarny, gęsty dym. Trzeci strażak podbiegł do auta z siekierą i wybił szyby w bocznych oknach.

Zduszone wodą płomienie zaczęły szybko gasnąć. Wynajęty dodge w jednej chwili zamienił się w posepny, syczący wrak. W powietrzu czuć było chemikalia. Gdzieś w szkielecie auta uparcie tlił się ogień.

Jill usłyszała, jak w stronę domu biegnie Zach z załogą karetki. Ogień w kominku dogasał, więc zapaliła światło na korytarzu. Płomienie już nie ożywiały skóry Frosta. Staruszek był niemal przezroczysty. Jill wstała, by zrobić miejsce sanitariuszom.

Sanitariuszka uklękła, żeby zbadać rannego. Jej kolega nawiązał radiową łączność ze szpitalem i po chwili zaczął przekazywać uwagi na temat stanu pacjenta.

Jill zakreśliło się w głowie. Z powodu dymu, adrenaliny, strachu albo wszystkiego naraz. Zach objął ją w talii, żeby ją podtrzymać.

- Nic ci nie jest? - spytał.
- Muszę tylko odetchnąć.
- Masz krew na rękach.

Spojrzała na zakrwawione dłonie i zaczęła wycierać je w dżinsy.

- Frost ma ją wszędzie.

Zach wprowadził ją do saloniku.

- Gliniarze, którzy ścigają tamtego zbira, szybko sobie odpuszczą i przyjadą nas przesłuchać. Jeżeli znają się na robocie, przesłuchają nas osobno.

- I?

- Powiedz im wszystko oprócz tego, co myślimy o obrazach - odparł cicho. - Przyjechaliśmy do Frosta po wycenę. Jasne? Tylko po wycenę. Nie wspominaj o St. Kildzie, liście z pogrózką ani podejrzeniach w związku ze śmiercią babki. Powiedz tylko o płótnach i wycenie.

Z korytarza dobiegł kobiecy głos.

- Czy któreś z państwa jest krewnym? Zach wrócił na korytarz.

- Staruszek ma podobno córkę w Santa Fe. Jestem starym przyjacielem. O co chodzi?

- Pacjent jest słaby, ale chce z panem porozmawiać. Niech pan to zrobi, zanim go zabierzemy. - Zach zrozumiał to, czego kobieta nie powiedziała. To mogła być ostatnia szansa na rozmowę z Garlandem Frostem.

Kiedy Jill wyszła na korytarz, zobaczyła Zacha klęczącego u boku rannego. Frost resztkami sił wyciągnął rękę. Na nosie miał aparat tlenowy, który częściowo zachodził mu na usta. Poruszał wargami.

Zach ciepłymi dłońmi ujął przerażająco zimne palce staruszka. Pochylił się i przysunął ucho bliżej ust Frosta.

- stn... um... nt... na... eh. - Frost powtarzał niezrozumiałe dźwięki. Jego dłoń szarpała się w dłoniach Zacha. Zach poczuł, że staruszek stuka go lekko kciukiem. Puścił dłoń Frosta. Ten wyprostował drżący kciuk i uniósł go do nosa Zacha.

- Chcesz powiedzieć, że dobrze się czujesz? - spytał Zach. Frost pokręcił przecząco głową. Bezgłośnie wypowiedział jakieś słowo.

- Więcej tlenu? - zgadywała Jill. Kolejny przeczący ruch głową. Jęcząc, Frost uniósł kciuk i utkwiał spojrzenie w Zachu, jakby oczekiwał, że ten wyczyta coś z jego oczu. Zaraz potem odpłynął.

- Nie! - wyszeptał Zach. - Cholera, nie! Dotknął tętnicy Frosta i wyczuł słaby puls.

- Zabierajcie go do szpitala - nakazał sanitariuszom. - Natychmiast! Sanitariusz szybko wezwał strażaków. Porwali nosze i wbiegli do

domu. Położyli na nich Frosta i pobiegli z nim do karetki, po drodze mijając spalony samochód.

- Jedziemy do Szpitala Świętego Krzyża - poinformowała sanitariuszka. - Jeżeli uda się państwu skontaktować z córką, niech przyjedzie najszybciej, jak się da.

- Dobrze. - Zach zacisnął wargi słysząc ponury podtekst w słowach kobiety.

- Chcemy zadać państwu kilka pytań na temat strzelaniny. - W otwartych drzwiach stanął policjant.

- Porozmawiajcie najpierw z nią - powiedział Zach, wskazując kciukiem Jill. - Ja muszę zawiadomić najbliższą rodzinę.

Rozdział 52

Taos 16 września, godzina 2.30

Zach odpalił stare terenowe kombi Frosta. Silnik zamruczał łagodnie. Staruszek dbał o swoje samochody.

- Myślisz, że policja nam uwierzyła? - spytała Jill.

Po raz pierwszy od chwili, gdy kochali się w domku gościnnym, znaleźli się sam na sam.

- Chyba tak.

- Zmęczyłam się powtarzaniem jak katarynka tych samych bzdur temu samemu gliniarzowi.

- Normalka. Gliny mają do rozwiązania sprawę strzelaniny i podpalenia. - A może i morderstwa. Boże jedyny, mam nadzieję, że nie. - Chodzi o znanego obywatela miasta. Dopóki Frost nie potwierdzi naszej historii, jesteśmy jedynymi podejrzanymi.

- Przecież nie dzwoniłibyśmy po nich, gdyby to któreś z nas do niego strzelało?

- A dlaczego nie?

Jill otworzyła usta, ale zaraz z powrotem je zamknęła. Westchnęła.

- Przepraszam. Mój mózg nie funkcjonuje najlepiej.

- Dobrze się spisałaś, Jill. - Pogłaskał ją po policzku. - Lepiej niżbym się spodziewał po cywilu. Zachowałaś zdrowy rozsądek i nie przeszkadzałaś, tylko pomagałaś.

- I co z tego... - Wydała odgłos, który mógłby uchodzić za śmiech, ale zapewne nim nie był. - Myślisz, że Frost przeżyje?

- Jest twardy. - Stracił mnóstwo krwi. To cud, że nie wykrwawił się tam, na korytarzu. - Jeżeli szybko podadzą mu krew, zaraz do siebie dojdzie i zacznie kłąć.

- Co powiedziała jego córka?

- Już jedzie. Będzie za jakieś dwie godziny.

Jill obserwowała latarnie po obu stronach jezdni. Na ulicy było niewielu ludzi, a trzeźwych prawie wcale.

- Dlaczego? - spytała po chwili. Zach wiedział, o co pyta.
- To nie była przypadkowa napaść. Celem był samochód, więc wiadomo, że napastnikowi chodziło o obrazy.
- Przecież są w domu.
- Ale skrzynie były w aucie. Wystarczy dodać parafinę, benzynę i podpalić. I odsunąć się, zanim ogień wybuchnie w twarz.
- A po co strzelił do Frosta?
- Bo był w domu - odparł ponuro Zach. - I dlatego, że Garland jest indywidualistą. Na pewno miał gdzieś, że Lee Dunstan oleje jego opinie. Założę się, że nawet się na to cieszył.
- Więc myślisz, że właściwym celem był Frost? - spytała Jill z napięciem.
- Spytam tego, kto strzelał, jak tylko go dorwę.
- Jill spojrzała na profil Zacha. W nierównomiernie padającym świetle ulicznych latarni jego twarz przypominała kamienny posąg. To prawda, że darli z Frostem koty, ale widać było, że staruszek jest dla niego bardzo ważny.
- Zastanawiam się skąd ten zbir wiedział, że tam jesteśmy? - powiedziała Jill.
- To właśnie minus czarterowych lotów i wynajętych samochodów. Zostawiasz dokument albo ślad elektroniczny i pierwszy lepszy może cię namierzyć.
- Aż do domu Frosta?
- To samo powiedziałem Faroe'owi. Stara się skontaktować z wypożyczalnią samochodów, żeby dowiedzieć się, czy nasze auto miało nadajnik GPS, a jeżeli tak, to czy był włączony.
- Po co mieliby... rozumiem, Meksyk.
- Do granicy jest niedaleko. Trochę zachodu i złodziej jest bogatszy o kilka tysięcy dolarów.

- Myślisz, że ten oprych nadal się tu kręci? - spytała niespokojnie. Wolałaby zapomnieć, że kilka godzin temu Frost i Zach otarli się o śmierć.

- Frosta pilnują, a ja zostanę z nim, dopóki nie przyjedzie jego córka. Ty będziesz trzymać się ze mną.

Skręcił na szpitalny parking i zatrzymał się przed wejściem na izbę przyjęć.

Jill dostrzegła dwa samochody policyjne. Miała nadzieję, że nie będzie musiała kolejny raz składać zeznań. Nie była pewna, czy starczy jej cierpliwości.

Zach zauważył nieoznakowane policyjne auto, zaparkowane przy radiowozach. Był ciekaw, kogo przydzielono do prowadzenia sprawy. Dowiedział się, gdy tylko minęli automatyczne drzwi i weszli do sterylnej poczekalni. Trzej mundurowi rozmawiali z wysokim, rudym mężczyzną w dżinsach, kowbojkach i bawełnianej bluzie z kapturem.

- No, mamy szczęście - mruknął Zach pod nosem. - Alton Corrigan nadal rządzi w Taos.

Rudowłosa mężczyzna odwrócił się, spojrział na nich i pokręcił ze znużeniem głową. Przeszedł przez poczekalnię, nie wyciągając rąk z kieszeni z przodu bluzy.

- Zach, mogłeś wpaść się przywitać, zanim wdałeś się w strzelaninę - powiedział na powitanie. - Oszczędziłbyś mi kłopotów. Dopóki moi ludzie nie stwierdzą, że jesteś czysty, nie mogę ci nawet podać ręki.

Zach skinął głową.

- Przykro mi. Co z Frostem?

- Operują go. Przed chwilą wyszła pielęgniarka i powiedziała, że kula uszkodziła tętnicę. Nie przeżyłby, gdyby nie to, że szybko go tu wyprawiliście.

- To jej zasługa. - Zach wskazał głową Jill i ją przedstawił. - Alton był kiedyś szefem dochodzeniówki, ale skoro mówi o „swoich ludziach”, to domyślam się, że teraz jest szefem całej miejscowej policji.

- Oboje jesteście przyjaciółmi Frosta? - Corrigan zmierzył wzrokiem Jill, po czym znów spojrzał na Zacha.

- To moja klientka - wyjaśnił Zach. - Zbieramy informacje na temat kilku obrazów, które znalazły się w jej posiadaniu. Oczywiście, musiałem zacząć od Frosta.

- Pojawiłeś się po... pięciu latach, dobrze mówię?

- Mniej więcej.

- I Frost nie wykopał cię za drzwi? - Corrigan pokręcił głową. - Te obrazy są chyba wyjątkowe?

- Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć.

- Czy to ma jakiś związek z podpaleniem samochodu?

- Wiem tylko, że położyłem się spać, a chwilę później usłyszałem strzał i wybiegłem - powiedział Zach.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego? - spytał Corrigan.

- Bo nie mówię. - Uśmiech Zacha był szczery, ale zmęczony. - Pracuję jako detektyw dla prawniczki o nazwisku Grace Silva Faroe. Panna Breck jest klientką pani Silvy Faroe, dlatego szczegóły zlecenia są objęte klauzulą poufności.

Corrigan prychnął.

- Powiedziałem glinom wszystko, czego jestem pewien - stwierdził Zach.

- A co podejrzewasz? - spytał Corrigan.

- O ile wiem, prawo Nowego Meksyku nie wymaga, żebym dzielił się moimi podejrzeniami. Ale mogę cię zapewnić, że jeszcze bardziej niż tobie zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć, kto strzelał do Garlanda Frosta.

- Mało mnie to obchodzi - odparł obcesowo Corrigan. - Nie mam zamiaru zatruwać życia tobie ani pannie Breck. Ale zrobię to, jeśli będę zmuszony.

- Nic nowego.

- Myślisz, że postrzeliłeś tego typka?

- Na pewno nie zraniłem go na tyle mocno, żeby musiał szukać szpitala.

Corrigan odchrząknął. Skinął głową Jill i wrócił do swoich ludzi.

Rozdział 53

Hollywood 16 września, godzina 8.00

Zgadza się - powiedział Score do słuchawki. - Z sześciu skrzyń został popiół, z zawartości też.

- Tak czy siak, pilnuj ich.

Score pomyślał, że zaraz trafi go szlag. Miał już serdecznie dość włączania się po kraju, zarywanych nocy i wrednych klientów.

- Jak długo? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Do końca aukcji.

- Klient nasz pan.

- Nie zapominaj o tym.

Score spojrział na głuchą słuchawkę i zdegustowany z trzaskiem odłożył ją na widełki.

- Halo, szefie - zza zamkniętych drzwi gabinetu odezwał się kobiecy głos.

- Wejdz. - Score wcisnął guzik odblokowujący zamek.

- Wyglądasz potwornie - rzuciła Amy od progu. Niedbałym ruchem położyła mu na biurku wydruk.

Powinienem zwolnić tę pyską gówniarę, pomyślał Score.

- Ciężko na ten wygląd pracuję - odparł.

Ale nie tak ciężko jak Amy. Włosy dziś miała różowo - srebrne.

Score starał się ignorować jej dziwactwa. Do kolczyków, które nosiła w różnych wrażliwych miejscach, zdążył się przyzwyczaić, ale ciągłe zmiany koloru włosów wyprowadzały go z równowagi. Miał wrażenie, że zatrudnia kameleona.

- Zarwałem noc przez klienta. - Potarł piekące oczy, usiłując się nie krzywić. Mięsień prawego ramienia piekł jak przypalony. Nic nie paliło bardziej niż pocałunek kuli.

Niech ta aukcja się już skończy. Odkąd pojawiły się te cholerne zdjęcia, nie przespałem jak człowiek ani jednej nocy. Wskazał palcem na wydruk.

- Coś ciekawego?

- Coś się działo po drugiej stronie. Słyszałam syreny, strzały, jakby z pistoletu.

Score stłumił ziewnięcie.

- Tak? Są ranni?

- O ile dobrze słyszałam, kulkę dostał facet o nazwisku Frost. To nazwisko często się przewijało.

- Zginął?

Amy nie wysilała się, żeby ukryć ziewnięcie.

- Ostatnim razem było coś słychać, jak wracali ze szpitala. Stan Frosta był stabilny, ale na maksa nafaszerowali go lekami. Wszystko masz na wydruku.

Score przekartkował plik lewą ręką.

- Pluskwa chyba wyłapuje więcej niż przedtem.

- Tak. Widocznie telefon był w coś zawinięty, a teraz go wyjęła. Ale raz coś słychać, a raz nie. Widać nie nosi telefonu na szyi. - Amy znów ziewnęła. - Aha, i gadali coś, że ktoś ich śledzi.

Ręka Score'a na moment zawisała w powietrzu. Po chwili znów zaczął przewracać kartki.

- Kto?

- Nie wiedzą. Może coś podejrzewają, ale jeśli o tym rozmawiali, to z dala od pluskwy. Padło tylko tyle, że łatwo jest zdobyć plany lotów i że wypożyczony samochód miał chyba nadajnik GPS przez to, że z Nowego Meksyku niedaleko do przygranicznych złomowisk.

Score przeczytał rozdział, zmarszczył brwi, przeczytał go raz jeszcze i stwierdził, że Amy ma rację. Na razie wszystko, co przytrafiło się agentowi i Breck, można było wytłumaczyć czymś innym niż obecność podsłuchu.

- Dobra - powiedział.
- To znaczy, że dostanę wolne?
- Dam ci znać po rozmowie z klientem. A na razie pilnuj pluskwy.
- Cholera.
- Ciesz się, że nie jest gorzej - powiedział Score.
- To znaczy?
- Że nie szukasz roboty w objazdowej rewii dziwaków.

Rozdział 54

Taos 16 września, godzina 9.00

Po gliniarzach nie było już śladu, ale teren wokół domu Garlanda Frosta nadal był odgradzony. Detektywi badający sprawę podpalenia chcieli mieć czyste pole działania. Zach wyjrzał na podjazd, dziękując Bogu, że w wynajętym samochodzie nie było obrazów. W świetle dnia wrak wyglądał jeszcze gorzej niż ubiegłej nocy.

Usłyszał, że otwierają się tylne drzwi.

- Zach? - zawołała Jill. Zatrzasnął drzwi wejściowe.

- Chodź go kuchni. Kawa już chyba gotowa.

- Bóg jednak istnieje. - Uśmiechnął się i potarł zarost, który na dobre rozgościł się na jego twarzy.

Powinienem był się ogolić, zanim przespałem się z Jill.

Ale się nie skarżyła. A nawet z przyjemnością dotykała jego policzków. Nie tylko dłońmi.

Kiedy wszedł do kuchni, Jill, ziewając, myszkowała po szafkach w poszukiwaniu kubków. Policzki miała zaczerwienione. Szyję też.

- Wiadomo, co z Frostem? - spytała.

- Bez zmian. - Zach wyjął kubki, nalał ciemnego, mocnego naparu i podał Jill. - Szkoda, że nie zrozumiałem, co mi chciał powiedzieć.

- Spytasz go, kiedy się wybudzi. - Upiła łyk. - O tak, to jest kawa! - Pociągnęła większy łyk.

Zach uśmiechnął się lekko.

- Lekarze zdecydowali, że wybudzą go dopiero za kilka dni, już po aukcji. Utrzymują go w śpiączce farmakologicznej.

- Przeżył uszkodzoną tętnicę, ranę brzucha i długą operację - powiedziała Jill. - Niewielu ludzi w jego wieku wyszłoby z czegoś takiego.

- Tłumik.

- Co?

- Tłumik spowalnia prędkość kuli przy wyjściu z lufy - wyjaśnił Zach. - To dlatego Frost przeżył postrzał z dziewięćmilimetrówki.

Jill zadrżała.

- Zimno ci? - spytał Zach. - Mogę rozpać w kominku.

- Rozgrzeje mnie kawa. - Zauważyła włączony komputer na kuchennym stole - Już pracujesz?

- Dopiero się zalogowałem. Gdzie masz ten telefon satelitarny?

- W domku gościnnym. Twój padł na dobre?

- Prawie. Singh sprawdziła rozkłady wszystkich wczorajszych lotów czarterowych z Salt Lake City do Taos.

- Dobre wiadomości?

- Zależy, co dla ciebie znaczy „dobre”. Ktoś wystartował z Salt Lake godzinę po nas i wylądował w Taos prawie osiemdziesiąt minut po nas.

Jill zmrużyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś nas śledził?

- Nie bezpośrednio. Był za daleko. Ale plan lotu można zdobyć bez problemu. Dodge jest w komputerze wypożyczalni, do którego na pewno można się włamać. Faroe sprawdza, czy auto miało nadajnik GPS. Tak blisko granicy, często się to zdarza.

- Ja... - głos uwiązł jej w gardle. - Nie jestem przyzwyczajona do takich... przygód.

- Tak, na niektórych naprawdę czasem może się zakręcić w głowie. A zabawa dopiero się zacznie, jeżeli się okaże, że ktoś nas podsłuchuje. Z drugiej strony, może w końcu coś się ruszy.

- Podsłuchuje?

- Tak. Jeśli znajdziemy podsłuch, będziemy go mogli wykorzystać.

- Jak?

- Sprzeczymy się o to z Faroe'em. - Potarł brodę w zamyśleniu.

- I kto wygrywa?

- Ja, ale on nie jest tym zachwycony.

Spojrzała na komputer, na którym pracował. Na ekranie widać było zamazane zdjęcie obrazu Dunstana.

- Powinieneś mieć monitor o lepszej rozdzielczości - stwierdziła. - Jak Frost.

- Nie zajmuję się wyceną. Chcę zbadać rynek zbytu na Dunstany pod kątem tego, czego się dowiedzieliśmy od Frosta. Zleciłbym to St. Kildzie, ale w tej chwili prowadzą mnóstwo operacji. Sekcja informacyjna ledwo zipie. Nie chcę zawracać im głowy, chyba że będzie chodziło o sprawę życia lub śmierci.

- Czyżby Thomas Dunstan miał stronę internetową? - Jill wpatrywała się w ekran komputera.

- Tak, założoną w związku z aukcją Worthingtona. Przeglądałem katalog internetowy.

- Beznadziejna reprodukcja.

- To wina sprzętu. Poza tym nie interesują mnie obrazy, tylko ceny. Jill pochyliła się i zmieniła kąt ustawienia monitora. Obraz od razu się

wyostrzył. Płótno nosiło tytuł Rubinowe jeziora. Przedstawiało majestatyczne góry, bezchmurne błękitne niebo i podmokłą dolinę, odmalowaną przez jesień na złoto. Miało olbrzymie, muzealne rozmiary.

Przewidywalna cena sprzedaży wynosiła od sześciu do ośmiu milionów dolarów.

Zach przyglądał się Jill, której oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia, i wiedział, że dojrzała do informacji o wartości płótna.

- Ten obraz będzie jednym z rarytasów aukcji malarstwa w Vegas.

- Łau!

- To właściwe określenie. Tym razem Worthington przeszedł samego siebie. Russell, Remington, Howard Terpening, Joseph Sharp, Blumenschein. Jeśli wierzyć reklamie, pod młotek pójdzie najlepsza od dziesięcioleci kolekcja malarstwa Zachodu.

- Czy właścicielem obrazu jest ten cały, jak mu tam, kolekcjoner Dunstana? - spytała, wskazując na obraz Rubinowe jeziora.

- Talbert Crawford?

- Tak.

- Nie, ten należy do syna Dunstana.

- Tego, który zszargał reputację Waverly - Benet?

- Zgadza się.

- Tego, który powiedział, że moje obrazy to falsyfikaty?

- Tak.

- Dupek.

- Pewnie tak. - Zach pochylił się nad Jill i wywołał inną stronę internetową. - Spójrz na to.

Jill usiadła przy stole, ustawiła monitor pod innym kątem i zaczęła czytać artykuł zamieszczony na stronie Carson City, datowany poprzedniego dnia.

Wybitne osobistości z kręgu świata sztuki naszego stanu mają przekazać znaczące darowizny do kolekcji malarstwa, która będzie wystawiona w nowym skrzydle Muzeum Nevady i Zachodu w Carson City.

Wśród darczyńców, których wystąpienia zaplanowano na koniec tygodnia, znajduje się znany kolekcjoner Tal Crawford, czołowy przedsiębiorca i właściciel wielkiego rancza na wschód od Carson City.

Crawford podjął rozmowy z przedstawicielami władz stanowych na temat przekazania muzeum wielu wartościowych dzieł ze swojej kolekcji.

Rzecznik kolekcjonera nie potwierdził, jakie płótna mają wejść w skład darowizny, ale przyznał, że kolekcjoner zgromadził chyba największy w Nevadzie zbiór sztuki Zachodu, w tym prac Thomasa Dunstana, uznawanego za najwybitniejszego pejzażystę naszego regionu.

„Pan Crawford słynie z tego, że zawsze chętnie dzieli się swoim dorobkiem z innymi” - powiedział rzecznik.

Źródła zbliżone do biura gubernatora wyrażają nadzieję, że szczegóły dotyczące darowizny zostaną ogłoszone do końca tygodnia.

- Więc o to chodziło Frostowi, kiedy mówił o wielkiej fecie - powiedziała Jill, spoglądając na Zacha. - Aukcja jest w sobotę, prawda?

- Pojutrze - przytaknął, błędząc myślami między Crawfordem, malarstwem Zachodu, politykami i aukcją.

- Ciągle mam wrażenie, że Frost usiłował powiedzieć nam o czymś, co ma związek z obrazami.

- Może kciukiem pokazywał, że są autentyczne? - Jill zmarszczyła brwi. - A może to ma związek z samą aukcją? Jest jeszcze kawa?

- Miałem zamiar porozmawiać z tobą na temat uzależnienia od kofeiny. - Zach sięgnął po dzbanek.

- Tak, wiem. Powinam pić zdecydowanie więcej kawy. I to od zaraz. - Podała mu pusty kubek.

Uśmiechnął się i nalał jej brązowego naparu.

- Nie sędzę, by Frost wyciągał kciuk, żeby potwierdzić autentyczność obrazów.

- Dlaczego?

- Bo nigdy wcześniej nie widziałem, żeby używał tego gestu. Mieszkał długo w Australii, a tam to znaczy coś zupełnie innego.

- Tak? Co?

- Spieprzaj.

Jill zakrztusiła się, z trudem przełknęła resztkę kawy i odkaszlnęła.

- Nie rób mi takich numerów, kiedy delektuję się poranną małą czarną.

Zach uśmiechnął się, pocałował ją leniwie i potarł zarośniętą brodę.

- Dam ci dopić w spokoju. Zadzwońię do Faroe'a, żeby coś dla mnie sprawdził, a potem zrobię to, co powinienem zrobić wczoraj.

- Co?

- Ogołę się.

- Swędzi cię?

- A jak myślisz?

- Faceci na rzece zawsze narzekają na swędzący zarost.

Ale bardziej na małpi zadek.

Zach na moment znieruchomiał. Potem dopił kawę.

- Małpi zadek?

- Byłeś kiedyś w zoo? Widziałeś tyłek samicy pawiana?

Skinął obojętnie głową.

- Kiedy siedzisz na twardej ławce w samych kąpielówkach i wiosłujesz, trąc tyłkiem w tę i z powrotem, a do tego na wirach zalewa cię woda z piachem, tyłek szybko zaczyna przypominać małpi zadek.

- Robi się jasnoczerwony i bolesny? Skinęła głową.

- I nie można ogolić...

- Oszalałeś. - Skrzywiła się.

- Dobra. Pójdę ogolić moją małpią twarz. - Kiedy zobaczył, że Jill łakomie spogląda na jego komputer, przystanął. - Jeżeli chcesz grać, to rób to na komputerze Frosta. Mój ma zainstalowane lwie zapory.

- Małpie zadki i lwie zapory. Udani jesteśmy.

Zach wlepił w nią bursztynowe oczy. Uśmiechnął się, ale wzrok miał poważny.

- Fakt.

Rozdział 55

San Diego 16 września, godzina 9.10

Lane Silva Faroe przyglądał się siostrzyczce śpiącej w zabytkowej kołysce przy ścianie pełnej najnowocześniejszego sprzętu elektronicznego. Ojciec rozmawiał przez telefon, kolejne połączenie oczekiwało, a za pomocą komputera komunikował się z ambasadorem Steelem.

Matka siedziała przy biurku obok, tonąc po szyję w tekstach prawniczych. Coś o prawach obcokrajowców w Zimbabwie. A może w Wenezueli.

Rodzice spoglądali na jego siostrę za każdym razem, kiedy się poruszyła.

Lane doszedł do wniosku, że musi istnieć jakiś ukryty rodzicielski radar.

Cieszył się, że urodziła mu się siostra, ale nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wszyscy wokół niego byli pochłonięci pracą, a on czuł się bezużyteczny.

Jak niemowlak.

Faroe odłożył jeden telefon, podniósł drugi i słuchał.

- Przekażę to do sekcji informacyjnej, Zach - powiedział w końcu. - Ale nie rób sobie nadziei, bo to nie pierwszy stopień. - Odłożył słuchawkę i coś zanotował.

- Tato? - zagadnął Lane.

- Słucham. - Faroe nie spuszczał wzroku z notatnika.

- Odrobiłem lekcje, przygotowałem projekt i chciałbym pomóc przy sprawie... Jill Breck.

- A jak?

- No, słyszałem jak mówiłeś Zachowi, że sekcja informacyjna jest zawałona robotą i że musi cierpliwie czekać w kolejce, o ile nie ma pistoletu przy łbie.

- Tak powiedziałem? - Kąciki ust Faroe'a uniosły się w lekkim uśmiechu. - Mam nadzieję, że Annalise wtedy spała.

- Ona tylko śpi i sika. I je.

- Na tym polega życie niemowlaka.
- Mógłbym zakręcić się koło tematu Zacha.

Faroe zamrugnął i odwrócił się do syna. Podobnie jak on, Lane był długi i tyczkowaty. Ale nie miał jego siły fizycznej. Ani cierpliwości.

- Powiedz to samo, tylko po ludzku.
- Mogę poszukać tego, czego chce się dowiedzieć Zach - powiedział Lane z przesadną dokładnością. - Spiknąłbym się z paroma innymi obcykanymi w necie chłopakami i prześwielilibyśmy temat na wszystkie możliwe sposoby.

- Chcesz się spiknąć...
- Tak. Mogę? Potrzebne mi tylko kluczowe słowa.
- Pozwól mu - wtrąciła się Grace, unosząc głowę znad papierów. - Chce pomóc kobiecie, która uratowała mu życie.

Faroe sprawdził ekran komputera. Bez zmian. Zerknął na kartkę z notatkami od Zacha, wydarł ją z notesu i podał synowi.

- No to się spiknij - powiedział.

Lane pognął do swojego pokoju, po drodze zastanawiając się, którzy z internetowych kumpli mogliby mu pomóc. Pięciu znał na pewno. A każdy z nich pewnie znał kolejnych czterech czy pięciu.

A każdy z nich...

Można się spiknąć z całym światem.

Rozdział 56

Taos 16 września, godzina 9.14

Jill dała sobie spokój z obrazami i ultrafioletem. Bez względu na to, jak mocno i długo wpatrywała się w płótna, nie dostrzegała nic fascynującego. Spojrzała w stronę laptopa Frosta. Był wyłączony albo w trybie czuwania. Ekran był czarny.

Może nie odkrył nic na obrazach.

Może znalazł coś w Internecie.

Podeszła do komputera. W odróżnieniu od sprzętu Zacha był to mac, taki sam jak jej. Tyle że dwa razy większy. Monitor był olbrzymi. Ale system operacyjny identyczny. Mogła na nim pracować z zamkniętymi oczami.

Wcisnęła klawisz „Enter”. Na ekranie pojawił się obraz.

Korzystał z niego zeszłej nocy.

Albo należy do ludzi, którzy nigdy nie wyłączają komputera.

Usiadła przy biurku i przyciągnęła laptopa do siebie. Frost zalogował się na tą samą stronę, co Zach. Oglądał tylko inny obraz Dunstana.

Kolejny pejzaż zachwycił Jill. Wydał jej się sugestywny, a zarazem dopracowany. Dunstan miał niezwykle wycucie perspektywy i umiejętność przekazywania swojej wewnętrznej wizji. Jill poczuła ukłucie artystycznej zazdrości. Artysta przedstawił bezkresne przestrzenie Zachodu w sposób, który łączył w sobie elementy zarówno XIX - wiecznego romantyzmu, jak i XX - wiecznego realizmu.

Westchnęła i się zawahała. Zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że nie narusza nikomu prywatności. Po prostu musi się dowiedzieć, co Frost starał się im przekazać, zanim zapadł w śpiączkę. Jeśli komputer może jej w tym pomóc, to ma prawo z niego skorzystać. Zbyt wielu ludzi ucierpiało, odkąd Modesty wysłała do wyceny pierwszy obraz.

Mimo wszystko miała wyrzuty sumienia, że włamuje się do komputera Frosta.

- Może powinnam poczekać na Zacha - mruknęła do siebie pod nosem. - A może powinnam usiąść w kącie i zacząć płakać. Życie nie jest sprawiedliwe, a już na pewno nie jest miłe. Dorośnij., Jill.....

Weszła w menu przeglądarki i otworzyła historię. Na ekranie pojawiła się lista adresów internetowych, pod które ostatnio zaglądał Frost.

Komputer posiadał także pamięć podręczną, dzięki której miała dostęp do stron, które Frost odwiedzał w ciągu ostatnich godzin, dni a nawet tygodni.

Przypomniała sobie, że kilka z tych stron odwiedzał również Zach. Pozornie obaj mężczyźni zrobili to samo, a jednak istniała różnica, której Jill nie potrafiła wyjaśnić. Nic dziwnego. Schemat internetowych poszukiwań jest niepowtarzalny dla każdego człowieka, tak jak przyczyna, która do nich skłaniała.

W poszukiwaniach Frosta przeważały adresy internetowe związane z Thomasem Moranem. Jill wiedziała, że Dunstana często porównywano do Morana, zwłaszcza jeśli chodzi o przekaz emocjonalny. Frosta interesowało również wiele innych tematów - od twórców reprezentujących modernizm i postmodernizm po wyszukane dzieła sztuki światowej, o których nigdy nie słyszała.

Wtem zauważyła, że we wszystkich tych miejscach pogrubioną czcionką wpisany jest zwrot: „odciski palca”.

Kuchenne drzwi otworzyły się i zamknęły.

- Jill?

- Jestem w salonie! - krzyknęła.

Do pokoju wszedł świeżo ogolony i wykąpany Zach. W ręce trzymał kubek parującej kawy. Spojrzał na Jill, pochyloną

w skupieniu nad komputerem. Była całkowicie pochłonięta tym, co robi.

- Znalazłaś coś ciekawego?

- Nie wiem.

Ton jej głosu sprawił, że podskoczył mu poziom adrenaliny. Pobudziła go o wiele skuteczniej niż kofeina.

- Co tam masz?

- My poszliśmy do łóżka, a Frost śleczął przy komputerze.

- Mam nadzieję, że jemu też było dobrze. - Zach uśmiechnął się na wspomnienie namiętych chwil.

Jill zachichotała, ale nie oderwała wzroku od listy adresów internetowych.

- Szukał informacji na temat odcisków palców. Zach na chwilę przestał sączyć kawę.

- Mów dalej.

Przeczytała najważniejsze informacje ze stron, które odwiedziła do tej pory.

- W drugiej połowie XX wieku artyści dość często sygnowali obrazy czymś więcej niż podpis: odciskiem palca, najczęściej kciuka.

- Ale Dunstan już wtedy nie żył.

- Thomas Moran również, a on stosował odciski kciuka.

- Tak? - Zach podchwycił temat.

- Moran z początku podpisywał się jak wszyscy inni. - Jill szybko odczytywała zrobione przez siebie notatki. - Na półmetku życia dodał w środku inicjał Y, bo krytycy ochrzczili go pseudonimem Yosemite Moran. To dlatego, że namalował tak wiele płócien w Dolinie Yosemite.

Zach miał ochotę wyrwać jej komputer, ale się powstrzymał. Z wielkim trudem.

- Coś jeszcze?

- Wtedy, na początku XX wieku, oprócz podpisywania obrazów, zaczął też zostawiać odcisk kciuka na krawędzi płótna zachodzącej na blejtram. Wielu współczesnych artystów uważa tę część płótna za kontynuację obrazu, pewnego rodzaju obramowanie.

Zach mruknął, dając do zrozumienia, że uważnie jej słucha. Czytała wiadomości z ekranu i natychmiast je przytaczała.

- Jeden z braci Morana usiłował żerować na sławie mistrza, tworząc mierne malowidła i podpisując je „Moran”.

- Wkurzył starego Toma, co?

- Jasne. Thomas Moran zaczął stosować odcisk kciuka, aby raz na zawsze odciąć się od kiepskiego naśladowcy.

- A więc nie chodziło o kciuk uniesiony w górę - powiedział Zach, podchodząc do płócien Dunstana opartych o ścianę. - Tylko o odcisk kciuka. - Wyciągnął rękę po obraz. - Z której strony?

- Może być z każdej, a nawet na środku obrazu. Moran zostawiał go na części malowidła naciągniętej na blejtram. Dzięki temu nie zakłócał kompozycji. Ale obrazy Dunstana mają bogatszą fakturę, więc odcisk kciuka może być wszędzie i nie będzie kłuł w oczy jak...

- Nie kończ - przerwał jej Zach.

- Złamany palec? - spytała niewinnie.

Zach się uśmiechnął, ale badał płótno z ogniem w oczach. Indiańskie Źródła z całą pewnością miały bogatą fakturę. Odwrócił obraz i spojrzał na płótno naciągnięte na drewnianą ramę.

Zgadza się - stwierdził. - Nikt nie zobaczyłby odcisku, gdyby obrazy były oprawione. - Ale ja nawet bez ram go nie widzę, dodał w myślach.

Przysunął się bliżej do światła.

Jill wzięła inne płótno i uniósłszy je do twarzy, zaczęła studiować nierówną powierzchnię. Nie dostrzegła nic poza śladami pociągnięć pędzla i kolorowymi plamami. Przypomniała się jej wzmianka o tym, że Moran umieszczał swój znak na zawiniętej krawędzi płótna.

- Ultrafiolet - mruknął Zach.

- Co? - spytała, pochłonięta badaniem obrazu.

- Frost zostawił włączoną lampę. - Wskazał aparat i włączony przycisk zasilania.

- I co z tego?

- To, że jej używał i zapomniał wyłączyć. Baterie się wyczerpały. Zach poszedł do kuchni, przeszukał szuflady, znalazł nowe baterie

i włożył je do lampy. Z urządzenia popłynął fioletowy strumień światła.

- Zabierz obraz i chodź - polecił, chwytając pierwsze płótno z brzegu. Jill weszła za nim do piwnicy, w której Frost trzymał najcenniejsze

okazy ze swoich wielu kolekcji sztuki.

- Zamknij drzwi i zgaś światło.

Zrobiła, jak kazał. Oglądany w fioletowej poświacie obraz uległ dziwnemu przeobrażeniu. Kolory się zmieniły. Kształty stały się niemal trójwymiarowe, a ślady pociągnięć pędzla jeszcze bardziej wyraziste. Widać było, w których miejscach na płótnie warstwa farby jest cieńsza, a w których artysta położył dodatkowy pigment dla uzyskania pożądanego przez siebie efektu.

- Widzisz coś na samym obrazie? - spytała.

- Na pierwszy rzut oka, nie.

- Sprawdź krawędzie.

Zach obrócił płótno tak, że w zasięgu magicznego ultrafioletowego światła znalazł się górny brzeg obrazu.

- Widzisz coś? - dopytywała Jill.

- Farbę.

Obrócił obraz o dziewięćdziesiąt stopni. Oboje przyjrzeni się kolejnej krawędzi.

- Nic poza farbą - powiedziała.

- Tak. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli badać powierzchni samego płótna - stwierdził, obracając obraz o kolejnych dziewięćdziesiąt stopni. - Zabrałoby nam to co najmniej... - Przerwał, jakby ktoś odłączył mu zasilanie.

- Do mnie, minimalnie - powiedziała Jill ochryłym głosem. Leciutko pochylił obraz, uwypuklając jego fakturę.

- I co ty na to? - Delikatnie dotknęła płótna.

- Tak. - Zach znów obrócił malowidło. - Na dolnej krawędzi blejtramu. Te linie... nie mam wątpliwości. Daj mi twój obraz.

Jill odwróciła płótno do góry nogami i umieściła dolną krawędź pod strumieniem ultrafioletu.

- A niech mnie. - Zach wstrzymał oddech. - Znów odcisk kciuka. W tym samym miejscu.

- Skąd wiesz, że to kciuk, a nie inny palec?

- Z doświadczenia.

- To znaczy, że Dunstan sygnował nawet niepodpisane obrazy?

- Na to wygląda. Przyniosę obrazy Frosta.

Jill wzięła ultrafioletową lampkę, którą jej podał i cierpliwie czekała, aż wróci z pozostałymi Dunstanami.

Gdyby nie to, że w skarbcu nie było miejsca, zaczęłaby dreptać ze zdenerwowania.

Miejsca zrobiło się jeszcze mniej, kiedy Zach wrócił z dwoma wielkimi płótnami. Odwrócił obrazy do góry nogami i oparł o skrzynię ze starożytnymi czerwono - czarnymi naczyniami. Włączył ultrafiolet.

Jill wpatrywała się w brzegi płócien.

- Tu, kilka centymetrów od rogu.

- Jak na poprzednich.

Drugi obraz Frosta również był oznaczony odciskiem kciuka.

- Przyniosę resztę moich obrazów - stwierdziła Jill.

W mgnieniu oka piwnica wypełniła się poodwracanymi do góry nogami płótnami.

Wszystkie miały odcisk kciuka na dolnej krawędzi blejtramu, kilka centymetrów od prawego boku.

- Czemu marszczysz brwi? - spytała Jill. - Powinieneś śmiać się całą gębą i mi gratulować!

- Zastanawiam się, ile będą znaczyć w sądzie niezidentyfikowane odciski kciuka wobec siły autorytetu Lee Dunstana i presji całego artystycznego świata Zachodu.

- Niezidentyfikowane odciski? Nie sądzisz, że upieranie się przy tym, że odciski zostawił ktoś inny niż Dunstan, jest naciąganiem faktów?

- Prawnicy żyją z tego, że naciągają fakty. To ich praca. - Zach mruknął coś pod nosem. - Gdyby Dunstan żył dwadzieścia lat później, odciski jego palców zachowałyby się w jakichś dokumentach.

Może się zachowały.

Gdzie? - Zach gwałtownie odwrócił głowę.

- W więzieniu okręgowym w Blessing. Tam się powiesił.

- To wtedy już pobierali odciski palców?

- Przecież to nie było średniowiecze - zażartowała Jill. - Urzędnicy z rodziny Purcellów mieli średniowieczne poglądy w kwestii praw kobiet, ale chlubili się tym, że są najnowocześniejsi, jeśli chodzi o przestrzeganie prawa.

- A poligamia?

- Na mormońskim Zachodzie poligamia nie istnieje - powiedziała kpiąco Jill. - To wymysł lubieżnej wyobraźni mediów. Nie istnieje.

- O wiele łatwiej czegoś nie znaleźć, jeżeli się tego nie szuka.

- Nazywasz się Purcell?

- Boże, na szczęście nie. - Chwytał ją, mocno pocałował i powoli wyswobodził. - Mamy masę do zrobienia.

- Dobra. Od czego zaczynamy? - Wzięła głęboki wdech.

- Zadzwoń do St. Kildy i zacznę wydawać pieniądze.

- Zacznieś? Przecież robisz to, odkąd się poznaliśmy.

- Mało widziałaś. Oprawienie obrazów kosztuje tyle, co wynajem samolotów.

- Po co chcesz je oprawiać?

- Frost nauczył mnie, że przy sprzedaży dzieł sztuki wygląd gra decydującą rolę. - Zach wyjął telefon satelitarny z tylnej kieszeni spodni i spojrział na wskaźnik poziomu baterii. Martwa jak egipska mumia. - Gdzie twój telefon satelitarny?

- Komórka jest tańsza.

- St. Kilda płaci.

- Już ci daję.

Zach zaczął sporządzać w myślach listę potrzebnych rzeczy. Kiedy wróciła Jill, wziął od niej telefon i wybrał kilka cyfr. Potem kilka kolejnych. W końcu rozmawiał z kimś na tyle długo, że przełączono go do Joego Faroe'a.

- Tu Faroe. Jak Frost i co się stało z twoim telefonem?

- Lepiej niż można było się spodziewać i padła mi bateria - wyjaśnił Zach. - Nie mam zbyt wiele czasu, więc słuchaj. Potrzebuję tych samych speców od transportu, co wczoraj, i to natychmiast. Dopilnuj, żeby byli przygotowani do imprezy. Niech wezmą dodatkowy samochód. 1 nową kartę telefoniczną do samolotu. Moja się już skończyła, a muszę mieć łączność przez jeszcze co najmniej jeden lot.

- A jak twój sprzęt na imprezę? - spytał Faroe. Zach czuł, że pistolet w kaburze wbija mu się w plecy.

- Gotowy. Tylko czeka na zaproszenie do zabawy.

- Moment.

Zach czekał. Starał się nie niecierpliwić, kiedy Faroe wydawał polecenia, żeby wszystko załatwić.

- Faroe zaczyna pewnie przeklinać dzień, w którym uparł się, że sam poprowadzi całą operację - powiedział Zach do Jill. - Uwielbiam wydawać mu polecenia.

- Mówiłam ci już, że jesteś typowym samcem?

- Nie narzekałaś na to po kolacji.

- Samiec też jest czasami potrzebny. - Uśmiechnęła się leniwie.

- Tak, i to dokładnie... - Zach przerwał i zaczął słuchać.

- Będziesz miał wszystko za pół godziny - rzucił Faroe. - Dostaniesz też nowy telefon satelitarny. Postaraj się go nie wykończyć do końca operacji. Gdzie lecicie?

Zach pomyślał szybko i wzruszył ramionami. Musieli zgłosić plan lotu, a plany lotu i tak były podawane do publicznej wiadomości.

- Na najbliższe lotnisko koło Blessing, w Arizonie, a dalej już samochodem.

- Czekaj.

Faroe na chwilę zamilkł.

- Zgłoś się do agencji czarterowej Zachód. Samolot będzie już na was czekał. Dokąd jedzie bagaż?

- Powiem ci w odpowiednim momencie.

- Czekam na telefon.

Zach już miał się rozłączyć, ale Faroe był szybszy.

Rozdział 57

Blessing, Arizona 16 września, godzina 14.30

Szeryf Ned Purcell kazał Jill i Zachowi czekać pod gabinetem całe dwadzieścia minut. Siedzieli obok siebie na dwóch niewygodnych krzesłach, niczym wagarowicze czekający na rozmowę z dyrektorem szkoły.

Zach poruszył się na twardym siedzeniu i spojrzał na sekretarkę, która zajmowała się obsługą centrali telefonicznej w biurze szeryfa. Na identyfikatorze miała napisane: Margaret Kingston.

- Czy pomoże, jeśli powiem, że wynajęliśmy samolot, żeby się tu znaleźć? - spytała Jill.

Jej głos był nieprzyjemny. Tym razem to ona miała grać w ich duecie tę złą. Zach wiedział, że nie będzie w stanie ukryć złości na patriarchalne uprzedzenia tutejszego szeryfa.

Sekretarka uniosła dłoń, prosząc o chwilę ciszy, i skupiła się na przełączaniu guzików, sprawdzaniu wiadomości i przekazywaniu informacji funkcjonariuszom w terenie.

- Powiedziałam szeryfowi, że czeka tu pani z mężczyzną - odezwała się w końcu do Jill. - I że chce pani rozmawiać o swojej dawno zmarłej babce. Domyślam się, że nie jest to kwestia życia lub śmierci? - Po tych słowach zajęła się sprawami, które w jej mniemaniu były pilniejsze niż coś, co wydarzyło się, jeszcze zanim przyszła na świat.

- Chcemy tylko przejrzeć stare dokumenty więzienne - powiedziała Jill.

- Do tego potrzebny jest szeryf.

- Po co? - spytał Zach.

- Bo takie są tu zasady - odpowiedziała sekretarka i odebrała telefon.

Zach miał jej ochotę wytłumaczyć, że wszyscy marnują czas, ale przypomniał sobie, że jest świeżo ogolony i gra porządnego faceta, więc zamilkł.

W końcu drzwi gabinetu się otworzyły. Ned Purcell wytknął głowę i spojrzał na Jill i Zacha jak hydraulik na zapchany sedes. Skinął głową żeby weszli.

- Nie łącz mnie z nikim przez chwilę, skarbie - zwrócił się do sekretarki.

- Tak, sir.

Jill spojrzała na szeryfa wchodzącego z powrotem do gabinetu, a potem na sekretarkę.

- Skarbie? W normalnym świecie uznano by to za co najmniej poniżające, a w najgorszym przypadku zakwalifikowano jako molestowanie seksualne. Chyba że jest pani jednym z jego prawdziwych „skarbów”.

Kingston ją zignorowała. Podobnie szeryf.

- Nie denerwuj się, złotko - powiedział Zach. - Szeryf nie miał na myśli niczego niestosownego.

Jill ugryzła się w język.

- Na pewno masz rację, misiaczku. - Spojrzała na Zacha z uwielbieniem.

- Zamknijcie drzwi - nakazał szeryf.

Rozsiadł się w skórzanym fotelu, wyciągnął rękę po puszkę dietetycznej coli, która stała na skórzanej księdze zatrzymań, i upił z niej łyk.

- Cola light? Nie mówiłaś, że szeryf jest we władzach kościoła Świętych Dnia Ostatniego?

- Colę nazywają „mormońską herbata” - wyjaśniła Jill. - W czasach, kiedy Joseph Smith (Joseph Smith (1805 - 1844) - założyciel i przywódca ruchu Świętych Dnia Ostatniego, czczony przez wyznawców jako prorok i męczennik. Według doktryny mormońskiej, świadek cudownych objawień (przyp. red.)) usłyszał z nieba, że herbata i kawa są wynalazkiem szatana, napoje gazowane jeszcze nie istniały. Wielu mormonów przyjęło, że można je pić.

Zach zamknął drzwi.

- Każdego dnia dowiaduję się czegoś nowego.
- Chcecie czegoś ode mnie czy macie zamiar odstawić komedię? - spytał Purcell.

Zach wiedział, że szeryf będzie wolał załatwiać sprawy z mężczyzną, ale kusilo go, żeby pozwolić działać Jill - choćby dla samej satysfakcji. Znał wielu mężczyzn z pokolenia Purcella, którzy nie przyjmowali do wiadomości faktu, że kobiety też są ludźmi. Mężczyźni pokroju szeryfa niekoniecznie byli głupi czy źli - po prostu mieli klapki na oczach. Jak osły.

- Ostatnim razem, kiedy Jill tu była - zaczął swobodnie Zach - powiedział jej pan, że ma pan dokumenty z czasów, kiedy zatrzymano jej babkę Justine Breck i Thomasa Dunstana. Zdaje się, że chodziło o pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego.

Purcell skinął głową z przesadnie poważną i nieco znudzoną miną. Mierzył Zacha twardym, przenikliwym spojrzeniem człowieka przyzwyczajonego do oceniania innych ludzi. Wypił kolejny łyk dietetycznej coli.

- Ma pan jeszcze raport z aresztowania? - spytał Zach.
- Okazało się, że to coś więcej niż pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego - powiedział Purcell. - Justine miała dubeltówkę.

Powiedziała, że kochanek jej groził, więc do niego strzeliła. On twierdził, że to ona mu groziła. Dzięki Bogu, była pijana w sztok i spudłowała. Ale dała mu nauczkę. Kule potrafią utrzymać mężczyznę nosa. - Odstawił puszkę z colą. - Coś jeszcze? Jestem zajęty.

- Czy postawiono zarzuty? - spytał Zach.
- Jasne, że tak - odparł Purcell. - To nie do pomyślenia, żeby kobieta strzelała do mężczyzny na głównej ulicy Blessing!

- Bo innym kobietom też mogłoby to przyjść do głowy? - wtrąciła słodko Jill.

- Czy Justine przebywała w tutejszym więzieniu? - spytał szybko Zach.

- W starym - odpowiedział szeryf. Jedną ręką zgniótł puszkę i rzucił ją do kosza na śmieci. - Przeznaczyliśmy je dla kobiet, kiedy powstało nowe. Zwykle mieliśmy tylko jedną, góra dwie aresztantki. Kobiety miały na głowie rodzinę. Nie pakowały się w kłopoty.

Jill wymamrotała coś pod nosem.

- Jak wyglądała procedura zatrzymania w tamtych czasach? - Zach zignorował kąśliwą uwagę Jill na temat sióstr - żon z mózgiami wielkości ziarenka piasku, rozmnażających się jak króliki.

- Fotografie, odciski palców, adwokaci, szybkie procesy - powiedział Purcell. - W Blessing wszystko odbywało się jak na Wschodzie. Mężczyźni z mojej rodziny zawsze wyprzedzali swoją epokę. Znajdujemy się na końcu świata, ale na prawie się znamy.

Zach skinął głową i na wszelki wypadek chwycił Jill za rękę. Musieli się dostać do tych papierów, a to zależało od szeryfa.

- Jasne - przytaknął Zach. - Słyszałem wiele dobrego o tym okręgu. Pewnie dzięki temu, że od dawna rządzi nim szeryfowie dobrze przygotowani do wykonywania swojej roboty.

Jill ugryzła się w język prawie do krwi. Purcell skinął głową. Rozluźnił się.

- Poważnie traktujemy nasze obowiązki. Niewielu ludzi to rozumie.

- Czy Justine Breck miała proces? - spytał Zach.

- Adwokat Breck był sprytny i nie zgodził się na proces z udziałem ławy przysięgłych. - Szeryf się skrzywił. - Rozprawę

prowadził nowy sędzia spoza okręgu. Było mu żal Justine, bo jej kochanek się powiesił. Nie posłuchał rady mojego ojca i wypuścił Breck po kilku tygodniach. Ostrzegł ją, że jeśli jeszcze raz zobaczy ją w sądzie, wymierzy jej najwyższą karę. Dziwne, ale wzięła to sobie do serca. Nie było z nią więcej kłopotów.

- Chcielibyśmy zobaczyć raport z aresztowania - powiedział Zach.

- Po co?

- Szefowa Zacha była kiedyś sędzią federalnym, a teraz jest znaną prawniczką - odparła Jill. - Zapewniła mnie, że takie dokumenty są do wglądu. Jeżeli pan jest innego zdania, prześle tu nakaz ich wydania, zanim zdąży pan powiedzieć „mormońska herbata”.

- Kobieta? - Purcell westchnął.

- Co się na tym świecie wyrabia. - Zach pokiwał głową z politowaniem. - Kobiety zostają sędziami i prawnikami. Nim się człowiek obejrzy, zaczną się pchać na prokuratorów i szeryfów.

- Chce się pan założyć, jakiej płci będzie osoba, która pojawi się tu z nakazem udostępnienia dokumentów? - spytała Jill.

- Przyhamuj, kochanie - uspokoił ją Zach. - Szeryf po prostu wykonuje swoją pracę. Niełatwą. Zdarza się, że ze zwykłymi obywatelami jest więcej problemów niż ze zbirami.

Purcell przyglądał się Zachowi przez dłuższą chwilę. Szalę przeważało to, co dostrzegł w jego oczach. Zach niczego nie udawał i nie obrażał szeryfa małego miasteczka.

No i potrafił pokazać tej rozwydrzonej Breck, gdzie jej miejsce.

- Mam nadzieję, że nie skończy pan tak, jak inni mężczyźni, którzy zadawali się z kobietami z rodziny Breck. - Purcell chwycił słuchawkę i połączył się z sekretarką. -

Zadzwoń do archiwum i powiedz, że zjawi się dwoje
chętnych, żeby powdychać kurz.

Rozdział 58

Hollywood 16 września, godzina 14.25

Drzwi się otworzyły. Amy zerwała się na równe nogi.

— No, w końcu wróciłeś z obiadu.

- Natychmiast do mojego gabinetu - nakazał Score. Był w beznadziejnym humorze.

Ta sprawa pochłania za dużo czasu. Mam jeszcze innych klientów. Ale nie tak ważnych.

Zamknij drzwi - polecił. Usiadł za biurkiem i powstrzymał beknienie

Kozi ser. Kto wymyślił, żeby dodawać coś takiego do pizzy? Jak człowiek ma się potem przyzwoicie zachowywać?

Tak naprawdę o niestrawność przyprawił go klient, ważniak z Hollywood, któremu ktoś nadepnął na odcisk, za co on z kolei chciał się odegrać na kimś innym.

Kiedy te matoly nauczą się trzymać z daleka od nieletnich chłopaków?

Ale Score nie mógł narzekać. W każdym razie nie za bardzo. Gdyby ludzie nagle stali się święci, straciłby robotę.

- I co? - spytał.

- Znowu się przemieszcza. Wróciła do Blessing w Arizonie.

- Hm. - Znalazł paczkę tabletek na żołądek i zażył trzy. - Po co?

- Rozmawia z szeryfem.

- O czym?

- O aresztowaniu jej babki.

A co to ma wspólnego z obrazami? - pomyślał Score.

- I?

- Poza jedną rozmową telefoniczną, była daleko od pluskwy. Udało mi się usłyszeć coś, dopiero jak ruszyli na lotnisko w Taos. - Amy bezwiednie sprawdzała palcami

trwałość żelu do włosów. Zaczęły opadać. Ona opadała z siłą, bo nie miała przerwy na obiad.

- Do kogo dzwoniła? - spytał ostro Score. Amy spojrzała na następną stronę skryptu.

- Dzwonił agent. Rozmawiali z St. Kildą.

- Co powiedział?

- Prosił o tych samych ludzi do obsługi transportu, co wczoraj i...

- Mówiłem ci, że masz mnie natychmiast informować, jeżeli będzie mowa o obrazach - warknął Score.

Ostry ton jego głosu sprawił, że Amy aż się wzdrygnęła.

- Nikt nic nie mówił o obrazach - powiedziała szybko. - A to one były w transporcie?

Score nie wiedział, ale obawiał się, że słowo „transport” aż za dobrze nadaje się do opisanie dwunastu obrazów.

Widocznie były w domu, nie w samochodzie.

Teraz już nic na to nie poradzi. Może tylko przełknąć porażkę, postarać się nie stracić nad sobą panowania i łyknąć jeszcze kilka tabletek na niestrawność.

- Kiedy to było? - spytał.

Amy znowu się wzdrygnęła. Kiedy Score uderzał w taki ton, na biurkach lądowały wypowiedzenia z pracy, a nie chciała, żeby jedno było dla niej.

- Rozmowa miała miejsce o dziewiątej czterdzieści dwa.

- Mówili, dokąd jedzie towar?

- Nie.

Score zamilkł. Ścisnęło go w żołądku. Chciało mu się wymiotować.

- Coś jeszcze?

- Obiekt wylądował już w Blessing, w Arizonie. Pluskwa musi być gdzieś blisko, bo wszystko dobrze słyhać.

- A co z towarem? Mają go ze sobą?

- Nie. Agent powiedział tylko, że jest w bezpiecznym miejscu. Cholerna St. Kilda. Po lichu zajmują się lokalną operacją?

Kozi ser cały czas podchodził Score'owi do gardła. Zapanował nad odruchem wymiotnym.

- Do rzeczy - prychnął.

- Pojechali się spotkać z szeryfem z Blessing - oznajmiła Amy, podsumowując streszczenie podsłuchu. - Chcieli zobaczyć raport z aresztowania Justine Breck.

- Hm. A co ich to obchodzi? To było dawno.

- Nie wiem. - Amy wzruszyła ramionami. - Urządziła pijacką pyskówkę z jakimś facetem. Postrzeliła go i oboje wylądowali w areszcie.

- Powiedzieli, co to za facet?

- Nie. Wiem tylko, że był jej kochankiem. I powiesił się w więzieniu.

Score bębnił palcami w blat biurka, zastanawiając się, co tym razem kombinuje St. Kilda. W tej sprawie pieprzyło się wszystko po kolei. Był już u kresu wytrzymałości i niewiele brakowało, żeby stracił nad sobą kontrolę i skreślił kark pierwszej osobie, która wpadnie mu w ręce.

Od razu poczułbym się lepiej.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Mają zamiar oglądać dokumenty. Pluskwa działa naprawdę dobrze.

- Mówili coś o obrazach?

- Nie. Tylko o Froście. Przez kilka dni nie będzie mógł z nikim rozmawiać. Zdaje się, że jest w śpiączce.

No, przynajmniej to wypaliło, pocieszył się Score. Najwyższy czas, żeby coś się ruszyło. Gdybym jeszcze wiedział, czy obrazy się spaliły.

Albo miał pewność, że się nie spaliły.

W najgorszym razie nie spaliły się i ma je St. Kilda. A to znaczy, że operacja jest naprawdę przerabana.

Trzeba było strzelać do tej suki. To przez nią te kłopoty.

Score beknął głośno i przysiągł sobie, że nigdy więcej nie tknie koziego sera, bez względu na to, kto zaprosi go na obiad.

- Chcę wiedzieć, dokąd pojedą z Blessing. Pilnuj tematu, dopóki nie zjawi się Steve.

- A kiedy to będzie?

- Kiedy klepnie cię po ramieniu i powie „cześć”. Gdybyś usłyszała coś o obrazach...

- Natychmiast dam ci znać - ucięła Amy. - Zapamiętałam po pierwszych dziesięciu razach.

Zdażyła zniknąć, zanim Score'a trafił szlag i zaczął kopać nogami w biurko.

Rozdział 59

San Diego 16 września, godzina 14.29

Telefon odebrała Grace.

- Zach? Faroe jest zajęty.

- A ty?

- Streszczaj się.

- Czy St. Kilda może zdobyć nakaz wydania dokumentów związanych z aresztowaniem Justine Breck i Thomasa Dunstana w okręgu Canyon, w Arizonie...

Grace przełożyła sobie córeczkę na drugą rękę i zaczęła notować.

- Macie zdjęcia odcisków kciuka z obrazów Jill?

- Tak, ale byle jakie. Ekspertom takie nie wystarczą. Odcisk kciuka ciężko zobaczyć bez ultrafioletu. Dunstan stosował grabą fakturę, a ramy na obrazach Frosta zrobiły swoje.

- Ale twoim zdaniem odciski na wszystkich obrazach są jednakowe?

- Tak. Jestem prawie pewny, że obrazy Jill namalował Dunstan.

- No to są warte mnóstwo pieniędzy.

- Kilka milionów, jeśli wierzyć szacunkom z katalogu aukcji. Ale jeżeli pojawią się na rynku wszystkie naraz, ich wartość może spaść - odparł Zach. - Albo gwałtownie podskoczyć. Kto to wie? Kolekcjonerzy są nieobliczalni.

- Zrobimy porządne zdjęcia - powiedziała Grace. - Orientujesz się, jak wyczerpujące musi być uzasadnienie wniosku o nakaz?

- Powiem ci, jak tylko się dowiem. - Zach usłyszał w słuchawce rozdzierający płacz niemowlaka. - Czas na karmienie?

- Wytrzyma jeszcze kilka sekund. Na kiedy potrzebujesz nakazu?

- Na wczoraj. Za dużo rzeczy się już spaliło.
- Dopilnuj, żeby nie znalazła się wśród nich Jill.
- Mam na nią oko - odparł Zach.
- Nie wątpię. - Grace się uśmiechnęła. Zach odkaszlnął.
- Zadzwoń, jeśli będziemy jeszcze czegoś potrzebować.
- Jak tam nowy telefon?
- Na razie dobrze.

Faroe skończył rozmowę równocześnie z Grace.

- Wszystko w porządku? - spytał.
- Z nowym telefonem, tak. Jak na razie.
- Zach ma dziwne pole elektryczne. Przechodzi przez baterie, nawet akumulatory, jak trawa przez gęś. Czego chciał?

- Pozwolenia na wgląd do publicznych dokumentów.
- Skoro są publiczne, w czym problem?
- Zach twierdzi, że za dużo rzeczy się już spaliło.
- Ma rację.

Płacz stawał się coraz bardziej rozpaczliwy.

- Daj mi ją - powiedział Faroe. - Przewinę ją, a ty zajmij się papierami.

- Najpierw niech się naje, potem ją przewiniesz. - Grace rozpięła bluzkę i zaczęła karmić dziecko. - Do pisania wystarczy jedna ręka. Czy ambasador Steele wspominał o zapłacie za sprawę brazylijskiej pralni pieniędzy?

- Księgowość właśnie przelewa na konto naszą część należności.

- To dobrze, bo Zach wydaje pieniądze w takim tempie, że potrzebny nam teraz zastrzyk gotówki. Gdzie jest najbliższy ekspert od odcisków palców?

Faroe pochylił się nad komputerem, wcisnął kilka klawiszy i poczekał.

- W Los Angeles.

- Niech będzie w pogotowiu.

Rozdział 60

Hollywood 16 września, godzina 14.31

Tak? - warknął Score do telefonu.

- Tu Amy. Przyjdź natychmiast. Gadają o obrazach, odciskach palców i...

Score rzucił słuchawkę i ruszył do piwnicznej dziury, która służyła Amy za gabinet.

Kiedy zamykał drzwi swojego biura, zadzwonił telefon. Nawet nie przystanął.

- To... - zaczęła sekretarka.

- Zapisz wiadomość - przerwał jej szorstko.

Trzasnął drzwiami, pozostawiając niezadowolonego klienta na głowie sekretarki.

Miał to gdzieś.

Mam ważniejsze problemy. Obrazy są całe. Niech to szlag!

Na pewno przez tę cholerną sukę.

Rozdział 61

Blessing, Arizona 16 września, godzina 14.33

Pudła pokrywała nagromadzona przez lata warstwa rdzawobrazowego pustynnego pyłu. Zawartość kartonów była jednak uporządkowana. Wszystkie teczki oznaczono datą i nazwiskiem. Część dokumentów posegregowano wydziałami. Niektóre ułożono według rodzaju przestępstwa, a jeszcze inne według czyjegoś widzimisię, które dla osoby postronnej nie miało żadnego sensu.

Po kilku niepowodzeniach, spowodowanych złą kombinacją nazwiska, daty i wydziału, Jill natrafiła wreszcie na policyjne raporty i dowody procesowe ze wszystkich dziesięciu postępowań, jakie toczyły się w roku, w którym Justine Breck strzelała do Thomasa Dunstana.

- Mam. - Jill kichnęła.

- Na zdrowie - powiedział Zach. - Co masz?

- Akta procesu Justine Breck. - Pomachała szarą harmonijkową teczką i o mało znów nie kichnęła. - Wentylacja jest tu gorsza niż w piwnicy. - Sięgnęła do saszetki i wyjęła bawełnianą chusteczkę, która miała prawie tyle samo lat, co ona.

Zach wziął od niej teczkę, a ona wytarła nos. Odszedł na kilka kroków, uderzył papierami w udo, żeby choć trochę otrząsnąć je z kurzu, i oddał je z powrotem Jill.

- Twoja rodzina, twoja teczka - oznajmił.

Jill zaczęła rozwiązywać tasiemkę. Kiedy udało jej się rozplatać supeł, otworzyła folder i szybko przejrzała zawartość, szukając kart z odciskami palców.

Nie trwało to długo.

- Dzięki Bogu za prawe serce dawnego szeryfa. - Wyjęła dwa arkusze grubego papieru.

Zach cudem powstrzymał się przed wyrwaniem jej dokumentów z rąk.

- Justine Meredith Breck i Thomas Langley Dunstan - powiedziała. - Aresztowani za pijaństwo, zakłócanie porządku publicznego i inne przewinienia. Proszę bardzo: mamy odcisk kciuka!

Podawała kartki Zachowi. U góry każdej strony znajdowały się informacje o nazwisku, wieku, dacie urodzenia oraz aresztowania zatrzymanego, a także mnóstwo innych szczegółów wymaganych do więziennych dokumentów. Dół kartki stanowiła tabelka z pięcioma polami w poziomie i dwoma w pionie.

W każdym znajdował się czarny atramentowy ślad.

Zach wziął kartę z odciskami palców i uniósł je pod światło, padające z wąskiego piwnicznego okna.

- Punkt dla nas.

- Będiesz mógł je wykorzystać?

- Jasne. Przytrzymaj karty, zrobię zdjęcia.

Chcę się zabezpieczyć na wypadek, gdyby ktoś twierdził, że na obrazie odcisk zostawili ramiarz albo kochanka.

- To mało prawdopodobne.

- Masz rację. - Zach wyjął aparat z tylnej kieszeni spodni.

- Ale nikt nie twierdzi, że ludzie, a zwłaszcza sędziowie przysięgli, kierują się tym, co prawdopodobne. Przypomnij sobie sprawę OJ. Simpsona.

- Dzięki, wolę nie. Przytrzymać karty?

- Tak, tutaj. Ustawię największą rozdzielczość i uchwycę zdjęcie w najlepszym dziennym świetle.

- Właściwie po co robimy zdjęcia? - spytała Jill. - Przecież St. Kilda ma przysłać kogoś z upoważnieniem do zabrania oryginałów.

- Potraktuj to jako ubezpieczenie na wypadek pożaru. Drzwi się otworzyły i stanął w nich szeryf Purcell.

- Jakiego pożaru?

- Wspomniałem tylko, że papier jest łatwopalny.

- Dlatego obowiązuje tu zakaz palenia. - Purcell przesunął się i spojrzał na teczkę, którą Jill z namaszczeniem trzymała w rękach. - Widzę, że rozszyfrowaliście system archiwizacji?

Na pewno nie dzięki tobie, pomyślała ponuro, ani nie dzięki temu potworowi w recepcji.

- Jest w nim kilka pułapek, ale daliśmy sobie radę.

- Co robicie z tymi papierami? - spytał Zacha.

- Zdjęcia - odparł Zach przyjemnym, rzeczowym tonem.

- Nie było mowy o zdjęciach. - Purcell zmarszczył brwi.

- Nie chcemy wprowadzać zamieszania wnioskami o wydanie kopii akt - wyjaśnił Zach. - Pańscy ludzie mają ważniejsze sprawy na głowie niż kserowanie papierów. Proszę się nie martwić, obchodzimy się z oryginałami bardzo ostrożnie.

- Na pierwszym piętrze jest ogólnodostępna kserokopiarka. Dziesięć centów za stronę - powiedział szeryf.

- Dziękujemy, ale aparatem zrobimy to szybciej i mniej zaszkodzimy oryginałom.

Purcell przez kilka minut przyglądał się im w milczeniu.

- Mogę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

- Obawiam się, że to pana nie dotyczy - odparł swobodnie Zach. - W każdym razie chwilowo nie mamy podstaw, by uważać, że ma pan coś wspólnego z naszym dochodzeniem. - Odwrócił się do Jill. - Pstryknij tylko najważniejsze rzeczy, kochanie. Zawsze możemy przyjść jeszcze raz, jeśli będzie trzeba.

- Nie ma sprawy, misiaczku. - Jill rozłożyła wybrane dokumenty na zakurzonych pudłach. - Nie będziemy się rozdrabniać.

- Super. Możesz przytrzymać mi tę kartkę zupełnie na płask? Pismo jest niewyraźne.

Jill podeszła do Zacha, starannie wyprostowała wskazaną kartkę i rozłożyła ją na canonie. Odczekała chwilę i

przewróciła papier na drugą stronę. Razem obfotografowali wszystkie dokumenty. Potem włożyli akta z powrotem do teczki i zrobili zdjęcia dat na pudle.

Ubezpieczenie na wypadek pożaru.

Rozdział 62

Blessing, Arizona 16 września, godzina 14.56

Prowadzisz - oznajmił Zach, siadając na miejscu pasażera małego wynajętego samochodu. Rezerwacje robione w ostatniej chwili są jak wrzód na dupie.

Jill odpięła z pasa saszetkę i rzuciła ją na tylne siedzenie. Samochód zaprojektowany był chyba dla dziwolągów z nogami krótszymi niż ręce.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Z powrotem na lotnisko.

- A potem?

- To zależy od tego, co znajdę w dokumentach.

Jill skupiła się na jeździe, a Zach zgrywał zdjęcia z aparatu do komputera. Zanim otworzył pierwszy plik, skopiował wszystkie i przesłał do St. Kildy.

Na wszelki wypadek.

Potem zaczął czytać.

- Halo? - zagadnęła Jill. - Ja też należę do tego dynamicznego duetu, zapomniałeś?

- Na razie czytam historię rodziny Brecków. - Spojrzał na nią. - Sądziłem, że ją znasz.

- To źle sądziłeś.

Uśmiechając się lekko, wrócił do pierwszego dokumentu i zaczął go streszczać Jill.

Twoja babka, Justine Breck, i Thomas Dunstan, zostali aresztowani przez szeryfa Joela Purcella pod lokalem o nazwie Tawerna.

Gdzie to jest?

Zaraz za miastem.

- Ach. Teraz to się nazywa Źródełko. Wiesz, jesteśmy na pustyni i tak dalej. Oficjalnie jest to klub, bo prywatne kluby mają prawo sprzedawać alkohol. W praktyce wygląda to tak, że za wstęp płacisz tak zwaną opłatę wejściową.

- Nie jestem pewien, czym gardzisz bardziej, hipokryzją czy patriarhatem - prychnął Zach.

- Sama nie wiem.

- Wygląda na to, że twoja babka i Dunstan opijali Święto Niepodległości i coś poszło nie tak.

- Co się stało?

- Cóż, według barmana... Możesz uwierzyć, że nazywał się Wierny Nolan?

- Niestety, tak.

- W każdym razie, facet usłyszał, że Dunstan i Justine się kłóca. - Zach pokręcił głową. - Awantura jak się patrzy.

- O co?

- Nikt z obecnych nie rozumiał, ale to normalne podczas pijackiej kłótni. Według barmana, Dunstan zbierał niezłe cięgi. Potem go poniosło i uderzył Justine w twarz.

- Fajny chłopak. - Jill zacisnęła ręce na kierownicy.

- Artyści są bardzo wrażliwi - zauważył Zach z przekąsem. - Uderzył ją tak mocno, że krzesło, na którym siedziała, przewróciło się do tyłu, a ona wpadła na inny stół. Potem na nią skoczył i zaczął dusić. Rozpętała się prawdziwa bitwa.

- Dusić?

- Tak. Naprawdę dostał amoku. Nie mieli jeszcze wtedy klimatyzacji, a na początku lipca w Blessing musi być strasznie gorąco - powiedział Zach z melodyjnym akcentem.

- Prawie czterdzieści stopni. Do tego wiatr, ostry jak papier ścierny i gorący jak rozżarzone węgle - odparła Jill. - Ciekawe, co robili w mieście?

- Poza piciem i boksowaniem? Malowali. Tak przynajmniej twierdził Dunstan, a na potwierdzenie miał plamy farby na ubraniu. Najwyraźniej lubił malować w okolicy rancza Brecków: między Blessing a krawędzią

kanionu i Indiańskimi Źródłami, gdzie wymiera bylica, a zaczyna występować kreozot.

- To wszystko jest w raporcie? - zdziwiła się Jill.

- Czytam między wierszami. Poza tym zrobiłem rozeznanie, kiedy czekaliśmy w szpitalu na zakończenie operacji Frosta.

- Katalog dzieł Dunstana. Byłeś tak pochłonięty lekturą, jakby zawierał tajemnicę życia i śmierci.

Albo artystycznego szaleństwa.

- Wierny Nolan zakończył bójkę za pomocą siekiery, którą trzymał pod barem. Justine natychmiast się ulotniła. Dunstan ruszył za nią. Kiedy byli już w granicach miasta, Justine zaczęła wrzeszczeć: „Nigdy więcej mnie nie uderzysz, ty sukinsynu!” A później strzeliła do niego z dubeltówki.

- Rodzinna broń Brecków - skwitowała Jill. - Modesty nadal jej używała, o ile się nie zacięła, co zdarzało się dość często.

- Tamtej nocy się nie zacięła. Justine wypaliła i strzelała, dopóki wystarczyło jej naboii.

- Albo dopóki strzelba się nie zacięła.

- Nie trafiła, tylko lekko drasnęła Dunstana w tyłek.

- Szkoda. Gdybym ja tam była, pożyczylabym jej mojego colta woodsmana. Albo sama zastrzeliłabym tego bydlaka.

- Widzę, że lepiej cię nie wkurzać? - Spojrzał na nią z ukosa.

- Nie martw się. Rodzinna broń spłonęła w pożarze.

- Bardziej obawiam się twojego woodsmana.

- Opyliłam go, żeby mieć kasę na szkolne książki. - Uśmiechnęła się szelmowsko.

Miał ochotę ją przytulić, ale mówił dalej.

- Kiedy Justine wyczerpała się amunicja....

- Albo zacięła się strzelba - wtrąciła Jill.

- ... szeryf aresztował ją i zaciągnął do więzienia w kajdankach.

- A Dunstan? - spytała oburzona Jill. - Przecież chciał ją udusić!

- Po niego też przyszli - powiedział Zach. - Kiedy tylko miejscowy lekarz skończył oblewać whisky ranę po kuli i zabandażował mu tyłek.

- I co?

- Do głosu doszedł twój ukochany patriarchat.

- To znaczy?

- Justine została oskarżona o usiłowanie zabójstwa. Dunstanowi zarzucono publiczne pijaństwo. Spędził noc w celi.

- A próba uduszenia to nie usiłowanie zabójstwa? - Palce Jill pobiegały na kierownicy.

- Nie, jeśli sprowokowała ją pyskata suka. - Usta Zacha wykrzywił pogardliwy grymas.

- Mówisz, jakbyś popierał Dunstana.

- Naczytałem się za dużo raportów z domowych awantur. Żałuję, że nie mam wehikułu czasu.

- Dlaczego?

- Dokończyłbym to, co zaczęła Justine. Nie ma usprawiedliwienia dla facetów, którzy znęcają się nad kobietami.

Chłód w głosie Zacha sprawił, że Jill ścisnęło w żołądku. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie mówił tym tonem do niej.

- Przepraszam. - Westchnęła przeciągle. - Powinnam lepiej panować nad uczuciami.

- Nic się nie stało. - Pogłaskał ją delikatnie po policzku. - Kobieta ma prawo się wściec.

- Wiesz to od starszych sióstr?

- Dostałem dobrą szkołę - przyznał. Znow ją pogłaskał, po czym wrócił do czytania. - Kiedy szeryf zajrzał rano do celi Dunstana, ten był martwy. Powiesił się na pasku.

- Wielki malarz i pożałowania godny człowiek - skwitowała Jill.

- Pokój jego duszy.

Zapadła cisza. Zach przeglądał kolejne dokumenty.

- Nic nowego - stwierdził, kiedy skończył czytać akta. - Zwykła biurokracja. Justine działała w obronie własnej. Sędzia zganił ją za publiczne pijaństwo i używanie broni w obrębie miasta, i ograniczył karę do tej, którą już odbyła, oraz dorzucił jej rok w zawieszeniu i bla bla bla.

- Jak powiedział szeryf Purcell, sędzia był nowy w okręgu Canyon. To wszystko, co było w dokumentach? A odrębny list?

- W raporcie figuruje jako własność Dunstana. Musiał go mieć przy sobie w czasie aresztowania.

- Przeczytaj mi go.

- Pismo jest niewyraźne. Światło nie było zbyt dobre, kiedy robiłem zdjęcie. Atrament jest wyblakły.

- Chcesz powiedzieć, że listu nie da się przeczytać?

- Chcę powiedzieć, że muszę go obrobić w photoshopie. - Zach otworzył inny program, przetworzył w nim zdjęcia i uzyskał coś, co prawie dało się przeczytać. - Dobra, jest. Datowany na dwa tygodnie przed śmiercią Dunstana.

Jill wypuściła głośno powietrze. I czekała. I czekała.

Zerknęła na Zacha. Czytał, a na jego twarzy malowało się coraz większe zdziwienie.

- O co chodzi? - spytała kategorycznie.

- Jeżeli się nie mylę, granat został całkowicie odbezpieczony.

- O czym ty mówisz?

- Ciesz się, że siedzisz. To list od Justine. - Zaczął czytać na głos. - „Kiedy to przeczytasz, mnie już nie będzie. Moja matka i babka znosiły mężów, którzy podnosili na nie rękę, ale ja, nawet gdybyś był moim mężem, nie pozwoliłabym się bić, błagając o litość ciebie albo twojego Boga”.

- Szkoda, że nie strzeliła mu w jaja - mruknęła Jill, zaciskając palce na kierownicy.

- Za mały cel. - Zach czytał dalej. - „To, co było między nami, dawno się skończyło. Nie powinnam była szukać w tobie kochanka. Nie dlatego, że to grzech w oczach Boga i ludzi, ale dlatego, że jesteś kłamcą i oszustem. Nikczemnie mnie wykorzystałeś, a później pobiłeś, bo twoja duma została upokorzona przez mój talent. Oboje znamy prawdę, choć nigdy nie wypowiedzieliśmy jej głośno. Beze mnie jesteś skończony jako artysta, bo jestem kimś więcej niż twoją Szkarłatną Muzą”.

Jill wydała dziwny odgłos. Zach czytał dalej:

- „Aby malować prawdziwie, muszę prawdziwie żyć. Nie pisz, jak bardzo mnie kochasz. Nie błagaj o wybaczenie czegoś, co z pewnością się powtórzy, jeśli tylko ci na to pozwolę. Nie umiem ci wybaczyć, podobnie jak i ty nie potrafisz zakończyć swojego pozbawionego miłości, mieszczańskiego małżeństwa”. - Zach pokręcił głową. - Podpisano: „Justine”.

- I co teraz? - spytała Jill.

Zach nie odpowiedział. Otworzył kilka plików i porównał zdjęcia zrobione w archiwum z najlepszymi ujęciami dolnych krawędzi obrazów Dunstana. Zmarszczył brwi, powiększył obraz i przyglądał się dalej. Nie był ekspertem, ale wydawało mu się, że pasują.

Zaczął się cicho śmiać.

- Co się stało? - spytała Jill.

- Przypomniał mi się Worthington i jego wykład na temat kwintesencji męskości w obrazach Dunstana i jego statusu ikony sztuki Zachodu. Justine pewnie odchodziła, zgrzytając zębami.

- Chcesz powiedzieć...?

- Tak. Justine nie była Szkarłatną Muzą Dunstana - powiedział Zach. - Odciski kciuka na obrazach należą do niej, nie do niego. To ona malowała obrazy. On tylko sygnował gotowe dzieła swoim nazwiskiem.

- To dlatego rodzinne obrazy nie były przez niego podpisane - domyśliła się Jill. - Ale są takimi samymi „Dunstanami” jak wszystko, co podpisał. Jaka jest cena wywoławcza za Dunstana w aukcyjnym katalogu?

- Na tyle wysoka, że morderstwo się opłaca.

Rozdział 63

Hollywood 16 września, godzina 15.35

Score przeczytał skrypt, potem jeszcze raz, i następny. Twarz miał czerwoną, ale ręka mu nie drgnęła, kiedy odkładał dokument na biurko. Spojrzał na zniecierpliwioną pracownicę.

- Cóż, sprawa zakończona - stwierdził, siląc się na uśmiech. - Zasłużyłaś na kilka dni wolnego. Do zobaczenia w następny poniedziałek.

- Hura! - zawołała z entuzjazmem Amy.

Wybiegła z biura, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, żeby szef nie zdążył się rozmyślić.

Score zacisnął pięści i wpatrywał się ze złością w drzwi, jakby miał nadzieję na... coś.

Cokolwiek.

Wszystko, z wyjątkiem bagna, w którym tkwił.

Nie miał wielkiego wyboru. Obrazy miała St. Kilda, a to oznaczało, że musiałyby użyć bomby wodorowej, żeby je zniszczyć. Nawet nie marzył, że mógłby z takiej akcji wyjść cało.

Przynajmniej mam spokój z Frostem, pomyślał ze złością. Punkt dla mnie.

Muszę dopaść tę sukę Breck. Trzeba się jej pozbyć i gra się skończy.

Pilnuje jej tylko jeden agent.

Przez długi czas siedział w fotelu, gotując się ze złości i obmyślając scenariusze „przypadkowej” śmierci.

Najbardziej lubił pożary, ale nie miał specjalnej ochoty na powtórkę. Najlepsze byłoby porwanie i likwidacja. Niestety, do takiego zadania nie wystarczył jeden człowiek. A druga osoba to potencjalny świadek oskarżenia.

Albo potencjalny szantażysta.

Niezłym rozwiązaniem byłoby utopienie, ale w pobliżu Lessing nie było wystarczająco dużego zbiornika wody.

Wypadek samochodowy wchodził w rachubę tylko pod warunkiem, że miejscowy lekarz sądowy ma ptasi mózdzek. Inaczej sekcja zwłok wykaże, że ofiary zginęły przed wypadkiem. Kiedyś lubił pozorować kradzież zakończoną przypadkowym zabójstwem, ale teraz już by się na to nie zdecydował.

Nie chciał, żeby St. Kilda dobrała mu się do tyłka. Było tajemnicą poliszynela, że jeżeli w akcji ginął agent St. Kilda, ambasador Steele zawsze wyrównywał rachunki. Zawsze.

Bez względu na to, ile zajęło to czasu.

Ale musi mieć ślad.

Score zastanawiał się, czy nie zadzwonić do klienta i nie oznajmić: „Przepraszam, nie dam rady. Oto rachunek”.

To byłoby rozsądne.

Ale zabójcze dla firmy. Jeśli by się rozniosło, że proste zlecenie kradzieży zamieniło się w gigantyczną aferę, szybko straciłby najlepszych klientów.

Stawką była reputacja, dzięki której kręcił się interes, więc rezygnacja nie wchodziła w grę.

Siedział nieruchomo, rozważając wszystko od początku. Wziął pod uwagę możliwe komplikacje każdego z wariantów działania i obmyślał, jak zatrzeć ślady, żeby w ręce St. Kildy albo policji wpadł ktoś inny.

Potem dla pewności, przemyślał wszystko jeszcze raz, zastanawiając się, czy za pierwszym podejściem czegoś nie przeoczył. Kiedy był wściekły, musiał szczególnie uważać.

Przeczytał skrypt po raz czwarty. Po chwili namysłu wrzucił kartki do niszcarki, razem z pozostałymi papierami dotyczącymi sprawy. Kiedy urządzenie w końcu zamilkło, trochę się uspokoił. Otworzył główny komputer, dostał się na dyski Amy i Steve'a i wykasował z nich wszystko, co miało związek z tym zleceniem.

Później wymazał pliki główne.

I skasował twarde dyski, na których się znajdowały.

Wiele razy wykorzystywał w sądzie pliki komputerowe i wiedział, że jest to broń obosieczna. Nie chciał zostawić w dokumentach niczego, co mogłoby mu zaszkodzić.

Kiedy miał pewność, że zatarł wszystkie ślady w firmowych komputerach, sięgnął po telefon. Najlepszą szansą na zwycięstwo było stworzenie pozorów.

A zwyciężyć musi.

Z tego przecież słynie.

Rozdział 64

Snowbird 16 września, godzina 16.10

Ramsey, lepiej ty odbierz - powiedział Cahill. - Dzwoni Lee Dunstan z Las Vegas.

Poirytowany Worthington oderwał się od doglądania załadunku ostatnich obrazów. Lada chwila furgonetka z eksponatami na aukcję miała wyruszyć na lotnisko.

- Czego chce?

- Nie będę krzyczeć przez zatłoczoną salę. Worthington syknął i odwrócił się do ładujących obrazy.

- Dobra, wiecie, co robić. Spodziewam się, że wszystkie rzeźby i obrazy co do jednego zobaczę nienaruszone w Golden Fleece, kiedy się tam zjawię dziś wieczorem.

- Oczywiście - powiedziała szefowa tragarzy. Odwróciła się i zawołała do młodego mężczyzny, który potknął się na rampie: - Powoli, Murphy! Już nie pracujesz w UPS. Nikt nie mierzy ci czasu stoperem.

Worthington odwrócił się i tylnymi drzwiami wszedł do galerii, gdzie czekał na niego Cahill.

- Nie mam czasu, żeby prowadzić Lee za rączkę - warknął rozwścieczony.

- Uwierz mi, że zaraz znajdziesz dla niego czas. Worthington odblokował przycisk oczekiwania.

- Cześć, Lee - odezwał się z udawaną wesołością. - Przeżywasz aukcję?

- Można tak powiedzieć. - Lee wznosił toast w połowie opróżnioną szklanką whisky i pociągnął spory łyk. - Ramsey, stary kumplu, mamy problem. Suka wróciła.

- Jesteś pijany? - spytał Worthington, siląc się na uprzejmość.

- Prawie. Ty też będziesz, kiedy niedzielna aukcja okaże się wielkim niewypałem. Będziesz miał szczęście, jeśli za

dziesięćmilionowy obraz, o którym wszyscy mówią, dostaniesz połowę.

- Dobry Boże. - Worthington starał się nie tracić cierpliwości. - Nie mam czasu wysłuchiwać twoich pijackich majaczeń.

- To bardzo źle. - Lee uśmiechnął się ponuro. Od dawna nie pozwalał sobie na to, żeby pić do upadłego. Był zadowolony. Może już się nie obudzi. - Masz niecałe dwa dni na to, żeby udowodnić, że tego, co podpisywał Thomas Dunstan, nie namalowała Justine Breck.

Worthington spojrzał w sufit, ale nie znalazł tam żadnej podpowiedzi.

- Jest Betty?

Lee spojrzał na bladą, pełną napięcia twarz żony. Miała na sobie znoszone džinsy i wyblakłą koszulkę. Wyglądała jak córka farmera, którą kiedyś była.

- Nie o tej suce mówię - odparł Lee.

Worthington zaklął pod nosem, zakrył słuchawkę i warknął wściekle do Cahilla:

- Do cholery, o co tu chodzi?

- Wiem tylko, że Lee Dunstan twierdzi, że jego ojczulek nie namalował Dunstanów, które mamy zamiar wystawić w niedzielę - wyjaśnił Cahill. - Namalowała je Justine Breck.

- Też coś - prychnął Worthington. Zdjął dłoń ze słuchawki. - Nie mam czasu na bzdury. Daj mi Betty.

- Nie ma sprawy. Ja muszę się napić. - Lee skinął na żonę. - Chce z tobą rozmawiać.

Betty patrzyła, jak jej mąż podchodzi do hotelowego barku. Jeszcze się nie zataczał, ale zaraz zacznie.

Wiedziała, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, pomyślała z goryczą. Pięć milionów za obraz było szaleństwem. Dziesięć milionów: czystym zdzierstwem.

Wzięła słuchawkę.

- Przepraszam, Ramsey. Właśnie zadzwonił Tal i krzyczał na Lee tak głośno, że słyszałam go na drugim końcu pokoju. Dlatego Lee zadzwonił do ciebie.

Worthington wbił kciuk w przerwę między brwiami, starając się powstrzymać ból głowy, który pojawił się nie wiadomo skąd.

- Co się stało, do cholery?

- Żona Crawforda odebrała anonimowy telefon z ostrzeżeniem, że ktoś będzie próbował zaszkodzić aukcji, twierdząc, że nasze obrazy namalowała Justine Breck, a nie Thomas Dunstan.

- Betty, Betty. - Worthington wbił sobie kciuk w czoło tak mocno, że został na nim ślad po paznokciu. - Bezpodstawna plotka nie wystarczy, żeby przekonać kogoś z artystycznym obeznaniem, że obrazy Dunstana nie są tym, za co je uważamy: dziełami jednego z największych artystów Zachodu. Konkurencja stara się narobić zamieszania przed aukcją. To burza w szklance wody, uwierz mi. - Albo próba wymuszenia haraczu. Nie pierwsza. I nie ostatnia.

- A co z odciskiem kciuka? - spytała.

Zastanawiał się, czy Betty wie, że właśnie wierci sobie kciukiem dziurę w czole.

- Jakiego kciuka?

- Tego na obrazach Dunstana, który należy do Justine, a nie do Thomasa.

- Betty. - Worthington chwycił mocniej słuchawkę, starając się zapanować nad irytacją. Przed dużą aukcją zawsze coś wyskakuje i to w najmniej odpowiedniej chwili. - Nawet jeżeli na wszystkich płótnach są odciski palców jego kochanki, dowodzi to jedynie tego, że była z Dunstanem, kiedy tworzył obrazy. Malował tylko wtedy, gdy była przy nim Szkarłatna Muza. To żadna sensacja, że zostawiła na

plótnach jakieś ślady. O ile w ogóle da się udowodnić, że odciski należą do niej, co jest rzeczą wątpliwą.

- Ale Tal był bardzo zdenerwowany.

- Zadzwoń do niego i go uspokój. Jesteście teraz w Las Vegas?

- Tak.

- Miej Lee na oku. Im mniej będzie o tym mówił, tym lepiej. Betty spojrzała na męża, który nalewał sobie whisky do szklanki,

i westchnęła.

- Zrobię co mogę. - Zawahała się. - Obrazy stracą na wartości, prawda?

- Nie martw się - pocieszył ją Worthington. - I niech Lee nie pokazuje się publicznie, dopóki nie wytrzeźwieje. Lepiej, żeby te „rewelacje” się nie rozniosły. Jeżeli ktokolwiek zadzwoni do ciebie z ofertą sprzedaży nowych Dunstanów, skieruj go do mnie.

- Dlaczego ktoś miałby proponować nam kupno nowych Dunstanów? Nie mamy takich pieniędzy.

Wymuszenie, bałwanico, odparł w myśli Worthington. Kciuk bolał go prawie tak bardzo jak głowa. Lee weryfikuje fałszywe obrazy i wszystko gra... poza tym, że Crawford powiesi mnie za jaja, jeżeli nie wywołam dostatecznego podniecenia aukcją. Obiecałem podbić cenę do minimum ośmiu milionów dolarów za Dunstana. Crawford chce dojść do dziesięciu. Takiego zainteresowania nie zakwestionuje nawet urząd podatkowy.

Worthingtonowi, na swój sposób, zależało na szumie wokół aukcji, równie mocno jak Crawfordowi. W wielkim stylu zwróciłby uwagę wielkich graczy ze świata sztuki na swój nowy dom aukcyjny. Ale będzie miał marne szanse, jeżeli ni z gruszki, ni z pietruszki, w ostatniej chwili, na rynku pojawi się dwanaście Dunstanów niepewnego pochodzenia.

Crawford nie ma pieniędzy, żeby przejąć dwanaście nowych obrazów, po cztery miliony każdy, a już na pewno po dziesięć. A jeśli nowe obrazy pójdą za mniej, pozbawią wartości te, które Crawford już posiada.

- Niczym się nie martw, tylko nie spuszczaaj Lee z oka. I zadzwoń do mnie, gdyby ktoś kontaktował się z wami w sprawie obrazów - powiedział Worthington. - Rozumiesz?

- Nic nie rozumiem - westchnęła Betty. - Ale cię posłucham. Worthington odłożył słuchawkę i z pamięci wybrał numer komórkowy Crawforda.

Odbierz, gnojku. Czas to pieniądz.

Rozdział 65

San Diego 16 września, godzina 16.15

Tato? - Lane wytknął głowę z sypialni. - Gdzie jesteś?

- W biurze! - krzyknął Faroe. - Czekam, aż naszemu małemu żarłokowi w końcu się odbije.

- Nie wiedziałem, czy chcesz mieć to wszystko na komputerze St. Kildy, więc pomyślałem, że dam ci to, co zebrałem do tej pory.

Z laptopem pod pachą Lane wmaszerował do gabinetu rodziców. Nigdy nie ekscytował się gablotą z bronią ani ścianą urządzeń elektronicznych, ale na rząd komputerów zawsze patrzył z zachwytem. Praca dla St. Kilda Consulting oznaczała, że rodzice mieli do dyspozycji świetny sprzęt, z którego czasem pozwalali mu korzystać.

Uwielbiał to.

Niemowlakowi na ramieniu Faroe'a odbiło się tak, że nawet Lane by się nie powstydział.

- Będzie druga runda? - spytał Lane.

- Co? - Faroe zamrugał.

- No, wiesz. Jesteś pełen, później porządnie bekasz i jesteś gotowy na...

- Drugą rundę. - Faroe pokręcił głową. - Jasne.

Grace wyjrzała zza swojego komputera i wyciągnęła rękę po małą Annalisę.

- Mam nowy wątek w sprawie Moorcroft.

- I co? - spytał Faroe.

- Dowiem się za kilka godzin. Albo dni. Zależy od tego, jak tajne są dane.

- Musimy zatrudnić więcej osób do sekcji informacyjnej - stwierdził Faroe.

- Steele powiedział, że weryfikuje kandydatów najszybciej jak się da.

- Sprawdza ich bardziej drobiazgowo niż rząd.

- I dobrze - odparła sucho Grace. - St. Kilda jest o wiele bardziej wymagająca niż stary dobry Wuj Sam.

- Steele ma mnie. - Lane z uśmiechem otworzył laptopa. - Popatrzcie. Nie rozumiem połowy z tego, co jest tu napisane, ale wiem, co oznaczają cyfry z dużą liczbą zer.

- Przysuń sobie krzesło - powiedział Faroe, siadając za biurkiem. - I pokaż mi, co znalazła twoja brygada.

- To wstępne dane - wyjaśnił Lane. - Nie mieliśmy za wiele...

- Dawaj - powiedział Faroe. - Informator zawsze ma za mało czasu.

Lane usiadł na krześle na kółkach i przejechał nim po podłodze z hiszpańskich płytek. Faroe wysunął długą nogę, żeby zatrzymać pędzącego syna.

- Nie wiem, od czego zacząć. - Lane otworzył komputer.

- Od informacji - podsunął Faroe.

- Której? - mruknął Lane pod nosem.

- Zawsze tak mówisz.

- Bo zawsze dajesz mi powód. - Lane zmarszczył czoło, spoglądając na ekran. - Dobra, najpierw najnowsze. Wszystkie ogólne informacje o sztuce Zachodu przerzuciłem do osobnego pliku, gdybyś...

- Informacje - przypomniał sucho Faroe.

- Dobra. Ostatnie wzmianki o Dunstanie. Gubernator Nevady, senator stanu, przedstawiciel Kongresu i nadziany koleś, niejaki Talbert „Tal” Crawford, wystąpili na konferencji prasowej z okazji przekazania przez Crawforda pokaźnej darowizny na rzecz Muzeum Zachodu. Oddał im całą swoją kolekcję dzieł sztuki, włącznie z tym, co kupi w niedzielę na aukcji w Vegas.

Faroe bacznie obserwował syna. Spojrzenie jego zielonych oczu było inteligentne i przenikliwe.

- Hojny człowiek.

- Tak. To jego pierwszy dobroczynny gest, a ma kupę szmalu. Od lat siedzi w przemyśle naftowym. Między innymi.

- Ciekawe.

- Też tak pomyślałem - stwierdził Lane. - Zawsze mówiłem, żeby szukać wzorca, a później sprawdzić, co się nie zgadza.

Faroe się uśmiechnął. Wyglądał niemal łagodnie.

- Zebrałem mnóstwo informacji na temat pieniędzy Crawforda - powiedział Lane.

- Na razie zajmijmy się Dunstanem.

- Nie bardzo jest się czym zajmować. Najnowsze wiadomości dotyczą muzeum. Większość pozostałych informacji związanych z nazwiskiem Dunstana dotyczy zbliżającej się aukcji. Fani sztuki dostają sra... - Lane uniósł wzrok, zorientował się, że matka karmi siostrę, i odkaszlnął. - Są bardzo podekscytowani.

Faroe stłumił uśmiech. Lane pilnował języka przy siostrze. Podobnie jak jego ojciec.

- Mniej więcej miesiąc temu na niektórych blogach dotyczących sztuki pojawiła się informacja, że odkryto kilka nowych Dunstanów - ciągnął Lane. - Ale nic z tego, co pisano w Internecie, się nie potwierdziło. Na innych blogach znalazłem komentarze, że każde nowe Dunstany są na pewno sfalszowane albo podrobione.

- Skopiuj mi te blogi - polecił Faroe.

- Już to zrobiłem.

- Możesz w to nie wierzyć, ale twój syn naprawdę cię słucha - powiedziała Grace, nie odrywając wzroku od komputera i córeczki. - Czasami.

Lane prychnął.

- Blogerzy piszą, że najniższa stawka za Dunstana to cztery do sześciu milionów dolarów, bo najwyraźniej fakt, że pojawiają się na rynku tak rzadko, napędza popyt. W ostatnich

wejściach natknąłem się nawet na sumę dziesięciu milionów. Chyba naprawdę wrze.

- To świetna wiadomość dla rynku sztuki - zauważył Faroe.

- Ale według jednego ze źródeł, zła dla rządu - odparł Lane.

- Tak? Z doświadczenia wiem, że rząd zawsze dostaje swoją działkę z aukcji.

- Chodzi o podatki - wyjaśnił Lane.

- Mówimy o Crawfordzie?

- Tak, ale podobno chciałeś rozmawiać o Dunstanie?

- A masz coś jeszcze na temat Dunstana?

- Tylko wtórne źródła, które cytują pierwotne, i tak dalej.

Na przykład...

- Nie dręcz ojca - ucięła Grace. - On może jest w nastroju, ale ja nie. Nie mam czasu na wysłuchiwanie bzdur.

Lane chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Faktycznie, trochę się z ojcem droczył, ale tylko dla żartu, po przyjacielsku.

- Jakies dwa lata temu - Lane stworzył nowy dokument na komputerze - przyskrzynili menadżera firmy Crawforda. Chodziło o bezprawne wykorzystywanie ulg podatkowych. Facet wyszedł za kaucją i nawiał do Paragwaju razem z dwiema tancerkami z nocnych klubów i kupą kasy. Okazało się, że niektóre transakcje, jakie przeprowadził dla Crawforda, są podejrzane. W każdym razie jeśli chodzi o straty w zeznaniach podatkowych.

- Do... - zaczął Faroe.

- ...rzeczy - dokończył Lane. - Crawford wisi urzędowi skarbowemu ponad sto milionów dolarów podatku i odsetek. Jeszcze walczy, ale dwa odwołania już przegrał. Trzecia sprawa jest w toku.

Faroe zagwizdał z uznaniem, co dla Lane'a było wystarczającą nagrodą.

- Tak naprawdę niewiele z tego rozumiem - ciągnął Lane.
- Ale jedna z dziewczyn z mojej brygady wie co nieco o interesach. Powiedziała, że podatków najprościej unikać, oddając pierdoły na cele dobroczynne.

- Pierdoły? - spytał Faroe.

- No wiesz. Dzieła sztuki, biżuterię, nieruchomości i takie tam. Można je przekazać na cele dobroczynne albo na rzecz państwa.

- Albo do muzeum - podsumował Faroe. - Dobra robota, Lane. Chłopak się uśmiechnął.

- Przekazanie darowizny opłaca się zwłaszcza wtedy, jeżeli można zawyżyć jej wartość. - Grace odwróciła się od komputera, nie budząc małej Annalise. - Dzięki temu nie ponosisz pełni kosztów, ale odpisujesz pełną wartość. Albo ustala się fikcyjną cenę sprzedaży, a kupiec płaci tylko jej część, pod stołem, oczywiście. Wystarczy dobrze ruszać głową.

- A ceny najbardziej rosną w aukcyjnej gorączce - zauważył Faroe. - Zwyczajnie podbijanie stawki też działa.

- Czy Crawford ma jakieś inne dzieła sztuki? - spytała Lane'a Grace. - Czy tylko prace artystów Zachodu?

- Podobno ma bardzo cennego Picassa lub dwa, jakieś Warhole i wielki obraz tego faceta od chlapania.

- Jacksona Pollocka? - zgadła Grace.

- Tak - przytaknął Lane.

- Dlaczego nie sprzeda albo nie podaruje tych? - spytała Grace. - Sztuka nowoczesna cały czas stoi wysoko. Nie trzeba sztucznie windować cen.

- To prawda - przyznał Lane. - Uwierzycie, że obraz chłopaka całującego dziewczynę kosztował ponad dwieście milionów dolarów?

- Zależy kto go namalował - powiedział Faroe.
- Jakiś gość o nazwisku Klimt.
- W takim razie, spaszuję. - Faroe spojrział na Grace. -
Lubię, kiedy kobieta przypomina kobietę.

Grace uśmiechnęła się, widząc ogień w oczach męża. Gdyby w pokoju nie było Lane'a, pocałowałyby męża tak, jak oboje uwielbiali.

- Lane poruszył ciekawą kwestię - zauważyła. - Po co zadawać sobie trud z podbijaniem cen stosunkowo mało popularnej sztuki, skoro ma się znane dzieło, które można oddać bez większych ceregieli?

- Próżność - podpowiedział Faroe. - Pewnie nazwisko Crawforda znajdzie się na budynku muzeum. Warhol by do tego nie wystarczył.

- A może naprawdę podobają mu się te nowoczesne pier... rzeczy. - Lane spojrział na młodszą siostrę. - Dlatego chce je zatrzymać.

- A może bardziej znane dzieła są już obciążone - powiedziała Grace.

- Jak to? - spytał Lane.

- Poręczenia kredytów - odparła.

- Co?

- Wyobraź sobie, że bank to wysokiej klasy lombard - zaczęła wyjaśniać Grace. - Oddajesz obrazy pod zastaw, a oni udzielają ci kredytu. Wielcy bogacze często tak robią, kiedy brakuje im gotówki. Po cichu. Dyskretnie. Nikt nie wie, że obrazy są czasowo zajęte przez bank.

- Udzielają pożyczki na całą wartość? - spytał Faroe.

Bankowcy nie są głupi - powiedziała Grace. - Przy takim poręczeniu dostaje się najwyżej pięćdziesiąt procent wartości.

- To i tak kupa zer. - Faroe nachylił się do syna. - Czego ty i twoja brygada dowiedzieliście się o interesach Crawforda z ostatnich pięciu lat?

- Niewiele. Miałbym więcej, gdybyś pozwolił mi zhakować kilka prywatnych baz danych - odparł z przejęciem Lane.

- Daj mi to, co masz. Jeśli to nie wystarczy, pogadamy o włamywaniu się.

Grace przewróciła oczami.

- Najpierw ambasador Steele uświadamia Lane'a, że rzeczywistość różni się od świata kreowanego przez media. Teraz Joe Faroe uczy swojego syna, jak łamać etykę informatyczną. I co dalej? Mary zajmie się wychowaniem fizycznym i nauczy go, jak ustrzelić człowieka karabinem snajperskim z odległości ośmiuset metrów?

- Dobry pomysł - zażartował Faroe. - Umieszczę to w planie lekcji. Lane ukrył uśmiech i zaczął szukać informacji o interesach Talberta

Crawforda w dostępnych źródłach.

Jeżeli będzie się dobrze sprawował, przyjdzie pora i na źródła niedostępne.

Rozdział 66

Las Vegas 16 września, godzina 17.07

Zach spojrział na zatłoczony hol hotelu Golden Fleece. Główną atrakcją była ogromna sadzawka ze złotym piaskiem. Zebrani dookoła ludzie przyglądali się, jak poruszana automatycznie czapa owczego runa zbiera z powierzchni wody złoto. Taka metoda wydobywania złotego piasku była równie stara jak legenda o Jazonie i argonautach. Sądząc po wyglądzie runa, cykl zbierania właśnie dobiegał końca.

Od dnia otwarcia hotel pękał w szwach. Jedną z zalet pracy dla St. Kilda Consulting było to, że pokój udawało się dostać prawie wszędzie i o każdej porze, niezależnie od tego, czy chodziło o ciasny pokoik, czy luksusowy apartament. Zawsze pomógł ktoś znajomy.

Tym razem na końcu łańcuszka znajomości znalazł się Shane Tannahill, właściciel pałacu ze złotego szkła i czarnej stali, w którym się znajdowali. To właśnie nazwisko Tannahilla przekonało jednego z ludzi obsługujących aukcję, aby pozwolił specjalnym gościom właściciela przyjrzeć się obrazom przed oficjalną prezentacją nazajutrz.

Obrazom Thomasa Dunstana.

Nie była to nadzwyczajna prośba. Obrazy są po to, żeby je oglądać. To nieodłączna część każdej aukcji. Zach wolał jednak, by nikt im nie przeszkadzał, kiedy będą badać krawędzie malowideł.

Miał złe przeczucia w związku z tą operacją.

Tłumaczył sobie, że dodatkowe napięcie wynika z faktu, że klientka nie jest mu obojętna, ale sam w to nie wierzył.

Był pewien, że akcja zaczyna brać w łeb.

Czuł to.

Nie wiedział tylko dlaczego, jak i przez kogo.

Telefon od Faroe'a tylko pogorszył sprawę. Od kiedy Zach dowiedział się, że gra idzie o miliony dolarów, a za sznurki

pociąga ktoś tak ustosunkowany we władzach, jak Tal Crawford, stał się jeszcze bardziej niespokojny. Kiedy w grę wchodziły wielkie sumy, ludzie głupieją.

- Jaki jest układ pokoju? - spytała Jill, kiedy czekali w holu.

- Dwie sypialnie połączone drzwiami. - Ale nam wystarczy jedno łóżko. Chyba że narobimy dużego bałaganu i będziemy się musieli przenieść na drugie.

Był zły na siebie, że myśli rozporkiem zamiast głową.

- Domyślam się, że drzwi zostawimy otwarte? - powiedziała.

- Jasne. - Spojrzał na zegarek. - Mam nadzieję, że facet od aukcji zaraz się zjawi. Jestem za stary, żeby cały czas żywić się fast foodem. Cukier, sól i tłuszcz to nie jedzenie, nawet jeśli reklamy mówią co innego.

Jill otworzyła katalog aukcji i ponownie go przejrzała. Podobnie jak Zach, miała nadzieję, że wkrótce zobaczą obrazy. Ciągłe jej się wydawało, że śni.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptała. - Od pięciu do ośmiu milionów dolarów. Za każdy.

- Pamiętaj, co powiedział Frost. W kręgach znawców mówi się o dziesięciu milionach za większe. Od sztuki.

- Czy to normalne? - spytała.

- Co?

- Że według plotek cena niektórych obrazów jest wyższa od tej podanej w katalogu.

- To się nazywa podniecenie. Im większe, tym lepiej. Katalog podaje tylko przewidywany wynik licytacji. - Zachowi zaburzało w żołądku. Żywiąc się jedzeniem z kiosków z prasą i barów szybkiej obsługi, można się było zagłodzić.

- Słyszałeś tamtych dwoje z tyłu. - Jill wskazała recepcję, przy której stała kolejka gości czekających na zakwaterowanie

w kompleksie hotelowym z najbardziej luksusowym kasynem i sklepami w Las Vegas. - Mówili o dziesięciu milionach dolarów za Dunstana, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

- W sprzyjających okolicznościach licytujący mogą przebić spodziewaną górną granicę cenową - rzekł Zach.

- Czy obecne okoliczności są sprzyjające?

- Trudno powiedzieć. - Zmarszczył brwi na wspomnienie rozmowy, którą podsłuchał, kiedy czekali w kolejce do rejestracji. Wielu ludzi przyjechało tu na aukcję, a nie do kasyna. - Ale masz rację. Prawie wszyscy mówią o dziesięciu milionach za Dunstana. Zastanawiam się...

- Nad czym?

Zach obserwował ludzi tłoczących się w holu. Ochroniarze w cywilu byli dobrze ubrani i bardzo dyskretni. Goście, którzy nie wiedzieli, że w hotelach w Vegas zawsze kręcą się uzbrojeni strażnicy, nie zwracali na nich najmniejszej uwagi. Mężczyźni mieli w uszach bezprzewodowe słuchawki, które wyglądały jak część standardowego wyposażenia telefonu komórkowego.

Pełnych nadziei kupców od pełnych nadziei sprzedawców nietrudno było odróżnić. Sprzedawcy nie ściskali kurczowo pomiętych katalogów. Obie grupy były jednak tak samo podniecone możliwością uczestniczenia w historycznym dla świata sztuki wydarzeniu, jakim była zbliżająca się aukcja.

Zach podrapał się po karku.

- Co się stało? - spytała szeptem Jill.

- Zastanawiam się, na ile aukcja jest ustawiona.

- To kolejny temat, którego zabrakło w mojej artystycznej edukacji - zauważyła drwiąco Jill.

- Jaki?

- Ustawianie aukcji.

- Każdą aukcję można ustawić - powiedział Zach, przypominając sobie rozmowę z Faroe'em na temat odkryć Lane'a. - Najlepszym sposobem jest ustawianie dolnego progu.

- To znaczy?

- Prowadzący aukcję i właściciel obrazów umawiają się, że żadne dzieło należące do tego właściciela nie będzie sprzedane poniżej, powiedzmy, pięciu milionów. Albo kupiec i prowadzący aukcję ustalają cenę minimalną osobno dla każdego dzieła. Zwykle wysokość progu podaje się do publicznej wiadomości, tak że zna go każdy. Jeżeli nie zostanie przekroczony, obraz czy inne dzieło są wycofywane z aukcji. To całkowicie legalne.

- A jeśli próg jest ukryty? - spytała Jill.

- To nielegalne - odparł Zach. - Do podbijania ceny wykorzystuje się podstawionych licytantów, fałszywe oferty złożone drogą telefoniczną albo umówionych „nabywców” dzieł, którzy po tym, jak informacja o ustawionym rekordzie cenowym pojawi się już na pierwszych stronach gazet, po prostu nie odbierają zakupu. Każdy z tych sposobów jest równie dobry, aby zapewnić przekroczenie progu. Czasem wykorzystuje się je wszystkie naraz, a czasem stosuje jeszcze inne sposoby.

Jill zmarszczyła brwi.

- Rozumiem, dlaczego wysoka cena interesuje sprzedającego. Ale po co cenę podbija kupujący?

- Ulgi podatkowe. Im wyższa cena sprzedaży, tym większa ulga przy darowiźnie dzieła. Jeśli w przekręcie bierze udział większa liczba osób, wspólnie odpalają sprzedawcy działkę, aby mógł zapłacić podatek od zysku, którego tak naprawdę nie osiągnął, i jeszcze coś na tym zarobić. Zdarza się też, że sprzedawca przekazuje darowiznę wybranych

obrazów o zawyżonej cenie, dzięki czemu uzyskuje zwolnienie z podatku od dzieł, które naprawdę sprzedał.

- Rozboliła mnie głowa - powiedziała Jill. Wzruszył ramionami.

- To tylko czubek góry lodowej. Kiedy w sekcji informacyjnej St. Kildy będą mieli trochę luzu, sprawdzą, ile pieniędzy obecni właściciele Dunstanów faktycznie zapłacili za obrazy. Założę się, że co najmniej jeden z nich nie zapłacił za swój obraz nawet jednej dziesiątej sumy, na jaką wycenia się pojedyncze płótno Dunstana na zbliżającej się aukcji. Reszta to atmosfera i aukcyjna gorączka. Ceny, zwłaszcza na aukcji, można podbijać na wiele sposobów.

- To normalne? - spytała.

- Niezupełnie. Jednak wystarczająco częste, aby się z tym liczyć przy każdej aukcji. Jedno uniesienie numerka albo brwi i ręce zmieniają miliony dolarów. Sprytny właściciel domu aukcyjnego albo profesjonalny prowadzący znają mnóstwo przydatnych sztuczek. Czasem ustawione są nie cała aukcja, a tylko niektóre licytacje. Ciężko to udowodnić, a wszystko przekłada się na końcowy wynik.

- Jeśli wszystko zostało ukartowane, pojawienie się dwunastu nowych Dunstanów byłoby dla wielu przykrą niespodzianką.

- Jak wizyta lisa w kurniku. - Zach uśmiechnął się słabo.

Zbliżał się do nich młody mężczyzna w drogim garniturze i ze zboląłą miną.

- Zaczynamy - szepnął Zach. - Pamiętaj, reprezentujemy potencjalnego uczestnika aukcji, to wszystko. Nazywamy się Arlington.

- Następna maskarada. Świetnie.

- Chcesz poczekać w apartamencie? Poradzę sobie.

- Myślałam, że nie chcesz, żebym została sama.

- Nie będziesz sama - zapewnił Zach, obserwując tłum. - St. Kilda ma w mieście agentów, więc jeżeli ktoś szepnie ci do ucha hasło „St. Kilda” albo „Faroe”, rób wszystko, co każe, nawet jeżeli będziesz musiała staranować drzwi albo paść plackiem na ziemię.

Jill wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić.

- Wezmę udział w twoich kłamstwach.

- To pretekst, nie kłamstwo. Mówiąc tak, ranisz moje uczucia. Kiedy młody mężczyzna się przed nimi zatrzymał, śmiech Jill zamienił się w kaszel.

- Pan Arlington? Jestem Jase Wheeler. Jak się pan zapewne domyśla, nie mam zbyt wiele czasu. - Uśmiechnął się przeproszająco. - Jak już pana poinformowano, obrazy właściwie nie są przygotowane do oglądania ...

- Nie ma sprawy - uciał Zach, uśmiechając się bez troski. - Spędzamy sporo czasu w pracowniach artystycznych. Więszego bałaganu nie ma chyba nigdzie.

- Naprawdę myślę - Jase ponowił próbę - że lepiej będzie, jeśli obejrzy pan obrazy jutro, kiedy przeniesiemy je do sali balowej.

- Nie będzie nas tu jutro, o ile nie spodoba nam się to, co zobaczymy dzisiaj, bo nasz klient nie weźmie udziału w aukcji - wyjaśnił Zach, uśmiechając się promiennie.

- Rozumiem. - Jase poprawił marynarkę. - Państwa klient jest szczególnie zainteresowany Dunstanami, zgadza się?

- Tak - powiedziała Jill. Uśmiechała się równie szeroko jak Zach. Miała serdecznie dość tego, że sprzedawcy nie zwracają na nią uwagi, kiedy jest z nim.

- Mam nadzieję, że pana klient ma dużo pieniędzy - zwrócił się Jase do Zacha. - Dunstany cieszą się wyjątkowym zainteresowaniem.

- Dla naszego klienta pieniądze nie grają roli - rzuciła Jill. - Zależy mu tylko na tym, by zdobyć to, co chce.

- A chce Dunstanów, ale tylko pod warunkiem, że są najwyższej jakości - dokończył Zach.

- Nie przypominam sobie, że bym widział państwa formularz zgłoszeniowy - powiedział Jase.

- Nie będzie potrzeby składania formularza, o ile nie spodoba nam się to, co dzisiaj zobaczymy - odparł łagodnie Zach. - A może prace zobaczyć można dopiero po finansowej weryfikacji?

- Och, oczywiście, że nie. Zach czekał.

Jase najwyraźniej dał za wygraną. Poprowadził ich długim, wąskim korytarzem do sali konferencyjnej, w której stały dziesiątki sztalug z obrazami.

- W tej chwili na sali mamy tylko dwa Dunstany - poinformował. - Pozostałe nie zostały jeszcze rozpakowane.

- Przy odrobinie szczęścia, zadowolimy się tym, co już pan wystawił - oznajmiła chłodno Jill. - W przeciwnym razie będzie pan musiał przyspieszyć rozpakowywanie pozostałych dwóch.

Jase zeszywniał, ale nie odezwał się słowem.

Rozdział 67

Las Vegas 16 września, godzina 17.13

Na wielkich, solidnych sztalugach z przodu sali stały w połączonych ramach dwa obrazy Thomasa Dunstana.

Zach zatrzymał się w odległości kilku metrów od płócien i przez jakieś dwie minuty uważnie się im przyglądał. Pierwsze przedstawiało pejzaż Wielkiej Kotliny. Bił od niego blask uchwyconego na wieczność magicznego zachodu słońca. Drugie malowidło było bardziej wyraziste - przedstawiało zamieć śnieżną szalejącą nad wyschniętym dnem jeziora, które mogło znajdować się w Nevadzie albo w górach wschodniej Kalifornii.

- Wspaniałe, prawda? - zagadnął Jase. - Nikt tak jak Dunstan nie potrafi uchwycić światła o zmierzchu.

Jill wydała zniecierpliwiony pomruk, który mówił, że jest zbyt zajęta podziwianiem obrazów, aby marnować czas na stwierdzanie rzeczy oczywistych.

Zach podszedł do płócien i przyjrzał się im z bliska, ostentacyjnie nachylając się do rogów i krawędzi. Potem odwrócił się do Jase'a.

- Wydaje mi się, że rogi mogą być uszkodzone - stwierdził. Jill zrozumiała wskazówkę, podeszła bliżej i spojrzała na ramy.

- Nie sądzę - odparł Jase. - To są jedne z najlepszych prac Dunstana. Pochodzą z kolekcji rodziny artysty. Nigdy wcześniej nie były wystawiane na sprzedaż.

- Tak? - Ton głosu Zacha wskazywał, że słowa Jase'a go nie przekonują. - Dunstanowie wyprzedają swoje dziedzictwo? Czy tylko modyfikują rodzinną kolekcję?

Jill stłumiła uśmiech. W artystycznym żargonie „modyfikacja” oznaczała, że muzeum albo prywatny kolekcjoner pozbywał się ze swoich zbiorów ostatnich dzieł.

- Ależ skąd - odpowiedział szybko Jase. - Po prostu na pewnym etapie życia niektórzy dochodzą do wniosku, że dzieła takie jak te są zbyt cenne, by trzymać je w domu. Koszty samego ubezpieczenia są horrendalne. Lee Dunstan jest prostym człowiekiem o skromnych potrzebach.

- Mówimy o co najmniej czterech milionach za każde płótno. Takie pieniądze wystarczą na więcej niż skromne życie - zauważyła Jill.

Jase ją zignorował.

- Lee pragnie, by dzieła ojca znalazły się w miejscu, gdzie będą odpowiednio eksponowane i właściwie chronione. Takim miejscem jest nowe muzeum w Carson City. Lee zamierza podarować dwa obrazy. To właśnie te, które nie zostały rozpakowane. Formalnie nie biorą udziału w aukcji.

- Nie będą sprzedane? - spytała Jill.

- Nie. Jak już powiedziałem, pan Dunstan podaruje je pod koniec aukcji.

- A na co czeka? - spytała Jill.

Jase uparcie ją ignorował, cały czas zwracając się do Zacha.

- Pana klient zapewne wie, że cztery miliony to cena wywoławcza. Spodziewamy się, że obrazy pójdą za dziesięć milionów, może więcej. Osobisty udział w aukcji weźmie Talbert Crawford. To najważniejszy kolekcjoner dzieł Thomasa Dunstana, chociaż co najmniej dwóch innych ma nadzieję go przebić. Prace Dunstana są bardzo rzadko oferowane na aukcjach.

- Czy Crawford musiał wypełnić oświadczenie o wypłacalności? - spytała Jill.

- Oczywiście - odpowiedział Jase. - To obowiązek każdego licytanta. Bez wyjątku.

- Jeżeli będziemy zainteresowani, osobisty doradca bankowy mojego klienta skontaktuje się z panem jutro rano -

poinformował Zach od niechcienia. - Odpowie na wszystkie pana pytania.

- Jakie dzieła posiada już pański klient? - spytał Jase.

- Wszystkie, które chciał mieć. Na rynku sztuki Zachodu jest nowy. Mierzy wysoko. Chce sobie oszczędzić niepotrzebnego bicia piany.

Jase zamrugął.

- Cóż, największe dzieła Dunstana z pewnością będą wspaniałym początkiem.

- Zależy, jakie dzieła - przypomniał Zach. - Zanim doradzę klientowi udział w aukcji, chcę obejrzeć płótna pod ultrafioletem. Czy jest miejsce, gdzie mógłbym to zrobić?

- Oczywiście - odparł Jase. Każdy poważny kolekcjoner badał w ten sposób drogie obrazy przed podjęciem decyzji o licytacji. Zach wiedział, że jego drobiazgowość utwierdzi Jase'a w przekonaniu, że klient Arlingtonów ma poważne zamiary. - Zaraz poproszę, żeby obrazy przeniesiono do magazynu.

- Bez ram - polecił Zach. Jill wstrzymała oddech.

- Mój klient nigdy nie kupuje obrazu, którego nie obejrzę bez ram - dodał spokojnie. - To tak jakby żenić się z kobietą, której nie widziało się bez makijażu i drogich ciuchów.

Jase niemal się uśmiechnął. Potencjalni nabywcy często oglądali nagie obrazy, zwłaszcza jeżeli niepokoił się o stan płótna lub blejtramu. Rama potrafiła skutecznie ukryć lub zminimalizować defekty.

Jase pstryknął palcami i do sztalug podbiegło dwóch młodych mężczyzn. Pod czujnym okiem szefa wyjęli płótna z ram i czekali na dalsze polecenia.

- Proszę za mną - powiedział Jase.

Zach i Jill ruszyli za mężczyznami, którzy nieśli płótna. Korytarzem przeszli do wąskiego pomieszczenia, w którym rozpakowywano i czyszczono obrazy, naprawiano drobne

uszkodzenia, a nawet, jeśli zaszła taka potrzeba, oprawiano malowidła w nowe ramy. Podobnie jak w handlu nieruchomościami i samochodami, przy sprzedaży dzieł sztuki decydującą rolę grał wygląd.

Jeżeli coś wyglądało nędznie, sprzedawało się za nędzne pieniądze.

Na składanym krześle tuż za drzwiami siedział uzbrojony strażnik. Skinął głową Jase'owi, na nikogo innego nie zwracając uwagi.

W całym pomieszczeniu porozstawiane były sztalugi. Dwoje ludzi oglądało kilka nieoprawionych obrazów. Kobieta używała podręcznej lampy ultrafioletowej. Kiedy ją odłożyła i wyszła, Jase podał urządzenie Zachowi.

- Przepraszam za polowe warunki - powiedział.

- Jak mówiłem, spędzamy sporo czasu w podobnych miejscach. Jase skinął na mężczyzn trzymających obrazy. Umieścili płótna na

pustych sztalugach i stanęli obok, na wypadek, gdyby byli potrzebni.

- Niech ktoś zamknie drzwi albo zgasi światło na korytarzu - polecił Zach.

Jeden z pomocników doskoczył do wyłącznika na ścianie za strażnikiem. W pomieszczeniu zapanowała ciemność.

Zach włączył lampę i przesunął nią nad płótnem.

Na pierwszy rzut oka powierzchnia była jednolita i spójna, jakby cała farba została nałożona w jednym czasie.

- Jeszcze raz - powiedziała Jill.

Zach ponownie oświetlił płótno ultrafioletem. Razem z Jill skupili się na kilku miejscach, w których artysta wydobył kształty dzięki dodatkowej warstwie farby. Gdzieś na obrazie plamy błękitu, zieleni i czerni zachodziły na siebie, nadając pejzażowi nasyconą, dramatyczną barwę.

- Wygląda na czysty - stwierdziła Jill. - Nie ma różnicy w stylu, tylko w fakturze.

- Podpis typowy, wymalowany na skończonym obrazie - zauważył Zach.

- Kiedy malarz ma już dość pogoni za ideałem i jest gotowy podjąć nowe wyzwanie - powiedziała łagodnie.

- Znasz to z autopsji? - spytał Zach.

- Zawsze się tak czułam, kiedy brałam do ręki pędzel.

Zach uśmiechnął się i zbadał górę oraz boczne krawędzie obrazów. Płótno w rogach było przetarte i lekko poluzowane na blejtramie. Nic niezwykłego, normalny proces starzenia, który zaczynał się w chwili, gdy malarz kończy dzieło.

- Proszę odwrócić obrazy, żebym mógł sprawdzić dolną krawędź — odezwał się Zach.

Mężczyźni stojący obok sztalug wykonali polecenie.

Zach powoli przesunął strumieniem ultrafioletu po dolnej krawędzi każdego z płócien. Raz. Drugi. Trzeci. Spojrzał na Jill. Odcisków kciuka nie było.

Rozdział 68

Las Vegas 16 września, godzina 17.19

Zach ostrożnie przesunął palcami po dolnej krawędzi obrazu. Jill wciągnęła powietrze, wypuściła je i ponownie nabrała go w płuca, wachając dolną krawędź drugiego płótna.

- Ultrafiolet - powiedziała.

Zach podał jej lampę. Skierowała strumień światła pod kątem.

- Widzisz? - spytała.

- Dodana po wyschnięciu płótna - stwierdził Zach.

- Dużo później. Jeszcze czuć farbę. Nowoczesną, szybko schnącą, z dodatkiem szybko schnącego szczeliwa.

Malarska poprawka zwracała uwagę jak strup na gładkiej skórze. Jase pochylił się nad obrazem.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że płótno było niedawno restaurowane. Ale to bez znaczenia.

- Naprawdę? - spytała sceptycznie Jill.

- Prawdopodobnie obraz oprawiono, zanim zdążył dobrze wyschnąć - wyjaśnił Jase. - Rama została niedawno zdjęta, żeby poprawić naciąg płótna, i widocznie zeszło z nią trochę farby. Stąd poprawka. Zapewniam państwa, że nie ma to znaczenia dla wartości obrazu. Bez ultrafioletu nawet by państwo tego nie zauważyli. Kiedy płótno znajdzie się z powrotem w ramie, poprawka będzie niewidoczna.

- Zastanawiam się, czy obraz nie został przypadkiem uszkodzony - stwierdził Zach. - To wpłynęłoby na cenę.

- Owszem. Ale w dokumentach od Lee Dunstana nie ma wzmianki na temat uszkodzenia - odparł Jase.

Zach wzruszył ramionami.

- Czy mógłbym sfotografować poprawkę dla mojego klienta?

- Sfotografować?

Zach wyjął aparat cyfrowy.

- Żadnych zdjęć - powiedział natychmiast Jase. - Wszelkie prawa do reprodukcji dzieła stanowią własność spadkobierców artysty.

- Nie sfotografuję samego obrazu - wyjaśnił Zach. - Tylko tę część, która na aukcji będzie ukryta pod ramą.

Jase zawahał się i spojrzął na zegarek.

- Proszę się pośpieszyć. Za dwie minuty mam kolejne spotkanie. Zach pochylił się nad płótnem i zrobił zdjęcia poprawki w różnym

świetle.

Przymocowany na pasku Jase'a pager zabrzączał. Jase spojrzął na kod i zmarszczył brwi.

- Trafimy do wyjścia - uspokoiła go Jill. - Nie chcemy pana zatrzymywać.

- Jeżeli będą państwo chcieli odwrócić obrazy, zrobi to mój pomocnik - powiedział Jase. - To kwestia warunków ubezpieczenia. Ekspонатów nie wolno dotykać.

- Oczywiście - potaknęła Jill. - Dziękujemy, że poświęcił nam pan czas. Zapewniam, że nasz klient będzie bardzo zainteresowany tymi obrazami. A chyba nic lepiej nie podgrzeje atmosfery na aukcji niż nowy, bajecznie bogaty kolekcjoner?

Dobrze wiedziała, że to marzenie każdego organizatora aukcji.

- Mile widziani są wszyscy zakwalifikowani uczestnicy. - Jase się uśmiechnął. - Wybaczą państwo... - Pośpiesznie wyszedł z pokoju. Zach podszedł do drugiego płótna. Ultrafioletowe światło padło mu na twarz. W szkarłatnej poświacie jego uśmiech nabrał demonicznego wyrazu. Jill chciała coś powiedzieć, ale szybko się nachylił się i ją pocałował.

- Ani słowa o odciskach - wyszeptał jej do ucha.

Podobnie jak pierwszy obraz, ten najwyraźniej także został oprawiony, zanim farba wyschła, bo przy dolnej krawędzi również znajdowały się identyczne poprawki.

Jill pochyliła się, głęboko wciągnęła powietrze.

- Jak pierwszy.

- Tak. Założę się, że z tego samego powodu - stwierdził Zach.

- Nie ma sensu się zakładać. - Skrzywiła się, kiedy błysnął flesz aparatu.

- Nawet w Vegas?

- Zwłaszcza w Vegas.

- Mądra kobieta.

- Zapamiętaj to sobie.

- Masz to jak w banku - obiecał.

Gdy Zach skończył robić zdjęcia płótna, podziękowali pomocnikom i wyszli z pokoju.

- Skąd wiedzieli, że... - odezwała się Jill do Zacha, kiedy miała pewność, że nikt ich nie słyszy.

Przerwał jej w pół zdania namiętym pocałunkiem.

- Ale kiedy...? - zaczęła, gdy tylko oderwał wargi od jej ust.

- Dopiero jak będziemy pod prysznicem. Nadzy.

Rozdział 69

Las Vegas 16 września, godzina 18.05

Lee Dunstan zachwiał się lekko i przytrzymał ręką pluszowej kanapy.

Głowa już nie ta co kiedyś, pomyślał.

Mimo wszystko chciał jeszcze whisky.

Kiedy po nią poszedł, zobaczył, że Betty wylewa resztę zawartości butelki do umywalki.

Z dzikim wrzaskiem rzucił się na nią i pchnął razem z pustą butelką na kabinę prysznicową. Grube szkło kabiny zadźwięczało, zadrżało, ale wytrzymało. Butelka rozbiła się w drobny mak.

Betty osunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach.

Lee odwrócił się i poszedł do hotelowego telefonu, żeby zamówić kolejną butelkę. Nie zdążył podnieść słuchawki, bo telefon zadzwonił.

- Czego? - warknął do słuchawki.

- Ee, pan Dunstan?

- A kto mówi, do diabła?

- Jase Wheeler, w sprawie aukcji. Chciałem panu przekazać doskonałą wiadomość.

Lee wziął głęboki wdech. Pokój wirował mu przed oczami. Jeszcze raz zaczerpnął powietrza. Obraz się uspokoił. Prawie.

- Słucham.

- Pana obrazy oglądali dziś doradcy nieznanego, bardzo bogatego uczestnika aukcji. Badali je bardzo dokładnie. Sugerowali nawet, że obraz mógł być uszkodzony, bo na dolnej krawędzi płótna są ślady poprawek, ale...

- Krawędzi? Krawędzi! Przecież obrazy są oprawione! - krzyknął Lee.

- Oczywiście. Wyjeliśmy je z ram. Często się zdarza, że potencjalny klient chce...

- Jedyne klient, który się liczy, to Tal Crawford - uciał Lee. - A on już widział wszystko, co chciał zobaczyć. Co to za brednie?

W tle słycać było brzęk szkła, które Betty sprzątała po mężu.

- Chyba zadzwoniłem nie w porę - powiedział gładko Jase. - Najmocniej przepraszam. Pomyślałem, że ucieszy pana wiadomość, iż pańskie obrazy naprawdę mają szansę osiągnąć najwyższe prognozowane stawki. Gdybym mógł panu jakoś pomóc, odpowiedzieć na dodatkowe pytania, proszę śmiało do mnie dzwonić.

Lee spojrział na głuchą słuchawkę i cisnął ją na widełki tak mocno, że zabolęła go ręka.

Klnąc, wybrał numer komórkowy Tala Crawforda.

- Tal, stary, mamy problem - rzucił ochryple do słuchawki.

Rozdział 70

Las Vegas 16 września, godzina 19.30

Podobnie jak Zach, Jill była wykąpana i miała na sobie nowy komplet ciuchów. Czuła się jak świeżo oskrobane warzywo. Nie mieli przy sobie podsłuchów, chyba że były tak małe, iż trzeba by ich poszukać pod mikroskopem.

Zostawili wszystko w apartamencie, który miał sprawdzić jeden z członków ochrony hotelowej. Nowe ciuchy i elektroniczna rewizja były prezentem od Shane'a Tannahilla, który nie znosił podsłuchów, o ile nie stanowiły wyposażenia ochrony jego kasyna.

- Jesteś głodna? - Zach bezwiednie masował kark Jill, siedząc przy niej na pluszowej kanapie w luksusowej restauracji.

Golden Fleece posiadało jedną pięciogwiazdkową i trzy czterogwiazdkowe restauracje. Niebiańska uczta. A dzisiejszą kolację stawiała St. Kilda.

Wszystko musiało być najwyższej jakości.

- Zjadłabym coś. - Jill zerknęła na niego kątem oka. - Czy jesteś w menu?

- Ty jesteś. - Uśmiechnął się. - W dziale „desery”. Odwzajemniła uśmiech, starając się nie myśleć o tym, jak zabawiali

się pod prysznicem. Kiedy Zach był w nastroju do igraszek, był niewiarygodny.

Przy ich stoliku zatrzymała się elegancka młoda kobieta.

- Witam, nazywam się Lia Maitland. Pan Tannahill prosił, żebym przekazała państwu wiadomość. Czy mogę się na chwilę przysiąść?

Jill wskazała dłonią wolne miejsce po przeciwnej stronie stołu. Ona z Zachem siedzieli obok siebie.

- Dziękuję. - Lia usiadła. - Państwa pokój był czysty - ciągnęła dyskretnym szeptem. - Ubrania były czyste. Torba i

plecak również. Zgodnie z podejrzeniami, nadajnik GPS i podsłuch znajdowały się w telefonie satelitarnym w saszetce.

Jill zamrugła. Kto to niby podejrzewał? Spojrzała na Zacha. Patrzył na Lię.

- Pluskwa stanowi prawdopodobnie część baterii telefonu satelitarnego. Proszono nas jedynie o sprawdzenie, a nie zlikwidowanie problemu, więc telefon pozostał nietknięty. GPS nadaje na częstotliwości, którą odbierać może każdy. Podsłuch jest aktywowany dźwiękiem. Chcieliśmy dotrzeć do źródła, ale jest chronione. Możemy obejść zabezpieczenia, ale potrzeba na to trochę czasu. Jeżeli nam się nie uda zidentyfikować źródła, na pewno poradzi sobie z tym Shane Tannahill.

- Nie ma potrzeby - oznajmił Zach. - Zajmiemy się tym. Lia skinęła głową.

- Czy mają państwo jeszcze jakieś życzenia?

- Byłbym wdzięczny, gdyby mogła pani przekazać te informacje do St. Kilda Consulting, tym samym szyfrowanym kanałem, którym oni skontaktowali się z panią - powiedział Zach.

- Oczywiście.

- I proszę podziękować od nas panu Tannahillowi - dodała Jill. Lia skinęła głową, wstała od stołu i zniknęła.

- Podejrzewałeś, że w moim telefonie jest pluskwa? - spytała szeptem Jill.

- Podejrzewałem, zanim zobaczyliśmy zamalowane odciski kciuka. - Zach pochylił się do niej. - Później już byłem pewien.

- Jak do tego doszedłeś?

- Na planach lotów widnieje tylko nazwa lotniska, a jednak ktoś wytropił nas u Frosta.

- A wspominaliśmy o Froście, lecąc do Taos?

- Nie. Ja rozmyślałem, a ty byłaś wściekła. Prawie nie rozmawialiśmy.

- A jednak ktoś dowiedział się o odciskach i zdażył je zamalować na rodzinnych obrazach Dunstana.

Zach skinął głową.

- Mnie mogliby założyć podsłuch, tylko gdyby wiedzieli, że zostanę wyznaczony do tej operacji, a tego do ostatniej chwili nie wiedział nikt, nawet ty.

- Miałeś urlop.

- Tak. Ktoś mógł zdradzić St. Kildę i założyć mi podsłuch w telefonie, ale w to raczej wątpiłem. Faroe bardzo, bardzo uważa, kogo zatrudnia. A Steele jeszcze bardziej. Każdy, kto pracuje dla St. Kildy, jest dokładnie sprawdzany, tak aby nie było obaw, że tajemnice wyjdą na jaw. Poza tym, często przeprowadza się wyrywkowe kontrole.

- Więc doszedłeś do wniosku, że podsłuch jest u mnie.

- Tak, ale za cholerę nie wiedziałem, gdzie ani kiedy ci go założono. Prosto z nad rzeki przyjechałaś na ranczo, a później do Mesquite.

- Blanchard - powiedziała z goryczą. - Nie zabrałam telefonu do hotelu, został pod siedzeniem pasażera.

- Tak właśnie pomyślałem: że zostawiałaś telefon w łatwo dostępnym miejscu.

- I co teraz? - spytała Jill.

- Zjemy pierwszy przyzwoity posiłek, odkąd się poznaliśmy.

- Ale... - zaczęła.

- I omówimy sytuację.

Zach miał nadzieję, że wymyślą coś, żeby nie wystawiać Jill na linię ognia, choć szanse na to były niewielkie.

Tylko telefon satelitarny mógł ich zaprowadzić do tego, kto strzelał do Frosta.

Rozdział 71

Las Vegas 17 września, godzina 00.31

Ze snu wyrwał Zacha dźwięk telefonu satelitarnego. Chciał wstać, ale zorientował się, że dzwoni aparat Jill, nie jego. Włączył nocną lampkę i wyciągnął rękę, żeby ją obudzić.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- Odebrać? - spytała spokojnie.

Miał ochotę powiedzieć „nie”. Skinął głową.

Podniosła się z puchowych poduszek, które wyglądały jak stado śpiących łabędzi, i przeszła do pokoju obok.

Zach patrzył, jak otwiera drzwi, i nie mógł znieść myśli, że z każdym krokiem jest coraz bliżej niebezpieczeństwa.

Może to pomyłka.

Dobrze wiedział, że nie. Odgarnął poduszki i poszedł do Jill.

- Halo? - Przechyliła telefon tak, żeby Zach również mógł słyszeć.

- Panna Breck?

Głos brzmiał dziwnie. Zach domyślił się, że jest zniekształcony. Nie będzie mógł służyć za dowód w sprawie.

- Kto mówi? - spytała Jill.

- Jestem pośrednikiem w handlu dziełami sztuki. Reprezentuję prywatnego kolekcjonera, który chce pozostać anonimowy. Mój klient jest bardzo zainteresowany obrazami, które pani posiada. Czy jest pani sama?

Zach uniósł brwi.

- A co to ma wspólnego z moimi obrazami? - spytała Jill.

- Mój klient słyszał, że wynajęła pani niesławną agencję ochrony o nazwie St. Kilda Consulting. Jeśli to prawda, mój klient nie będzie mógł z panią negocjować.

- Chwileczkę. Czy ja dobrze zrozumiałam? Pana klientowi nie podoba się to, kto mnie reprezentuje, i dlatego nie będzie chciał ze mną negocjować?

- Wie pani, że agenci St. Kildy wywołali strzelaninę, w której zginęło kilka osób, a chroniony świadek rządowy o mało nie podzielił ich losu?

- Tak? - Jill spojrzała na Zacha. Wzruszył ramionami. Dawne dzieje.

- Główni bohaterowie tej sprawy to Grace Silva, skompromitowana sędzia federalna i Joe Faroe, podejrzany typ z kryminalną przeszłością.

Jill spojrzała na Zacha. Uśmiechał się kpiąco. Podeszedł do biurka i znalazł notatnik oraz długopis z logo hotelu.

- Nie wiedziałam - odparła powoli Jill. - Wygląda na to, że St. Kilda nie cieszy się najlepszą reputacją.

- St. Kilda Consulting jest bacznie obserwowana przez wszystkie rządowe agencje w Stanach Zjednoczonych. To korporacja najemników, prywatna firma wojskowa i jako taka musi być zarejestrowana w Departamencie Stanu z powodu wielu podejrzanych umów międzynarodowych.

Zach wrócił z hotelowym notatnikiem, w którym napisał „Cięgnij to”. Spojrzała na niego drwiąco. Dobrze wiedziała, co robić.

- Bardzo mnie pan zaniepokoił - powiedziała do telefonu.
- Myślałam, że St. Kilda to porządna firma.

- Przykro mi, że to ja przynoszę pani złe wieści - odparł gładko dzwoniący. - Dobra wiadomość jest taka, że możemy ubić interes, jednak tylko pod warunkiem, że zrezygnuje pani z usług St. Kildy. Mój klient nie chce mieć z tą organizacją nic wspólnego.

- To zrozumiałe - stwierdziła Jill, starając się nie roześmiać. - A skąd pański klient wie o obrazach?

- Na świecie jest wielu bogatych, anonimowych kolekcjonerów. Kiedy w grę wchodzi duże pieniądze, ze sztuką lepiej się nie obnosić. Wielu kolekcjonerów boi się rozgłosu, który mógłby zwrócić uwagę złodziei i oszustów. Dopóki zatrudnia pani St. Kildę, mój klient traktuje panią jak jedną z nich. Ci ludzie znani są z wykorzystywania szantażu.

- Szantażu?

- Tak.

- Jestem samotną kobietą, która znalazła się w nietypowej i dość niebezpiecznej sytuacji. Chociaż o nic nie prosiłam, dostałam pomoc. I... - Jill westchnęła. - Jestem zaniepokojona tym, co mi pan powiedział o St. Kildzie.

Tak trzymaj! Zach skinął głową, w milczeniu dodając Jill otuchy. Kłamstwa osadzaj na prawdzie. Wtedy są bardziej przekonujące.

- Więc są szanse na interes.

- A ile pański klient jest skłonny zapłacić za obrazy?

- Jeżeli obrazy są podobne do tego, który krążył po Salt Lake City...

- Są lepsze - wtrąciła Jill. - Większe. - Spojrzała na Zacha i się uśmiechnęła. - Nie da się ukryć, że rozmiar ma znaczenie.

Zach stłumił śmiech.

- Mogę pani zaoferować milion dolarów.

- Milion? - Prychnęła. - Chyba raczej dziesięć milionów? Nie wie pan, po ile w tej chwili sprzedają się Dunstany?

- Nie ma mowy. Pani obrazy nie są sygnowane i nikt, kto ma do tego prawo, nie potwierdzi ich autentyczności. W tej sytuacji milion to bardzo dobra oferta.

- A gdyby udało się mi potwierdzić autentyczność obrazów? - Jill nie dawała za wygraną.

- Rozumiem, że to pytanie za dziesięć milionów dolarów - głos w słuchawce stał się bardziej ostry. - Jedyнным dowodem pochodzenia obrazów jest pani niczym niepoparte

słowo, że znajdowały się w posiadaniu pani rodziny. Nawet jeśli znalazła pani, powiedzmy, odcisk palca zamiast podpisu, nie sposób udowodnić, że należał on do twórcy.

Zach pisał jak szalony.

- Tak? Przecież odciski palców są uznawane w... - zaczęła.

- Zanim obrazy wyschły, mogło ich dotknąć wielu ludzi. Przyjaciele, znajomi artyści, wielbiciele, nieostrożny ramiarz. Biorąc pod uwagę, że wartość dowodowa odcisków palców, podobnie jak próbek DNA, jest często kwestionowana w sprawach sądowych, byłaby pani nierozsądna, upierając się, że są to obrazy Dunstana. Chyba że stać panią na ciągnący się w nieskończoność proces...

Zach podsunął Jill notes.

- Trzy miliony dolarów - przeczytała szybko niewzruszonym głosem, ale z przerażeniem w oczach. - W gotówce. Tylko używane banknoty. Najmniejsze pięćdziesiątki, największe setki.

- Dwa miliony. Spojrzała na Zacha. Skinął głową.

- Dobrze - zgodziła się. - Dwa miliony.

- Gdzie są obrazy?

- W bezpiecznym miejscu - powiedziała szybko. - Nie musi się pan o nie martwić. Dwa razy o mało nie straciłam ich w pożarze. Nie zamierzam więcej ryzykować.

- Ma pani dostęp do obrazów czy przechowuje je St. Kilda? Spojrzała na Zacha. Wskazał na nią.

- Mam dostęp do obrazów.

- Niech pani wymówi współpracę St. Kildzie. I wymelduje się z hotelu. Proszę zabrać obrazy i skierować się z Las Vegas na północ. Być może będzie pani musiała jechać aż do Reno, więc proszę się przygotować. Ktoś skontaktuje się z panią po drodze i udzieli dalszych wskazówek.

- Mała zmiana planu - powiedziała Jill, nie patrząc na Zacha, który szybko coś pisał. - Nie zabiorę ze sobą obrazów.
- Więc się nie dogadamy.
- Proszę mi dać chwilę. Zach zaczął pisać szybciej.
- Zostawię obrazy w sejfie w hotelu w Las Vegas - przeczytała z kartki odwróconej do góry nogami. - Kwit na odbiór dam koleżance.

Zach odwrócił notes, żeby łatwiej jej było czytać.

- Koleżanka będzie czekać na mój telefon - czytała szybko Jill. - Kiedy dostanę pieniądze, wsiądę do samochodu i skontaktuję się z nią. Będzie czekała na pana ludzi przy recepcji w hotelu. Przekaze im kwit i powie, gdzie znajdują obrazy.

- Chyba ogląda pani za dużo telewizji - odparł mężczyzna.

- Słuchaj, chłopie - rzuciła ostro Jill. - Bezpieczne interesy nauczyłam się robić, sprzedając pigułki gwałtu napalonym studenciakom. Dużo czasu spędziłam na rzece, ale to nie znaczy, że nie wiem nic o życiu w mieście.

Zaległa długa cisza, po której rozległ się śmiech.

- Jest pani w stanie zorganizować wszystko do jutra rana? Spojrzała na Zacha.

Skinął głową.

- Tak - potwierdziła. - Jak się umawiamy?

Zach pokazał jej na migi, żeby postarała się przeciągać rozmowę najdłużej jak się da.

- Zadzwoń.

- O której mam wyruszyć na północ?

- W sam raz, aby przed zachodem słońca dojechać do granicy z Idaho, wliczając w to czas na postoje i tym podobne.

Zach skinął głową.

- Dobrze - oznajmiła Jill. - Wyjadę rano.

- Niech pani zabierze ze sobą połowę obrazów, albo nici z interesu.

- Ale...

- Żadnego „ale” - uciął mężczyzna. - Ma się pani pozbyć ludzi St. Kildy i przez cały czas mieć przy sobie telefon, przez który teraz rozmawiamy. Nie zadzwonię ani nie odbiorę rozmowy z innego numeru. Nie ma telefonu, nie ma interesu. Nie ma sześciu obrazów, nie ma interesu. Przyjedzie pani z kimś, nie ma interesu. Jasne?

Zach uśmiechał się słabo.

- Jasne. Kiedy pan zadzwoni?

- Dowie się pani jako druga, kiedy będzie jechała autostradą numer 93 na północ od Las Vegas, jutro po południu. Niech się pani przygotuje, że nie zostanie na dziewięćdziesiątce. Proszę zabezpieczyć pełen bak paliwa.

Rozmówca się rozłączył.

Jill włączyła identyfikację numeru. Zastrzeżony.

A to ci niespodzianka.

Mruczając pod nosem, rzuciła telefon na zasłane łóżko. Zniknął wśród stosu poduszek.

Zach pociągnął Jill do drugiego pokoju i po cichu zamknął drzwi. Zaprowadził ją do łazienki, włączył prysznic, ale nie wszedł do kabiny.

- Dobra - powiedziała. - Potrzebna mi koleżanka w Vegas, której można powierzyć obrazy.

- Załatwione.

- Ten facet to niezła szuja. Jego kumple są pewnie nie lepsi.

- Nie martw się. - Zach uśmiechnął się szeroko. - Mamy w firmie kilka kompetentnych kobiet. Obrazy trafią prosto do sejfu w kasynie Shane'a Tannahilla.

- To nie przejdzie - stwierdziła Jill. - Muszę mieć sześć prawdziwych płócien do pokazania.

Zach chciał zaprotestować, ale się powstrzymał. Już słyszał Grace. „Nic nie udowodnimy, o ile nie będzie prawdziwych obrazów, prawdziwych pieniędzy i nie zostanie przeprowadzona transakcja”.

To był właśnie minus zatrudniania sędziów. Mieli aż nadto klarowne pojęcie o tym, co można, a czego nie da się udowodnić w sądzie.

- I muszę być sama - dodała Jill z napięciem.

- Nie ma mowy. Zapomnij.

Jej samej też się to nie podobało, ale nie widziała innej możliwości. Czasami nurtu nie można przechytryć. Trzeba mu się poddać.

- Nie będę tracić czasu na bezsensowne kłótnie - skwitowała. - Gdzie masz telefon?

- Po co ci?

- Zadzwoń do Grace Silvy Faroe. Później pójde do pokoju obok i przez mój telefon zrezygnuję z usług St. Kildy.

Rozdział 72

San Diego 17 września, godzina 00.41

Faroe odebrał telefon i spojrzał w stronę bujanego fotela, w którym Grace karmiła Annalise.

- Jest zajęta - powiedział. - Ja z tobą porozmawiam.

- Kto dzwoni? - spytała Grace.

- Jill, z telefonu Zacha.

- Przecież karmienie nie przeszkadza w myśleniu. - Grace wyciągnęła rękę po słuchawkę.

Faroe wstał z łóżka i podszedł do żony. Nago.

- Włóż majtki. - Usiłowała zignorować cud natury, który miała na linii wzroku. - Bo oślepnę.

- Włączyłem tryb głośnomówiący, amada. - Uśmiechnął się.

- Cześć, Jill. - Grace wzięła telefon, tłumacząc sobie, że jest za dużą dziewczynką, żeby się rumienić. - Dzwonisz do mnie spod prysznic z wiadomych względów?

- Hm, a co to są „wiadome względy”? - dociekała Jill.

- Pluskwy - powiedział do telefonu Zach.

- Zgadza się. Chodzi o pluskwy - przytaknęła Jill. - Mój telefon jest w drugim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, ale Zach ma obsesję.

- Jestem ostrożny - poprawił ją.

- Czy ja jestem potrzebna w tej rozmowie? - spytała Grace. Faroe sięgnął po telefon.

Grace podała mu do ponoszenia córeczkę, żeby dziecku się odbiło.

- Niech Zach streści, o co chodzi - zarządził Faroe. - A potem każdy będzie mógł powiedzieć swoje.

- Jakies pięć minut temu facet, który prawdopodobnie strzelał do Frosta, zadzwonił na telefon satelitarny Jill - wyjaśnił Zach. - Kazał jej splawić St. Kildę, zostawić połowę obrazów u koleżanki w Vegas, a samej pojechać na północ z

resztą malowideł. Gdy Jill dotrze, gdzie ustalili, nasz miły podpalacz i zabójca zadzwoni do niej znowu i poda miejsce spotkania, podczas którego wymienią obrazy i informacje na temat pozostałych sześciu płócien. Za dwa miliony, w gotówce.

- Nie ma mowy - skwitował Faroe.

- Wyjąłeś mi to z ust - stwierdził Zach.

- Dziękujemy za cenne uwagi - odezwała się z przekąsem Grace. - Ale czy ktoś ma lepszy pomysł, jak dorwać pana Miłego, zanim spali lub zastrzeli resztę świata?

Zapadła cisza.

Przerwało ją dopiero głośnie beknięcie niemowlęcia.

- Oto głos rozsądku - skomentowała Grace. - Snajperka Mary prowadzi ćwiczenia dla wojska pod Las Vegas. Będzie naszą łączniczką, zakładając, że pan Miły okaże się na tyle głupi, żeby zjawić się po drugą połowę obrazów.

Grace oddała słuchawkę Faroe'owi, podeszła do drugiego telefonu i wybrała numer komórkowy Mary.

- Kto to jest Snajperka Mary? - spytała Jill.

- Nasza specjalistka od długiej broni. - Faroe uśmiechnął się lekko. - Z bliska też walczy całkiem dobrze.

- Kilka razy położyła mnie na łopatki - przyznał Zach. - W dalszym ciągu nie zgadzam się, żeby Jill jechała sama.

- Nikt nie chce, żeby jechała sama - odparł Faroe.

- W niczym jej nie pomożesz, siedząc w bagażniku - powiedziała głośno Grace. - Przecież wiesz, że przez całą drogę będzie miała towarzystwo.

Zach jęknął sfrustrowany. Przegrał tę bitwę. Ale nie wojnę.

- Mam plan - oznajmił.

- Słucham - rzucił Faroe.

- Po pierwsze, kupimy Jill palmtopa BlackBerry. Będzie mogła przysyłać mi informacje tak, że facet na podsłuchu się nie połapie.

- Dobra - zgodził się Faroe.

- Po drugie, załatwicie mi cessnę i bardzo dobrego pilota.

- Na kiedy? - spytał Faroe.

- Tak, żebym zdążył dogonić Jill. Wyjedzie jutro, powiedzmy, godzinę przed południem. Nawet jeśli wyruszy później, wszystko powinno być przygotowane ze sporym wyprzedzeniem.

- Oddzwonię do ciebie - mruknął Faroe.

- Nie ma samolotu, nie ma operacji - oznajmił kategorycznie Zach. - Zwiążę Jill i będę ją przetrzymywał na pustyni, dopóki aukcja się nie skończy.

- Zdobędę samolot, choćbym miał go ukraść - odparł Faroe. - A co potem? Konwój z góry?

- Tak. Będę ją miał pod sobą, trzy tysiące metrów w dole. Raczej nie namierzy mnie nic poza radarem. Cessna może się przemieszczać prawie tak wolno jak samochód i ma wystarczająco duży bak, żeby dolecieć z Vegas pod granicę stanu.

- A co zrobisz, jeśli Jill wpadnie w tarapaty na pustej drodze? - spytał Faroe. - Zeskoczysz na spadochronie?

- Tu do akcji wkracza dobry pilot. Potrzebny mi taki, który umie startować i lądować na krótkich pasach, podobnych do tych na Bliskim Wschodzie.

- Nie ma sprawy. Mamy pod ręką kilku świetnych fachowców.

- Potrzebuję też kilku samochodów do pościgu i wozu kempingowego na drodze, za albo przed Jill. I uzbrojonych ludzi.

- Tym może zająć się Mary - wtrąciła się Grace. - Ludzie, których w tej chwili trenuje, to technicznie rzecz biorąc, cywile. Spodoba im się to zadanie.

- Zastanowimy się - rzekł Faroe. - Facetów z bronią nietrudno znaleźć.

- Bystrych, tak - zaprotestowała Grace.

- Dobra - odezwał się Faroe. - Założmy, że wszystko potoczy się tak, jak przewiduje Zach. Czy na pewno tego chcesz, Jill? Będiesz przynętą i będziesz sama. Co ty na to?

- Najszczęśliwsza nie jestem - przyznała. - Ale plan wypali tylko, jeżeli będę sama, więc nie ma wyjścia.

- Możesz zabrać obrazy i zniknąć - odparł Faroe. - Jestem pewien, że wszystkiemu winna jest aukcja. Kiedy się skończy, będziesz znowu bezpieczna.

- Tak samo jak facet, który strzelał do Garlanda Frosta i prawdopodobnie zabił moją cioteczną babkę - zauważyła Jill. - Nie pozwolę na to. Nie chcę, żeby używał wolności i zabijał niewinnych ludzi, skoro mogę go powstrzymać. Nie mogłabym ze sobą żyć, gdybym postąpiła inaczej.

Faroe chciał zaprotestować, ale milczał. Sam czuł podobnie. Spróbował inaczej.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że ten, kto dzwonił, może usiłować zrobić cię w próbę wyłudzenia?

- Powiedziałem jej to - stwierdził Zach.

- Gdzie tu wyłudzenie, skoro obrazy są prawdziwe? - spytała Jill ze zniecierpliwieniem.

- Nie twierdzę, że to faktycznie wyłudzenie - wyjaśnił Faroe. - Tylko że można to tak przedstawić, a tym samym dać miejscowej policji pretekst, aby cię aresztowała i w ten sposób trzymała z daleka od aukcji.

- Ja bym tak zrobił - zgodził się Zach.

- Ja też - przyznał Faroe, zanim Jill zdążyła coś powiedzieć. - Tal Crawford, właściciel Crawford

International, jest najważniejszym uczestnikiem aukcji. Jeżeli to on stoi za twoimi problemami, będziesz miała przeciwko sobie nie tylko faceta od pluskwy, ale także policję stanu Nevada. Crawford ma w niej wtyki i jest wpływowy. Wiemy, że cieszy się sympatią gubernatora, który liczy na kilkaset tysięcy dolarów na kampanię. W razie kłopotów stanowa policja uwierzy raczej Crawfordowi niż tobie.

- Te pieniądze na kampanię są legalne? - spytał Zach.

- Tak. Grace sprawdziła dokumenty. Nie ma w nich niczego podejrzanego.

- Niedobrze.

- Tak.

- Więc Crawford jest czysty? - zdziwił się Zach.

- Nie pogrzebał niczego na tyle płytko, żeby St. Kilda była to w stanie odkopać. - Faroe uśmiechnął się słabo. - Na razie. Stać go na najlepszych prawników.

- Jak polityków - zauważył sarkastycznie Zach.

- Czas nagli - oznajmiła Jill. - Muszę zadzwonić do Faroe'a z mojego telefonu satelitarnego i zrezygnować z usług St. Kildy. Jak ma na imię moja nowa koleżanka?

- Mary - powiedział Faroe.

- Mary i co dalej?

- W pobliżu pluskwy mów o niej po prostu Mary - poradził Faroe.

- Słuszna uwaga - wtrąciła Grace. - Właśnie streszczam jej sprawę. A wy tracicie stanowczo za dużo czasu na gadanie.

- A może niech Mary ją zastąpi - zaproponował Zach.

- Za duże ryzyko - stwierdziła od razu Jill. - Ten, kto nas śledzi, na pewno wie, jak wyglądam.

Zach syknął, ale musiał jej przyznać rację. W ogólnodostępnych dokumentach pełno było zdjęć Jillian Breck.

Faroe mruknął pod nosem coś niezrozumiałego. Wiedział, jak się czuje Zach.

- Ostatnia szansa, Jill - powiedział. - Jesteś pewna, że chcesz narażać się na niebezpieczeństwo?

- Tak - odpowiedziała. - Poza tym, jeśli coś pójdzie nie tak, Zach zjawi się po kilku minutach, zgadza się?

A żeby zabić, wystarczy kilka sekund.

Wiedzieli o tym wszyscy, ale nikt nie powiedział tego głośno.

Rozdział 73

Hollywood 17 września, godzina 1.04

Score podsłuchiwał rozmowę z telefonu satelitarnego Jill i śmiał się na głos. St. Kilda nie lubi, kiedy się ją spławia.

- Słuchaj, Joe - powiedziała Breck po raz trzeci. - To naprawdę nie ma sensu. Wydajemy mnóstwo pieniędzy i nic z tego nie wynika. Proszę, żebyście jak najszybciej zwrócili mi obrazy. Najpóźniej do rana.

- Działanie w pojedynkę w tej sytuacji nie jest mądre - ostrzegł Faroe.

- A trzymanie się St. Kildy jest jawną głupotą. To moje obrazy i moja decyzja.

Cisza. Westchnienie.

- Jak pani sobie życzy, panno Breck. Kiedy odbierze pani obrazy, naszą współpracę uznam za zakończoną.

- Świetnie. Tylko do mnie nie wydzwaniajcie, prosząc, abym zmieniła zdanie. Schodzę na dół spróbować szczęścia w kasynie.

Połączenie zostało przerwane.

Score uśmiechnął się, odchylił na oparcie krzesła i w myślach przeanalizował rozstawienie graczy biorących udział w akcji. Uwielbiał takie operacje. Zabijać mógł każdy łazęga z bronią, ale prawdziwych graczy od amatorów odróżniało to, że starannie planowali każdą rozgrywkę.

A Score był prawdziwym graczem.

Teraz, kiedy St. Kilda wypadła z gry, z prawdziwą przyjemnością da nauczkę sprytnej pannie Breck.

Rozdział 74

Las Vegas 17 września, godzina 2.15

Splecione ciała Jill i Zacha lśniły od potu i płonęły z rozkoszy. Szepcząc, wspinali się po długim zboczu zmysłowej rozkoszy na sam szczyt świata.

Potem zaczęli spadać, przelecieli przez ogień, aż w końcu wylądowali na zmiętej pościeli.

Kiedy przestali drżeć, a ich oddechy się wyrównały, Zach pocałował Jill tak delikatnie, że oczy zaszyły jej mgłą.

- Musisz iść - wyszeptał. - Naprawdę.
- Mamy jeszcze kilka godzin. - Objęła go mocno.
- Musisz się wyspać. Nie wiadomo, co zdarzy się jutro.
- Nie potrzebuję dużo snu.
- Jeżeli w tej chwili nie pójdziesz, zatrzymam cię tutaj i operację szlag trafi.

Spojrzała mu w oczy i wiedziała, że nie żartuje. Przeszedł ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z namiętnością. Zwalczyła pokusę, by zostać, zamknęła oczy i niechętnie odsunęła się od niego.

- Powiedz mi to pojutrze - szepnęła, wstając.

Chciał jej powiedzieć, że nie ma żadnej gwarancji, iż doczekają Jutra", ale kiedy spojrzał jej w oczy, zrozumiał, że dobrze o tym wie.

- Pojutrze - rzekł.

Jego słowa mogły być ostrzeżeniem, zgodą albo przysięgą. Nie wiedziała.

I wołała nie pytać.

Po cichu wyszła do drugiego pokoju, bardzo delikatnie zamykając za sobą drzwi. Jej telefon satelitarny był tam, gdzie go zostawiła - wciśnięty między wielkie, miękkie poduszki.

Uda się, powiedziała sobie.

Będzie „pojutrze”.

Czy na pewno?

Położyła się w pościeli zimnej jak jej strach.

Rozdział 75

Las Vegas 17 września, godzina 9.00

Zgadza się - powiedziała Jill do słuchawki hotelowego telefonu. - Chciałabym wynająć coś na tyle dużego, żeby pomieściło spory bagaż, ale nie tak wielkiego, aby jeździło jak słoń na lodzie.

- Jeden z naszych gości właśnie poprosił, żeby odstawić za niego na lotnisko cadillaca escalade - oznajmił portier. - Czy odpowiadałby pani taki samochód?

Jill nie wiedziała, jak wygląda cadillac escalade, ale samochód wynajęła i zostawiła do „zwrotu” St. Kilda, więc była pewna, że obrazy zmieszczą się do bagażnika.

- Może być - rzuciła. - Czy hotel ma możliwość przechowania w bezpiecznym miejscu trzech sztuk bardzo wartościowego bagażu?

- Oczywiście. Pokwitowanie za trzy walizki zostanie dołączone do formularza wynajmu samochodu.

- Wolałabym, żeby zostały u państwa. Odbierze je moja koleżanka. Zgłosi się do szefa ochrony pana Tannahilla.

- Jak pani sobie życzy - odparł gładko recepcjonista. - Skontaktuję się w pani imieniu z wypożyczalnią samochodów. Dokumenty będą czekały na pani podpis w recepcji. Proszę zabrać ze sobą prawo jazdy.

- Oczywiście - powiedziała Jill. - Przepraszam za kłopot i dziękuję.

- Dla osobistego gościa pana Tannahilla zrobimy wszystko. Proszę dać znać, gdyby jeszcze czegoś pani potrzebowała.

Jill odłożyła słuchawkę i spojrzała na telefon satelitarny, leżący pół metra od niej na nocnej szafce. Zastanawiała się, czy słucha go ten sam człowiek, który zabił jej cioteczną babkę i spalił stary dom razem z jej ciałem.

Nagły niepokój przyprawił ją o gęsią skórkę. Zach już wyjechał. Została sama.

Samotność nie była dla niej niczym nowym.

Poczucie osamotnienia - owszem.

Podobnie jak świadomość, że każdego jej oddechu, spuszczenia wody w toalecie czy szelestu zakładanych ubrań słucha podpalacz i morderca.

Dostawała od tego szału.

Sama tego chciałaś. No to masz. A teraz weź się w garść i doprowadź sprawę do końca.

Podskoczyła, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

Uspokój się, upomniała się ostro. Jeżeli teraz będziesz tak wariować, nie starczy ci sił na prawdziwe wiry.

A wiedziała, że prędzej czy później trafi na wiry. Nie wiedziała tylko, jak i gdzie.

Pukanie rozległo się znowu.

- Kto tam? - spytała głośno.

- Quincy Johnston z St. Kildy.

Spojrzała przez wizjer. W korytarzu stał siwy mężczyzna z bujnymi włosami i skórzaną teczką. Za nim, przy wózkach bagażowych, na których spoczywało sześć aluminiowych walizek, czekało dwóch bagażowych.

Jill wzięła głęboki wdech i otworzyła.

- Wprowadźcie je.

Bagażowi wwieźli wózki do pokoju.

- Proszę pokwitować - powiedział Johnston.

- Najpierw chcę zobaczyć obrazy - odparła Jill.

Johnston bez słowa otworzył każdą z sześciu waliz, a potem je zamknął.

- W porządku?

Bez Zacha? Nie bardzo.

- Tak - odpowiedziała głośno. - Te trzy walizki proszę zabrać do przechowalni na dole - zwróciła się do jednego z bagażowych. - Kwit na odbiór proszę zostawić recepcjoniście.

- Dobrze, proszę pani.

- Kiedy zadzwonię do recepcji, szef ochrony wyda walizki osobie, którą wskażę. Ale dopiero po moim telefonie. Jasne?

- Tak, proszę pani - zapewnił młody tragarz.

- Gdybyście mieli pytania, pytajcie recepcjonistę.

- Tak, proszę pani.

Johnston dał bagażowemu dwie dwudziestki. Chłopak uśmiechnął się i wyszedł.

Drugi bagażowy również przyjął hojny napiwek i wyszedł, zostawiając w pokoju wózek z pozostałymi trzema walizkami.

Kiedy zostali sami, Johnston otworzył teczkę i podał Jill kilka kartek.

- Proszę uważnie przeczytać, zanim pani podpisze - ostrzegł. - Nie chcemy żadnych niespodzianek. Kiedy stąd wyjdę, St. Kilda przestanie reprezentować pani interesy. Zostanie pani sama.

- Właśnie dlatego rezygnuję z St. Kildy - powiedziała Jill.

- Sama poradzę sobie lepiej.

- Pani wybór. - Johnston wyglądał na znudzonego.

Wzięła papiery i przekartkowała je, robiąc tyle szumu, żeby wychwyciła go pluskwa. Później je przeczytała.

Johnston otworzył teczkę, przytknął palec do ust i podał jej skórzaną saszetkę.

O mało jej nie upuściła.

- Nie przebieraliście w słowach.

Jednym z partnerów w St. Kildzie jest sędzina - wyjaśnił Johnston. - Jeżeli potrzebuje pani wytłumaczenia prawniczego żargonu, chętnie służyć.

- Na razie sobie radzę.

Otworzyła saszetkę i zobaczyła blackberry, colta woodsmana, dwa pełne magazynki i pięć banknotów studolarowych. Uniosła brwi.

- Proszę mi wyjaśnić ustęp trzeci, paragraf drugi - powiedziała. Johnston rozpoczął długą tyradę, a ona szybko, ale ostrożnie sprawdziła broń. Wiedziała, że słowa mężczyzny zagłuszają ewentualny hałas.

Skąd Zach wiedział, że to idealna broń dla mnie? - zastanowiła się Jill. Czy przeczytał o tym w moich aktach? A może mu mówiłam? Albo czyta w moich myślach.

Co za różnica? - powiedziała sobie. Najważniejsze, że mam broń, którą potrafię się posługiwać z zamkniętymi oczami.

- Dobrze, już rozumiem - oznajmiła, ostrożnie odkładając na łóżko nienaładowaną broń, dwa magazynki, palmtopa i pieniądze. - Zapewniam, że nigdy więcej nie zapukam do drzwi St. Kildy. - Oddała Johnstonowi pustą saszetkę. - Ma pan długopis?

- Oczywiście.

Podpisała papiery. Agent również.

- Tu jest kopia dla pani. - Johnston podał jej dwie kartki, zamiast jednej. - Życzę szczęścia, panno Breck - dodał, otwierając drzwi. - Bez St. Kildy będzie pani potrzebne.

Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem.

Jill popatrzyła na płaski półautomatyczny pistolet z długą lufą i dwa magazynki, leżące na puchowej pościeli na łóżku. Miała nadzieję, że wystarczą jej do „szczęścia”.

- Gdzie ja położyłam pilota od telewizora? - powiedziała na głos. - Powinien być na smyczy.

Zaczęła przerzucać poduszki, aż całkiem zakryły telefon satelitarny.

- A, jest.

Nastawiła telewizor na całodobowy program z prognozą pogody, podgłośniła dźwięk i wróciła do łóżka. Załadowała jeden magazynek do pistoletu, ale nie przeładowała broni. Zapasowy magazynek, pistolet i pieniądze wsunęła do swojej saszetki. Wychodząc z hotelu, będzie niosła telefon satelitarny w rękę, jak ktoś, kto musi pilnie zadzwonić albo czeka na ważny telefon. W samochodzie położy go na siedzeniu pasażera. Blackberry знаła. Jego wcześniejszą wersją posługiwała się na studiach. Złożyła kopię rozwiązania umowy z St. Kildą i ją również włożyła do saszetki. Bardziej interesowała ją druga kartka. Usiadła na łóżku, żeby przeczytać napisaną na maszynie wiadomość.

„JM,

Zach powiedział mi, że używałaś colta woodsmana na studiach. Naboje widziałaś - kaliber 22, karabinowe. Przeciwnik raczej nie będzie zaskoczony, że masz broń. Jeżeli tak, to znaczy, że jest naprawdę głupi.

Daj stówę recepcjoniście. Resztę wykorzystaj na benzynę i jedzenie po drodze. Dzwonki w palmtopie są wyłączone. Sprawdzaj wyświetlacz co dziesięć minut. Jeżeli masz telefon komórkowy na kartę, możesz pisać mi SMS - y. Mój numer jest pierwszy w książce adresowej. Zacha drugi. Zamontowaliśmy w blackberry nadajnik GPS oraz pluskwę, podobną do tej w twoim telefonie satelitarnym.

Jeżeli sprawa zacznie się poważnie pieprzyć, krzycz.

Przez telefon satelitarny masz łączność z Mary. W razie czego, wybierz mój numer i wciśnij krzyżyk, a rozmowa zostanie przekierowana do niej. Uważaj, aby przestrzegać protokołu, o którym rozmawialiście z Zachem w nocy."

Jill uśmiechnęła się na wspomnienie tego, co jeszcze robili poza omawianiem „protokołu".

„Co dwie godziny, a jeszcze lepiej co godzina, sprawdzaj telefon satelitarny. Będą podsłuchiwać i myślę, że

spodziewają się, iż będziesz się chciała wycofać z przekazania drugiej części obrazów.

Będziemy cały czas z tobą. Zach w górze, inni na ziemi. Gdyby coś się działo, dotrą do ciebie w przeciągu kilku minut.

Kiedy przeciwnik się z tobą skontaktuje, napisz do mnie, o ile będziesz mogła. Albo mów do siebie w pobliżu palmtopa.

Wrzuć ten papier do sedesu i spuść wodę. Pamiętaj, że przeciwnik może cię obserwować od chwili, kiedy opuścisz pokój, więc trzymaj się planu. J.F."

Jill jeszcze raz przeczytała wiadomość i wyrzuciła kartkę do ubikacji. Papier rozpuścił się, jakby woda zawierała kwas. Wcisnęła spłuczkę i poszła się pakować. Kiedy się z tym uporała, sprawdziła palmtopa. Nie było żadnych wiadomości. Szybko dokończyła pakować plecak, zapięła saszetkę z pistoletem i zapasowym magazynkiem, wsunęła do niej blackberry i była gotowa.

O ile na to, co ją czekało, można się było w ogóle przygotować.

Jak na rzece. Patrzysz, oceniasz, decydujesz, powiedziała sobie. Przecież lubisz tę adrenalinę, Jill.

Tak, ale tylko wtedy, kiedy to ja wiosłuję. Teraz płynę brudną rzeką, a w zasięgu wzroku nie ma złamanego wiosła.

Nie podobało jej się to, co czuła.

Nie mogła jednak nic na to poradzić. Chyba że zrezygnować.

A nie należała do ludzi, którzy rezygnują.

Wzięła powolny, głęboki wdech, położyła telefon satelitarny obok walizek z obrazami i wypchnęła wózek bagażowy z pokoju do windy. Chwilę później była przy recepcji. Stanowisko obsługiwał przystojny mężczyzna. Jego identyfikator informował, że ma na imię Eduardo i że pochodzi z Bogoty w Kolumbii.

- Czy ma pan kartkę, długopis i kopertę, którą będę mogła zakleić?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Napisała coś szybko na kartce, wsunęła ją do koperty, zakleiła i podała recepcjoniście.

- To dla szefa ochrony. Eduardo skinął głową.

- Zareagował pan tak, jakby bez przerwy miał pan do czynienia z podobnymi prośbami.

- W mojej ojczyźnie takie środki ostrożności są codziennością. - Wzruszył swobodnie ramionami, w sposób typowy dla ludzi pochodzących zza południowej granicy.

- Świat naprawdę staje się coraz mniejszy - zauważyła Jill z szelmowskim uśmiechem.

- Kwit na odbiór pani bagażu jest już u szefa ochrony - poinformował recepcjonista.

- Świetnie. Kiedy zadzwonię, osoba, którą tutaj opisałam - dotknęła koperty, którą mężczyzna trzymał w ręce - wylegitymuje się szefowi ochrony i odbierze walizki. Ale dopiero po moim telefonie.

Eduardo skinął głową.

- Jeżeli zadzwonię do pana i powiem, że plan się zmienił, proszę się natychmiast rozłączyć i wezwać policję.

- Oczywiście. Proszę jeszcze wpisać numer swojego prawa jazdy i podpisać formularz wynajęcia samochodu, i wszystko będzie załatwione.

Wyjęła z saszetki cienki płócienny portfel, znalazła prawo jazdy, zanotowała numer i się podpisała.

- Dziękuję, panno Breck. - Wręczył jej umowę wynajmu samochodu. - Auto czeka na panią przed hotelem. Czy potrzebuje pani pomocy z bagażem?

- Nie, dzięki. - Wyjęła z saszetki banknot studolarowy. - Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - powiedział Edwardo, z uśmiechem chowając napiwek do kieszeni. - Życzę miłej podróży.

Jill roześmiała się głośno, jednak daleko jej było do wesołości.

- Dobrze by było.

Ale nie miała na to specjalnej nadziei.

Rozdział 76

Nad Nevadą 17 września, godzina 18.15

Zach siedział z prawej strony samolotu, z lornetką przy oczach. Trzy tysiące metrów poniżej widział lśniąca wodę i plamę zieleni - oazę Indiańskich Źródeł. Blask zachodzącego słońca, odbijający się na metalowym dachu stacji benzynowej, wyglądał jak pożar.

Pilot utrzymywał cenną około kilometra na zachód od drogi, starając się dopasować prędkość do jadącego po pustyni cadillaca. Nie było to łatwe. Przeciwnik kazał Jill jeździć w tę i z powrotem, czasami w kółko. Krążyła jak chomik w kołowrotku.

Przynajmniej prowadziła w zachodnim stylu - sto trzydzieści na godzinę, na autostradzie przyspieszając do stu czterdziestu.

Tylko co z tego. Nadal byli w punkcie wyjścia. Zach pokręcił głową, nakazując sobie cierpliwość.

Cadillac zatrzymał się przy stacji benzynowej. Zach przez lornetkę obserwował, jak Jill wychodzi z budynku i staje przy samochodzie, z telefonem satelitarnym w ręce i palmtopem w saszetce. Słyszał, co mówi.

- Co teraz? - rzuciła niecierpliwie do telefonu. Cisza.

- Jeśli będę dalej tankować w tym tempie, nasz interes przestanie się opłacać.

Cisza. Słuchała.

- Znowu? Zaczyna mnie męczyć ten odcinek autostrady. Tak, tak. Dobrze.

Zach zastanawiał się, kiedy i gdzie przeciwnik skończy zabawę. Słońce już zsuwało się po niebie w stronę horyzontu i nad pustynią zaczął się rozlewać ciemny aksamitny zmierzch.

Telefon komórkowy Zacha zaczął wibrować. Sprawdził przychodzący numer i odebrał.

- Nic nowego - powiedział.

- Mieli dość czasu, żeby sprawdzić Jill na autostradzie. -
Faroe był tak samo niespokojny, jak Zach. - Czekają, aż się
zrobi ciemno?

- A ty byś nie czekał?

- Jasne, że tak.

- No właśnie. Przynajmniej, w razie czego, łatwiej jej
będzie uciec.

- Z drugiej strony, w ciemności nasze samochody
pościgowe będą musiały jechać bliżej. Może i dobrze. Cztery
razy robiliśmy im roszadę. Po ciemku nie będzie trzeba aż tak
uważać.

- Jill pewnie się denerwuje - zauważył Zach.

- Martw się o siebie. To twarda dziewczyna. Steele już
przebąkuje, że chciałby ją zatrudnić jako agenta.

- To dobrze czy źle? - odparł Zach.

- Na pewno nie mamy na to wpływu. Faroe się rozłączył.

Zach miał ochotę wybić pięścią dziurę w cienkiej
aluminiowej powłoce samolotu. Wziął kilka głębokich
wdechów, żeby palącą niecierpliwość zamienić w chłodne
opanowanie. Nie pomoże Jill, szalejąc ze zdenerwowania.

Skończ te zabawy w ciuciubabkę, bydlaku. Czas zacząć
grę.

Rozdział 77

Indiańskie Źródła, Nevada 17 września, godzina 18.16

Jill stała oparta o samochód i czekała, aż bak się napełni. Długi, prosty odcinek autostrady, biegnący przy stacji benzynowej, przecinał stożek aluwialny, spływający malowniczo z górskich zboczy ku piaskom pustyni. Widok suchych szczytów i ciemnych wąwozów uspokoił ją. Wiedziała, że pustynia jednych przeraża, a innych nudzi. Jej wydawała się czysta i otwarta. Szeptła do Jill o bezkresnych przestrzeniach, na których człowiek czuje się wolny.

Poczuła palące pragnienie, by namalować tę okolicę. Równie mocno chciała dotknąć Zacha. Nie wiedziała, czy to dobrze czy źle. Wiedziała tylko, że jej tęsknota jest równie prawdziwa, jak metalowe słupy, wyrastające z suchej ziemi i dźwigające na wyciągniętych ramionach kable z pomrującym prądem.

Autostrada też była intruzem, ale nie aż takim jak ciężkie kable zwisające ze stalowych słupów. Spojrzała poza nie, na majestatyczny, dziki, samotny krajobraz, który tak wyraziście uchwycił Thomas Dunstan, albo jej babka.

Po prawej stronie cadillaca, na wietrze niespokojnie trzepotało liśćmi kilka topoli. Zieleń obwieszcziała, że w suchej ziemi jest woda. Topole już tu rosły, kiedy powstawał obraz Indiańskie Źródła. Stacja benzynowa z rozklekotanej konstrukcji z dwiema staroświeckimi pompami zmieniła się w zalaną słońcem i smaganą piaskiem metalową budowlę z czterema dystrybutorami z benzyną. Drzewa i nieregularna siatka źródełek, biegnąca u podnóża gór, wyglądały tak samo.

Gdzie jesteś, Zach?

Trzy tysiące metrów w górze.

Gdzieś.

Daleko.

No i co z tego? Kawał życia spędziłam sama.

Mimo to trzeba trochę czasu, żeby oswoić się z groźbą śmierci.

Jill odpędziła niepokój, weszła do budynku, i skorzystała z łazienki, kupiła kilka butelek wody i zapłaciła za wszystko. Stary mężczyzna, który przyjmował od niej pieniądze, nie był w nastroju do pogawędek. Ona też nie.

Staruszek powoli, z wysiłkiem, wydawał jej resztę, a ona spoglądała na wyblakłą czarno - białą fotografię wiszącą za ladą. Informowała o dacie „wielkiego otwarcia” stacji. Zdjęcie zrobiono dawno temu, kiedy samochody na dzikiej ziemi były ciekawostką, nie koniecznością, a wątpy mężczyzna odliczający drobne za kasą był małym chłopcem, marzącym, aby jak najszybciej dorosnąć i móc ujeżdżać konie oraz przeganiać stada bydła przez porośnięte bylicą doliny.

Jill przeniosła wzrok ze zdjęcia na staruszka i jego palce powykrzywiane artretyzmem, którego nabawił się w mroźne zimy, przeganiając po bezimiennych dolinach uparte krowy.

Naprawdę było wtedy łatwiej?

A może to teraz się tak wydaje?

Schowała pieniądze do saszetki, wróciła do cadillaca i wyjechała z powrotem na drogę. Przygotowała się, że znów będzie czekała w nieskończoność na nowe instrukcje.

Ledwie zdążyła rozpędzić samochód, zadzwonił telefon. Zwolniła i odebrała.

- Co? - warknęła.

- Zatrzyma panią samochód z biura szeryfa. Niech pani robi, co jej każą.

Połączenie się urwało.

- Super - stwierdziła z goryczą. - Mają po swojej stronie miejscowych gliniarzy.

Odpowiedziała jej cisza.

Na nic innego nie mogła liczyć.

Rozdział 78

San Diego 17 września, godzina 18.18

Grace przyglądała się i słuchała, jak jej mąż pokonuje kolejne szczeble biurokracji, by połączyć się z szeryfem. Milczała, bo telefon nastawiony był na tryb głośnomówiący.

Poza tym, swoją część zadania już wykonała. Zadzwoiła do emerytowanego sędziego federalnego i namówiła go, by porozmawiał z sekretarką szeryfa.

- Mam rozumieć, szeryfie, że nie powie mi pan, dlaczego policjant zatrzymał tę młodą kobietę i kazał jej za sobą jechać? - Ton Faroe'a był łagodny i uprzejmy.

Grace się skrzywiła. Dobrze wiedziała, że kiedy jej mąż przemawia uprzejmym tonem, jest najbardziej niebezpieczny.

Szeryf pewnie też niedługo się o tym przekona.

Faroe ścisnął mocniej słuchawkę. Chętnie zrobiłby to samo z jajami szeryfa.

- Nie, nie powiem panu - odparł niecierpliwie szeryf. - To nie pana sprawa, i nie obchodzi mnie, ilu emerytowanych sędziów zna pańska żona.

- W takim razie pozwoli pan, że będę zgadywał - oznajmił Faroe. - Mój nastoletni syn przeprowadził małe dochodzenie na temat wsparcia finansowego, jakie otrzymał pan przed ostatnimi wyborami. Dostał pan na kampanię ponad trzydzieści tysięcy dolarów od grupy praworządnych mieszkańców Carson City.

- A co to ma...

Faroe nie przestawał mówić. Uprzejmym tonem.

- To dużo pieniędzy jak na taki mały okręg, jak pański. Poprosiłem więc syna, żeby sprawdził nazwiska hojnych obywateli z Carson City. W ciągu trzydziestu sekund znalazł powiązania między pięcioma z dziesięciu darczyńców. Wszyscy pracują w tej samej kancelarii adwokackiej. Nadaża pan za mną szeryfie?

- Marnuję przez pana...

- Mój syn może podjąć się sprawdzenia źródeł sądowych w jednej z głównych baz danych dotyczących pana stanu - ciągnął Faroe łagodnie, acz nieustępliwie. - Założę się, że szybko się okaże, iż wspomniana kancelaria adwokacka ma w rzeczywistości tylko jednego klienta, a dalsze poszukiwania dowiodą że to właśnie ten klient wyłożył fundusze na kampanię. Mam panu podać jego nazwisko?

Zapadła cisza. Po chwili w słuchawce dało się słyszeć westchnienie, a po nim szelest przekładanych papierów i stukanie obcasów po podłodze - najwyraźniej do gabinetu szeryfa weszła kobieta.

- Czego pan chce? - spytał szeryf.

- St. Kilda Consulting prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa, podpalenia i kradzieży. Klientką jest młoda kobieta, którą właśnie nęka pański zastępca, działający w imieniu pana wielkiego darczyńcy - oznajmił Faroe.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Zwykła przysługa dla grubej ryby, co?

- Nie robimy nic niezgodnego z prawem - powiedział szeryf. - Mój zastępca ma obowiązek patrolować teren przy ranczu Oaza Szczęścia.

Grace szybko wpisała nazwę do wyszukiwarki elektronicznej mapy.

- Dziwna nazwa jak na pustynne ranczo. - Faroe spojrział na Grace.

- Nie jest to jedyne dziwne ranczo w okolicy. W tym też nie ma nic niezgodnego z prawem.

Drukarka wypluła kartkę. Grace podała ją mężowi.

- Oby miał pan rację, szeryfie. I niech pan weźmie sobie do serca to, co mówię. Może się pan stać współwinnym morderstwa.

- Proszę nie opowiadać bzdur - odparował szeryf. - W moim okręgu od dziewięciu miesięcy nie popełniono morderstwa.

- Jeżeli chce pan zachować czyste konto, radzę skontaktować się przez radio ze swoim zastępcą i kazać mu zameldować, kiedy bezpiecznie dowiezie panią Breck na miejsce przeznaczenia. Później powie mu pan, żeby zabierał tyłek z powrotem na autostradę i jechał na północ, aż dotrze do... - spojrzał na mapę, którą wydrukowała Grace - ..do słupa kilometrowego numer 418. Mam powtórzyć?

- Nie.

- Niech zatrzyma się przy słupie i zapali koguta, i na następne dziesięć minut całkowicie zablokuje ruch w kierunku południowym.

- Po co?

- Gry uliczne - odparł Faroe. - Od jego południowej strony wylądował mały prywatny samolot, który wysadzi pasażera. Kiedy tylko samolot znowu wystartuje, pana zastępca wyłączy światła i pojedzie na północ.

- Dlaczego na północ?

- Bo nie chce pan stracić pracy. A jeżeli poinformuje pan o tym swojego dobrego, bogatego przyjaciela, zapewniam pana, że nie dostanie pan żadnej roboty, nawet jako dozorca w podrzędnym burdelu.

- Jeżeli się pan myli...

- Nie mylę się. Faroe się rozłączył.

- Posłucha cię? - spytała Grace. Faroe westchnął przeciągle.

- Pierwszy dowie się Zach.

Rozdział 79

Nad Nevadą 17 września, godzina 18.22

Utrzymujemy kontakt - powiedział Zach przez mikrofon, zwracając się do mężczyzn, którzy z przodu i z tyłu osłaniali Jill na drodze. - Biały samochód szeryfa z niebiesko - czerwonym kogutem cały czas jedzie jakieś ćwierć kilometra za Jill. Może szuka towarzystwa. Zostawcie mu dużo miejsca.

W małych słuchawkach, które miał na głowie, Zach usłyszał kilka delikatnych puknięć w mikrofon, oznaczających zgodę.

Przez przednią szybę samolotu wyjrzał na drogę, prostą i czarną aż po horyzont. Ruch był niewielki. Po autostradzie poruszały się głównie ciężarówki i kilka wozów kempingowych.

- Co jest przez najbliższych sto kilometrów? - spytał Zach pilota.

- Piach, skały i krzaki. I może z pół tuzina burdeli.

- Burdeli? Na środku pustkowia?

- Tak. W stanie Nevada działa trzydzieści legalnych domów publicznych. Około połowa z nich znajduje się przy autostradzie 95. Jeśli zobaczysz przy drodze zapuszczone ranczo, bardzo możliwe, że będzie się nazywało Słodkie Kociaki.

- Słodkie Kociaki?

- Tak. - Pilot uśmiechnął się szeroko. - Mieszkańców jest tu niewielu, ale kociaków nie brakuje.

- Może dlatego nigdy nie zapuszczałem się w te strony po zabytkowe samochody. - Zach rozejrzał się przez lornetkę po okolicy. - Myślałem, że za mało tu ludzi, żeby powstały złomowiska. Ale z góry zauważyłem kilka małych przy autostradzie.

- To pewnie opuszczone gospodarstwa. Na tych terenach znajdziesz tylko zmarłych i przejezdnych. Ci ostatni to głównie kierowcy ciężarówek.

- Szukający kociaków.

- Wszystko jest zgodne z prawem. - Pilot automatycznie spojrzął na pulpit. - Dziewczyny co tydzień mają obowiązkową kontrolę lekarską. Oficjalne raporty z wynikami badań publikuje się w gazetach, jak sprawozdania z kontroli restauracji.

Zach roześmiał się na głos na myśl o kontrolowanym przez rząd nierzędzie.

- Nevada. Ryzykuj pieniądze, ale nigdy zdrowie. Nie do wiary. Nie spuszczał wzroku z wozu policyjnego.

Od dziesięciu kilometrów radiowóz jechał w tej samej odległości od Jill.

Zach przełączył słuchawki na połączenie komórkowe i wybrał numer. Specjalista od komunikacji w St. Kildzie odebrał natychmiast.

- Balfour z Nevady. Mamy kontakt. Obiekt nadal ma ogon: samochód szeryfa jakieś ćwierć kilometra z tyłu.

- Przyjąłem.

- Szykujcie się do koordynacji kanałów komunikacji, jeżeli będę musiał lądować.

- Będziemy gotowi.

Zach puknął w odpowiedzi w mikrofon i przełączył się na częstotliwość podsłuchu w blackberry. Usłyszał, jak Jill rozmawia z Mary.

- Patrol odeskortuje mnie na miejsce spotkania - powiedziała Jill. Nie słyszał, co odpowiedziała Mary.

- Mam nadzieję, że następnym razem będę miała dla ciebie coś konkretnego.

Przerwa.

- Miej telefon pod ręką - rzuciła Jill.

Telefon Zacha zaczął wibrować. Przełączył słuchawki.

- Słucham?

- Celem może być ranczo Oaza Szczęścia - oznajmił Faroe. - Jeżeli szeryf ma choć trochę oleju w głowie, każe swojemu zastępcy, by zostawił tam Jill i pojechał do słupa kilometrowego numer 418. Facet zatrzyma ruch na południe. My zajmiemy się pojazdami jadącymi w kierunku północnym. Kiedy zastępca szeryfa włączy koguta, ląduj jak najszybciej się da i wsiadaj do auta; będzie czekać przy drodze. Nie chcę stracić tej klientki.

- Ani ja. Nawiasem mówiąc, nie podoba mi się, że po drugiej stronie stoją gliny.

- Każdy jest do kupienia. A Crawford ma dużo kasy. Strzeliłem szeryfowi gadkę umoralniającą i zgodził się nie wchodzić nam w paradę.

- Myślisz, że dotrzyma słowa? - spytał Zach.

- Nie wiem.

- Poczekaj. - Zach zwrócił się do pilota. - Jest tu gdzieś ranczo Oaza Szczęścia?

Pilot spojrział na ziemię i wskazał miejsce w oddali.

- Tam, gdzie te uschnięte drzewa. Zach znów przełączył się na telefon.

- Domyślam się, że St. Kilda poruszyła niebo i ziemię, żeby sprawdzić, komu w Nevadzie Crawford wcisnął łapówki?

- Gubernator ma u niego dług wdzięczności - odparł Faroe. - Senator stanu i kilku przypadkowych członków Kongresu też. No i szeryf.

- Kiedy w grze uczestniczą skorumpowani politycy, nie ma mowy o przypadkach - stwierdził Zach.

- Szeryf sądził, że wyświadcza przysługę bogatemu człowiekowi, który wspiera miejscowe władze. Takie praktyki są powszechne, nie tylko w Nevadzie, ale w całym kraju.

Zach rozejrzał się przez lornetkę. W oddali pojawił się zarys podupadającego rancza otoczonego uschniętymi drzewami.

- Wiesz coś na temat Garlanda Frosta?

- Dochodzi do siebie o wiele szybciej, niż spodziewali się lekarze. Podobno już rozkazuje.

- To dobrze. - Zach się uśmiechnął. - Kawał z niego sukinsyna, ale nie zasłużył na to, co go spotkało.

- Synu, od kiedy to życie daje to, na co człowiek sobie zasłużył?

- Od... Poczekaj. - Zach dostrzegł na dachu radiowozu migającego koguta. - Zastępca szeryfa właśnie włączył światła. Skręca do Oazy Szczęścia.

- Nie pozwól im jej zabić. Łatwo powiedzieć.

Rozdział 80

Nevada 17 września, godzina 18.24

Cześć, Mary - rzuciła Jill do telefonu satelitarnego. -
Chciałam sprawdzić, czy nie zasnęłaś.

- Robię, co mogę. Co u ciebie?

- Przed chwilą odebrałam telefon od gliniarza. Zwalniam i zaraz się zatrzymam. Nie rozłączam się.

- Uważaj na siebie - powiedziała Mary. - Na pustyni trudno o przyjaciół.

- Dzięki. Na razie.

Jill odłożyła telefon na siedzenie obok. Teraz, kiedy zaczynała się prawdziwa akcja, żałowała, że ma tak mało czasu. Od postoju na stacji benzynowej coś ją dręczyło, nie mogła tylko dociec co.

Pomyślę o tym później, obiecała sobie.

Kierownica zadrżała jej w dłoniach, kiedy prawe koła cadillaca zetknęły się z twardym żwirem pobocza.

Policjant zrównał się z nią, wziął megafon i krzyknął:

- Za mną!

Zabrzmiało to jak głos z otchłani piekieł. Dała mu znać, że zrozumiała, i wjechała z powrotem na autostradę.

- Jednak się nie zatrzymuję - powiedziała do telefonu. -
Znów jestem na drodze. Teraz on chce prowadzić.

- Informuj mnie - odparła Mary.

- Bez obaw. W tej chwili bardzo chce mi się z kimś gadać.

Znów przyspieszyła, żeby dogonić policjanta. Po trzech kilometrach światła hamowania w jego samochodzie błysnęły ostrzegawczo. Jill zwolniła.

Gliniarz włączył lewy kierunkowskaz.

- Skracamy w lewo - oznajmiła Jill. - Wjeżdżamy na starą bitą drogę. Teraz to głównie piach i chwasty. Widzę budynki, jakiś kilometr stąd. Wkoło uschnięte drzewa. Kiedyś było tu

chyba ranczo. Albo hotel. Albo... - głos uwiązał jej w gardle, kiedy spojrzała na zniszczony, wyblakły od słońca szyld przy piaszczystej drodze. - Robi się dziwnie - powiedziała do telefonu. - To burdel. Chyba nieczynny. Szyld głosi: „Ranczo Oaza Szczęścia. Wszystko, czego pragniecie. Zapraszamy”. Chyba dawno nikt tu nie zaglądał.

- Jest tam ktoś? - Mary stłumiła śmiech.

- Na razie widzę tylko gliniarza. Ale dlaczego mnie to nie uspokaja?

- Bo jesteś bystra.

- Tak? - spytała Jill. - W takim razie co tutaj robię? Mary nie odpowiedziała.

Jill ani trochę to nie zdziwiło.

Rozdział 81

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.25

Score patrzył, jak zastępca szeryfa parkuje przy końcu rzędu walących się domków, zwróconych drzwiami do wyschniętego, skalistego podwórza, otaczającego równie suchy basen. Jasne, okrągłe dno basenu pokryte było ciemnymi plamami w miejscach, gdzie odpadły płytki. Gasnące światło zmierzchu nadawało cementowi kremowy odcień.

- Zawiadom agentów w stajni! - krzyknął przez ramię Score.

- Robi się! - odkrzyknął głos z drugiego pokoju.

Score obserwował, jak policjant podchodzi do cadillaca i zginając palec, pokazuje Breck, żeby opuściła szybę. W słuchawkach, które miał na głowie, było wyraźnie słychać głos dziewczyny.

- Mary, nie podoba mi się to - powiedziała. - Chyba nikogo tu nie ma. A policjant każe mi opuścić szybę.

- Ty rządzisz.

- Chciałabym.

Score się uśmiechnął. Wiedział, że rządzi on.

Zastępca szeryfa, krótko ostrzyżony mężczyzna w średnim wieku, poprawił policyjny pas, pochylił się i zaczął coś mówić przez uchyloną szybę.

- Człowiek, z którym chce się pani spotkać, jest w czwartym domku. - Policjant wskazał palcem.

- Jest sam?

- Miałem tu panią przywieźć. - Wzruszył ramionami. - Przywiozłem. Tylko tyle wiem.

- Racja, ty durny wałkoniu - mruknął Score pod nosem. - A teraz wsiadaj do samochodu i czekaj, aż zadzwonimy i każemy ci aresztować tę cholerną Breck za próbę wyłudzenia.

Policjant wszedł do auta, zawrócił i piaszczystą drogą ruszył w kierunku autostrady.

- Co jest, do diabła? Skończony palant. Nie potrafi zapamiętać najprostszyc poleceń. - Syknął przez zęby. Wezwie gliniarza, kiedy będzie potrzebny.

Przez częściowo uchyloną szybę do samochodu Jill wleciał piach.

- Dalej, laleczko - szepnął Score, naciągając na twarz kominiarkę. - Chodź no tu.

Rozdział 82

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.26

Wchodzę - powiedziała Jill do Mary. - Zadzwoń, jak tylko przeliczę pieniądze.

- Uważaj. A jeśli coś zacznie się pieprzyć, wal na oślep.

Jill prawie się uśmiechnęła. Z przyjemnością pozna Mary.

- Dzięki. - Odłożyła telefon i rzuciła go do tyłu, na metalowe walizki.

Zadźwięczało.

Mam nadzieję, że brzęczy ci w uszach, kimkolwiek jesteś, pomyślała.

Wzięła palmtopa i włożyła do kieszeni bojówek. Saszetkę zapięła w pasie. Rozchyliła górny suwak, ułożyła pistolet tak, aby móc go wyciągnąć jednym ruchem ręki i sprawdziła położenie zamka.

„Wal na oślep”.

Pieprzone wiry czekają.

Niepokoilo ją, że zamiast wiosel ma przy sobie nielegalną broń.

Nie może być gorzej niż wtedy, kiedy pierwszy raz wypłynęłam sama na bystrze. Prawda?

Wysiadła z samochodu i spojrzała na walące się budynki dookoła pustego basenu. Wyglądały na opuszczone.

Widocznie z seksu nie da się tutaj wyżyć.

Jakiś kilometr za rzędem domków dostrzegła kilka rozsypujących się stajni i budynków gospodarczych. Milcząco informowały, że dawniej było tu ranczo z prawdziwego zdarzenia, a nie gospodarstwo „pracujących” pańienek. Na budynkach w oddali czas i słońce odcisnęły większe piętno niż na domkach, w których seks uprawiano na godziny i według cennika.

Drzwi czwartego domku otworzyły się z hukiem, pchnięte czymś więcej niż siłą wiatru. Ze środka sączyło się migoczące błękitne światło. Ktoś ogląda telewizję.

Znudziło ci się czekanie, co? - pomyślała z ponurą satysfakcją. Dobrze ci tak. Zmęczyłam się rolą twojej kukielki.

Nie wiedziała, ile czasu będą potrzebowali ludzie z St. Kildy, żeby dojechać na ranczo. Chciała zyskać każdą możliwą sekundę.

Powoli, jak ktoś, komu nigdzie się nie spieszy, przeciągnęła się, żeby rozluźnić mięśnie udęczone zbyt długim siedzeniem w samochodzie. Poczula się tak dobrze, że przeciągnęła się znowu, tym razem dłużej, a potem trzeci raz. Nabrała do płuc chłodnego wieczornego powietrza i wypuściła lepkie opary strachu.

Niemal wyczuwała niecierpliwość człowieka oczekującego na nią w domku.

Poczekasz sobie. Ja też musiałam czekać.

Zignorowała instynktowne uczucie niepokoju, które spłynęło od jej karku w dół kręgosłupa, aż do bioder. Wcisnęła pilota. Bagażnik cadillaca się otworzył. Wyjęła jedną walizkę, dwie pozostałe zostawiając w środku i znów zamknęła auto. Na pewno nie będzie ze sobą targać trzech walizek, kiedy potrzebna jej wolna ręka na pistolet.

Wiatr uderzył otwartymi drzwiami w ścianę domku. Serce podskoczyło jej do gardła, ale nawet nie drgnęła. Z wiatrem hulającym wokół starych budynków oswoiła się w dzieciństwie.

Bez pośpiechu, ale i bez ociągania podeszła do otwartych drzwi.

Marzyła, by być gdzieś indziej.

Gdziekolwiek.

Zach, mam nadzieję, że jesteś blisko. Tej rzeki nie umiem przepłynąć sama.

Rozdział 83

Nad Nevadą 17 września, godzina 18.28

Zrób jedno ciche okrążenie tak, żebym mógł odczytać numery seryjne na helikopterze za stodołą - powiedział Zach do pilota. - Szybko.

Samolot zaczął obniżać lot. Zderzył się z warstwą powietrza, w której upał kończącego się dnia stykał się z nadchodzącym nocnym chłodem. Cessna podskoczyła jak kropla wody na rozgrzanej patelni.

Mimo że Zach używał lornetki korygującej ruch, niełatwo mu było dojrzeć numery. Przyglądał się im uważnie, starając się zapamiętać poszczególne cyfry.

- Mam - rzucił. - Lecimy do góry.

Kiedy samolot zaczął się unosić, Zach wybrał pierwszy numer w książce adresowej telefonu.

- Faroe - odezwał się niski głos.

- Mamy problem - powiedział Zach. - Za stodołą przy burdelu jakiś kilometr od chałup stoją helikopter typu Jet Ranger i dwa czarne dżipy. Wygląda na to, że ktoś sprowadził tu małą armię.

- Kto?

- Sprawdź numery seryjne śmigłowca. - Zach powtórzył ciąg liczb, które zobaczył przez lornetkę.

- Oddzwonię do ciebie - rzucił Faroe.

Zach przełączył się na częstotliwość pilota.

- Będziemy lądować.

- Gdzie?

- Na autostradzie.

- A samochody?

- O to się nie martw.

Pilot poderwał samolot do góry.

- Kazałem ci lądować - odezwał się Zach.

- Chcesz stąd wyjść?

- Tak.
 - To siedź cicho i daj mi pracować. Zach przełączył się na telefon.
 - No dalej - mruknął. - Jak długo można sprawdzać numery na... Telefon zadzwonił.
 - I co? - spytał ostro Zach.
 - Sprzęt należy do Red Hill International - oznajmił Faroe.
 - Tej drogiej agencji ochrony z Las Vegas?
 - Zgadza się.
 - Mają renomę - zdziwił się Zach. - Jakim cudem przyjęli zlecenie podpalacza i mordercy?
 - Pewnie klient ich okłamał.
 - Zdarza się - stwierdził Zach z goryczą. - Niestety, prawda jest taka, że pociski przyjaciela zabijają jak każde inne.
 - Ambasador Steele rozmawia właśnie z generałem Meyerem z Red Hill.
 - Chrzanić gadki. Ląduję - oznajmił Zach. - Jill nie jest odpowiednio uzbrojona, żeby stawić czoła Red Hill.
 - Ty też nie.
 - Co ty powiesz. - Zach rozłączył się i przełączył na częstotliwość pilota.
 - Sprowadź mnie na dół.
 - Gdzie?
 - Widzisz tamten radiowóz z migającym kogutem? To koniec pasa. - Zach wyjął z za fotela plecak i wyciągnął z niego pistolet z długą lufą oraz dodatkowe magazynki. - Początek pasa jest za nami, po drugiej stronie autostrady, tam, gdzie stoi wóz kempingowy. Sądząc po kurzu na reflektorach, może nam zawiąć od południowego zachodu.
- Niedobre warunki do lądowania.
- Zauważyłem - stwierdził obojętnie pilot.

Przeprowadził samolot przez turbulencje i nakierował równoległe do autostrady. Znaleźli się w strefie, gdzie już tak nimi nie trzęsło. Nie był to jednak spokojny lot.

- Na szczęście Federalnej Administracji Lotniczej będzie się tłumaczyć St. Kilda - powiedział pilot.

- A co tu tłumaczyć? Problemy z silnikiem i tyle - odparł Zach. - Wysadź mnie jak najbliżej wjazdu na ranczo.

Zapowiadało się naprawdę krótkie lądowanie. Pilotowi wymknęło się słowo, którego administracja lotnicza na pewno by nie pochwaliła.

- Dasz radę? - spytał Zach.

- Zaciśnij pas - rzucił tylko pilot.

Zach patrzył na budynki, które z każdą sekundą stawały się coraz większe. Jill nie było nigdzie widać.

Weszła już do środka.

Bądź mądra, Jill, pomodlił się w duchu Zach. Odwróć się i co sił w nogach wiesz do cadillaca.

Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Co gorsza, wiedział, że tak naprawdę nie ma znaczenia, co zrobi.

Red Hill nie jest bandą amatorów.

Rozdział 84

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.31

Jill weszła przez otwarte drzwi domku do pokoju, który wyglądał na tani i wysłużony. Stała przy futrynie i się rozejrzała. Dywan był wyblakły i poplamiony, ale ławę ktoś niedawno odkurzył. Przy tanim stole z beżowym blatem stały dwa tandetne żeliwne krzesła. Telewizor był włączony, ale bez głosu. Na ekranie migają obrazki z odtwarzanego z kasyety filmu pornograficznego.

Choć teren wokół domków był zaniedbany, a basen pusty, odniosła wrażenie, że z pokoju nadal korzystają pracujące dziewczyny. Łóżko było pościelone. Stół i telewizor - odkurzone. Prąd podciągnięty.

Za ścianką działową w głębi pokoju stało olbrzymie jacuzzi. Wanna była pełna wody, ale nikogo w niej nie było. Kurki były odkręcone. W powietrzu unosił się charakterystyczny, ostry zapach chloru.

Może przed numerkiem dziewczyny kazały klientom kąpać się w wybielaczu?

Ona by tak zrobiła.

- Jest tu kto?! - krzyknęła.

Schowany w łazience Score miał ochotę się roześmiać. Wreszcie suka jest w zasięgu ręki. Od dawna czekał na ten moment. Od bardzo dawna.

- Proszę wejść - warknął. - I zamknąć drzwi.

Głos wydał się Jill znajomy. Blanchard bez kataru? Nieznajomy bez filtra zniekształcającego głos?

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że kilka osób wie dokładnie, gdzie jestem? - spytała Jill, nie ruszając się od drzwi.

- Niech pani włazi. - Score przez kominiarkę podrapał się po twarzy. - Marnuję przez panią czas.

A ja nie marnowałam? - pomyślała Jill.

Powoli weszła za próg. W jednej ręce trzymała walizkę. Drugą miała bardzo blisko rozpiętej saszetki w pasie. Serce próbowało podejść jej do gardła, ale na drodze stał żołądek.

- Powiedziałem, żeby zamknęła pani drzwi - odezwał się szorstko Score. - Ma pani problem ze słuchem?

- Jak pan chce, to niech sam je sobie zamknie. - Adrenalina wywołała u Jill złość.

- Chyba za mało było pani w Mesquite? - Score wyszedł z łazienki.

- Za mało czego?

- Strachu.

- Jeżeli chce mnie pan przestraszyć, niech pan zdejmie maskę. Na pewno będę przerażona.

Score obszedł ściankę działową i stanął przy Jill. Był podobnego wzrostu co ona, tyle że dwa razy cięższy i trzy razy bardziej umięśniony. Zerknął groźnie na walizkę w jej ręku.

- Gdzie reszta? - spytał ostro.

- Mam ze sobą dwa obrazy. Może je pan obejrzyć, ale pod warunkiem, że najpierw zobaczę pieniądze.

- Wierzysz w cuda? - spytał Score.

Jill zmagą się z niebezpieczną mieszaniną strachu, adrenaliny i złości.

Przegrała.

- To dlatego zamordowałaś Modesty? - odcięła się. - Bo wierzyła w cuda?

Score się roześmiał, mimo że w środku wrzał z wściekłości.

- Była głupia. Rzuciła się na mnie, przewróciła i sama się przeniosła wprost na tamten świat. Wyobrażasz sobie taką głupotę?

Słyszając lekceważącą opowieść o śmierci ciotecznej babki, Jill poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę kubek zimnej wody.

- Nie - odpowiedziała. - Wyobrażam sobie, że załatwiemy sprawę i wyjeżdżam.

- Nie chcesz się zabawić? - Score oblizał powoli wargi.

W otworze czarnej kominiarki jego język wyglądał na gruby i wilgotny. Jill przyglądała się nieznajomemu, czując jednocześnie strach i obrzydzenie.

Score się roześmiał - wiedział, że ją przeraża. Podeszedł do szafy, wyjął z niej teczkę i wrócił do Jill.

Stał naprawdę blisko.

Chciała się cofnąć. Nie zrobiła tego.

Wie, że się nim brzydę. Wykorzystuje to, żeby mnie zastraszyć.

Wzięła teczkę i podała mu walizkę. Na jej twarzy nie drgnął nawet mięsień, kiedy palce w gumowych rękawiczkach powoli otarły się o jej dłoń.

- Nie ruszaj się stąd - powiedział. - Przelicz pieniądze. Jeśli chcesz, wyrzuc je na łóżko i naciesz się. Tylko nie próbuj wychodzić, dopóki ci nie powiem. Bo zrobię ci krzywdę. Mnie sprawi to przyjemność, tobie raczej nie.

- Dokąd pan idzie?

- Sprawdzić, czy obrazy są prawdziwe.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Jill podbiegła do okna, lekko uchyliła ciężkie, spleśniałe kotary i wyjrzała przez okno.

Mężczyzna ściągnął z głowy kominiarkę, przeszedł dwa domki dalej, zapukał do drzwi i wszedł.

Zdażyła zapamiętać jego twarz w gasnącym świetle zmierzchu.

Mimo że miała ograniczone pole widzenia, po chwili dostrzegła, że z tego samego domku wyszedł inny mężczyzna.

Wyglądał schludnie, był świeżo ogolony, ubrany w czarne spodnie i grafitową koszulę. Nie miał krawata. Jego buty informowały o pieniądzach właściciela. Dużych pieniądzech.

Sprawił wrażenie pewnego siebie.

Sprzedawca dzieł sztuki? Prawnik? Podejrzany milioner?

Nie nosi lateksowych rękawiczek, więc może nie ma nic wspólnego z wszarzem w kominiarce, pomyślała. A może i ma. Najwięksi złodzieje zatrudniają najdroższych prawników.

Wszarz wskazał stodołę. Jill dostrzegła błysk słońca odbitego na szkłe lub metalu.

Wyjęła blackberry.

- Jestem w domku numer 4 - powiedziała wyraźnie. - Nie przedstawił się. Dwa domy dalej czeka dobrze ubrany mężczyzna. Prawnik, handlarz dziełami sztuki albo wielkowiejski milioner. Rozmawia z napakowanym bandytą, który przywitał mnie w kominiarce. W stodole są jeszcze inni ludzie. Nie wiem ilu. Nie wiem, kim jest przeciwnik, ale na pewno ma dużo forsy. - Jill odeszła od okna. - Teraz jestem sama. Sprawdzam, czy jest jakieś wyjście.

Niestety.

U góry, nad sedesem znajdował się ruchomy panel z matowego szkła. Jill stanęła na klapie sedesu i przesunęła szybę.

- Nie ma tylnych drzwi, ale znalazłam nad głową małe okienko. Widzę stajnię i... - Głos jej się załamał. Z trudem przełknęła ślinę. - Przy wejściu czekają dwa wielkie dzipty, z przyciemnianymi szybami. Widzę też coś, co wygląda jak śmigło helikoptera. Słyszycie mnie, St. Kilda? To pułapka.

Bez wyjścia.

Rozdział 85

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.34

Biały lincoln navigator podjechał, zanim samolot zdążył się zatrzymać. Zach odpiął pas bezpieczeństwa, otworzył drzwi i zeskoczył na asfalt, z plecakiem w ręku.

Wszystkie szyby navigatora były opuszczone. Do samochodu z zamkniętymi oknami da się strzelać, ale cholernie ciężko oddawać z niego ogień.

Z przedniego siedzenia auta wysiadł mężczyzna, który wcisnął się na pełną już tylną kanapę, robiąc Zachowi miejsce obok kierowcy.

Zach wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi. Nie rozpoznał żadnej z osób w Lincolnie, ale nie musiał. Wystarczyło, że wszyscy trzymali broń jak zawodowcy, a pod ubraniami mieli kamizelki kuloodporne.

Zach żałował, że ani on, ani Jill nie mają na sobie kamizelki. Swojej nie zabrał, kiedy wyjeżdżał z domu, bo wybierał się na wakacje, które niespodziewanie zamieniły się w pracę, a Jill pewnie nie wiedziała nawet, jak wygląda kamizelka kuloodporna.

Navigator wjechał na drogę prowadzącą na ranczo i przyspieszył, reflektorami rozświetlając mrok.

- Jest tam jeszcze Red Hill? - spytał Zach agentkę za kierownicą.

- Tak słyszałam - odparła.

- Bomba.

- To samo powiedział Faroe.

- Coś nowego? - spytał Zach.

- Klientka...

- Jill - wtrącił Zach. - Ma na imię Jill.

- Pluskwa w blackberry działa. - Agentka spojrzała na niego z ukosa. - Jill wypatrzyła samochody oraz helikopter Red Hill i je opisała. Jest w czwartym domu po prawej.

Szukała tylnego wyjścia. Nie znalazła. W schowku są dla ciebie słuchawki.

Zach otworzył schowek, nałożył słuchawki na głowę i ustawił głośność. Teraz mógł się porozumiewać z resztą zespołu i z St. Kildą.

- Wiecie, kto wynajął Red Hill? - spytał.

- Może Faroe wie, ale nie powiedział.

- W takim razie nie wie - skwitował.

Navigator wjechał na wyboistą ścieżkę. Mocno nimi zatrzęsło. Agentka za kierownicą wciskała pedał gazu do połowy. Zach usłyszał w słuchawkach głos Jill:

- Facet w kominiarce do mnie wraca. Wygląda na wkurzonego. Ma w ręku broń. Nie wiem, co się stało w szóstce, ale się wściekł.

- Szybciej - warknął Zach.

Kobieta docisnęła pedał gazu i samochód wyrwał do przodu. Zach miał przeczucie, że i tak jadą za wolno.

Rozdział 86

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.35

Score naciągnął kominiarkę na twarz i podszedł do czwórki. Wrzał z wściekłości, bo zmieszał go z błotem jakiś o połowę od niego młodszy słodkopierdzący prawnik, któremu się zdawało, że prywatny detektyw to durny amator.

Głupek mało nie posikał się ze strachu, kiedy zobaczył broń. Chyba mu się wydaje, że światem kręcą piękne słówka z jego zakłamanej gęby.

Sprowadzenie go tu było pomyłką.

Score wkrótce ją naprawi. Uśmiechnął się do własnych myśli.

Wizja miliona dolców i wycieczki do Ameryki Południowej z każdą sekundą wyglądała coraz bardziej zachęcająco. Już dość się nasłuchał bredni od złotoustych spryciarzy w drogich garniturkach.

Otworzył drzwi domku numer 4 z taką siłą, że same zatrzasnęły się z powrotem. Niepokoił się, że zaczynają mu puszczać nerwy.

Do diabła z tym!

Koniec tej zabawy. Jeżeli będzie tu jakaś zadyma, to rozpętam ją ja.

Jill podniosła głowę znad teczki pełnej plików używanych studolarówek. Nie wiedziała, ile jest pieniędzy, ale oceniała, że dwa miliony. Nawet w setkach taka suma to kupa banknotów.

Dokładnie licząc, dwadzieścia tysięcy.

- Gdzie reszta obrazów? - spytał ostro Score.

- Gdzie reszta pieniędzy?

- Zobaczysz je, kiedy dostanę resztę obrazów.

Nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy się martwić, że miała rację, iż będzie próbował ją oszukać.

- Dawaj kluczyki do samochodu - rozkazał.

- Po co?

- A w dupie z tym. - Odwrócił się na pięcie. - Te rozwałę, a resztę spalę.

- Zaczekaj! - Jill sięgnęła do saszetki. Pistolet był zimny i wydawał się niemal nieprawdziwy. Kluczyki były zwykłe. Rzuciła mu je. - Masz.

Score chwycił klucze złowieszczym ruchem ręki. Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk uruchamianego silnika. Potem drugiego. Odgłosy samochodów zagłuszyło wycie startującego helikoptera.

Co jest, do cholery? - pomyślał Score. Najpierw spieprza policjant, teraz znudziło się Red Hill.

Wyjrzał za drzwi i zobaczył, jak czarny džip przyspiesza, mija domki i wyjeżdża na bitą drogę prowadzącą do autostrady. Za pierwszą terenówką jechała druga, identyczna. Obie w pośpiechu opuszczały teren rancza. Jedno z aut zatrzymało się jeszcze, żeby zabrać ludzi nadbiegających z pustyni w zakurzonych kombinezonach maskujących, z bronią przewieszoną przez plecy.

Score zaklął i wycelował pistolet w Jill.

- Bierz się do liczenia forsy, suko. Wyjdiesz i nie żyjesz. Znieruchomiła.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Chwyciła blackberry i podbiegła do okna.

- Coś się dzieje - powiedziała szybko do pluskwy. - Dżipy odjechały. Facet w kominiarce wypadł stąd z pistoletem w rękę. Chyba zupełnie stracił głowę. Wrzeszczy w stronę szóstki, wymachuje bronią. Nawet po ciemku widzę, że jest czerwony na twarzy. Nie rozumiem, co mówi. Biegnie do niego ten elegant. Ma przy uchu komórkę i wrzeszczy na faceta z kominiarką. Helikopter odlatuje. Dżipy jadą w kierunku autostrady i...

Jill zamilkła przerażona, słysząc pojedynczy strzał. Elegancki mężczyzna zachwiał się i runął na ziemię.

- Zastrzelił go - wydusiła Jill oniemiała. - Mój Boże, po prostu go zastrzelił.

Pistolet eksplodował drugi raz. Tym razem strzał trafił w głowę. Mężczyzna wygiął się, po czym opadł bezwładnie na ziemię.

Facet z kominiarką spojrzął na ciało, splunął i się odwrócił.

Blackberry wypadło Jill z zeszywniałych dłoni. Coś poszło nie tak.

A teraz morderca zmierza prosto do niej.

Pobiegła do łazienki, chwytając po drodze teczkę z pieniędzmi i żeliwne krzesło. Zamknęła drzwi, przechyliła krzesło i wsunęła je pod kłamkę.

Na razie jestem bezpieczna, pomyślała, trzymając teczkę przed sobą jak tarczę.

I jestem w pułapce. Mówiłam o pułapce?

Drzwi wejściowe zaskrzypiały, kiedy ktoś mocno w nie kopnął. Następny kopniak z trzaskiem rozwalił tanie drewno.

Jill weszła na klapę sedesu i wyszarpnęła szklany panel z okna na górze. Nie wiedziała, czy da radę wyjść przez mały otwór.

Wiedziała, że musi spróbować.

Wyjęła z saszetki pistolet, uderzyła nim w okienną ramę, wycelowała w drzwi i trzy razy pociągnęła za spust. Huk poniósł się echem po małej łazience.

Jeżeli facet w kominiarce stał przy drzwiach, ciężko go raniła albo zabiła.

Mężczyzna głośno zaklął i odpowiedział ogniem. Naboje przebiły drzwi na wysokości pasa i niżej, rozbijając porcelitowe sprzęty.

A więc nie stał przy wejściu. Zaraz wyważy drzwi i będzie strzelał dopóki Jill nie przestanie się ruszać.

Na zawsze.

Rozdział 87

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.38

Strzały przebiły się przez ryk silnika terenówki. Zach rozpoznał odgłos colta woodsmana. Odpowiedział pistolet większego kalibru.

- Faroe! - krzyknął szybko Zach. - Czy masz łączność z Jill?

- Nie. Z pluskwy w palmtree slyszełsmy strzały, ale Red Hill już wcześniej zgodziło się wycofać. Co się dzieje?

- Czy Jill jest z ich ludźmi?

- Nie.

Zach poczuł pieczenie w piersi i w brzuchu.

- Ona może być ranna. Niech Red Hill natychmiast się stamtąd wynosi.

- Generał już wydał rozkaz. Jill była ostatnio w czwórce.

- Jedź! - krzyknął Zach do kierującej agentki.

Uznała, że nie ma sensu tłumaczyć, iż szybciej jechać się nie da. Na wąskiej drodze przed sobą ujrzeli blask reflektorów nadjeżdżających z przeciwka dżipów. W świetle unosił się kurz i pył.

- Nie zwalniam i nie ustępuję im drogi.

Jill, odezwij się do mnie. Powiedz, że żyjesz.

Musisz żyć.

W słuchawkach slyszał tylko ciszę.

- Nie zjadą - rzuciła agentka.

- Zepchnij ich na bok.

Włączyła światła awaryjne i nie zdejmowała nogi z pedału gazu, pędząc przez mrok.

Auto Red Hill nie zwolniło do ostatniej chwili, aż nagle zjechało w krzaki. Rozległ się głośny zgrzyt, kiedy samochód zawadził o skałę. Terenówka Red Hill wyskoczyła w powietrze, opadła, wjechała z powrotem na drogę za Zachem i gnała dalej w stronę autostrady.

- Jest jeszcze drugie auto - powiedziała kobieta.
- Nie przejmuj się nim, dopóki nie zajedzie ci drogi.
- A jak zajedzie?
- Przywał w nie.

Czekała, ale Faroe nie zmienił polecenia Zacha.

- Zach, nie masz kamizelki - w słuchawkach rozległ się głos Grace. - Niech akcję przeprowadzą inni agenci.

Nie odpowiedział.

- Zach?

Kobieta spojrzała na twarz pasażera i odwróciła wzrok. Zach był w takim stanie, że wołała o tym nie myśleć.

Od strony rancza błysnęły światła. Druga terenówka Red Hill nawet nie próbowała stawać im na drodze. Kierowca zjechał na pustynię, szerokim łukiem wymijając auto St. Kildy, wrócił na bitą drogę i popędził dalej w kierunku autostrady.

Helikopter uniósł się w powietrze i odleciał. Migocząc światłami, wznosił się szybko, skręcając w kierunku Las Vegas.

Navigator z impetem zjechał pod czwórkę. Zanim agentka zdążyła całkowicie zatrzymać samochód, Zach otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię, wzbijając chmurę kamyków i piachu. Od razu zaczął biec, z bronią gotową do strzału.

W czwórce rozległ się strzał. I kolejny.

Potem kobiecy krzyk bólu.

Z domu wyskoczył krępy mężczyzna. Skręcił za róg, biegnąc szybko w stronę tyłu budynku. Pistolet w jego ręce lśnił złowieszczo w świetle reflektorów navigatora. Mężczyzna trzymał go jedną ręką i tak też strzelał.

Jak zbir z Taos.

Kule zaryły w piachu kilka centymetrów od Zacha. Zatrzymał się na chwilę i oddał dwa szybkie strzały.

Mężczyzna drgnął, zachwiał się i zniknął za budynkiem. Zach wyrzucił w biegu pusty magazynek i do kolby pistoletu załadował drugi.

Wszedł powoli do domku, trzymając pistolet uniesiony do twarzy. Przypomniwał sobie słowa agentki.

„Szukała tylnego wyjścia. Nie znalazła”.

- Jill! - krzyknął. - To ja, Zach!

Odpowiedziała mu cisza.

Z pistoletem gotowym do strzału trzema susami doskoczył do drzwi łazienki. Na widok odprysku w taniej farbie i czarnych dziur po kulach, poczuł ucisk w żołądku.

Jednym kopniakiem dokończył to, co zaczął ktoś inny. Drzwi zatrzęszczały i wypadły z zawiasów, pociągając za sobą krzesło.

Łazienka była pusta.

Rama okna nad sedesem, również. Zwisały z niej strzępy materiału w kolorze khaki.

Jill żyje.

Zabójca, który ją ściga, też.

Rozdział 88

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.40

Jill miała wrażenie, że ból jest żywym, dzikim stworzeniem, które złapało ją w swoje szpony.

Pogodziła się z nim i nie przestawała biec, przebierając szybko długimi nogami, dzika jak sam ból.

Po prawej ręce ciekła jej krew. Uchwyt teczki stał się śliski, a jednocześnie lepki. Przełożyła ją do drugiej ręki. Pomyślała o pistolecie w saszetce.

Nie teraz.

Później.

Jeżeli znowu wpadnę w pułapkę.

Pierwsze, czego nauczyła ją cioteczna babka, to nie tracić nabojów na cel, do którego można nie trafić. Biegła jak szalona, z rozciętą prawą ręką - miałyby szczęście, gdyby nie postrzeliła samej siebie.

Nie oglądaj się za siebie.

Albo jest za tobą, albo nie.

Zza pobliskiego głazu padł strzał. Skuliła się pod gradem skalnych odłamków.

Jest za mną.

Biegła, co kilka kroków przeskakując na boki, jak królik, którego goni kojot. Ból smagał ją jak bicz, zmuszając ciało do biegu, który był jedyną szansą na przeżycie.

Miała nadzieję, że dodatkowe strzały, które usłyszała wcześniej, oznaczały, że agenci St. Kildy dotarli na miejsce i wkrótce obezwładnią napastnika. Miała nadzieję, ale nie liczyła na to. Choć wydawało jej się, że biegnie całą wieczność, wiedziała, że minęło zaledwie kilka minut. Najwyżej trzy. A możliwe, że tylko dwie.

Ludzie St. Kildy nie zdążyliby dojechać.

Jesteś zdana na siebie.

Biegnij.

Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Oddech zaczynał ją palić w płucach. Mimo to nie zwolniła szaleńczego tempa. Nie spuszczała wzroku z pogrążonej w ciemności pustyni i wysokich suchych zarośli.

Z ukształtowania powierzchni wywnioskowała, że gdzieś przed nią znajduje się wąwóz. Nie wiedziała gdzie ani jak daleko.

Wiedziała tylko, że jest jej szansą na przeżycie.

Rozdział 89

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.41

Zach odwrócił się i rzucił się do drzwi, przedzierając się między ludźmi St. Kildy, którzy wbiegli za nim do środka.

- Zostań - rzucił jeden z agentów. - Nie masz kamizelki.

- Ona też nie - warknął Zach, odsuwając mężczyznę na bok.

- Dwoje ludzi biegnie na wschód! - krzyknął z łazienki inny agent. - Klientka z przodu. Cel za nią. Za daleko na pistolet. Złe światło pogarsza sprawę. Dajcie mi karabin!

Zach przyspieszył. W zapadającym zmierzchu karabin niewiele zdziałała. Jill mądrze zrobiła, rzucając się do ucieczki.

Zabójca też mądrze zrobił.

Ciszę za domem przerwał huk wystrzału.

Nie był to odgłos colta woodsmana.

Jeden z agentów za plecami Zacha zaczął energicznie wydawać rozkazy.

Zach pędził przed siebie, szybko oddalając się od domku. Uważał, żeby nie znaleźć się na linii ognia, na wypadek gdyby agentowi St. Kildy poszczęściło się z karabinem. W pamięci odtwarzał tych kilka sekund, kiedy miał zabójcę w zasięgu.

Trafiłem go, ale nie upadł.

Ma kamizelkę kuloodporną.

Najlepszy sposób, aby go szybko zabić, to wpakować mu kulę w łeb. Ale w biegu ciężko oddać celny strzał w głowę.

Nie ma sprawy. Podbiegnę na tyle blisko, żeby przestrzelić mu tyłek.

Ale to potrwa.

A Jill nie może czekać.

Rozdział 90

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.42

Jill biegła co sił w nogach przez drapiące, suche, sięgające ramion zarośla. Nagle znalazła się na krawędzi wąwozu. Spadając, przerzuciła ciężar ciała na jedną stronę i się obróciła. Upadła na ziemię bokiem i sturlała się po zboczu. Miękkie, piaszczyste dno wyschniętego wąwozu częściowo zamortyzowało upadek. Mimo to Jill porządnie zakręciło się w głowie. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

Jak ranne zwierzę zerwała się na nogi, oddychając gwałtownie w rytm szalonego bicia serca. Usłyszała szelest krzaków. Zabójca był coraz bliżej. Nierówne ściany koryta miały ponad półtora metra wysokości. Za dużo, żeby szybko uciec.

A szybka ucieczka była jej jedyną szansą na przeżycie.

Po lewej stronie długa, blada wstęga skał i piachu wznosiła się pod kątem do wyschniętego wodospadu. Jeden rzut oka wystarczył, żeby Jill stwierdziła, iż ciemne kamienie są za daleko. Po drodze, na tle tego jasnego piachu, byłaby idealnym celem.

Zginie, zanim dobiegnie do niepewnej osłony skalnej stromizny.

Po prawej stronie koryto ostro zakręcało za skaliste wzniesienie. Zaczęła biec ku niemu. Nie wiedziała, czy za zakolem znajdzie schronienie czy kolejny długi pas jasnego piachu. Ale była to jej jedyna nadzieja.

Ostatkiem sił dobiegła do zakrętu, dysząc ciężko.

Po ciemku nie zauważyła wystającego kamienia. Potknęła się i przewróciła. Wylądowała na plecach, a ciemne niebo zawirowało jej przed oczami. Spróbowała się poruszyć, wiedząc, że zabójca lada moment ją dostrzeże.

Ciało nie reagowało.

Oddychała z trudem, czekając na strzał.

Rozdział 91

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.42

Zach z każdym krokiem był coraz bliżej zabójcy. Nie wiedział, jak drań zarabia na życie, ale był pewien, że biegi nie należą do jego codziennych obowiązków. Zbliżając się do mężczyzny, słyszał chrapliwy oddech. Jill zniknęła mu z oczu. Albo padła na ziemię, albo udało jej się uciec.

- Klientka zniknęła - usłyszał Zach w słuchawce. - Zabójca jest... cholera, chyba wpadł w jakąś dziurę. Uważaj, Zach!

Po pięciu sekundach Zach wyhamował gwałtownie nad krawędzią ukrytego wąwozu. Na bladym piachu rzeczno koryta dostrzegł zwalistą postać. Mężczyzna odwrócił się w jego stronę.

Zach padł na ziemię w tej samej chwili, kiedy zabójca oddał w jego kierunku dwa strzały. Drań był niecałe pięć metrów od niego.

Zach nie celował w jasny koniec luty. Mierzył w udo.

Powalę go, a potem wykończę, powiedział sobie.

Nacisnął spust.

Mężczyzna zaklął i upadł na kolana.

W wąwozie rozległy się kolejne strzały. Zach zorientował się, że jeden pochodzi z colta woodsmana. Mężczyzna w wąwozie zachwiał się i zatoczył do tyłu, w stronę Zacha.

- Nie żyjesz, suko! - wrzasnął, unosząc pistolet, żeby postać Jill serię kul.

Zach zorientował się, że krzyczy, dopiero kiedy postać obróciła się w jego stronę. Dostrzegł mroczny błysk w oczach okalanych kominiarką i oddał dwa strzały.

Zabójca odbił się od ściany wąskiego koryta i runął na piach.

Leżąc na brzuchu, Zach celował pistoletem w miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa mężczyzny.

- Jill, tu Zach! - krzyknął. - Nie wstawaj, dopóki ci nie powiem. Odpowiedziało mu tylko niosące się po górach echo strzałów.

- Jill!

Zach wskoczył do wąwozu. Kopniakiem wytrącił zabójcy broń.

Niepotrzebnie. Nawet w mroku spowijającym dno wyschniętego strumienia widać było, że dwie wystrzelone z bliskiej odległości kule zupełnie roztrzaskały mu czaszkę.

- Zbliżam się, Jill. Nie strzelaj. Czekaj na odpowiedź.

Słyszał jedynie swój ciężki oddech, a w słuchawkach jazgot agentów, którzy domagali się informacji. Zerwał słuchawki z głowy i zawiesił sobie na szyi. Biegł w ciemności do zakola koryta.

Po chwili zobaczył Jill, leżącą twarzą do ziemi na bladym piachu. Upadł przy niej na kolana. Starając się uspokoić oddech, przyłożył dwa palce do tętnicy na jej szyi i modlił się żarliwie, jak niegdyś gdy był ministrantem.

Żyj! Żyj!

Serce waliło mu tak mocno, że nie mógł wyczuć pulsu. Wziął głęboki wdech i wypuścił powoli powietrze.

W chwili gdy wyczuł tętno, Jill jęknęła.

- Żyje - wydyszał gorączkowo, nakładając słuchawki. - Teraz się zamknijcie, a ja sprawdzę, co jej jest.

Faroe ostrym rozkazem uciął komunikację.

- Jill - powiedział łagodnie Zach. - Jill! - powtórzył stanowczo. Rozchyliła nieprzytomne oczy. W świetle latarki wydawały się nienaturalnie zielone. Oddech miała urywany, jakby nie mogła zaczerpnąć tchu.

- Przecież... kazałeś... się zamknąć.

- Im, nie tobie. - Pocałował jej spocony, zapiaszczony policzek. - Gdzie cię boli?

Obróciła się, syknęła z bólu, który palił prawą rękę, i usiadła.

- Wszędzie, ale nic mi nie jest. A tobie? Objął ją mocno.
- Teraz już nie.

Rozdział 92

Ranczo Oaza Szczęścia 17 września, godzina 18.46

Światła latarek tańczyły w zaroślach, aż w końcu natrafiły na krawędź koryta wyschniętej rzeki.

- Wchodzimy. - W słuchawkach Zacha rozległ się męski głos.

- Tylko na nas nie wpadnijcie - rzucił Zach.

Dwoje agentów St. Kildy zeskokczyło z dwumetrowego nasypu. Wylądowali na piachu jak spadochroniarze.

- Ktoś potrzebuje lekarza? - spytała kobieta.

- Nie - odparła Jill.

- Tak - powiedział Zach.

- Mówiłeś, że nic ci nie jest. - Jill szybko przesunęła dłońmi po jego ciele, szukając ukrytych obrażeń.

- Mnie nie. - Pocałował ją w zabrudzone czoło. - Tobie.

- Wystarczy trochę wody i mydło, i za pięć minut będę jak nowa. Zach skrzywił się i dotknął słuchawek.

- Faroe chce, żeby ktoś cię obejrzał. A może to Lane. Głosy mają coraz bardziej podobne.

- Nic mi nie jest. - Pochyliła się nad małym mikrofonem przy twarzy Zacha. - Jestem brudna, zmęczona, lekko drażnięta, poza tym wszystko w porządku.

- Gdzie zabójca? - spytał jeden z agentów.

- Jakies dziesięć metrów stąd.

- Martwy?

- O tak - potwierdził Zach.

- Znasz go? - spytała agentka.

- Nie. Będą potrzebne odciski palców. Miał kamizelkę kuloodporną.

- Rozumiem. Zdjęcie twarzy pewnie nic nam nie da. - Agentka odwróciła się i zaczęła iść w górę koryta.

- Dlaczego odciski palców? - spytała Jill.

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

Zach usłyszał odgłos rozpinanego rzepu. Wiedział, że agentka znalazła ciało zbrojcy i że zdejmuje mu kamizelkę.

- Ten człowiek zabił Modesty - powiedziała stanowczo Jill. - Mam prawo wiedzieć.

- Strzeliłem mu dwa razy w twarz z bliskiej odległości.

- Ach tak. - Zaczepnęła chrapliwie powietrza. - W takim razie zdjęcie twarzy rzeczywiście na nic się nie przyda. A czy wiemy, kim był ten wystrojony facet?

Agent, który przy nich został, przełączył częstotliwość w słuchawkach, powiedział coś cicho do mikrofonu i odwrócił się do Jill.

- Identyfikacja wskazuje, że to prawnik z Carson City.

- Co tu robił? - Jill zamrugnęła.

- Dobrze pytanie - stwierdził agent. - Niestety na razie nie znamy odpowiedzi.

- Witaj, Harry - w ciemności rozległ się głos agentki.

- Rozpoznałaś zbrojcę?! - krzyknął Zach.

- Na pewno nie po pięknej buźce! - odkrzyknęła. - Ma tatuaż na lewej piersi. „Susie”. Tak miała na imię jego trzecia żona.

- Znasz go?

- Pracowałam dla Harry'ego „Score'a” Glammisa, kiedy byłam na studiach. Był prywatnym detektywem hollywoodzkich bogaczy i przestępców. Odeszłam, kiedy śmiertelnie pobił kochankę swojej żony i się z tego wywinął. Zostały mu blizny na dłoniach. Nie pierwszy raz zabił. Oczywiście, zawsze robił to w obronie koniecznej.

- Milutki - skwitował Zach.

- Podobno nie umiał panować nad złością - powiedziała drwiąco agentka. - Za dużo sterydów. Chyba pomogłeś mu rozwiązać problem.

Zach wypuścił Jill z objęć i wstał.

- Dasz radę się podnieść? - spytał.

Skrzywiła się, ale wstała o własnych siłach, lekko się przy tym chwiejąc.

- W porządku? - upewniał się, podchodząc do niej szybko, żeby ją podtrzymać.

- O ile nie będę musiała znowu uskuteczniać dwukilometrowego galopu po pustynnych wybojach, będzie dobrze. - Wsparała się na jego ramieniu. - Nie czuję się super, ale da się wytrzymać.

- Wyglądasz nieźle. - Zach pocałował ją w zakrwawioną wargę. - Idziemy?

Już miała odpowiedzieć, kiedy coś jej się przypomniało.

- Przeszukaliście wszystkie domki? Facet w kominiarce mówił, że zanosí obrazy do sprawdzenia. A prawnik chyba nie był znawcą sztuki.

Zach spojrzał na agenta, który przy nich stał.

- Sprawdzamy domki jeden po drugim.

- Znaleźliście kogoś? - spytał Zach, kiedy agent skończył rozmawiać przez zestaw słuchawkowy.

- Na razie dwóch mężczyzn. Kena i Lee Dunstanów.

- A skąd oni się tu wzięli?

- Mówią, że pracowali dla zabitego prawnika - wyjaśnił agent. - Stary przyjechał obejrzeć obrazy dla klienta prawnika, który był podobno szantażowany przez jakąś Jillian Breck. Ken Dunstan przyjechał wesprzeć ojca w, cytuję, „stresującej sytuacji”.

Zach burknął coś niecenzuralnego pod nosem.

- Co dalej? - spytała Jill, spoglądając na niego.

- Ich historia jest na tyle wiarygodna, że na tym sprawa się kończy.

- Ale ja nikogo nie szantażowałam! Wiesz o tym!

- Wiem. - Tylko co z tego, pomyślał ze znużeniem. - Ale skoro Glammis i prawnik nie żyją, nie mamy punktu zaczepienia.

- Co to znaczy?

- Koniec.

- Ale Glammisa ktoś wynajął i jest winny współudziału w morderstwie - zauważyła Jill.

- Glammis nie żyje. Ten, kto mu płacił, może powiedzieć, że facet wyszedł poza ramy zlecenia. Cholera, tak mogło być naprawdę.

- Chcesz powiedzieć, że nie możemy tknąć sukinsyna, który wynajął zabójcę mojej ciotecznej babki? - Jill aż kipiała z oburzenia. Zmrużyła oczy.

- Nie w obliczu prawa. A St. Kilda nie działa poza prawem. Jill wpatrywała się w niego pociemniałymi oczami. Przyciągnął ją do siebie i zaczął tulić, kołyszając rytmicznie.

- Przykro mi. Czasami trzeba się zadowolić namiastką zemsty.

- Ale to niesprawiedliwe - wyszeptała mu w pierś.

- Wiem. Ale tylko tyle mamy.

Z oddali dobiegło wycie syren. Ktoś wezwał szeryfa.

- Czy St. Kilda może nas uratować przed więzieniem? - spytała Jill.

- Tak, chociaż szeryfowi to się nie spodoba. Nie ma wątpliwości, że działaliśmy w obronie własnej.

Jill wzięła głęboki wdech.

- To dobrze, bo mam pomysł.

Rozdział 93

Las Vegas 18 września, godzina 14.00

Sala konferencyjna, którą dyrekcja hotelu Golden Fleece udostępniła St. Kildzie na to popołudnie, przypominała podobne pomieszczenia w ekskluzywnych centrach biznesowych w Los Angeles, Bostonie, Houston czy w Nowym Jorku. Były tu lśniący stół, zdalnie sterowany sprzęt do cyfrowego zapisu obrazu i dźwięku, laptopy dla wszystkich uczestników, długopisy i papier dla tych, którzy czuli się pewniej, korzystając z tradycyjnych przyborów, oraz miękkie skórzane krzesła, dla zapewnienia wygody ważnym osobistościom biorącym udział w spotkaniu.

Na sztalugach z przodu sali stało dwanaście pięknie oprawionych, niesygnownych pejzaży. Patrzył na nie tylko Ramsey Worthington. Po jego minie widać było, że fascynacja zmagą się w nim z przerażeniem.

Grace przystanąła na korytarzu przy otwartych drzwiach.

- Wiadomo już coś? - spytała szeptem.

- Będą - mruknął Faroe, pukając palcami w bezprzewodową słuchawkę w uchu.

- Z czy bez? - spytała.

- Z.

Grace uśmiechnęła się w taki sposób, że Faroe cieszył się, że nie ma jej przeciwko sobie. Weszła do otwartej sali, w której kipiało od zniecierpliwienia i zadęcia. W powietrzu unosił się odór wczorajszego burbona, którym przy każdym uderzeniu serca pocił się Lee Dunstan. Wyglądał, jakby miał potężnego kaca.

- Właśnie miałem doradzić moim klientom, żeby wyszli - powiedział Carter Jenson, spoglądając na wart dziesięć tysięcy dolarów zegarek.

- Żałowałiby - odparła Grace.

Nie usiadła. Stała w połowie długości stołu, ubrana w jedwabną bluzkę, buty na niewielkim obcasie i świetnie skrojone spodnie. Widać było, że dobrze się czuje we własnym ciele. Na stole położyła teczkę.

Faroe oparł się o ścianę przy drzwiach, przyjmując postawę odprężonego drapieżnika. Uwielbiał patrzeć, jak Grace sprowadza do parteru zarozumiałych gogusiów.

- Czy muszę państwu streszczać wydarzenia wczorajszego wieczoru? - spytała Grace, rozglądając się po zebranych.

Caitlin Crawford miała na sobie garsonkę dużo droższą niż strój męża, ale daleko jej było do jego swobody. Siedziała sztywno jak na krześle elektrycznym.

- Nie rozumiem, co wczorajsze wypadki mają wspólnego z moim mężem - powiedziała oschle.

- Moi klienci i ja zostaliśmy poinformowani o zajściu na hm... ranczu. - Jenson spojrział na Caitlin.

- W burdelu - poprawiła Grace. - Używam tego słowa nie bez powodu. Jediną rzeczą, jaką sprzedawano na tym... jak pan to ujął... ranczu, był seks.

Caitlin zagryzła wargi.

- Czy pana klienci w dalszym ciągu utrzymują, że żadne z nich nie wynajęło Harry'ego „Score'a” Glammisa? - spytała Grace.

- Tak - odpowiedział prawnik.

- Psiakrew - rzucił Tal. - Usłyszałem o nim dopiero wczoraj.

- Tak samo ja - wtrącił Lee Dunstan.

Worthington wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową.

- Skoro panowie tak twierdzą... - Grace uniosła brew i spojrzała na mężczyzn.

- Takie są fakty - stwierdził Jenson.

Grace zastukała niepomalowanymi paznokciami w teczkę. Wyjęła z niej kilka kartek.

- Od piętnastu miesięcy Tal Crawford usiłuje dojść do porozumienia z urzędem skarbowym w kwestii bezprawnego wykorzystania przez jego firmę ulg podatkowych.

- To bez związku z tematem - warknął Jenson.

- Nie jesteśmy, co prawda, na sali sądowej, ale z przyjemnością udowodnię panu, że związek istnieje - odparła Grace. - Kwota do zapłaty jest nadal negocjowana, jednak obie strony są zgodne, że wyniesie ona około pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu milionów, włącznie z odsetkami.

Caitlin westchnęła i spojrzała na męża. W roztargnieniu poklepał ją po ramieniu.

- Jak zapewne poinformowali pana Crawforda jego doradcy podatkowi, istnieją dwa sposoby uregulowania należności - ciągnęła Grace. - Pierwszy to wystawienie czeku. Niestety, urząd skarbowy nie przyjmuje czeków bez pokrycia, a tylko takimi dysponuje obecnie pan Crawford.

Na twarzy Tala malowało się napięcie.

- Fakt niewypłacalności nie zwalnia z obowiązku uiszczenia należnych podatków. - Grace odłożyła kartki. - Pan Crawford nie może więc wykorzystać ogłoszenia bankructwa do wywinięcia się fiskusowi. Mógłby sprzedać aktywa, ale gdyby rozniosło się, że Crawford International na gwałt potrzebuje gotówki, notowania akcji spadłyby na łeb na szyję i byłby doszczętnie splukany. Splaciłby zobowiązania, ale został bez grosza.

Worthington pokręcił głową z politowaniem.

Caitlin zacisnęła dłonie w pięści, wbijając pomalowane na brzoskwińowo paznokcie w skórę.

- Jedynym sposobem na to, aby Crawford mógł uregulować zobowiązania wobec rządu, jest złagodzenie warunków spłaty należności - kontynuowała Grace. - Co

ciekawe, senator wspaniałego stanu Nevada zgłosił do projektu ustawy podatkowej aneks, który pozwala osobom fizycznym, spełniającym odpowiednie kryteria, przekazywać dzieła lokalnych artystów w ramach rozliczeń zaległych podatków.

- Wszystko odbyło się zgodnie z prawem - powiedział niecierpliwie Jenson. - Tak jest od zawsze.

- To się nazywa populizm i owszem, uprawia się go od zawsze - rzekła Grace. - Oczywiście nikt przy tym stole nie będzie zaskoczony, jeśli powiem, że pan Crawford spełnia kryteria stawiane w aneksie do ustawy podatkowej, która weszła w życie pół roku temu.

Worthington się rozluźnił. Wyglądało na to, że kura przynosząca złote jajka jednak przeżyje.

Crawford wyglądał na poirytowanego.

Dunstan miał oszołomioną minę. A może po prostu męczył go kac.

- Pan Crawford posiada kilka dzieł sztuki współczesnej, które z nawiązką pokryłyby jego zobowiązania podatkowe. Obrazy te znajdują się jednak w posiadaniu kilku banków w ramach poręczenia kredytów.

- To również jest zgodne z prawem - syknął Jenson.

Faroe poruszył się przy drzwiach. Prawnik zerknął na niego nerwowo. W przeciwieństwie do Grace, Faroe nie był ubrany stosownie do okoliczności. Jego ciemny T-shirt, dżinsy i kabura z bronią onieśmiały, podobnie jak jego oczy. Gdyby ktoś pytał, pilnował obrazów.

Nikt nie pytał.

- Pan Crawford posiada dużą kolekcję dzieł sztuki Zachodu. - Grace wyjęła z teczki kolejne dokumenty. - Ale nawet najbardziej przychylny rzeczoznawca nie wyceniłby jej na sto czterdzieści do stu osiemdziesięciu pięciu milionów dolarów.

Spojrzała na Worthingtona. Nie zaprotestował.

- Powszechnie wiadomo, że za dzieła wystawione na aukcjach uzyskuje się ogromne kwoty.

- Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem - wtrącił znowu Jenson.

Faroe pomyślał, że obecność prawnika jest zupełnie zbędna. Wystarczyłby magnetofon.

- Wyłączając płótna Thomasa Dunstana, za kolekcję dzieł sztuki Zachodu pan Crawford mógłby w rzeczywistości uzyskać około dwunastu milionów dolarów, i to tylko wówczas, gdyby wyprzedawał ją po cichu przez dłuższy czas. Gdyby rozeszła się pogłoska o bankructwie, kolekcja poszłaby za grosze.

Prawnik spojrzał na Worthingtona. Pośrednik nie zaprzeczył.

- W ten sposób doszliśmy do osoby Thomasa Dunstana. - Grace rozłożyła na stole kolejne papiery.

- Mistrza, cenionego artysty Zachodu - wtrącił natychmiast Worthington.

- Tak - przyznała Grace, biorąc następną kartkę. - Rok temu pan Crawford kupił jeden z obrazów Dunstana za cztery miliony dolarów. Sprzedał mu go Lee Dunstan, który następnie podarował część praw do innego obrazu artysty nowemu muzeum w Carson City na pokrycie podatku z tytułu sprzedaży.

- Taki układ - wyjaśnił melodyjnie Tal. - To było jedno z najlepszych i największych płócien Dunstana.

- Tak czy inaczej, podniosło to ceny pozostałych Dunstanów w pana kolekcji o kilka milionów dolarów. - Grace uniosła ciemną brew. - Jednak sprzedaż jednego obrazu nie wystarczyła do przekonania urzędu skarbowego, że cała pańska kolekcja wystarczy na wyrównanie zaległości

podatkowych. O ile się nie mylę, wymagali ceny ośmiu milionów za Dunstana.

- Te obrazy są tego warte - stwierdził Tal.

- To się okaże - powiedziała Grace.

- Tak. I to już jutro - odparował Tal.

- Jeżeli wierzyć plotkom - zauważyła Grace. - Albo jeżeli aukcja jest ustawiona. A to, panie Jenson, jest niezgodne z prawem.

Worthington zaczął pełną oburzenia przemowę w obronie aukcji.

- Proszę to zachować dla dziennikarzy - powiedziała Grace głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Ciekawa jestem, panie Worthington, co by się stało, gdyby nagle na rynku pojawiło się jednocześnie dwanaście nieznanych Dunstanów?

Lee Dunstan zaczął wygłaszać tyradę na temat „kłamliwych suk z rodziny Breck”.

Jenson pochylił się i powiedział mu coś na ucho. Lee przerwał w pół słowa.

- Jedyne nowe Dunstan, o jakim ostatnio słyszałem, to falsyfikat - oznajmił Tal. - Jakaś staruszka próbowała wcisnąć nam kit. Lee od razu ją ustawił.

- Mam kopię listu do pani Modesty Breck, którego autor twierdzi, że jej obraz jest bezwartościowy - odparła Grace. - Oraz, że zaginął w transporcie. Interesujący zbieg okoliczności.

- Protestuję przeciwko pani insynuacjom - zareagował błyskawicznie Jenson.

Grace go zignorowała.

- Kilka tygodni po otrzymaniu listu Modesty zginęła w pożarze. Zdaniem biegłego sądowego - którego kwalifikacje, nawiasem mówiąc, pozostawiają wiele do życzenia - wywołała go sama, kiedy dolewała nafty do gorącego piecyka.

Worthington się wzdygnął.

- Spadek odziedziczyła jej cioteczna wnuczka, Jillian Breck - podsumowała Grace.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z moimi klientami. Marnujemy tylko czas na ... - zaczął Jenson.

- Jill rozesłała cyfrowe zdjęcia trzech obrazów do kilku galerii - Grace zagłuszyła prawnika - ale nie otrzymała odpowiedzi. Niedługo potem zadzwonił do niej niejaki Blanchard z propozycją kupna malowideł. Nic nie kupił, ale zwrócił zagubione płótno w strzępach wraz z pogroźką, że Jillian zginie, jeżeli się nie wycofa.

Wszyscy poza Jensonem poruszyli się nerwowo, na wszelki wypadek nie patrząc na siebie.

- Jill zwróciła się o pomoc do Garlanda Frosta, wybitnego eksperta z dziedziny sztuki Zachodu. Wtedy Harry „Score” Glammis postrzelił pana Frosta i spalił skrzynie transportowe, przekonany, że znajduje się w nich dwanaście niesygnowanych obrazów.

- O co tu chodzi? - mruknął Tal.

Caitlin zamknęła oczy. Jeszcze głębiej wbiła paznokcie w dłoń.

- I tym razem obrazy ocalały — powiedziała Grace. - Jill odkryła, że na dwóch malowidłach Frosta, podpisanych i autoryzowanych Dunstanach, na dolnej krawędzi płótna znajduje się odcisk kciuka.

Worthington wyprostował się na krześle i spojrzał na dwanaście obrazów z mieszaniną pożądania i przerażenia.

- Jill udała się do Canyon County w poszukiwaniu odcisków palców Dunstana. Znalazła je. Dowiedziała się też, że odcisk na obrazach Frosta i jej własnych nie należy do Dunstana.

- A nie mówiłem - syknął rozwścieczony Lee. - Ta kłamliwa suka...

- Jill Breck trzyma was wszystkich w garści - przerwała mu chłodno Grace. - Radzę więc, aby się pan zamknął i posłuchał.

Lee zaniemówił. Faroe stłumił uśmiech.

- Odcisk kciuka należy do babki Jill, Justine Breck, która także była malarką - ciągnęła gładko Grace. - Wraz z odciskami palców, w dokumentach więziennych Jill znalazła list, w którym Justine wyjaśnia Thomasowi, że ma dość życia w kłamstwie.

Lee rozpoczął kolejną tyradę. Tym razem mamrotał pod nosem.

Faroe odsunął się z przejścia, żeby wpuścić do sali Jill i Zacha. Zach stanął obok niego przy ścianie. Był ubrany podobnie jak szef i, tak jak on, uzbrojony.

Jenson, który coś zapisywał, odsunął notes.

- Odciski dowodzą jedynie tego, że Justine była z Dunstanem, kiedy powstawały obrazy, co zresztą wiadomo nie od dziś. Była jego żoną. Tworzył tylko przy niej.

Zach zmarszczył brwi. Prawnik był dobrze poinformowany.

- Dunstan nie malował bez Justine - stwierdziła Jill. - Ale ona malowała bez niego. Mogę to udowodnić. Tak samo jak to, że Thomas Dunstan podpisywał swoim nazwiskiem obrazy mojej babki, żeby można było je sprzedać w zdominowanym przez mężczyzn świecie Zachodu.

- Absurd! - skwitował Jenson.

Uśmiech Grace był równie chłodny, jak uśmiech jej męża. Wyjęła z teczki ostatni dokument.

- To uwierzytelniona opinia biegłego, Garlanda Frosta, który stwierdza, że jego zdaniem dwanaście niesygnowanych płócien namalował ten sam artysta, który stworzył te znane, podpisane nazwiskiem Thomasa Dunstana.

- Nawet jeśli okaże się, że to prawda - odezwał się Worthington - nie znaczy to, że namalowała je kobieta!

Zach wyprostował się, podszedł do płócien z przodu sali, zdjął ze sztalugi Indiańskie Źródła i zaniósł obraz Worthingtonowi.

- Nietypowe dla Dunstana jest... - zaczął pośrednik, ledwie rzucając okiem na malowidło.

- ...umieszczanie budynków w pejzażu - dokończył rzeczowo Zach. - A jednak kilka takich obrazów namalował i pan o tym wie.

Worthington skinął niechętnie głową.

- Czy w tym obrazie jest jeszcze coś, co podważa twierdzenie, że to praca Dunstana? - spytał Zach.

Worthington spojrzał nerwowo na Tala i Lee, po czym odkaszlnął.

- Musiałbym go przestudiować, żeby...

- Bla bla bla - uciał bezlitośnie Zach. - Nie jesteśmy w sądzie. Gdyby ktoś wszedł do pańskiej galerii i rzucił to panu na biurko, jaki artysta natychmiast przyszedłby panu do głowy?

Worthington westchnął zrezygnowany. Musiał myśleć o swojej reputacji. Tylko idiota nie zorientowałby się, co ma przed oczami.

- Oczywiście, Thomas Dunstan. Pociągnięcia pędzlem, mistrzowskie przedstawienie bezkresu ziemi, gra światła... - Wzruszył ramionami. - Dunstan.

- Indiańskie Źródła namalowano zaraz po wybudowaniu stacji benzynowej. - Jill postawiła przy obrazie wyblakłą fotografię. - Thomas Dunstan nie żył już od pięciu lat.

Rozdział 94

Las Vegas 19 września, godzina 17.00

Jill weszła do pokoju z dobrze zaopatrzonym barkiem, wygodnymi meblami i ekranem wewnętrznej sieci telewizyjnej, który zajmował pół ściany. W tej chwili pokazywał mozaikę dwunastu obrazów - uchwycony pod różnym kątem tłum ludzi, popijających wino, szampana, piwo i whisky, częstujących się kanapkami z delikatną jagnięciną i innymi wyszukanymi przekąskami. Rozmawiali i przeglądali katalogi.

- O rany - sapnęła Jill.

Zach skończył rozmawiać przez komórkę, wsunął aparat do kieszeni džinsów i również wszedł do pokoju.

- Zakłady sportowe to w Vegas duży biznes - wyjaśnił, myśląc o tym, czego przed chwilą się dowiedział. - Golden Fleece z radością podejmuje hazardystów, którzy chcą zorganizować zamkniętą imprezę. Mogą tu oglądać kilka meczów naraz albo jeden na pełnym ekranie.

- Testosteron rządzi. - Jill usiadła na długiej kanapie z miękkiej skóry. Zach usiadł przy niej, wgniatając siedzisko tak, że Jill zsunęła się do

niego. Na ławie przed nimi stały butelka szampana w wiaderku z lodem oraz półmisek wykwintnych dań z sali aukcyjnej. Obok leżał pilot do telewizora, który miał tyle przycisków, że można go było pomylić z panelem sterowania wyrzutni satelitów. Zach zaczął podrzucać go sobie w dłoni.

- Witaj w największym kasynie i butiku sztuki w Las Vegas - powiedział, celując pilotem w ogromny ekran. - W ciągu kilku najbliższych godzin właściciele zmieni od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu milionów dolarów, nie licząc przewidywanych cen Dunstanów, które zostały wycofane.

- Brecków - poprawiła odruchowo Jill. - Namalowała je moja babka.

- O tym zdecyduje społeczność artystyczna. - Zach się zawahał i wzruszył ramionami.

- Ale... - urwała. Miał rację. Tyle że bardzo jej się to nie podobało.

Zamiast łamać sobie głowę nad spadkiem po Justine, Jill zajęła się obserwowaniem mozaiki obrazów, ukazujących olbrzymią salę balową kasyna. Z przodu sali wzniesiono scenę z podium dla prowadzącego aukcję, za którą umieszczono długi rząd stanowisk telefonicznych. Parkiet został uprzątnięty, poza kilkoma minibarami, gdzie serwowano drinki, i tuzinem stołów bankietowych obładowanych jedzeniem.

Wokół darmowych przekąsek i napojów tłoczyło się kilkaset osób. Jeszcze więcej krążyło dookoła sali, gdzie za złocistymi sznurami ustawiono setki obrazów i rzeźb.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedział Zach, odkładając pilota.

- Na co? - spytała Jill.

- Żeby Ramsey Worthington, Lee Dunstan i Tal Crawford zrobili z ciebie multimilionerkę.

- Wolę patrzeć, jak dławią się swoimi słowami o najwspanialszym męskim malarzu amerykańskiego Zachodu.

- Jesteś pewna? Worthington ma rację: historycy sztuki nieprędko uzgodnią nową wersję historii Thomasa Dunstana i Justine Breck.

- I dobrze. Przynajmniej ten cholerny sukinsyn zdąży zbankrutować - stwierdziła sucho Jill.

- Który?

- Ten, który podbijał cenę Dunstanów i zamierzał ustawiać aukcję, by móc darować obrazy w zamian za umorzenie horrendalnych długów podatkowych.

- Tal Crawford.
- Właśnie tego sukinsyna miałam na myśli - powiedziała.
- On zbankrutuje, ale wartość twojego spadku może się obniżyć z milionów do kilku tysięcy dolarów - zauważył Zach. - Wielu kolekcjonerów sztuki Zachodu to szowiniści.
- Tym większą będę miała satysfakcję - odparła Jill z ponurym uśmiechem.

Zach zawahał się, ale po chwili stwierdził, że może powiedzieć Jill to, co przed chwilą usłyszał od Faroe'a.

- Mimo że to nie Tal, a Caitlin wynajęła Score'a?
- Co? - Jill odwróciła się tak gwałtownie, że zafalowały jej włosy.

- St. Kilda dotarła do nagrań kilku interesujących rozmów telefonicznych. - Zach wsunął Jill za ucho niesforny kosmyk włosów. - To Caitlin Crawford pociągała za sznurki. Opłacała Score'a z konta domowego. Tal je zasilał, ale nigdy nie pytał o wydatki.

- Ładne mi konto - mruknęła Jill.
- Bogacze to specyficzni ludzie. Tal nie miał pojęcia, co kombinuje jego żona.
- Jesteś pewien?
- Przysiągł, że podda się testowi na wykrywaczu kłamstw - powiedział Zach. - Faroe mu wierzy. Ponoć o mało nie dostał zawału, kiedy żona zaczęła na niego wrzeszczeć, że wszystko popsuł, że teraz ona umrze w biedzie i że to wszystko jego wina, bo nie umiał pilnować interesów.

Jill milczała.

- Czy to coś zmienia? - spytał Zach.

- Na przykład co?

- Twoje zdanie na temat aukcji. I twoich obrazów.

Jill zmrużyła oczy. Stukała miarowo palcami w jego udo.

Postanowił dać jej chwilę do zastanowienia, a sam zaczął oglądać telewizję. Rozpoznał zaskakująco wielu ludzi z

czasów, kiedy pracował u Gardlana Frosta. Milionerów z Teksasu z piwem i w sznurkowych krawatach, ich towarzyszek z kieliszkami wina na wysokości biustu, żeby lepiej było widać pierścienie z pięć - i sześciokaratowymi diamentami. Diamenty były prawdziwe. Biusty, w większości - nie.

Na jednym z ekranów Zach zauważył znajomego pośrednika z Montany, który miał na sobie mistrzowski pas zawodów rodeo. Zach wiedział, że mężczyzna nie kupił go w sklepie, ale uczciwie wygrał. Inny ekran ukazywał hodowcę świń z Arkansas, właściciela drugiej co do wielkości sieci rzeźni na Zachodzie. Jego trofeum była żona, w obcisłych markowych dżinsach, cielistym koronkowym staniku i czarnej zamszowej kamizelce, tak skrojonej, żeby odsłaniała niemal wszystko.

Na innym ekranie widać było przedwcześnie wyłysiałego producenta filmowego z Hollywood, na tyle próżnego, że ogolił sobie głowę na zero. Obok niego, w towarzystwie inteligentnej, czarującej żony, stał bezwzględny finansista.

- Myślała, że pomaga mężowi? - spytała w końcu Jill.

- Masz na myśli Caitlin?

- Tak.

- Pomagała sobie. Patologicznie boi się biedy. Jill westchnęła przeciągle.

- A ja wolę być biedna, ale nie bawić się w tajemnice i morderstwo. Niech idzie na dno.

- Właśnie za to cię lubię. - Zach poruszył się nagle, sadzając sobie Jill na kolana.

- Za co?

- Wiesz, co jest w życiu ważne.

- Bezpieczne przepłynięcie bystrza jest ważne. - Objęła go. - Ty jesteś ważny. Chciałabym pokazać ci moje ulubione rzeki.

- Załatwione - powiedział. - O ile ja będę mógł ci pokazać moje ulubione złomowiska i opowiedzieć ci co nieco o zabytkowych samochodach.

- Jeszcze szukasz tego hemi - coś tam?

- Plymoutha baraccudy z silnikiem Hemi 426, świętego Graala zabytkowych samochodów.

Roześmiała się i przysunęła do niego.

- Przypuszczam, że szybko opanujesz rzeki. Ja o samochodach nie mam pojęcia, więc może trochę potrwać, zanim się rozeznam.

Zach objął ją z całych sił.

- Na to liczę.